

SŁAWOMIR KOPER

KOBIETY
WŁADZY
PRL





*Stalin polubił Ninę
Andrycz, żonę Józefa*

*Cyrankiewicza, i podczas pierwszej
wizyty na Kremlu podarował
jej wspaniałe futro z norek.*

*Podobno nigdy go nie założyła,
ubiór zjadły mole. Natomiast*

*podczas innej wizyty pani
premierowa niespodziewanie*

*wróciła do Warszawy, aby wystąpić
w teatrze. Wśród członków polskiej*

*delegacji wzbudziło to panikę,
tego dnia miała odbyć się uroczysta*

*kolacja na Kremlu. Przerażony
Jakub Berman zemdłał.*

*Tymczasem Stalin przyjął afront
ze spokojem i miał powiedzieć,*

*że „ta kobieta musi lubić
swoją pracę”*



Spis treści

Okładka

Skrzydełko

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Od autora

Rozdział I. Zamiast wstępu

HIERARCHIA WŁADZY PRL | W KOMUNISTYCZNYM MĘSKIM | KLUBIE | CZERWONA ELITA | DESANT ZE WSCHODU | RYTUAŁY DWORU | BIESZCZADZKIE ELDORADO

Rozdział II. Ulubienica Stalina

PRAWDY I LEGENDY O WANDZIE WASILEWSKIEJ | ROMAN SZYMAŃSKI | OBLICZE DNIA | W SOWIECKIM LWOWIE | ZABÓJSTWO MARIANA BOGATKI | W SOWIECKIM MUNDURZE | RELACJE ZE STALINEM | JANINA BRONIEWSKA | ZWIĄZEK PATRIOTÓW POLSKICH | WANDA LWOWNA | KOBIETY NAD OKĄ | BITWA POD LENINO | ZMIERZCH | WDOWA PO BERII | PLUTY | HALINA WASILEWSKA

Rozdział III. Pogodzona z nowym ustrojem

NAŁKA | NOWA RZECZYWISTOŚĆ PANI ZOFII | UROKI DWORU | KOBIETA Z PRZESZŁOŚCIĄ | PANI GENOWEFA | OSTATNIE LATA

Rozdział IV. Twarze pani Marii

KIJ I MARCHEWKA | W ŁOŻY SZYDERCÓW | LIST 34 | MIŁOŚĆ I ALKOHOL | ŚLADAMI SAFONY | TESTAMENTY MARII DĄBROWSKIEJ

Rozdział V. W cieniu prezesa

W RODZINIE LILPOPÓW | W PODKOWIE LEŚNEJ | CHOROBA ANNY | OKUPACJA | CZERWONE I CZARNE | STAWISKO

Rozdział VI. Wszystkie kobiety Bolesława Bieruta

LUBELSKI SPÓŁDZIELCA | JANINA GÓRZYŃSKA | DZIWNE LOSY MAŁGORZATY FORNALSKIEJ | MIŃSK | ŻONA Z BIAŁORUSI | ŚMIERĆ JASI | TRAGICZNE LOSY RODZINY FORNALSKICH | KRÓLOWA BELWEDERU | ZA ŻÓŁTYMI FIRANKAMI | ŚMIERĆ W MOSKWIE

Rozdział VII. „Krwawa Luna”

CIOTKA REWOLUCJI | OBRAZKI Z ŻYCIA INTYMNEGO | TOWARZYSZKA DYREKTOR W AKCJI | LASKI

Rozdział VIII. Towarzyszka Zofia

LIWA SZOKEN | ARYJSKIE PAPIERY | JAN CHRZCICIEL Z PPR | MIEDZESZYN | W NIEREALNYM ŚWIECIE PRL | KALINA JĘDRUSIK, TELEWIZOR I KAPEĆ | KONSTANCIN

Rozdział IX. Pierwsza dama Polski Ludowej

PREMIER JÓZEF CYRANKIEWICZ | SOLANGE | ALEKSANDER WĘGIERKO | Z POWROTEM NA SCENIE | MĘŻCZYŹNI PANI NINY | FASCYNACJA PREMIERA | MADAME JÓZEF CYRANKIEWICZ | ALEJA RÓŻ 8 | SCENY Z ŻYCIA PREMIERA | NIEDYSKRECJE UCIEKINIERA | ROZWÓD

Rozdział X. Stasia

ŻONA GÓRNIKA | KSIĄŻĘ ŚLĄSKA | EPOKA PROPAGANDY SUKCESU | BONA CUKROWA | INTERESY RODZINY | ZMIERZCH BOGÓW

Rozdział XI. Problemy uczuciowe Mieczysława F. Rakowskiego

MFR | WANDA WILKOMIRSKA | PRANIE | ELŻBIETA KĘPIŃSKA | AGNIESZKA OSIECKA | DWOJE NA HUŚTAWCE | CZAS DECYZJI | W KRĘGACH WŁADZY | DRUGIE MAŁŻEŃSTWO | HANNA BANASZAK | ŻYCIE PO ŻYCIU

Bibliografia

Skrzydełko

Okładka

KOBIETY WŁADZY PRL



Sławomir Koper

Warszawa 2012

Copyright © Sławomir Koper, Czerwone i Czarne

Projekt graficzny
FRYCZ I WICHA

Zdjęcie na okładce:
Nina Andrycz, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe (NAC)

Zdjęcia wewnętrzne:
Instytut Pamięci Narodowej, NAC, Jacek Sielski/FORUM,
Zygmunt Wieczorek/REPORTER, Lucjan Fogiel/East News,
Muzeum Literatury/East News,
Archiwum Muzeum w Stawisku/FOTONOVA,
Wojciech Druszczyk/REPORTER, Polska Agencja Prasowa

Redakcja
Przemysław Skrzydelski

Skład
Tomasz Erbel

Wydawca
Czerwone i Czarne sp. z o.o.
Rynek Starego Miasta 5/7 m.5
00-272 Warszawa

Druk i oprawa
Toruńskie Zakłady Graficzne
Zapolex Sp. z o.o.
ul. Gen. Sowińskiego 2/4
87-100 Toruń

Wyłączny dystrybutor
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki

ISBN 978-83-7700-059-5

Warszawa 2012

Od autora



Książka, którą macie Państwo przed sobą, jest pierwszą pozycją cyklu poświęconego elitom PRL. Po serii publikacji o II Rzeczypospolitej (zresztą będą ją kontynuował) przyszedł czas na Polskę Ludową. To dla mnie temat osobisty, urodziłem się bowiem w czasach rządów Gomułki, do szkoły chodziłem w epoce Gierka, studiowałem natomiast w trakcie stanu wojennego. Doskonale zatem pamiętam czasy i ludzi, pozostał we mnie również do tamtych lat sentyment. I zapewne dlatego ponure nawet epizody dziejów komunizmu nad Wisłą we wspomnieniach przeplatają się z intymnymi przeżyciami.

Badacza jednak nic nie może zwolnić od obiektywizmu. Jego obowiązkiem jest przedstawienie faktów bez emocji, przemilczeń i tendencyjnego doboru źródeł. Nie jest to łatwe przy osobistym zaangażowaniu, ale niestety konieczne.

Historycy uwielbiają daty i sprecyzowali dokładne ramy czasowe istnienia PRL. Według przyjętej chronologii Polska Ludowa powstała 22 lipca 1944 r. (data ogłoszenia manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego), a zakończyła swoje istnienie 4 czerwca 1989 r. – w dniu pierwszych częściowo wolnych wyborów w Polsce. Oczywiście są to granice czysto umowne, komuniści jeszcze długo po zakończeniu II wojny światowej utrwalali władzę, natomiast czerwcowe wybory nie oznaczały natychmiastowego końca w naszym kraju „przodującego ustroju”.

Dla współczesnego czytelnika Polska Ludowa wydaje się epoką szarą i ubogą. Powodów do radości faktycznie, specjalnie nie było, nie można jednak zapominać o jej osiągnięciach. Likwidacja analfabetyzmu wraz z industrializacją kraju zaowocowały nieprawdopodobnym skokiem kulturowym. Literatura, teatr, kino czy sztuki plastyczne przestały być domeną elity. Do tego doszło jeszcze nieprawdopodobne bogactwo talentów w każdej dziedzinie życia. I chociaż twórcy zmagali się z różnymi ograniczeniami, to jednak powstawały dzieła wybitne. Krzysztof Zanussi, Andrzej Wajda, Krzysztof

Kieślowski, Witold Lutosławski, Krzysztof Penderecki, Edward Stachura, Zdzisław Beksiński, Jerzy Duda-Gracz, Kazimierz Dejmek, Wisława Szymborska, Agnieszka Osiecka, Wojciech Młynarski, Gustaw Holoubek, Tadeusz Łomnicki, Daniel Olbrychski – podobną listę można ciągnąć bez końca.

Czasy Polski Ludowej to prawdziwa kopalnia tematów, i każdy znajdzie dla siebie coś interesującego. I nawet jeżeli PRL wydawała się bezbarwna i wyblakła, to przy bliższym poznaniu okazuje się, że nawet ówczesna szarość miała kolory i odcienie. A wiele wydarzeń, spraw i ludzi wymyka się jednoznacznej ocenie.

W niniejszej opowieści zająłem się kobietami związanymi z elitą władzy tamtej epoki. Odnajdą więc w niej Państwo Wandę Wasilewską, Julię Brystygier, Zofię Gomułkową, Ninę Andrycz i Stanisławę Gierek. Poza tym kobiety Bolesława Bieruta i żony Mieczysława Rakowskiego. Nie zabrakło wielkich twórców naszej literatury, flirtujących z polityką, a więc Zofii Nałkowskiej, Marii Dąbrowskiej czy Anny Iwaszkiewicz.

Ze względu na ograniczenia wydawnicze czytelnicy nie zdobędą informacji na temat Alicji Solskiej (żony Piotra Jaroszewicza), Barbary Jaruzelskiej, partnerek Jerzego Urbana czy Marii Teresy Kiszczak. Ale nic straconego, postacie te znajdą się w jednej z następnych książek cyklu. Zanim jednak przyjdzie na to czas, pojawi się kolejna pozycja serii – o kobietach estrady PRL. A na inne tematy również nadejdzie pora. Przecież Polska Ludowa to prawdziwe bogactwo materiałów...

Rozdział I.

Zamiast wstępu



HIERARCHIA WŁADZY PRL

Zbigniew Brzeziński zauważył kiedyś, że różnica pomiędzy demokracją ludową a rzeczywistą jest taka, jak między krzesłem elektrycznym a zwykłym. Faktycznie, ustroj komunistyczny ludowładztwa nie przypominał w ogóle, a obowiązujący system monopartyjny powodował mało zrozumiałą hierarchię władzy.

W krajach bloku wschodniego najważniejszymi osobami było ściśle kierownictwo partii komunistycznej. To właśnie na posiedzeniach biur politycznych zapadały najważniejsze decyzje, a szefowie ugrupowania posiadali wręcz dyktatorski zakres władzy. Czasami piastowali dodatkowe funkcje, w niektórych państwach modne stało się łączenie stanowisk partyjnych z rządowymi. W Polsce podobne rozwiązania stosowano wyłącznie na początku i u schyłku PRL, natomiast Władysław Gomułka i Edward Gierek zadowolili się wyłącznie pozycją I sekretarza KC PZPR.

Prowadziło to czasami do nieporozumień i Gerald Ford odwiedzając Polskę w 1975 r., tytułował Gierka „panem prezydentem”. Dla ludzi Zachodu szefostwo partii nie oznaczało bowiem realnej władzy, a humorystycznym akcentem sytuacji pozostał fakt, iż w PRL nie istniało stanowisko prezydenta. Funkcjonował wprawdzie kolegiálny najwyższy urząd państwowy (Rada Państwa), ale jej członkowie byli figurantami bez większego znaczenia. Do składu Rady odsyłało często polityków odsuniętych od rzeczywistej władzy, inna sprawa, że organ ten firmował decyzje podjęte w partyjnych gabinetach. I to właśnie dekretem Rady Państwa wprowadzono w grudniu 1981 r. stan wojenny.

Dominacja władz partyjnych w życiu politycznym była tak wyraźna, że nawet historycy podzielili dzieje PRL na epoki kolejnych przywódców PZPR. A z powszechnej świadomości zniknęły postacie urzędujących premierów i właściwie tylko nazwiska Józefa

Cyrankiewicza i Piotra Jaroszewicza coś społeczeństwu mówią. Natomiast osoby Janusza Pińkowskiego czy Zbigniewa Messnera pozostają praktycznie anonimowe.

Podobny los spotkał polityków pełniących funkcję przewodniczącego Rady Państwa. Pozostający na tym stanowisku przez dwanaście lat Aleksander Zawadzki został kompletnie zapomniany, natomiast Mariana Spychalskiego zapamiętano głównie z powodu jego konfliktów z ekipą Bolesława Bieruta.

Zresztą system władzy w obrębie partii komunistycznej otaczała zmowa milczenia, a wszelkie zmiany sprawiały wrażenie mafijnych rozgrywek. Narodzinom Polskiej Partii Robotniczej (poprzednika PZPR) towarzyszyły krwawe gry, zakończone zabójstwami jej pierwszych liderów. Marceli Nowotko zginął na polecenie (lub za wiedzą) Bolesława Mołojca, ten natomiast został zlikwidowany przez swoich partyjnych kolegów. Paweł Finder trafił w ręce gestapo, a dziwnym przypadkiem w zasadzkę nie wpadł zaproszony na to samo spotkanie Władysław Gomułka. Potem już przeciwników nie likwidowano, ale walka o władzę miała niewiele wspólnego z demokracją.

„[...] Gierek poczyną sobie nader żwawo – zanotował Stefan Kisielewski we wrześniu 1971 r. – W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych aresztowano chyba kupę facetów z samej góry, mówi się o nadużyciach dewizowych, ale przecież chodzi o politykę – tylko jaką? Czyżby odwieczna walka partia – tajna policja?! Nic się dokładnego nie wie, bo wiadomości są z »Wolnej Europy«, a tę źle słyhać. To typowe dla komunizmu: toczy się jakaś ważna walka o władzę, a społeczeństwo, niby stado baranów, o niczym nie jest informowane. Niebывały ustrój, domena mafijnych, tajnych elit – czy coś takiego zawsze wyniknąć musi z rewolucji?!”¹.

¹ Wszystkie cytaty źródłowe w książce przytaczane są w brzmieniu oryginalnym. Zachowano ich pierwotną interpunkcję oraz stylistykę, nawet kosztem poprawności w zapisie. W niektórych fragmentach dokonano jedynie skrótów i wstawiono objaśnienia odautorskie (– S. K.), rzadziej odredaktorskie (– red.).

Nic dziwnego, że Gierek dokonując okresowych badań lekarskich, osobiście dobierał sobie lekarzy. Regularnie pojawiał się w szpitalu w Katowicach-Ligocie, ale partyjnych medyków do siebie nie dopuszczał. A na pytanie o powód takiego postępowania z rozbrajającą szczerością odparł, że „boi się ludzi, którzy wykonują partyjne zadania”.

W krajach bloku wschodniego charakterystyczną cechą była faktyczna dożywotność najwyższych stanowisk partyjnych. Przykład szedł z Kremla, gdzie właściwie tylko Nikitę Chruszczowa usunięto w efekcie puczu, natomiast pozostali sekretarze generalni (Józef Stalin, Leonid Breżniew, Jurij Andropow, Konstantin Czernienko) utrzymywali się przy władzy aż do śmierci. Kremlowskie elity opracowały nawet specyficzny rytuał „następstwa tronu”. Po śmierci genseka jego sukcesor zostawał szefem komisji zarządzającej pogrzebem poprzednika, a osoba zgłaszająca go na stanowisko sekretarza generalnego w przyszłości miała zarządzać jego pogrzebem, a następnie zostać kolejnym liderem partii...

Polska jednak od innych wasali Kremla się odróżniała. Nad Wisłą tylko Bierut sprawował władzę do śmierci, a kolejne zmiany partyjnych liderów były efektem

cyklicznych kryzysów społeczno-politycznych. Krwawe wypadki czerwcowe w Poznaniu obaliły Edwarda Ochaba, grudzień 1970 r. pozbawił władzy Gomułkę, natomiast Gierka odsunięto w efekcie sierpniowych strajków w 1980 r. A dalej był już tylko stan wojenny i upadek PRL.

W KOMUNISTYCZNYM MĘSKIM KLUBIE

Specyfiką obyczajową życia politycznego krajów bloku sowieckiego była nieobecność żon przywódców partyjnych w życiu publicznym. Kobieta mogła być działaczką (jak Nadieżda Krupska czy Róża Luksemburg), ale praktycznie aż do czasów Michaiła Gorbaczowa dla małżonki polityka nie było miejsca. Właściwie nikt nie wiedział, jak wygląda żona Breżniewa (dopóki nie pojawiła się na jego pogrzebie), gdyż nigdy nie występowała publicznie. Pewien wyjątek uczyniła Elena Ceaușescu, ale małżonka „geniusza Karpat” piastowała oficjalne stanowiska. Zbliżoną do zachodnich standardów pozycję posiadała Jovanka Broz, ale Jugosławia od pozostałych państw komunistycznych odstawała.

Małżonki działaczy nie mogły zajmować się działalnością charytatywną, albowiem w „przodującym ustroju” nie mogło być biednych i potrzebujących. Nie istniały wolne wybory, zatem niepotrzebny był ich udział w kampaniach politycznych. Żon partyjnych liderów brakowało podczas oficjalnych uroczystości, nie towarzyszyły również mężom w zagranicznych podróżach. A ich nieobecność w życiu towarzyskim elity władzy wpływała na poziom rozrywek dygnitarzy.

„Tańczyłem z Mołotowem – opowiadał Jakub Berman – chyba walca, coś bardzo prostego, bo ja przecież nie mam pojęcia o tańcu, więc ruszałem tylko nogami do rytmu [...] prowadził Mołotow, ja bym nie potrafił. On zresztą nieźle tańczył, próbowałem dotrzymać mu kroku. Było to jednak z mojej strony błazeństwo nie taniec [...]. Stalin nie tańczył. Stalin kręcił patefon, traktując to jako swój obywatelski obowiązek. Nigdy od niego nie odstępowałem. Nastawiał płyty i patrzył”.

Męskie wieczory uzupełniano pokaźnymi dawkami alkoholu, komunistyczni liderzy nie wyobrażali sobie udanej imprezy bez solidnej porcji mocnych trunków. Obyczaje liderów naśladowano na niższym szczeblu, czego osobiście doświadczył Mieczysław Rakowski (ówczesny naczelny tygodnika „Polityka”) podczas wizyty w Kazachstanie w lipcu 1969 r.:

„Pierwszy punkt programu – obiad. Gospodarzy było aż dwunastu. [...] Każdy z uczestników obiadu uważał za konieczne wzniesienie toastu na cześć towarzysza Gomułki i polskiego rukowadstwa, za zdrowie towarzysza Breżniewa, polskich dziennikarzy, przyjaźń polsko-radziecką itp. Głowę mam mocną jak, nie przymierzając Cyrankiewicz, ale takiej ilości wody dotąd nie wlałem w siebie. Wstałem od stołu kompletnie pijany. Najgorsze było jeszcze przede mną. Okazało się, że za dwie godziny gospodarze wydają kolację na cześć »naszego drogiego przyjaciela, towarzysza Rakowskiego«. Wyszedłem

z mojego apartamentu do parku zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Nic to nie pomogło, więc chwytając się jakiejś rachitycznej brzoźki, zmusiłem się do torsji. Trochę mi ulżyło. Kolacja była obfita, znowu nie kończące się toasty. [...] I tyle widziałem z Kazachstanu”.

Czasy prawdziwego alkoholowego rozpasania pojawiły się wraz z epoką Breżniewa. Przykład dawał sam sowiecki przywódca, „ciągnąc wodę jak pompa strażacka wodę”. Miał również zwyczaj pokazywania się publicznie w stanie nietrzeźwym, co wzbudzało konsternację. A już zachowanie genseka podczas VII Zjazdu PZPR w Warszawie przekroczyło wszelkie normy cywilizowanego świata.

„Zjazd rozpoczął się od rewelacyjnego popisu [...] Breżniewa – zanotował Rakowski. – A było to tak: kiedy Gierek stał za stołem prezydialnym i wygłaszał przemówienie powitalne, z pierwszego rzędu poderwał się Breżniew, wszedł na mównicę ustawioną dwa metry przed prezydium i zaczął stukać w mikrofony. Zwracając się do Gierka, powiedział: nie rabotajut. Co było zgodne z prawdą, ponieważ w tym czasie nie były jeszcze włączone. Gierek kontynuował mowę powitalną, przerywaną okrzykami sali i oklaskami. Breżniew nadal mocował się z mikrofonami na mównicy. Gdy Gierek skończył, orkiestra zaczęła grać *Międzynarodówkę*, którą podchwyciła sala. Ku zdumieniu wszystkich, Breżniew pozostał na mównicy i... zaczął dyrygować, wymachując rękami. Żenujące widowisko, które mogło jednak skłonić do różnych refleksji”.

To jednak nie wszystko, następnie działacz wyciągnął z kieszeni nowy zegarek i demonstrował go z dumą sąsiadom z „bratnich partii”, zakłócając zupełnie przemówienie towarzysza Edwarda.

Nie wszyscy jednak komunistyczni liderzy tarzali się w oparach alkoholu. Gomułka pił niewiele i nadużywał trunków praktycznie tylko podczas imprez sylwestrowych (zawsze czysta Wyborowa). Zadeklarowanym abstynentem pozostał generał Wojciech Jaruzelski, co jak na człowieka, który życie spędził w mundurze, było prawdziwym wyjątkiem. Wielbicielem wykwinnych alkoholi i potraw był natomiast Cyrankiewicz, a u schyłku życia nadużywał napojów wyskokowych również Bierut. Nie unikał alkoholu Rakowski.

Pewne zmiany w obyczajowości polskich polityków zanotowano w epoce propagandy sukcesu. Stanisława Gierek towarzyszyła mężowi w zagranicznych podróżach, pojawiała się także u jego boku na trybunie podczas pierwszomajowych obchodów. Prasa publikowała ich wspólne fotografie, a stałym elementem posiedzeń Biura Politycznego było utyskiwanie towarzysza Edwarda, że Stasia już dłużej nie wytrzyma takiego życia i będzie musiał podać się do dymisji.

CZERWONA ELITA

Komuniści obejmując rządy z mandatu Kremla, byli dla polskiego społeczeństwa ludźmi zupełnie anonimowymi. Nie mieli znanych nazwisk, przed wojną nie należeli do osób liczących się w polityce. Właściwie tylko nazwisko Wandy Wasilewskiej mogło coś

Polakom powiedzieć, ale aktywistka rozgłos zawdzięczała ojcu, jednemu z liderów Polskiej Partii Socjalistycznej. Zresztą pozostała w Związku Radzieckim i w skład nowych władz nie weszła.

W okresie międzywojennym Komunistyczna Partia Polski działała nielegalnie, a jej członków uważano za sowieckich agentów. Uczciwie zresztą na taką opinię zapracowali, widząc przyszłość Polski jako integralnej części Związku Radzieckiego. Armia Czerwona miała zapewnić zwycięstwo rewolucji w Europie, a Polska Republika Rad zrezygnować z Górnego Śląska, Pomorza oraz Kresów. Członkowie KPP uważali Związek Sowiecki za swoją ojczyznę, a próbkę możliwości dali podczas wojny 1920 r. Nie bez powodu białostocki Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski z Feliksem Dzierżyńskim i Julianem Marchlewskim na czele do dzisiaj uznawany jest za synonim zdrady narodowej.

W KPP działali doświadczeni komuniści, ale liderzy partii jednak nie doczekali powstania PRL. U schyłku lat 30. wymordowano ich w ramach stalinowskich czystek. Po rozprawie z opozycją i krwawej jatce w armii przyszedł czas na eliminację przywódców „bratnich” partii. Kolejno wzywano do Moskwy i rozstrzeliwano komunistów z Jugosławii, Rumunii, Finlandii, Węgier, a nawet z Korei, Meksyku czy Iranu. Podobny los spotkał działaczy KPP (Adolf Warski, Julian Leszczyński „Leński”, Józef Unszlicht, Maria Koszutska „Kostrzewa”), partia została rozwiązana pod zarzutem współpracy z polskim wywiadem.

„Stalin był parszywy i obłudny – mówił Roman Werfel – a jak – podam przykład. Pod Moskwą było osiedle starych bolszewików, każdy miał tak swój własny fiński domek. Stalin miał też, wtedy jeszcze skromny, i obok niego miała Kostrzewa. Wera właśnie stała w ogrodzie i obcinała róże. Stalin podszedł do niej i powiedział: kakije priekrasnyje Rozy. Tego samego wieczora ją zabrali i potem rozstrzelali, Stalin o tym wiedział. A jednak, kiedy w 1944 r. była u niego nasza delegacja, nagle zapytał: U was byli takije umyje ludi, takaja Wera Kostrzewa, wy nie znajecie czto s niej”.

Przetrwali wyłącznie działacze młodszego pokolenia KPP, odsiadujący wyroki w polskich więzieniach (Alfred Lampe, Bierut, Paweł Finder, Gomułka). Włodzimierz Sokorski sam zgłosił się na policję, uważając, że zasądzony wyrok uchroni go od śmierci. Przeżyli również ci, którzy walczyli w wojnie domowej w Hiszpanii (Bolesław Mołojec) lub dyskretnie omijali terytorium „ojczyzny proletariatu” (Berman). Jednak żaden z nich nie przestał być komunistą. To ludzie popełniali błędy, ale sprawa zwycięstwa światowej rewolucji była jak najbardziej słuszna. I wymagała ofiar...

DESANT ZE WSCHODU

Aż do czasów Gierka biografie działaczy najwyższego szczebla partyjnego były do siebie bliźniaczo podobne. Członkostwo w KPP, pobyt w sanacyjnych więzieniach, ucieczka do Sowietów, komunistyczny ruch oporu lub członkostwo w Związku Patriotów Polskich. Wysoko ceniono również udział w czerwonej partyzantce, co doskonale ilustruje

kariera Mieczysława Moczara. Zresztą już sama przynależność do „ludzi z lasu” zapewniała profity.

„Jeden ze współpracowników Szlachcica – zauważył z ironią Józef Tejchma – wiceminister spraw wewnętrznych, został przesunięty do resortu leśnictwa – był partyzantem, więc ma kwalifikacje”.

Po powstaniu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej bez problemu można było jednak odróżnić dawnych członków PPS od działaczy PPR. Inna sprawa, że kariery socjalistów nigdy nie dorównały osiągnięciom ich nowych partyjnych kolegów.

„[Pepesowcy] wywodzą się z rodzin inteligenckich bądź drobnomieszczańskich – pisał Rakowski – w których dzieci znały to, co się nazywa kindersztubą. Działacze peperowcy z reguły pochodzą z nizin społecznych. [...] Stefan Żółkiewski, który wcale nie był, ale pochodzi z tzw. dobrej rodziny, w wieku sześciu lat miał bonę, zaś ja, gdy ukończyłem siódmy rok życia, to ojciec wziął mnie za rękę i poszliśmy paść krowy”.

Wprawdzie w PPR również zdarzali się ludzie z wyższym wykształceniem (Finder, Berman, Hilary Minc, Julia Brystygier), to jednak przeważali towarzysze z „awansu społecznego”. Doskonałymi przykładami były kariery Bieruta i Gomułki, którzy jako nieliczni w tym gronie wywodzili się z polskich rodzin. Żydowskie pochodzenie zamykało bowiem drogę do najwyższych oficjalnych stanowisk.

Długoletni pobyt w sowieckim raju wyrobił u większości polskich komunistów specyficzne odruchy. Żona Minca, Julia, jako redaktor naczelny Polskiej Agencji Prasowej wprowadziła tam obyczaje wzorowane na stosunkach w partii bolszewików.

„[...] to nie byli komuniści – uważał Samuel Sandler. – To byli radzieccy ludzie. Oni przyjechali z Rosji zdemoralizowani, zepsuci. [...] Oni w Związku Radzieckim przekonali się, że jeśli chce się przeżyć, trzeba być w gangu. Nie uważałem ich za komunistów”.

Po latach Julia Minc nie ukrywała metod zarządzania agencją:

„Na początku zresztą pytałam każdego: czy zgadzacie się z nami i czy chcecie, by Polska była socjalistyczna. Kiedy odpowiadali: tak, mogli zostać. [...] Miałam takiego jednego, który bez przerwy pytał, co to za plan, który się ciągle przekracza. Znudziło mnie to i go wyrzuciłam, bo co to za redaktor, który nie rozumie idei współzawodnictwa pracy”.

Zapis rozmowy towarzyszki Julii z Teresą Torańską jest przerażającym dokumentem. Po kilkudziesięciu latach aktywistka nie widziała w swoim postępowaniu żadnych błędów. A już jej poglądy na miejsce jednostki w historii mogły wzbudzić grozę:

„[...] w bankowości jest debet i kredyt. Była więc zwycięska wojna z faszyzmem i były złe rzeczy. Zwycięska wojna jednak pokryła całe zło. Zresztą, jak trzeba wybierać między człowiekiem a partią, to wybiera się partię, bo partia ma ogólny cel – dobro wielu ludzi, a człowiek jest tylko człowiekiem. [...] Partia to nie sekta chrześcijańska litująca się nad każdą jednostką, zapatrzona w carstwo niebieskie. Partia walczy o lepsze życie dla całej ludzkości”.

RYTUAŁY DWORU

Komuniści wprowadzili własny ceremoniał, wzorowany na rozwiązaniach radzieckich. Należały do nich zasady powitań i pożegnań delegacji partyjnych, oficjalnych wystąpień, a nawet wypoczynku wakacyjnego. Ludzie pamiętający czasy Polski Ludowej zapewne nigdy nie zapomną fotosu przedstawiającego namiętny pocałunek Breżniewa z Erichem Honeckerem. Powitania działaczy „bratnich partii” stały się symbolem epoki na równi z długimi jesionkami i czapkami (oczywiście sowieckiego wzoru). Tejchma, wicepremier i minister w rządach PRL, miał na ten temat własne zdanie:

„Ostatnio, jak byłem w Moskwie z Babiuchem, sympatyczny, inteligentny Katuszew nie inicjował całowania. Najobrzydliwiej całują Mongołowie, ślinią. Najdyskretniej całują Francuzi. Nie zauważyłem nigdy, by Gomułka całował z przekonaniem. Śmieszny szczególnie wydawał mi się Cyrankiewicz w objęciach Breżniewa. Kliszko informował kiedyś, że on jako jedyny został ucałowany przez Breżniewa na naradzie międzynarodowej w Moskwie”.

Członkowie komunistycznego dworu potrafili doskonale „czytać” informacje z sytuacji pozornie bez większego znaczenia.

„Ukształtował się w tej dziedzinie bogaty dworski rytuał – uważał Tejchma. – Liczy się kto żegna i wita, liczy się ilu przychodzi na lotnisko. Przychodzą ci, którzy muszą i ci, którzy chcą się pokazać, przypomnieć, podkreślić swoje przywiązanie do członka kierownictwa. Oznacza to, że na lotnisku można się częściowo zorientować w różnych sympatiach, wpływach, układach ludzi, na których się liczy i którzy chcą, aby na nich liczono”.

Niezwykle ważne informacje przynosiła obserwacja warunków letniego wypoczynku w ośrodkach rządowych. Panowała ścisła hierarchia, a największy luksus przypadła aktualnym ulubieńcom władz.

„W Łańsku wszystko oceniało się po zakwaterowaniu – uważała Karyna Andrzejewska, druga żona Jerzego Urbana – czy miał apartament, czy tylko pokój z łazienką, czyli rybaczkówkę, czy apartament w domu nad samym jeziorem”.

Gorsza kwatery niż w poprzednim sezonie oznaczała niełaskę. Bez problemu lokalizowano upadające gwiazdy i nowych wybrańców fortuny.

„To były naprawdę dobre ośrodki – wspominał Urban. – Były, jak wszystkie przywileje, zhierarchizowane, ale ja korzystałem z najwyższego standardu, dla samej góry. Mieszkałem na przykład w apartamentach w Łańsku, podczas gdy jako zwykły wiceminister powinienem dostać miejsce w położonym dwanaście kilometrów dalej hotelu. Płaciło się za to wcale nie symbolicznie, ale porównując standard – względnie mało”.

Rakowski po raz pierwszy pojawił się w Łańsku u boku Cyrankiewicza. Panujący tam komfort sprawił go w osłupienie:

„Gierek rozszerzył grono osób, które mogą z tego ośrodka korzystać. Byłem tam po

raz pierwszy. Zobaczyłem niemal oazę, przedsionek bądź też pełny raj. JC [Józef Cyrankiewicz – S.K.] mieszka w willi, taras wychodzi na przepiękne jezioro. Willa jest superluksusowa. Jedzenie jest niesłychanie obfite i wytworne, usługują dwie kelnerki. Artek [syn Rakowskiego – S.K.], który był ze mną, poszedł kąpać się do basenu. Obsługiwano go jak panicza z najlepszego domu. Zdumiony pytałem JC, kto za to wszystko płaci? Państwo? Odpowiedział, że Łańsk. Nie jestem przeciwnikiem takich ośrodków dla rządzących, ale uważam, że luksus, jaki tam panuje jest stanowczo za duży. Teraz rozumiem, dlaczego członkowie Biura Politycznego, którzy z niego korzystają, tak bardzo dbają o swoje stołki w Biurze. Inaczej mówiąc, cały system przywilejów przykuwa towarzyszy do foteli”.

Opinia polityka odbiega od relacji Ariadny Gierk, w wydanej niedawno książce, która bagatelizuje luksus otaczający prominentów. Była synowa I sekretarza zdecydowanie mija się z prawdą, opisując tamtejszy ośrodek:

„Luksus? Jak w starej leśniczówce. W drzwiach nie ma złotych klamek, nie podają tu krewetek ani kawioru, raczej ryby łowione z jeziora. Cisza i spokój. Nuda. Spaceruje pod okiem ochrony, sztywne podwieczorki, kolacje, pokazy zachodnich filmów”.

W rzeczywistości członkowie elity władzy, aby zachować przywileje, godzili się ze wszystkimi niedogodnościami. Nawet z ograniczeniami tak bardzo ważnymi dla każdego mężczyzny.

„Zobaczyłem się w Aninie – zanotował Tejchma – z byłym ministrem zdrowia, Ś. [Marianem Śliwińskim – S.K.] Oświadcza: jak opuściłem rząd, to mi, k..., znowu staje! Stałem się normalnym człowiekiem [...]”.

BIESZCZADZKIE ELDORADO

Stosunek prominentów PRL do dóbr materialnych przypominał sinusoidę. Po okresie rozpasania przychodził czas ascezy, a następnie epoka konsumpcji. Ekipa Bieruta zachowywała się jak stado parweniuszy, wracających po raz pierwszy do eleganckiego świata. Korzystano z wszelkich przywilejów władzy, a partyjnych notabli tej epoki otaczał nieprawdopodobny blichtr. Bierut osobiście miał do swojej dyspozycji aż dziesięć (!) komfortowych rezydencji, a jego najbliżsi współpracownicy także nie odmawiali sobie niczego. To wówczas powstało strzeżone osiedle w Konstancinie pod Warszawą, gdzie liderzy PZPR odpoczywali po trudach pracy. Julia Minc nie ukrywała, że każdy z towarzyszy miał do dyspozycji własną willę, a na zamkniętym partyjnym osiedlu był „klub, stołówka i kucharz”. Kiedy chciało się obejrzeć film (niekoniecznie radziecki), po prostu „dzwoniło się i przyjeżdżali. Zawieszali ekran i się oglądało”. Na wszelki wypadek, gdyby wystąpiły różnice zdań w doborze repertuaru, drugie kino „było w klubie”. O takich dodatkach jak własne krawcowe, fryzjerzy czy lekarze, nie warto było nawet wspominać. Podobnie jak o pełnym utrzymaniu na koszt państwa.

Po śmierci Bieruta przyszły czasy ascetycznego Gomułki, gdzie właściwie tylko

Cyrankiewicz z przywilejów swojego stanowiska korzystał w pełni. Ale nawet on musiał się kamuflować przed towarzyszem Wiesławem, który potrafił go publicznie wyzywać od „łysych chujów”. Po oszczędnym aż do śmieszności I sekretarzu nastąpiła epoka propagandy sukcesu i nieskrępowanej konsumpcji. Towarzysz Edward rozszerzył dostępność przywilejów, uważając, że zapewni mu to szersze poparcie aparatu partyjnego. Ale kryzys schyłku lat 70. i upadek ekipy Gierka wymusiły oszczędności. A generał Jaruzelski był człowiekiem bez większych potrzeb materialnych.

Elite władzy PRL łączyło upodobanie do polowań. Zapalonym myśliwym był Bierut, korzystający głównie z terenów w okolicach Łańska. Towarzysz Tomasz lubił przy tym pozować na wielbiciela natury i fotografował się z ulubioną sarenką. Jednak prawdziwą modę na łowiectwo w bloku wschodnim wprowadził dopiero Breżniew, ale polscy gospodarze za wizytami sowieckich notabli nie przepadali. Obyczaje panujące za wschodnią granicą nie miały wiele wspólnego z etyką łowiectwa, ale gościom trudno było coś narzucić, a o ich wyproszeniu w ogóle nie było mowy.

U schyłku lat 60. w Bieszczadach rozpoczęto budowę Ośrodka Wypoczynkowego Rady Ministrów w Arłamowie. Inwestycję nazwano W-2 (W-1 oznaczał Łańsk). Obiekt obejmował ogrodzony obszar o powierzchni trzydziestu tysięcy hektarów, a przylegało do niego następne czterdzieści tysięcy. To dwukrotna powierzchnia Malty i o połowę więcej niż teren dzisiejszej Warszawy!

Ośrodek otoczono płotem o długości stu dwudziestu kilometrów, w którym zlokalizowano pochylnie umożliwiające dostęp zwierzyny. Oczywiście teren był pilnie strzeżony, nikt nie mógł się tam pojawić bez specjalnego zezwolenia, a ochronę zapewniały jednostki MSW.

Na terenie kompleksu powstał luksusowy hotel dla partyjnych notabli, niebawem zresztą uznano, że Arłamów jest jednak zbyt... mały i w 1973 r. dołączono do niego ośrodek w pobliskiej Trójcy. W ekspresowym tempie zbudowano drewniane wille w zakopiańskim stylu, a inwestycję prowadzono metodami charakterystycznymi dla epoki.

„W Trójcy – wspominał kierownik budowy Witold Augustyn – od początku prowadzono budowlaną partyzantkę. Wszystko musiało być zrobione na wczoraj. [...] Dowożone świerki, z których ciekła woda, natychmiast przecierano i stawiano z nich ściany, co było kardynalnym błędem. Skutkiem tego wysychające płazy ścienne wykrecało w różne strony. Kosztowało to masę pieniędzy, lecz kto wtedy z decydentów liczył się z publicznymi pieniędzmi?”.

Stropy układano ze specjalnie dobieranych desek modrzewiowych, gdyż „premier Jaroszewicz uwielbiał modrzew, ale bez sęków”. Aby zapewnić stałe dostawy prądu (ze względu na warunki pogodowe w Bieszczadach często zdarzały się awarie), zbudowano elektrownię o mocy stu pięćdziesięciu kilowatów, a na terenie dawnej wsi Krajna powstało betonowe lotnisko.

Arłamów stał się dla komunistycznych notabli prawdziwym myśliwskim eldorado. Nie tylko zresztą dla nich, polowali tam również szach Iranu, król Belgii oraz prezydent

Francji.

Pobył umiała gościom góralska kapela, tańczył zespół ośmiu dziewcząt z Podhala. Niestety, popisy taneczne nie trwały długo, tancerki za bardzo podobały się młodym funkcjonariuszom Biura Ochrony Rządu. W efekcie cała ósemka niemal jednocześnie zaszła w ciążę i na tym zakończyła podhalańskie tańce w Arłamowie...

Za największego miłośnika bieszczadzskich łowów uchodził Jaroszewicz. Zawsze wychwalał wyższość miejscowego jelenia nad mazurskim, ale prawdziwą ambicją premiera stało się upolowanie niedźwiedzia. Gatunek był w Polsce prawnie chroniony, jednak wydawano zezwolenia na odstrzał pojedynczych osobników, powodujących szkody w gospodarstwach. Oczywiście zdarzały się nadużycia i przepisy naginano, aby partyjnym bonzom zapewnić rozrywkę.

Szef rządu na niedźwiedzia zasadzał się trzykrotnie. Jeszcze jako wicepremier postrzelił potężnego misia w łapę, ale ranne zwierzę wymknęło się tropiącym, przechodząc na sowiecką stronę. Trzy lata później padło ofiarą miejscowych myśliwych, a rozpoznano je po niemal urwanej przedniej kończynie. Wiosną 1967 r. Jaroszewicz zasadził się na niedźwiedzia wspólnie z nadleśniczym Władysławem Peperą. Panowie strzelili równocześnie, niedźwiedź padł, ale okazało się, że zwierzę powalił pocisk leśnika. Sukces przyniosło dopiero trzecie polowanie, kiedy premierowi towarzyszył zarządca Arłamowa, pułkownik Kazimierz Dorskoczyński. Niedźwiedź miał blisko czterysta kilogramów wagi.

Łowieckie ambicje komunistycznych prominentów wywoływały najdziwniejsze plotki, niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Wprawdzie polowano dużo i często, ale nie masakrowano zwierzyny ze śmigłowców za pomocą broni maszynowej, jak szeptano w kraju. Bardziej prawdopodobna jest historia opowiadająca o sposobach rozładowywania chandry przez pułkownika Dorskoczyńskiego:

„Lubił zwłaszcza [polowania] na lisy – opowiadał Zdzisław Cichowski – ale był zbyt otyły i leniwy, żeby wysiadać z auta. Służyłem mu za podpórkę. Uchylałem szybę, kładłem głowę na kierownicy, a on opierał lufę o mój kark i strzelał. I jeszcze się przy tym śmiał, ostrzegając, bym się nie ruszał, bo może spudłować i ustrzelić mi mój łeb. A pod siedzeniem leżała metalowa rurka. Jak stary zranił lisa i ten nie mógł uciekać, to miałem iść z tą rurką i wprawnym uderzeniem skrócić zwierzęciu męki. Potem te lisy trafiały do garbarni w Arłamowie”.

Dorskoczyński był dawnym ochroniarzem Bieruta, ciężko rannym podczas zamachu na pryncypała (rany głowy i podbrzusza, prawdopodobnie ucierpiała męskość oficera). Za zasługi został szefem ośrodka w Łańsku, a następnie przeniesiono go do Arłamowa. W Bieszczadach zachowywał się jak udzielny książę, to on nadzorował rozrywki prominentów. Bywał agresywny, nie liczył się z podwładnymi, ale dbał o powierzony mu teren.

A na brak partyjnych gości zarządca nigdy nie narzekał. I chociaż w epoce Gierka notable spędzali święta na ogół w Łańsku, to raz na Boże Narodzenie pojawili się w Bieszczadach. Jak przysięgali naoczni świadkowie, Gierek i Jaroszewicz podzielili się

z rodzinami opłatkami, a potem wspólnie kolędownali (choć na co dzień deklarowali ateizm). Ale jak zauważył z nostalgią Tejchma, wśród partyjnych dygnitarzy nie był to wcale wyjątek:

„Po zjeździe są święta. Po świętach Nowy Rok. Po Nowym Roku Trzech Króli. Lubimy to wszystko, choć jesteśmy tak zwanymi komunistami”.

Zresztą Gierek i jego ekipa daleko odeszli od walki z religią, a szukając popularności, pogodzili się z dominującą pozycją Kościoła katolickiego. Władze konfliktów z duchowieństwem zdecydowanie unikały, chociaż zderzenie odmiennych światopoglądów przynosiło czasami humorystyczne efekty. Tejchma jako minister kultury zamówił kiedyś u sędziwej artystki wiejskiej obraz przedstawiający Włodzimierza Lenina. Twórczość ludową władza musiała przecież popierać:

„Jedną ze starych malarek poproszona została o namalowanie czegoś na temat Lenina. Nie wiedziała, o co chodzi. Po wyjaśnieniu zrozumiała, że chodzi o dobrego człowieka, i namalowała Lenina modlącego się do Matki Boskiej”.



Rozdział II. Ulubienica Stalina



Wanda Wasilewska w Sielcach nad Oką, po jej prawej stronie Zygmunt Berling (1943 r.)

„Byłam nieprzytomna, robiło mi się słabo. Zdawało mi się, że włosy podnoszą mi się na głowie, że jestem w płomieniach. Przeżyłam chwile takiego szczęścia, jakie się musi mieć w ekstazie. Miałam wrażenie, że jestem słaba, bo cały mój dziki zapach oddałam ludziom. Czułam, jak się ze mnie coś wydziela, jak ogień. To było cudowne”.

PRAWDY I LEGENDY O WANDZIE WASILEWSKIEJ

Zapewne o żadnej kobiecie zaliczanej do elity władzy wczesnego PRL nie krążyło tyle sprzecznych informacji, co o Wandzie Wasilewskiej. Opowiadano o niej różne historie, a rzeczywiste wydarzenia mieszały się z propagandą i pomówieniami. Zawsze miała i do dzisiaj ma zajadłych przeciwników, zarzucających jej zdradę i reprezentowanie sowieckiej racji stanu. Prawda jest jednak bardziej skomplikowana,

a rolą historyka jest przedstawianie faktów. Ocena natomiast należy wyłącznie do czytelników.

Jej biografia zawiera przekłamania, których autorami byli zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy przewodniczącej Związku Patriotów Polskich. Nie bez winy pozostawała również sama zainteresowana, bez skrupułów ubarwiająca własny życiorys. Zmiany w nim miały jednak podobny cel, bez względu na orientację polityczną autorów. Miały ją przedstawić jako osobę, która sprawie komunizmu i sowietyzacji Polski poświęciła życie. Historii nie można jednak opisywać wyłącznie w skrajnych barwach, a ta działaczka wymyka się jednoznacznej ocenie.

Urodziła się w styczniu 1905 r. w Krakowie, była córką Leona Wasilewskiego i Wandy Zieleniewskiej. Wbrew obiegowej opinii jej ojcem chrzestnym nie był Józef Piłsudski, a do chrztu podawał ją Andrzej Strug. Uroczystość odbyła się zresztą dopiero w 1918 r., kiedy Wanda miała trzynaście lat. Rodzice należeli do Polskiej Partii Socjalistycznej, a w pierwszym rządzie odrodzonej Polski Leon Wasilewski otrzymał tekę ministra spraw zagranicznych. Następnie pełnił funkcję posła w Estonii, wziął również udział w rokowaniach w Rydze kończących wojnę polsko-bolszewicką. Jako zwolennik federacyjnych koncepcji Piłsudskiego proponował wówczas włączenie w granice Polski Mińska.

Drogi Wasilewskiego i Komendanta rozeszły się po przewrocie majowym – ojciec Wandy pozostał wierny PPS i lewicowej ideologii. Na zawsze jednak zachował dla Marszałka podziw i uznanie, czego dowodem była książka *Piłsudski jakim go znałem*.

Intrygującym epizodem biografii Wasilewskiego jest jego zaangażowanie w działalność prometejczyków. Ten zapomniany już ruch intelektualny i polityczny stawiał sobie za cel destrukcję ZSRR od wewnątrz. Komunistyczne imperium miało ulec zagładzie wtedy, gdy narody zniewolone przez bolszewików ogłosiłyby niepodległość. Historia bywa jednak przewrotna, Leon Wasilewski dążył do zniszczenia ZSRR, natomiast jego córka stała się z czasem gorliwą zwolenniczką włączenia Polski w skład sowieckiego imperium.

Wanda rozpoczęła działalność w PPS wcześniej, w rodzinnym domu poznała zresztą najważniejszych liderów partii. Była ona stronnictwem lewicowym, jednak w czasach II Rzeczypospolitej nie miała nic wspólnego z komunizmem czy Związkiem Radzieckim. Liderzy partii stali na gruncie polskiego patriotyzmu, uważając Sowietów za największych wrogów niepodległości kraju.

Podobne poglądy reprezentowała młoda Wasilewska, chociaż jej radzieccy biografowie bez skrupułów jej życiorys fałszowali. Z lubością opisywano niedolę dziewczynki podczas I wojny światowej, kiedy to wraz z babką musiała, rzekomo z głodu, opuścić rodzinny Kraków. Dziesięcioletnia dziewczynka uciekła na wieś i tam „pracowała w polu i w ogrodzie, pasła bydło”. Polskie opisy nie zawierały podobnych rewelacji, zbyt wielu ludzi pamiętało rodzinę Wasilewskich.

Nie wytrzymuje również krytyki rzekome rozczarowanie Wasilewskiej odrodzoną

ojczyznę. W 1918 r. liczyła niewiele ponad trzynaście lat i trudno uwierzyć, aby na stosunki społeczno-polityczne w kraju patrzyła realnie. Przez długie lata zresztą nic nie wskazywało na to, że zbliży się do komunistów. Komunistyczna Partia Polski wegetowała na obrzeżach polityki, a po wojnie z bolszewikami jej członków uznawano za agentów Kremla. Co było zgodne z prawdą, albowiem działacze KPP marzyli nie tylko o rewolucji społecznej, ale również o włączeniu naszego kraju do Republiki Rad.

ROMAN SZYMAŃSKI

W 1923 r. Wanda rozpoczęła studia na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kilka lat później obroniła doktorat, a podczas nauki wstąpiła w szeregi Sekcji Akademickiej PPS.

„Żadnych inklinacji – pisał Adam Ciołkosz – w kierunku komunizmu czy Rosji Sowieckiej młoda Wasilewska nie miała. Gdy w 1923 r. na zjeździe Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej komuniści dokonali rozłamu i założyli »Życie« – nie miała wątpliwości. Trzymała się PPS-owców”.

W tym czasie poznała studenta matematyki, Romana Szymańskiego. Był synem robotnika kolejowego z Tuchowa. Uważano go za „człowieka przemiłego, o niewyczerpanych zasobach pogody i wesołości”. Posiadał również bardzo ważną dla działalności partyjnej cechę – był niezwykle towarzyski i komunikatywny, dysponował także „nieprzebraną znajomością różnych pieśni ludowych, robotniczych, żołnierskich”.

Szymański studiował z problemami, musiał bowiem jednocześnie zarabiać na życie. Nie przeszkadzało mu to jednak w działalności w PPS, uznawano go za „dobrego mówcę, mającego wielki wpływ na młodzież”.

Wasilewska wyszła za niego, małżeństwo uchodziło za udane, a Roman był chyba jedynym mężem dorównującym jej intelektualnie. Na świat przyszła córka, Ewa. Niestety w 1931 r. wydarzyło się nieszczęście. Mąż zachorował na tyfus i zmarł, a jego następcy byli już ludźmi zupełnie innej kategorii.

W późniejszych latach pierwszego męża Wanda wykreśliła z życiorysu niemal całkowicie. Uznała go za kogoś zbędnego, zapewne ze względu na jego socjalistyczną działalność. Człowiek, który nie zdążył nawrócić się na komunizm, nie był jej potrzebny, i nawet córka używała nazwiska matki.

Po jego śmierci zmieniła oczekiwania wobec mężczyzn, szukała partnerów, nad którymi mogła górować umysłowo.

„Było coś nienormalnego w jej dobieraniu sobie mężczyzn – uważał Adam Ciołkosz – musiała mieć mężczyzn niedorastających do niej intelektualnie. Sama zwierzała się, że potrafi kochać tylko mężczyzn niżej od niej stojących. Była do nich przywiązana i o nich zazdrosna, miała w tym zakresie »instynkt posiadacza«. Kochała ich na swój sposób. Byli nieodzowni, ale nie byli najważniejsi w jej życiu”.

Inna sprawa, że nigdy właściwie nie była sama, zawsze był ktoś u jej boku.

Zapewne nie bez powodu określano ją jako kobietę „łasą na mężczyzn”...

OBLICZE DNIA

Kolejny partner również pochodził ze środowisk PPS, ale zdecydowanie odróżniał się od poprzednika. Marian Bogatko był robotnikiem murarskim, a w partii przepowiadano mu poważną karierę. Poznali się w romantycznych okolicznościach: podczas spływu kajakowego Bogatko uratował Wandzie życie.

„Było to jesienią 1931 r. – wspominała Zofia Woźnicka, młodsza siostra aktywistki. – Dostali się w niebezpieczne miejsce pod Tyńcem, kajak się przewrócił i Wanda, dość słabo pływająca, zaczęła tonąć. Marian z narażeniem własnego życia wyratował ją z opresji. Było to dla nich wielkie przeżycie”.

Zamieszkali razem, ale nie wzięli ślubu, uważając formalne więzy za „tchórzowskie ustępstwo plotkarzom”. Wasilewska sportretowała partnera w swojej pierwszej powieści (*Oblicze dnia*), przyznając, że Anatol, główny bohater utworu, był „bezwstydnie wzorowany na Marianie”.

„[...] fantastyczny atleta, piękny rzeczywiście chłopak – opisywał Bogatkę Aleksander Wat – do tańca i do różańca. Bardzo inteligentny, bystry, z poczuciem humoru, szalenie wesoły, silny chłop”.

Krytycy przyjęli powieść z mieszanymi uczuciami, autorce zarzucono spłaszczanie psychologii postaci. Bojownicy o wolność społeczną byli piękni i szlachetni, natomiast ich antagoniści reprezentowali najgorsze cechy. To miało zresztą pozostać charakterystyczną cechą jej twórczości: na kartach swoich utworów przedstawiała świat wyłącznie w białoczarnych barwach.

Powieściowy debiut działaczki wzbudził czujność cenzury, wprawdzie wcześniej *Oblicze dnia* drukowano bez skreśleń w lewicowym „Naprzodzie”, ale edycja książkowa była czymś znacznie poważniejszym. Wstrzymano druk utworu, ale przydatne okazały się znajomości ojca Wandy. Towarzysz Leon miał swoje wpływy i kontakty, w efekcie okrojona o zakwestionowane fragmenty powieść ukazała się na rynku. A niebawem jej przekład wydano w ZSRR (w nakładzie dziesięciu tysięcy egzemplarzy) i władze sowieckie zwróciły na pisarkę uwagę.

Wykorzystywała wpływy ojca, ale coraz bardziej różnili się poglądami. Podobno, aby ostatecznie nie zrywać kontaktów, zaprzestali dyskusji politycznych, chociaż należeli do tej samej partii! Podczas posiedzeń Rady Naczelnej PPS zwracała się do ojca „towarzyszu Wasilewski”, a w trakcie publicznych spotkań nie odzywali się do siebie. Leon otaczał ją jednak dyskretną ochroną; powszechnie znana była jako córka zasłużonego działacza PPS.

Mimo to ojciec nie wszystko mógł załatwić. Wanda pracowała w krakowskiej szkole średniej, ale władze placówki uznały, że lewicująca nauczycielka jest osobą niepożądaną. Nie przedłużono umowy na kolejny rok i znalazła się bez pracy.

Problemy miał również Bogatko. Trwał wielki kryzys, a on był jednym z organizatorów strajku krakowskich robotników budowlanych. A kto w trudnych czasach chciałby zatrudnić kłopotliwego pracownika? W efekcie oboje przenieśli się do Warszawy.

Po raz kolejny przydały się koneksje towarzysza Leona i Wasilewska znalazła zatrudnienie w Dziale Wydawniczym Związku Nauczycielstwa Polskiego. Pracowała w redakcji „Płomyka” i „Płomyczka”, nazwisko ojca otwierało jednak wiele drzwi, a Wanda nie miała skrupułów, żeby tego nie wykorzystywać.

Poznała wówczas kobietę, która z czasem stała się jej najbliższą przyjaciółką. Janina Broniewska, żona rewolucyjnego poety, również pracowała w ZNP i panie wyjątkowo przypadły sobie do gustu. Broniewska miała od Wandy radykalniejsze poglądy i wywierała na koleżankę znaczny wpływ.

Problemy sprawiał natomiast Bogatko. W stolicy nie powrócił już do zawodu, odnajdując się w roli mężczyzny lewicowej pisarki i publicystki.

„Bogatko zdeklasował się – wspominał Ciołkosz – i w ogóle przestał pracować. Zajmował się domem, asystował swej żonie w środowiskach lewicy literackiej, w pochodach 1 Maja chodził z grupą literatów i dziennikarzy, nie z robotnikami budowlanymi; przeszedł na mieszczański sposób życia i w niczym już nie zapowiadał sobą Anatola – płomień i miecz rewolucji”.

Wasilewska została członkiem Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom i rozpoczęła współpracę z pisemkami komunistycznymi. Jedno z nich („Oblicze dnia”) wzięło nawet nazwę od jej powieści. W marcu 1936 r. wywołała głośny skandal związany z wydaniem numeru „Płomyka” poświęconego Związkowi Radzieckiemu. W kolejnych numerach przedstawiano różne kraje świata, ale tym razem tematyka okazała się wyjątkowo kontrowersyjna. Wandzie zarzucono agitację komunistyczną, w Sejmie zaatakował ją premier Felicjan Sławoj Składkowski, krytykowała endecka prasa. Wydanie skonfiskowano, a działalność zarządu ZNP zawieszono, wprowadzając kuratora. Nauczyciele odpowiedzieli jednodniowym strajkiem, urządzono również pochód na Belweder, wręczając petycję wdowie po Piłsudskim. Ale Wanda straciła pracę.

W tym okresie nie była to jej jedyna ekstrawagancja. Dwa miesiące później współorganizowała Kongres Pracowników Kultury we Lwowie. Założenia były szlachetne – walka intelektualistów z narastającym zagrożeniem ze strony faszyzmu, ale w praktyce organizatorzy realizowali polecenia z Moskwy. Nie wszyscy zdawali sobie z tego sprawę, bowiem obok zadeklarowanych zwolenników Kremla w obradach wzięli udział inteligenci niezwiązani z komunistami, a Maria Dąbrowska i Leon Schiller przysłali listy. Nie zaproszono jednak Juliana Tuwima, Antoniego Słonimskiego czy Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

Organizatorzy miejsce obrad wybrali dobrze. Lwów był silnym ośrodkiem agitacji komunistycznej, niebawem zresztą posiedzenia zdominowali agenci moskiewscy.

Wznoszono okrzyki na cześć „czerwonego Lwowa”, na zakończenie odśpiewano *Międzynarodówkę* i zapowiedziano bliskie spotkanie w „czerwonej Warszawie”.

„Można więc – ironizował Słonimski – w gmachu teatru miejskiego we Lwowie, za pozwoleniem władz polskich, protestować przeciw »obozom koncentracyjnym« i »brutalnemu terrorowi politycznemu«, ale nie warto nawet wspomnieć, że w Sowietach są też »obozy koncentracyjne« i »brutalny terror polityczny«. Jeśli jedną z zasadniczych postaw kultury ma być tolerancja i wolność, zjazd lwowski był dość lichą i przykrą parodią”.

W tym czasie Wanda była już żoną Bogatki, małżeństwo zawarli, starając się o wizę na wyjazd do ZSRR. Pobrali się w obrządku kalwińskim, nie ukrywając przed pastorem, że to wyłącznie formalność.

„Gdy poprosił o jakieś oświadczenie charakteru religijnego – wspominała Wasilewska – a nam bardzo się spieszyło, rozłościł się i w końcu zirytowany zapytał: nie rozumiem, o co państwu chodzi – o ślub czy o papiery? Odpowiedziałam, że o papierek. Wtedy zrezygnował ze wszystkiego, był na nas śmiertelnie obrażony, ale dokument ślubu nam wydał, a całą ceremonię ograniczył do jakichś skróconych obrzędów”.

Starania o wizę popierał Leon Wasilewski, uważając, że podróż po kraju realnego komunizmu pozbawi córkę złudzeń. Niestety, tym razem jego wpływy nie wystarczyły, chociaż z perspektywy lat wydaje się, że jej nic już nie mogło zatrzymać. Pozostawała odporna na argumenty, usuwając ze świadomości wszystko, co do jej wizji świata nie pasowało. Nawet jeżeli oznaczało to ignorowanie zbrodni na milionach ludzi. A ojciec niebawem zmarł i nie było już żadnego człowieka, z którego zdaniem się liczyła.

Do Komunistycznej Partii Polski wprawdzie nie wstąpiła, ale nawiązała bliżej nieokreślone kontakty z ambasadą radziecką.

„W 1936 r. – wspominała po latach – było u mnie krucho z forszą, kilka razy ambasada pomagała mi. To się nazywało, że dają honoraria za przekłady moich książek”.

Sowieci nie zwykli przejmować się takimi drobiazgami jak prawa autorskie, ale Wanda nie przeszła jeszcze na żołąd moskiewski. Starła się wierzyć, że Rosjanie wypłacają jej honoraria, chociaż w rzeczywistości powoli przygotowywali sobie grunt na przyszłość.

Pieniądze od Sowietów były tym ważniejsze, że w ostatnich latach przed wybuchem wojny Wasilewska utrzymywała się wyłącznie z pióra. Polskie nakłady jej książek były jednak niewielkie, powszechnie oceniano, że nie ma większego talentu. Natomiast edycje za wschodnią granicą robiły wrażenie.

Realizowała się również w pracy społecznej i na tym polu miała faktyczne osiągnięcia. Była pedagogiem z zamiłowania, a pomoc potrzebującym wpisywała się w jej lewicową ideologię. Poza tym naprawdę lubiła dzieci.

„Przyjechała z Aleksandrem Fordem do Miedzeszyna – opowiadał Marek Edelman – do sanatorium imienia Medema, żeby kręcić film o sanatorium. Były tam dzieci strajkujących górników i ona nadzwyczajnie potrafiła się nimi zająć. Była naprawdę

znakomita, nikt, kto miał z nią styczność, zwłaszcza z jej działalnością społeczną, nie mówił o niej źle”.

Zdecydowanie gorsze zdanie mieli o niej natomiast koledzy z PPS. Przepadła w kolejnych wyborach do Rady Naczelnej i nie mogła odnaleźć własnej drogi. Do KPP nie mogła już wstąpić – na polecenie Kremla partia komunistyczna została rozwiązana, a jej przywódcy rozstrzelani w ZSRR. Niebawem jednak wszystko zmienić miała wojna.

W SOWIECKIM LWOWIE

Po niemieckiej agresji Wasilewska, podobnie jak setki tysięcy Polaków, ruszyła na wschód. Zarzucano jej, że planowała ucieczkę do Związku Radzieckiego, chociaż zapewne po prostu nie chciała wpaść w ręce Niemców. Osobiście jednak na oskarżenia zasłużyła, pisząc, że pragnęła się schronić w „ojczyźnie proletariatu”, ale to Związek Radziecki sam przyszedł do niej. W ten sposób skwitowała sowiecką agresję z 17 września 1939 r.

Znajdowała się zresztą na specjalnych listach NKWD, wobec „czołowej pisarki lewicowej” Sowietów mieli sprecyzowane plany. Nazwisko jej figurowało obok innych literatów uznanych za przydatnych, wśród których byli również Julian Tuwim i Władysław Broniewski. Kremlowscy decydenci nie czekali bezczynnie, radio sowieckie ogłaszało apele, wytypowane osoby wzywając po nazwisku. Do Wasilewskiej dotarło wezwanie i zdecydowała się na wyjazd do Lwowa.

W komunistycznej ideologii ostatecznie utwierdziła ją katastrofa wrześniowa. Uznała, że pomyślność Polakom zapewnić może wyłącznie „ojczyzna proletariatu”, łącząc społeczne i narodowe wyzwolenie. Od tej pory miała związać się na dobre i złe ze Związkiem Radzieckim, nie zwracając uwagi na reakcje otoczenia. A swoim zachowaniem potrafiła wzbudzić nawet starych komunistów.

Krakowski poeta Jan Kurek znalazł się w grupie literatów udających się wraz z Wasilewską i Bogatką do Lwowa. Na dworcu w Chełmie Lubelskim był świadkiem wstrząsającej sceny:

„Otoczona ścisłą strażą żołnierzy radzieckich z karabinami stała w gorącym słońcu września wielka grupa oficerów polskich z rozpiętymi bluzami, bez pasów, bez dystynkcji, ze zdartymi wyłogami; było ich, jak pamiętam – chyba z dwustu ludzi. Próbowali się oni porozumieć z obserwatorami z zewnątrz wykrzykując w głos adresy, nazwiska, prośby o wodę, apele o zawiadomienie najbliższych itd.”.

W pobliżu oczekiwali na pociąg literaci, a wszystkim zarządzała Wanda. To ona rozmawiała z miejscową delegaturą Armii Czerwonej w Chełmie, przejmując na siebie rolę nieformalnego przewodnika.

„Słyszając i widząc – kontynuował Kurek – prośby o wodę ze strony aresztowanych oficerów padających ze zmęczenia – jak dowiedzieliśmy się, stali oni na dworcu od rana przez kilka godzin w oczekiwaniu na transport, który miał ich zawieźć w głąb Rosji – poprosiliśmy wspólnie [...] Wasilewską, aby porozumiała się z komendantem eskorty

radzieckiej celem podania wody spragnionym aresztantom. [...] na naszą prośbę Wanda [...] – koleżanka nasza przecież – uniosła się gniewem, jej długa, pociągła twarz skrzywiła się z zaciętym grymasem; wskazując na aresztowanych oficerów wykrzyknęła: – Wody dla nich? Nigdy nie posunę się do tego. To swołocz! I z nienawiścią w oczach odmówiła interwencji u radzieckiego komendanta. Ten incydent wzbudził u nas wszystkich odruch niesmaku; nawet nie kryli się z oburzeniem ci z nas, którzy byli komunistami od lat”.

We Lwowie Sowietci rozgrywali swoją partię umiejętnie. Wypłacili Wasilewskiej tantiemy za książki wydane w ZSRR, a każdy pisarz lubi być doceniany. W sowieckiej prasie widziała pochlebne recenzje swoich publikacji, dowiedziała się, że jej twórczość wysoko cenił Stalin. Zrobiło to na niej kolosalne wrażenie.

Uznała, że znalazła się w odpowiednim miejscu we właściwym czasie. Nigdy nie potrafiła działać bez osobistego zaangażowania, we wszystko, co robiła, wkładała całą duszę. Niebawem Sowietom za ich zaufanie odpłaciła.

„Czekałem – wspominał Nikita Chruszczow – by wraz z nią rozpocząć pracę nad zorganizowaniem polskiej inteligencji, którą chcieliśmy powstrzymać od działalności antysowieckiej, uczynić z niej sojuszników. O pakcie Ribbentrop- Mołotow rozmawiałem z nią nie ja, lecz Korniejczuk i Mykoła Bażan. Przez nich tworzyłem przyczółki naszej propagandy. Z łatwością porozumieliśmy się we wszystkich kwestiach. Zrozumiała, w jakich warunkach podpisaliśmy pakt z Niemcami i dlaczego nasze wojska zajęły wschodnie rejony Polski”.

Pisała do „Czerwonego Sztandaru” (polskojęzycznej gazety wydawanej przez Sowietów we Lwowie), przemawiała na wiecach, a jej entuzjazm porównywano do egzaltacji świętej Teresy. Obserwatorzy zauważali, iż wprawdzie „trudno było o niej powiedzieć, że była ładna”, ale podczas publicznych wystąpień „cudownie lśniły jej oczy” i „piękniała pod wpływem zapału, uniesienia, natchnienia”. Było już zbyt późno, aby wykorzystać jej osobę w wyborach do nowych władz, ale Wasilewska agitowała i zbierała podpisy pod petycją w sprawie przyłączenia Ukrainy Zachodniej do Związku Radzieckiego. Przestała uważać się za Polkę, teraz czuła się obywatelką ojczyzny proletariatu.

„Nasz ZSRR to prawdziwy kraj młodości – mówiła na spotkaniu z robotnikami. – W przełomowym dniu 17 września najwięcej zyskała młodzież, której teraz dane jest przeżywać młodość w radzieckich warunkach”.

Zachowywała się jak rasowa kolaborantka, ale warto pamiętać, że to jej interwencja zdecydowała o zaniechaniu całkowitej ukrainizacji lwowskiego uniwersytetu. Chociaż zmieniono patrona i program, to część przedwojennej kadry pozostała na uczelni. Na kilku katedrach utrzymano również polski język wykładowy.

Wanda nie odmówiła oczywiście podpisu pod oświadczeniem *Pisarze polscy witają zjednoczenie Ukrainy*, opublikowanym w „Czerwonym Sztandarze”. Jego autorzy ogłosili, że dzięki wcieleniu polskich Kresów do ZSRR otworzyły się dla polskich literatów „podwoje wielkiej sztuki socjalistycznej, sztuki szczerze służącej kulturalnym

i moralnym ideałom ludzkości”. Podpisali je także: Władysław Broniewski, Tadeusz Boy-Żeleński, Stanisław Jerzy Lec, Jerzy Borejsza, Leon Pasternak, Aleksander Wat i Adam Ważyk. Strach przed NKWD zrobił swoje, brakowało chętnych do odmowy.

Sześćdziesięcioletni Boy-Żeleński tłumaczył, „że niczego już nie oczekuje, ale wie, co to są Sowiety”. Miał nadzieję jednak, iż dzięki podpisowi „dadzą mu spokojnie żyć tu, w tym Lwowie”. Niebawem doszedł jednak do wniosku, że to, co dzieje się nad Pełwią, to „najstraszliwsza niewola myśli, jaką znają dzieje”.

Wasilewska nie miała podobnych wątpliwości i na co dzień przejawiała zapał godny neofity. Odbyla podróż po radzieckiej Ukrainie, co wprawiło ją w prawdziwą ekstazę. Szczególny zaś zachwyty wzbudziła w niej wizyta w Kijowie.

„Opowiadała – wspominał Ciołkosz – że miała możliwość swobodnego poruszania się po mieście, wchodziła niezapowiadana do mieszkań, rozmawiała bez przeszkód z ludźmi – wszyscy są szczęśliwi, wdzięczni za lepsze, piękniejsze życie. [...] Na zakończenie rozmowy zapewniła mnie, że Armia Czerwona na wiosnę wejdzie do Warszawy. Obecny przy rozmowie Bogatko poprawił żonę: »Może nie na wiosnę, ale na przyszłą jesień – na pewno«. Nie wypytywałem skąd ta pewność. Wystarczyło mi stwierdzenie, że mam do czynienia z człowiekiem, który znalazł swe miejsce w rzeczywistości sowieckiej i był z tego powodu szczęśliwy. Wasilewska rzeczywiście promieniowała zadowoleniem i radością. Cała też była przejęta swym nowym życiem”.

„Czerwony Sztandar” to było jednak dla Wandy zbyt mało. Pod jej redakcją zadebiutowały „Nowe Widnokreśli” – oficjalny organ Związku Pisarzy Radzieckich. Do współpracy zaproszono nawet Brunona Schulza, chociaż jego proza daleko odbiegała od standardów socrealizmu. I faktycznie, opowiadanie o synu szewca, który zamienił się w taboret, zostało przez redakcję odrzucone...

ZABÓJSTWO MARIANA BOGATKI

Wasilewska promieniowała zapałem, natomiast coraz większe obiekcje miał jej mąż. Co prawda intelektem Wandzie nie dorównywał, ale nie był równie łatwowierny. Widział, jak podczas podróży po Ukrainie Sowietami żonę manipulowali, odpowiednio dobierając ludzi i miejsca. A radzieckie metody zraziły go całkowicie do „kraju sprawiedliwości społecznej”. Podobne zdanie miał Broniewski, który nigdy nie zapomniał, że jest Polakiem. Poeta odmówił wejścia w skład redakcji „Czerwonego Sztandaru” i obaj panowie spędzali razem czas przy wódce. Pod wpływem procentów Broniewski recytował swoje wiersze, nie zawsze prawomyślne wobec nowego ustroju. Nic dziwnego, że szybko znaleźli się pod ścisłą inwigilacją NKWD.

Bogatko i Broniewski mogli nadużywać alkoholu, ale wódka nie przesłaniała im zdolności realnego widzenia. Sowietami szermując hasłami ideologicznymi, przystąpili do brutalnego wyniszczania polskiego żywiołu na Kresach. Jeszcze w listopadzie 1939 r. mieszkańcom okupowanych terenów przymusowo nadano obywatelstwo ZSRR

i przystąpiono do parcelacji ziemi uprawnej. Ale głównym zadaniem bolszewików stała się eksterminacja polskich elit. Aresztowano członków władz, w więzieniach znaleźli się byli premierzy (Aleksander Prystor, Leon Kozłowski i Leopold Skulski), ministrowie, wielu posłów i senatorów. Oskarżono ich o kontrrewolucję, a nawet o udział w wojnie z 1920 r.! Następnie przystąpiono do systematycznego wyniszczania polskiego żywiołu. W czterech turach deportowano około trzystu pięćdziesięciu tysięcy osób, osadzając ich w północnej Rosji i w Kazachstanie. Wywożono całe rodziny urzędników państwowych (do szczebla referenta), ziemian, kupców, dziennikarzy, harcerzy, studentów, członków różnych partii, a nawet filatelistów i znających esperanto.

Tymczasem Wasilewska zamieszkała w luksusowej willi, a dzięki rozmowom na szczeblu dyplomatycznym Niemcy zgodzili się na przyjazd do Lwowa jej najbliższej rodziny. Matka Wandy jednak odmówiła, stara pani Wasilewska nie miała zaufania do sowieckich porządków. W jej ślady poszedł również brat męża, a w tej sytuacji wolne miejsca zajęły Maria Zarębińska (ówczesna partnerka Broniewskiego) z córką.

Wbrew krążącym przez lata pogłoskom Wasilewska nie przyjechała osobiście po rodzinę do Warszawy i nie pokazywała się w stolicy w samochodzie gestapo. Nieprawdziwa jest również informacja, iż jej rodzina przyjechała do Lwowa specjalnym pociągiem wraz z wyposażeniem warszawskiego mieszkania. Rzeczywistość była bardziej prozaiczna: za pięćdziesięciu Polaków Sowieci wydali taką samą liczbę Niemców, a wymiana odbyła się na ówczesnej granicy. Wanda nie musiała zresztą ściągać mebli z Warszawy, we Lwowie żyła w zdecydowanie lepszych warunkach niż przed wojną.

Przyjazd najbliższych niewiele natomiast zmienił w życiu Broniewskiego. Nadal wlewał w siebie ogromne ilości trunków i sprawiał kłopoty. Najbliżsi obawiali się o niego, chociaż jego problemy z alkoholem trwały już od lat. Zarębińska mawiała jeszcze przed wojną, że przegrywa rywalizację o miejsce w jego sercu z „madame czystą wyborową”. NKWD nie znało się jednak na żartach i we Lwowie dojrzywał plan pozbycia się wszystkich niewygodnych literatów, z Broniewskim na czele.

W styczniu 1940 r. Sowieci starannie przygotowali prowokację. Po wieczorze autorskim Leona Pasternaka kilkanaście osób udało się do restauracji Aronsona, inni pojawili się tam na specjalne zaproszenie. Sprowokowano awanturę, natychmiast interweniowali żołnierze NKWD i uczestnicy burdy zostali zatrzymani. Wśród aresztowanych byli: Broniewski, Wat, Tadeusz Peiper i Anatol Stern. Kolejnych kilku pisarzy zatrzymano w domach, w tym Teodora Parnickiego.

Wasilewska dowiedziała się o całej sprawie z opóźnieniem, przebywała poza Lwowem, zresztą zapewne NKWD specjalnie wybrało termin prowokacji. Uznała jednak, że to zwykła pijacka awantura, i rozpoczęła starania o zwolnienie aresztowanych.

„Wiem z całą pewnością – wspominała Ola Watowa – że poszła do Chruszczowa, który wtedy był we Lwowie i – najprawdopodobniej – sprawą tą się zajmował. Poradził jej w dosadnym języku, aby nie wsadzała nosa między drzwi. Gdy zaraz następnego dnia po aresztowaniu Putrament zwołał zebranie, aby potępić aresztowanych i odciąć się od

nich, już mając przygotowane odpowiednie pismo z podpisami niektórych zostawionych na wolności pisarzy, sprzeciwiła się temu Wanda [...], tłumacząc, że to za wcześnie, że trzeba poczekać na sąd, na ujawnienie prawdy. Nie podpisała tego oświadczenia Putramenta. Nie podpisali go też Ważyk, Lec, Szemplińska”.

Poprosiła o interwencję Stalina, ale dyktator zachował się tak, jak miał to w zwyczaju. Zlecił sprawę Ławrientijowi Berii, a ten po pewnym czasie skontaktował się z Wasilewską i oświadczył, że nazwisk zatrzymanych nie ma w kartotekach, wobec czego nie można ich zwolnić. W tym czasie przewieziono ich już na moskiewską Łubiankę.

Wanda protestowała, ale objęła po Broniewskim stanowisko kierownika literackiego Teatru Polskiego we Lwowie. Wydaje się zresztą, że doszła do wniosku, iż cała sprawa prędzej czy później wyjaśni się i aresztowani powrócą do domów. Mniej złudzeń miał jej mąż, Bogatko już wcześniej szokował swoim zachowaniem, a teraz porzucił wszelką ostrożność.

„Wyobraź sobie – opowiadał Aleksander Wat – w knajpach pełno oficerstwa sowieckiego i ten Bogatko nie mówi, ale basem opowiada zaraz po tym wiecu inne rzeczy. To zdanie pamiętam na przykład: »Pamiętajcie, gdy pojedziecie do Kijowa, gdy przyjedziecie do Kijowa, gdy tylko pierwszy krok z wagonu, to cap – jedną ręką przycisnąć walizki, a drugą przytrzymać czapkę, bo wam zedrą z głowy”.

Bogatko zdecydował się na powrót do Warszawy, do czego Sowieci nie mogli dopuścić. Czasu było mało i wybrano najprostsze rozwiązanie.

Wieczorem 25 maja 1940 r. dwóch mężczyzn zadzwoniło do drzwi willi zajmowanej przez Wasilewską. Otworzył Bogatko, zapytano go po rosyjsku, czy Wanda jest w domu. Była, ale jej mąż nie miał ochoty nikogo wpuszczać do środka. Zresztą nie musiał, z bliska oddano do niego kilka strzałów i zmarł po przewiezieniu do szpitala.

Oficjalnie ogłoszono, że zamordowały go „bandy kontrrewolucyjne” (w domyśle: Polacy), potem uznano, iż zrobili to „ukraińscy nacjonaści”. Po latach Chruszczow przyznał się, że była to robota jego ludzi, ale twierdził, iż zaszła tragiczna pomyłka:

„To było przypadkowe zabójstwo, jak mi uczciwie wyznali. Byłem jednak wstrząśnięty. Mąż Wandy Lwowny należał do PPS, miał robotnicze korzenie, choć działał mniej aktywnie niż ona. Od razu zrodziło się pytanie: jak ta sprawa odbije się na stosunku Wasilewskiej do nas? Czy nie pomyśli, że usunęliśmy jej męża z jakichś powodów politycznych? Różne rzeczy mogą przyjść człowiekowi do głowy w następstwie takiej tragedii”.

Trudno powiedzieć, co żona Bogatki myślała, ale ostrzeżenie chyba było dla niej czytelne. Sowieci byli bezwzględni, a związki rodzinne nie miały dla nich znaczenia. Z obranej drogi jednak nie zamierzała zawrócić, a Chruszczow zadbał, aby szybko zapomniała o tragedii. W jej życiu pojawił ukraiński dramaturg, Aleksander Kornijczuk.

Kornijczuk pochodził z rodziny robotniczej, był literatem i członkiem partii bolszewickiej. Adam Ciołkosz uważał go za prymitywa, ale w zamian był bardzo przystojny „urodą kelnera, urodą taką bardzo lokajską”. Wąt zauważył, że zapewne „musiał się podobać bardzo Iwaszkiewiczowi”, albowiem jego aparycja była „pociągająca dla homoseksualisty”. Na polecenie Chruszczowa zaopiekował się Wasilewską, a znajomość niebawem przerodziła się w romans.

Kornijczuk dobrze wywiązał się z zadania, a Wanda nie straciła zapału. Została deputowaną do Rady Najwyższej ZSRR i dalej wygłaszała płomienne przemówienia. W rocznicę sowieckiej inwazji na Polskę powiedziała coś, czego w kraju nigdy jej nie zapomniano:

„W słowach najprostszych – opisywał »Czerwony Sztandar« – mówi Wasilewska o wielkim szczęściu, jakie dała nam nasza Czerwona Armia, o szczęściu wkroczenia na otwartą drogę, prowadzącą w górę, ku słońcu. W mocnych, męskich słowach wzywa słuchaczy, aby teraz, gdy mija rok wolnej pracy, dokonali uczciwego rozrachunku własnego sumienia i stwierdzili, czy zawsze pracowali i pracują z takim zapałem i poświęceniem, jakiego wymaga epokowe znaczenie naszych dni”.

Gdy świętowała rocznicę sowieckiej inwazji, kilkudziesięciu polskich literatów przyjęto do Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy. Skończyła się fikcja polskości, skończyły się marzenia o Lwowie jako „Piemoncie kulturalnym”. Polscy autorzy mieli zostać pisarzami imperium sowieckiego, a spotkania tej grupy nazywano złośliwie „sekcją kajakową”. Obowiązywał bowiem typowo sowiecki rytuał: wszyscy ciągle się kajali i przepraszaali za swoje winy.

Wasilewska nie musiała bić się w piersi, stała się Wandą Lwowną i dumna z sowieckiego obywatelstwa określała się jako „bywszaja Polka” (była Polka). Imponowała jej znajomość ze Stalinem, zapamiętała jego słowa wypowiedziane przy pierwszym spotkaniu:

„Powiedział mi, to zdanie doskonale pamiętam: chyba każdy rozumie, że wcześniej czy później my staniemy do walki z hitlerowcami i wtedy polskie kadry mogą odegrać dużą rolę”.

Nie wiadomo, o jakich kadrach mówił dyktator, gdyż po krwawych czystkach polskich komunistów nie przetrwało wielu, przeżyli wyłącznie ci, co siedzieli w polskich więzieniach. Słusznie uważano ich za „niedobitków, trzeci garnitur KPP-owskiej kadry”.

Sowieci zresztą nie zmienili metod działania i do łagrów wciąż wysyłano tysiące Polaków. Wasilewska wiedziała o wszystkim, ale uważała, że to konieczne koszty lub samowola funkcjonariuszy. Usiłowała pomagać znajomym zesłańcom, interweniując w ich sprawach lub wysyłając paczki. Była jednak przekonana, że przyszłość Związku Radzieckiego wymaga ofiar, a życie ludzkie wobec pomyślności światowej rewolucji nie ma znaczenia.

„Kiedy mnie wywieziono – wspominała Ola Watowa – dzięki Wasilewskiej przesłano mi kołdrę, którą kupiła mi Halina Górka. Bo paczek nie wolno było wysyłać do

Kazachstanu, dla aresztowanych. Takie pozwolenie mogła uzyskać tylko ona i zaofiarowała się, że mi, że mi tę kołdrę prześle. Kiedy napisałam do niej list z naszego miejsca zesłania o strasznych warunkach, w jakich musieliśmy tam żyć, to ona spowodowała, że przysłano z Moskwy komisję. Prawda, że nic się z tego powodu w naszym życiu nie zmieniło, komisję spito, obdarowano mięsem, ziarnem, sadłem baranim i odwieziono do pobliskiej Żarmy, najbliższej stacji kolejowej”.

Wanda należała już wówczas do partii bolszewickiej. Nie istniała już KPP, zresztą jako obywatelka radziecka uznała, że WKP(b) jest dla niej właściwym środowiskiem. Mówiła nawet, że „od spraw polskich odeszła i nic ją to nie obchodzi”, a polska kultura interesowała ją jedynie jako „część kultury radzieckiej”.

W sowieckim patriotyzmie utwierdził ją wybuch wojny z Niemcami. Na wiadomość o hitlerowskiej agresji urządziła we Lwowie happening w najlepszym rewolucyjnym stylu. Chodziła po ulicach miasta w czapce żołnierza wojsk pogranicza, potrząsała karabinem i wzywała do walki...

„Kwitła pokojem nasza ojczyzna – pisała w *Pieśni o ojczyźnie*. – Kiedy gorzała płomieniem wojny Europa, byliśmy dumni, że u nas spokojnie pracuje robotnik w fabryce i wysoko rośnie pszenica na polach. Śpiewaliśmy, że gdy zagrozi nam wraża siła, jak jeden mąż poderwiemy się do walki. Dziś przyszedł ów dzień. Runęła na nasze granice »błękitna lawina«”.

Zgłosiła się do Armii Czerwonej, mianowano ją komisarzem pułkowym, a po wprowadzeniu stopni wojskowych, pułkownikiem. Służyła jako korespondent wojenny, wspólnie z Kornijczukiem redagowała pismo dla partyzantów. Pisała broszury propagandowe (po polsku, rosyjskiego nigdy nie opanowała), drukowane w nakładach dochodzących do miliona egzemplarzy.

„Pamiętam Wasilewską – wspominał Leonid Nowiczenko – w czasie wojny ojczyźnianej. W ciężkich butach, w oficerskiej bluzie, przeszła liczne frontowe szlaki i wszędzie oczekiwano jej z niecierpliwością, jako jednego z najzarliwszych agitatorów tej świętej wojny”.

Była jednak zbyt potrzebna, aby nie zadbano o odrobinę komfortu. Oficerskie buty nie były przystosowane do damskiej nogi, ale dla Wandy Lwownej znaleziono rozwiązanie.

„Wanda z dumą paradowała w mundurze wojskowym – opisywał jej pobyt w Kijowie pisarz Mykoła Bażan. – Bryczesy leżały na niej dość przyzwoicie, gorzej było z butami. Później gdzieś jej uszyli inne – zgrabne, na miarę, ale wtedy na Chreszczytku, ociężałe włókła po asfalcie stopy w ogromnych buciorach z kirzy, pochyłona do przodu, jakby nogi nie mogły nadążyć za resztą tułowia”.

Ze wszystkich sił starała się wczuć w nową sytuację, przejmując zachowania właściwe dla rewolucjonistów. A jej maniery wprawiały w osłupienie nawet starych komunistów.

„Władysław Wolski opowiadał – pisał Stefan Kisielewski – że jak go zwolnili z obozu, to jechał tam ileś tygodni do Moskwy i wreszcie w Moskwie spotkał

»towarzyszkę Wasilewską« jak się wyrażał... No i poczęstował ją papierosem. Ale ona powiedziała: »Nie, towarzyszu, ja takich nie palę«. Wolski powiada: »Myślę sobie, to w takim razie jakie ona pali: amerykańskie ma, czy jakieś inne«... A ona wyjmując machorkę, skręca kawałek gazety, i podaje. To ja jej mówię: »Towarzysko, ja jestem stary komunista pochodzenia robotniczego, to ja nie muszę... to ja zapalę swojego«».

Odpalała jednego papierosa od drugiego, nie unikała również wódki – miała mocną głowę. Ale czy to nie wpisywało się w obraz proletariackiej działaczki?

RELACJE ZE STALINEM

„Stalin był człowiekiem, który czytał bardzo dużo powieści – opowiadał Aleksander Wat. – Czytał wszystko i nie miał smaku. Podobno rzeczywiście uważał Wandę Wasilewską za wielką pisarkę. Wpłynęła na niego, zdaje się, żeromszczyzna Wandy Wasilewskiej i ta jej powieść o Polesiu [*Ojczyzna*, wydana w 1937 r. – S.K.]”.

Podobno sowiecki dyktator uwierzył, że na polskich Kresach naprawdę brakowało nafty, zapalek i soli, dlatego po inwazji wysyłał tam specjalne transporty. Najwyraźniej miał większe zaufanie do prozy Wasilewskiej niż do własnego wywiadu...

Dla sowieckiego wodza słynna działaczka miała jeszcze jedną zaletę. Była córką polskiego socjalisty, ministra i współpracownika Piłsudskiego. A to stwarzało nieprawdopodobne możliwości propagandowe.

Kremłowski despota wyznaczył dla niej ważną rolę. Wprawdzie zawarł układ z rządem Władysława Sikorskiego, ale uważał to za stan przejściowy. Nie zamykał drogi polskim komunistom i w dniu przybycia premiera do Moskwy z oficjalną wizytą, w Saratowie odbył się mityng „polskich działaczy demokratycznych” i „wiec radiowy”. Wśród mówców znaleźli się Wasilewska i Kornijczuk (przemawiał po ukraińsku). A Wanda Lwowna wzywając Polaków do walki z Niemcami, wznosiła okrzyki na rzecz USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR, nie wspominając w ogóle o państwie polskim.

W Kujbyszewie reaktywowała „Nowe Widnokregi”, prezentując wręcz patologiczną nienawiść do polskiego rządu na emigracji. Sikorskiego piętnowała jako „tchórza, lękającego się haseł, które mogłyby podniecić walkę z Niemcami”. Zapewne zresztą nie były to jej własne pomysły, a sugestie Kornijczuka realizującego polecenia przełożonych. Przywódca ZSRR już wówczas miał dalekosiężne plany, a ona miała się stać ich ważnym elementem. Nie bez powodu jeden z wysokich oficerów NKWD mawiał, że „Wasilewską nie trzeba się przejmować. Kiedy będzie trzeba, [...] zrobi to, co jej każą”.

O jej pozycji wśród polskich komunistów decydował dostęp do Stalina. Jako jedyna z tego grona osobiście się z nim kontaktowała, miała nawet jego prywatny telefon. A on zaufania do niej nigdy nie ukrywał.

„Ta zażyłość – uważał Jakub Berman – jaka między nimi się wytworzyła, wymagała od Wandy dużo cywilnej odwagi, i ona ją miała. Większą może niż KPP-owcy, gdyż [...] nie była przyzwyczajona do ultra dyscypliny tkwiącej głęboko w polskich komunistach,

która ograniczała niekiedy swobodę ich wypowiedzi. Pozytywny stosunek Stalina do Wandy wpływał jednak – moim zdaniem – z jego poczucia realizmu. [...] był bardzo wyrachowany w swoich posunięciach i cenił ludzi, którzy byli mu potrzebni i przydatni”.

Jej kontakty z dyktatorem zrodziły wiele domysłów, podejrzewano ich nawet o romans, co nigdy nie zostało udowodnione. Autorem niektórych informacji był Włodzimierz Sokorski, wyjątkowy plotkarz, powtarzający często niesprawdzone i sensacyjne informacje. Według jednej z nich sowiecki przywódca miał osobiście stwierdzić, że Wanda Lwowa zawsze była dla niego kobietą, chociaż nic ich nie łączyło. Przy innej okazji późniejszy minister kultury PRL wspominał, że podczas spotkania polskich komunistów w obecności sowieckiego przywódcy, ten w pewnym momencie poprosił go na słowo. Kremłowski despota był tego dnia w wyjątkowo dobrym humorze i rzekomo miał zauważyć wspólną z Sokorskim cechę. Podobno oni jako jedyni w tym gronie nie „spali z towarzyszką Wandą”.

Plotki towarzysza Włodzimierza nie ograniczały się wyłącznie do członków Związku Patriotów Polskich. Wspominał również inną rozmowę na Kremlu:

„Stalin też mnie pytał: »Włodek, ty Wandu jebał?« Odpowiedziałem zgodnie z prawdą »Niet. Ona dla mnie sliszkom balszaja«. Na to Stalin: »Ja toże niet, nu ja mog sobie na eto pozwolić. No Berman jebał, Woroszyłow jebał, Mołotow jebał«”.

Prywatnie Sokorski uważał Wasilewską za „bardzo mało kobiecą”, której „jedyną miłością był Związek Radziecki”, a osobiście „nigdy nie lubił nawiedzonych dziewczyn”. Trudno dyskutować z podobnymi opiniami, co nie zmienia faktu, iż Wanda Lwowa faktycznie nowej ojczyźnie była całkowicie oddana.

JANINA BRONIEWSKA

Autorka lektur szkolnych z czasów PRL (*O człowieku, który się kulom nie kłaniał, Filip i jego załoga na kółkach*) została najbliższą i chyba jedyną przyjaciółką Wasilewskiej. Jej małżeństwo z Broniewskim rozpadło się jeszcze przed wojną, ale zachowali ze sobą przyzwoite relacje. Przez pewien czas mieszkali nawet ze swoimi nowymi partnerami po sąsiedzku w jednej kamienicy, a Janina zaprzyjaźniła się z Marią Zarębińską.

Pierwsze miesiące wojny Broniewska spędziła w okupowanym przez Sowietów Białymstoku. Następnie przeniosła się do Mińska, gdzie prowadziła polskojęzyczny dział „Sztandaru Wolności”. Współpracowała wówczas z Alfredem Lampe i Jakubem Bermanem, co warto zapamiętać.

Po niemieckim ataku zna ZSRR cała trójka ruszyła na wschód i Broniewska ostatecznie trafiła do sowchozu pod Kujbyszewem. Wiedziała o losie męża i okazywała wobec niego zadziwiająco lojalność. Nie negowała oskarżenia, ale całą winą obarczała przyjaciół Broniewskiego, uznając ich za prowokatorów. Odmówiła również wystąpienia o rozwód, chociaż z nowym partnerem miała już syna.

„Dokonanie takiej drobnej – tłumaczyła – i prostej formalności byłoby gorzej niż małżeńskim wiarołomstwem. Byłoby to wyrzeczeniem się wszystkiego, co nas łączyło całe życie. Solidarność, bezgraniczne zaufanie do uczciwości i żarliwość wspólnych przekonań nie pozwalały się rozwodzić z komunistą uwięzionym w radzieckim więzieniu”.

Wanda Lwowna o przyjaciółce nie zapomiała. Posyłała jej z frontu witaminy, a po amnestii dla Polaków w ZSRR wydestała ją z sowchozu. Wprawdzie porozumienie Sowietów z rządem Władysława Sikorskiego gwarantowało amnestię dla wszystkich Polaków (tych, którzy przeżyli), ale Beria zakazał zwalniania komunistów. Zesłanego do Kazachstanu Broniewskiego wypuszczono dopiero po osobistej interwencji Wasilewskiej, podobnie było z jego żoną. Janina wyjechała do Moskwy, gdzie weszła w skład redakcji „Nowych Widnokręgów”.

„Czepiam się Wandy – opisywała wspólny spacer po Moskwie. – Idziemy teraz zgodnie pod rękę. Wyglądamy na bardzo czułe małżeństwo. [...] ma krótko ostrzyżone włosy, papacchę, wojskowy szynel i odznaki pułkownika. Bardzo postawny i przystojny pułkownik”.

Podjezwano, że Broniewska wywierała znaczny wpływ na decyzje przyjaciółki. Trafnie ujął to Leon Kasman:

„Broniewska była totumfacką Wandy. Pomagała jej w codziennym urzędowaniu i na pewno coś doradzała. W sposób niewidoczny, ale prawdopodobnie bardzo skuteczny, przypuszczam, że nie w sprawach wielkiej polityki, ale raczej w personaliach. Dyktowała, kto się jej podoba, kogo nie lubi, jak to kobieta przy kobiecie, nieodstępna przyjaciółka, z dużymi wpływami”.

Janina okazała się pożyteczna również z czysto praktycznych względów, Wanda udając się na front, oddała jej w „depozyt” własną córkę. W efekcie Broniewska wychowywała trójkę dzieci: Ankę (córkę z Broniewskim), Stanisława (syna z Romualdem Gadońskim – ówczesnym partnerem) i Ewę Wasilewską.

ZWIĄZEK PATRIOTÓW POLSKICH

Gdy Janina odnajdywała się w sowieckich realiach, jej mąż (wciąż aktualny) postanowił wstąpić do armii Władysława Andersa. Dziewiętnaście miesięcy więzienia wyleczyło go ze złudzeń, a ukochana Maria Zarębińska już wcześniej powróciła do Warszawy. Broniewski został korespondentem wojennym, z armią polską ewakuował się na Bliski Wschód i wcale swoich upodobań nie zmienił.

„Wpadając na chwilę do naszego klubu – opisywał zachowanie poety w Iraku Włodzimierz Drzewieniecki – przeważnie już na rauszu, wciąż jeszcze szukał czegoś do wypicia. Nie znajdując trunku, raczył nas jakimś rymem. Oto jeden z nich: »Gdybym był księżycem, to skończył bym z picem, świeciłbym dwojako, trzeźwym i pijakom. Pijakom na całego, trzeźwym nie zupełnie«. Pogroziwszy nam palcem wysunął się z namiotu potykając się o kołki i wędrując dalej w poszukiwaniu alkoholowego towarzysza. Na szczęście była

pełnia księżycy”.

Ewakuacja armii Andersa okazała się katastrofą dla pozostałych w ZSRR Polaków. Przymusowo wręczano im sowieckie paszporty, szalała antypolska propaganda. Rządowi Sikorskiego zarzucano współpracę z Niemcami i mocarstwowe ambicje. Kornijczuk na łamach „Radińskiej Ukrainy” oskarżył londyńskie władze o dążenie do oparcia granic o Morze Czarne i Dniepr! Przy takich zarzutach chęć oderwania Lwowa od Ukraińskiej Republiki Radzieckiej wydawało się niewielkim problemem.

Tymczasem Wanda święciła literackie triumfy. Urlopowana z frontu, w ekspresowym tempie przygotowała powieść wojenną *Tęcza*. Wprawdzie nadal nie pisała po rosyjsku, ale książkę natychmiast przetłumaczono, a na jej podstawie nakręcono film. Autorka otrzymała Nagrodę Stalinowską, którą przekazała na produkcję samolotu o nazwie Warszawa...

W styczniu 1943 r. z Kujbyszewa Wasilewska i Lampe wysłali list do Mołotowa. Zaproponowali utworzenie centralnej organizacji koordynującej całokształt spraw polskich w ZSRR. Oczywiście głównym zadaniem centrali miała stać się walka z „reakcyjnymi siłami” polskiej emigracji.

Wątpliwe, aby pomysł narodził się w głowach dwójki polskich komunistów. Lampe wprawdzie był od Wandy bardziej doświadczony, ale doskonale wiedział, że podstawową zasadą zachowania życia w ZSRR był brak własnej inicjatywy. Projekt zapewne podsunął Kornijczuk na zlecenie Kremla.

Animatorzy projektu zostali wezwani do Moskwy, gdzie Stalin zaproponował im utworzenie Związku Patriotów Polskich. Pomimo niewielkiego oporu Wasilewskiej (uważała słowo „patriota” za skompromitowane), dyktator bez problemu przeforsował własne koncepcje. 1 marca 1943 r. oficjalnie powołano ZPP, a sześć tygodni później Niemcy ogłosili, że w Katyniu znaleziono zwłoki polskich oficerów. W stosunkach polsko-sowieckich zaczęła się nowa epoka.

WANDA LWOWNA

„[...] widziałem przed sobą – wspominał pierwsze spotkanie z Wasilewską Zygmunt Berling – wysoką, przystojną, masywną kobietę o męskiej sylwetce, raczej zaniedbaną niż schludną w mundurze, spodniach i kerzowych butach. Zwracały uwagę ręce: duże, męskie dłonie o długich, nienaturalnie w tył wygiętych pacach, bardzo ruchliwych, jakby czegoś szukających. [...] Dość niezwykle wrażenie wywołała ostra różnica w kolorze tęczówek oczu. Jedna z nich była brązowa, druga ciemnozielona. Może właśnie z tego powodu nie patrzyła mi w oczy w czasie rozmowy, ale tkwiła wzrokiem gdzieś poza moimi plecami”.

Berlingowi wydawała się Wasilewska „przystojna”, ale na temat jej urody przeważały opinie negatywne. Oglądając po latach zdjęcia, trudno nie oprzeć się refleksji, iż Wanda Lwowna zrobiła wiele, aby wyglądać jak najmniej korzystnie. Działaczce ruchu

robotniczego nie wypadało dbać o urodę, to był przecież przejaw burżuazyjnej dekadencji.

Aleksander Wat widział w niej „twardą, suchą, grubokostną kobietę o szerokiej, płaskiej twarzy, dużych i silnych oczach, która gestykulowała płomiennie”. W socrealistycznym stylu przedstawiała ją kolportowane w czasach Polski Ludowej wizerunki, a już jej podobizna na znaczku pocztowym z lat 80. ubiegłego stulecia zakrawała wręcz na sabotaż.

Podzielone były również opinie na temat umiejętności oratorskich aktywistki. Adam Ciołkosz uważał ją za kiepskiego mówcę, inni mieli lepsze zdanie. Zwracano uwagę na jej emocjonalne reakcje, dysponowała także niezwykle mocnym, donośnym głosem. Osobiście miałem okazję posłuchać zapisu dźwiękowego przemówienia Wasilewskiej do żołnierzy I dywizji piechoty w Sielcach i zgadzam się z jej opinią, że „miała głos jak trąba jerychońska”. A do tego lubiła publiczne wystąpienia, kontakt z ludźmi, obserwację ich reakcji.

„Byłam nieprzytomna, robiło mi się słabo – opisywała matce wystąpienie na wiecu robotniczym. – Zdawało mi się, że włosy podnoszą mi się na głowie, że jestem w płomieniach. Przeżyłam chwile takiego szczęścia, jakie się musi mieć w ekstazie. Miałam wrażenie, że jestem słaba, bo cały mój dziki zapach oddałam ludziom. Czułam, jak się ze mnie coś wydziela, jak ogień. To było cudowne”.

Nabierała doświadczenia, ale nigdy nie straciła spontaniczności, a o sprawach proletariatu zawsze mówiła z osobistym zaangażowaniem. Słuchaczom wydawała się płomienną oratorką, całym sercem i duszą wierzącą w to, co głosiła.

Oczywiście w sprawie Katynia zaakceptowała sowiecką wersję wydarzeń i bez oporu przyjęła teorię, iż mord dokonali hitlerowcy. Niebawem zresztą miała nawoływać do pomszczenia zbrodni:

„Kiedy idziecie na zachód, kiedy bijąc w pierś wroga przez zaciśnięte zęby mówicie sobie: za Warszawę, za Westerplatte, za Kutno – nie zapomnijcie dodać i tego: za Katyń!”

Tuż po wojnie, w Poznaniu ukazała się broszura Wasilewskiej o zbrodni katyńskiej, gdzie powołując się na relację bliżej nieznanymi świadków, opisała całą zgniliznę hitlerowskiej prowokacji. Tekst wydała Księgarnia Świętego Wojciecha i po latach możemy tylko domyślać się przyczyn, które zmusiły szacowne wydawnictwo do tego kroku.

„Emigracyjny rząd generała Sikorskiego – mówiła Wasilewska w przemówieniu radiowym w kwietniu 1943 r. – nie reprezentuje narodu polskiego. Ten rząd występował przeciwko zbrojnej walce narodu polskiego z niemieckim okupantem w Polsce, wyprowadził poza granice Związku Sowieckiego gotową do walki armię, która do tej pory nie bierze żadnego udziału w wojnie, prowadził wrogą wobec Związku Sowieckiego agitację starając się popsuć stosunki między sojusznikami, a wreszcie skompromitował się biorąc udział w zorganizowanej przez hitlerowców antysowieckiej propagandowej hecy lasu katyńskiego, rzekomego zastrzelenia przez organy sowieckie polskich oficerów, w rzeczywistości wymordowanych przez samych Niemców”.

Polacy związani z Sowietami potrzebowali logicznego wyjaśnienia przebiegu zbrodni. Sowiecką wersję wypadków przedstawił w swoich pamiętnikach Zygmunt Berling:

„Ostateczna decyzja rozwiązania obozu [w Kozielsku – S.K.] ważyła się prawdopodobnie dość długo i zapadła – jak to bywało – zbyt późno. [...] Znając ludzi i stosunki, łatwo mogę sobie wyobrazić jak wyglądał odwrót zaskoczonych, źle dowodzonych i miażdżonych przygniatająca przewaga wroga wojsk radzieckich. Tu nie wystarczało już bohaterstwo. Królowała improwizacja i pomysłowość. Kto miał czas i ochotę myśleć o obozie polskich oficerów w Katyniu? A jeżeli nawet ktoś myślał, to praktycznie rzecz biorąc, na myśleniu się skończyło. Były przecież tysiące spraw do załatwienia, spraw pilniejszych niż katyńska. W rezultacie obóz w Katyniu pozostawiono opatrności losu. Załoga wojsk NKWD – niewątpliwie najbardziej dyscyplinowanych – czekała i trzymała obóz do ostatniej chwili, aż wpadł w ręce Niemców. Gestapo dokonało straszliwego końca”.

Napisał to człowiek, który metody Sowietów poznał osobiście, były więzień Starobielska. Polski oficer, który ocalał wyłącznie z powodu współpracy z NKWD. Nie zamierzam jego słów oceniać, można jednak podejrzewać, że akceptacja sowieckiej wersji wydarzeń wymagała od Berlinga poważnych umysłowych akrobacji. Nikt bowiem nie mógł mieć wątpliwości dotyczących prawdziwych sprawców zbrodni.

Dla Wasilewskiej opinia Kremla była jednak święta. Nie miała zwyczaju polemizować ze Stalinem, nawet gdy sowiecki dyktator zrezygnował z pomysłu włączenia Polski w skład radzieckiego imperium. Polska miała zostać podporządkowana ZSRR, ale przy zachowaniu pozorów niezależności. A wyrażając zgodę na utworzenie zależnej partii pod niemiecką okupacją, dyktator polecił unikać komunistycznej frazeologii, podkreślając w zamian wątek narodowy.

„Partia komunistyczna odstrasza nie tylko obcych lecz także niektórych z tych, którzy z nami sympatyzują. Na aktualnym etapie [konieczna jest] walka o wyzwolenie narodowe”.

Kierownictwo ZPP nie ukrywało zaskoczenia, dotychczas dogmat Polski jako siedemnastej republiki (szesnastą była istniejąca w latach 1939–1956 efemeryczna Republika Karelo-Fińska) był niepodważalny. Za ojczyznę polskich komunistów uważano ZSRR, a Armię Czerwoną za własne wojsko. Z niedowierzaniem przyjęto decyzję o utworzeniu polskiej dywizji imienia Tadeusza Kościuszki.

„– Na chuj nam to potrzebne? – pytał Alfred Lampe – My mamy Armię Czerwoną i to nam wystarczy”.

Spotkania działaczy ZPP odbywały się z reguły w moskiewskim mieszkaniu Wandy Lwowny. Charakterystyczne, że zawsze podczas nich obecny był Kornijczuk (ówczesny wicekomisarz spraw zagranicznych). Oficjalnie pełnił tylko honory pana domu, ale w praktyce był politycznym kuratorem żony i jej przyjaciół. Niewiele się odzywał, robił kanapki i rozlewał wódkę, ale cały czas słuchał.

Berling zapraszany do działaczki, napisał wprost, że „wyraźnie zaznaczał się jakiś

postronny wpływ”, a spotkania przebiegały według ściśle określonych reguł.

„Zebrania odbywały się – wspominał – według jednego i tego samego schematu. Wasilewska wygłaszała referat zasadniczy, który po dodatkowych informacjach i wyjaśnieniach, był uchwalany jako wniosek całej grupy. [...] redakcję i wykonanie zapadłych decyzji brała na siebie [...] i jej dość liczny już sztab pomocników, dobierany spośród komunistów i aktywistów przybywających do Moskwy. Żadnych protokołów z posiedzeń nie prowadzono. [...] uważała tę biurokrację – jak się wyrażała – za zbędną”.

Przychodziła „z gotowymi koncepcjami, których autorką nie była”. Jej rola w praktyce ograniczała się do literackiego opracowania założeń, z czym jako pisarka nie miała większych problemów.

Dowódcą formowanej dywizji został Berling. Pułkownik nie ukrywał ambicji politycznych, co Stalinowi było na rękę. Radziecki dyktator zawsze umiejętnie stosował zasadę „dziel i rządź” i przydatna mu była opozycja dla wpływów grupy Wasilewskiej.

Dywizję formowano w Sielcach nad Oką, jednostka miała nawiązywać do polskich tradycji. Mundury, odznaki i stopnie wzorowano na tych z czasów II Rzeczypospolitej, przewidziano nawet etaty dla kapelanów wojskowych. Zdarzył się natomiast jeden poważny wyjątek.

„Wasilewska walczyła jak lwica z orzełkiem z 1939 r. – opowiadał Berling. – Odnosiłem wrażenie, że i ona postanowiła o czymś zadecydować. Obie z Broniewską wygrzebały gdzieś – chyba z fotografii starego grobowca – wzór orła piastowskiego i on miał ozdobić czapki I DP”.

Broniewska po latach tłumaczyła się, że był to najstarszy zachowany wzór polskiego godła i wraz z Wandą wcale nie „odpiłowały” od niego korony. Faktycznie, herb pochodził z grobowca Bolesława Krzywoustego i w oryginale nie posiadał korony. Ale ptak (paw?, orzeł?) na monetach Bolesława Chrobrego był nią ozdobiony, a wielowiekowa tradycja uczyniła z korony symbol niezależności i niepodległości. Przyjaciółki skorzystały zatem z pewnego precedensu i tak miało już zostać przez całe dzieje PRL. Chociaż z drugiej strony, dobrze, że nie wpadły na pomysł „ozdobienia” orła gwiazdą, jak to miało mieć miejsce w przyszłości z czeskim lwem.

Na podobną ingerencję nie pozwoliłby zresztą Stalin, unikający symboli świadczących o planach sowietyzacji Polski. Kremlowski despota wiedział, że liczy się rzeczywista władza, a nie drobiazgi bez znaczenia. Zwykł zresztą mawiać o Wasilewskiej, że „jest pełna entuzjazmu, a to czasem przeszkadza patrzeć realnie”. Ale jako dobry psycholog wiedział, że Wanda Lwowna potrzebowała osobistych sukcesów i zapewne dlatego PRL nie posiadała godła w koronie...

Wasilewska była również autorką roty przysięgi I dywizji, do której wplotła akapit o „wierności sojuszniczej Związkowi Radzieckiemu” i braterstwie broni z Armią Czerwoną.

„Uwierzyłem naiwnie w jej patriotyzm – wspominał Berling – zapominając, [...] że ona zrobi to, co jej każą. Sądziłem ją w swojej prostocie na podstawie jej podniosłych

przemówień, gdy tymczasem w rzeczywistości była ona mściwym, tchórzliwym i przebiegłym żonglerem politycznym, zawsze gotowym do politycznego manewru. Była dostatecznie głupia, by nie widzieć własnej sytuacji i własnego interesu i wystarczająco niemoralna, by nie kierować interesem publicznym”.

KOBIETY NAD OKĄ

Z całego terytorium Związku Radzieckiego ściągaly do Sielc tysiące Polaków, którzy z różnych przyczyn nie dotarli na czas do armii Andersa. Wstępując w szeregi dywizji, odzyskiwali wraz z rodzinami polskie obywatelstwo i nadzieję na powrót do kraju. Na ogół przybywali w opłakanym stanie fizycznym, były to „tłumy nędzarzy, którzy przeszli piekło na ziemi, którzy wraz ze swoimi najbliższymi cierpieli głód i poniewierkę”. Wśród nich był dwudziestoletni wychowanek warszawskiego zakonu marianów, Wojciech Jaruzelski.

„Armia Berlinga – tłumaczył po latach Sokorski – była dla Polaków jedyną realną szansą opuszczenia Rosji, zwłaszcza po wyjściu Andersa. Z bronią w ręku. To też coś znaczyło. Szansa była tym większa, że Berling nie był komunistą, jego żołnierze również”.

W formowanej dywizji przewidziano etaty dla pięciuset kobiet mających pełnić funkcje pomocnicze. Chętnych było jednak o wiele więcej, liczba ochotniczek przekroczyła założony limit, a panie kategorycznie odmówiły opuszczenia obozu. Ktoś rzucił pomysł sformowania kobiecej kompanii, co spotkało się z oporem dowódcy.

„Powstała duża nadwyżka – pisał po latach Berling – dla której w dywizji nie było już miejsca w ramach zatwierdzonych etatów i komisje przeglądowe, mimo próśb musiały odmawiać dalszych przyjęć. Część tej nadwyżki umieściliśmy w tworzącym się Zarządzie Głównym ZPP i jego instytucjach oraz pozostawiliśmy niewielką rezerwę, ale to nie rozwiązywało sprawy”.

Propozycja „odesłania do domów” spotkała się z zajadłym oporem, nikt nie chciał wracać do kołchozów i katorżniczej pracy w zabójczym klimacie. Nie pomogły również obietnice znalezienia zatrudnienia w fabrykach szyjących mundury. Sytuację usiłował spacyfikować Sokorski, ale chociaż zawsze miał dobry kontakt z płcią piękną, to „wrócił zniechęcony”, niczego nie osiągając.

Ostatecznie sformowano kompanię fizylierek, natomiast słabość do płci pięknej stała się niebawem przyczyną problemów towarzysza Włodzimierza. Na stanowisku swojego adiutanta ulokował dziewczynę, z którą połączyły go intymne kontakty. Co gorsza, zaszła ona w ciążę, a w Moskwie przebywała legalna żona Sokorskiego. Już wcześniej zarzucano mu ostre ataki na Wasilewską, ale teraz skandal obyczajowy dopełnił miary. Został zdymisjonowany i karnie skierowany do sowieckiego kolejnictwa.

Obecność pań w dywizji spowodowała jeszcze jeden problem Berlinga. W czerwcu 1943 r. uciekły z domu córki Wasilewskiej i Broniewskiej i zgłosiły się na ochotnika. Ewa miała trzynaście lat, Anka niewiele więcej, oczywiście w Sielcach dodały sobie wieku.

Obie matki uznały, że dziewczynkom przyda się trochę dyscypliny i poleciły Berlingowi, aby traktował córki bez żadnej taryfy ulgowej.

„Zrobiliśmy czterdzieści kilometrów marszu w czasie ćwiczeń – pisała Anka Broniewska do ojca. – Ładunek przepisowy – trzydzieści kilogramów. Ale ja wolę moją twardą dolę żołnierską niż wasze pomarańcze, cytryny i uroki południa”.

Chociaż matki zachowywały neutralność, to Berling nie chciał brać na siebie odpowiedzialności. We wrześniu dziewczynki zostały zdemaskowane jako nieletnie i odesłane do domów. Na front wyruszyła natomiast w roli korespondenta wojennego Janina Broniewska. Z zachwytem opisywała odwagę polskich żołnierzy i dowody uwielbienia dla Wasilewskiej:

„»Nasza Wanda?« Poufale? Bez subordynacji? Bez należnych tytułów? Obejdzie się bez nich, na pewno obejdzie, zwłaszcza że to może tytuł w randze najwyższej, zważywszy ów ładunek uczuciowy, który w sobie zawiera”.

Dalsze wynurzenia Broniewskiej były jeszcze bardziej interesujące:

„Ładowniczy pierwszego działła pierwszej baterii artyleryjskiej brygady, kładąc ciężki pocisk do działła powiedział po prostu, bez szczególnego patosu »Za Katyń«”...

BITWA POD LENINO

Wasilewskiej zdarzały się również chwile załamania, wskazujące na poważne „zmęczenie materiału”. Jedno z nich miało mieć miejsce w Sielcach, po przysiędze dywizji. Podczas uroczystego obiadu pokłóciła się z nadzorującym dywizję oficerem NKWD, Giergijem Żukowem. Wanda Lwowna poszła na spacer do lasu, gdzie dostała ataku hysterii. Płakała, leżała na ziemi, a doprowadzona na kwaterę łkała i wykrzykiwała:

„Puśćcie mnie stąd! Nie chcę tu być! Nie chcę żadnej dywizji! Ja chcę do domu, do Mariana! Chcę rodzić dzieci, chcę gotować zupę, prac, robić schabowe kotlety”.

Marian Bogatko nie żył już wówczas od trzech lat...

Nawet stronnicy Wasilewskiej dostrzegali jej wady. Wiedzano, że nie lubiła Berlinga „tak trochę po kobiecemu”, podejrzewano, że „wyraźnie się jej jako mężczyzna podobał, i jednocześnie zdawała sobie sprawę, iż jest dla niej całkowicie nieosiągalny”. Przy okazji zarzucano jej, że „za własne błędy odpowiedzialność zrzuca na innych i nienawidzi ich za to”. Uważano, iż jest „mściwa jak praczka”, a właściwie to jest „raczej babą, a nie politykiem”.

Nie można jednak zapominać o jaśniejszych stronach jej działalności. Jako przewodnicząca ZPP objęła opieką blisko trzydzieści tysięcy polskich dzieci na terenie ZSRR (w tym wiele tysięcy sierot w domach dziecka). Dzięki postawie działaczki i jej podwładnych udało się je dla Polski uratować i po zakończeniu wojny w większości powróciły do kraju.

Przewodnicząca ZPP odegrała również ważną rolę po bitwie pod Lenino. Słynny „chrzest bojowy” I dywizji piechoty był w rzeczywistości koszmarną rzezią bez głębszego

uzasadnienia strategicznego. Bitwę poprowadzono w taki sposób, aby Polacy maksymalnie się skrwawili, co miało wykazać ich chęć do walki u boku Sowietów. Straty wyniosły aż jedną czwartą stanu osobowego, co było jednak normą przy sowieckich operacjach z zastosowaniem „rozpoznania walką”.

Wasilewska była przerażona, dywizja Berlinga miała wkroczyć do Polski i maszerować na Berlin, a nie ulec zagładzie poza granicami kraju. Na jej osobistą interwencję jednostka została złuzowana i skierowana do uzupełnienia.

Jednak nie wszyscy żołnierze Berlinga chcieli walczyć u boku Sowietów. Około dwustu polskich żołnierzy dobrowolnie przeszło na stronę niemiecką, a wśród nich był porucznik Alfred Wysocki, któremu po bitwie (pośmiertnie, uznano, że poległ) przyznano krzyż *Virtuti Militari*! Wśród odznaczeń dla I dywizji były również trzy pośmiertne tytuły Bohatera Związku Radzieckiego, jedyne, jakie przyznano Polakom. Ponownie zawiódł jednak przepływ informacji i jeden z odznaczonych odnalazł się niebawem żywy w połowym szpitalu.

ZMIERZCH

W lipcu 1944 r. powołano w Moskwie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, w którym stanowisko wiceprzewodniczącej objęła Wanda Lwowna. Dla celów propagandowych ogłoszono, że powstał on w Chełmie, w rzeczywistości jednak jego członkowie dotarli do Polski dopiero pod koniec lipca. PKWN miał być namiastką polskiego rządu, całkowicie podporządkowanego Kremlowi.

Wprawdzie Armia Czerwona wkroczyła na teren przedwojennej Polski kilka miesięcy wcześniej, ale polscy komuniści uznawali granice z paktu Ribbentrop-Mołotow. Nawet ich wzruszeniami kierowała wola Kremla i kiedy kierowca oświadczył Broniewskiej, że przekroczyli dawną granicę sowiecko-niemiecką, to korespondentka nie ukrywała łez:

„Wtuliliam twarz w jego plecy. Beczę jak najzwyklejsza baba. I wcale mi nie wstyd. Ani trochę. Całujemy się po kolei. A oni mają twarze suche? Nie!”

Przewodniczącym PKWN został Edward Osóbka-Morawski, dawny członek Polskiej Partii Socjalistycznej, usunięty z partii za kradzież maszyny do pisania. Jego socjalistyczna przeszłość była Stalinowi potrzebna, mogła zaświadczyć, że PKWN nie był wyłącznie tworem polskich komunistów. Dlatego Wasilewska została tylko zastępczynią, za bardzo kojarzyła się z serwilizmem wobec Kremla.

Drugim zastępcą Osóbki-Morawskiego mianowano Andrzeja Witosa, młodszego brata trzykrotnego premiera II Rzeczypospolitej. Dla komunistów jego nazwisko było bezcenne, dlatego wydobyto go z łagru. Gdy jednak zaczął przejawiać samodzielność, Wanda zapytała go wprost, czy wie, „jaka pogoda jest teraz w Komi”. Zrozumiał i przestał stwarzać problemy.

Można odnieść wrażenie, że Wasilewska już wówczas myślała o wycofaniu się

z czynnej polityki. Cel swój osiągnęła, Polska zajmowana przez Armię Czerwoną miała stać się krajem komunistycznym. Podobno oświadczyła Nikicie Chruszczowowi, że do kraju wróci tylko w przypadku, gdy ten stanie się kolejną republiką radziecką. Była obywatelką ZSRR i zamierzała być konsekwentna.

„W Lublinie widziała prawdopodobnie – opowiadał Leon Kasman – kłębowisko ambicji, bo nietrudno było je zobaczyć. Zrozumiała, że każdy będzie chciał kierować i obawiała się, że powiedzą o niej, że jest głosem Stalina, a ona nie chciała być niczym głosem. Mówiła z sentymentem o Polsce, ale bała się jak pokrzywy rozmawiać z nami na temat wewnętrznych spraw Polski”.

Chruszczow podejrzewał, że nie chciała rozstawać się z Kornijczukiem, który o przenosinach nad Wisłę nie myślał. Chociaż mąż zdradzał ją wielokrotnie, była do niego szczerze przywiązana. Rozumiał to również Stalin i nie oponował, gdy Wasilewska stwierdziła, że chce pracować w skali całego Związku Radzieckiego. Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie zrobiła z tego dramatycznej sceny. Zapytała dyktatora, czy naprawdę nie jest godna, aby być obywatelką ZSRR? Czy naprawdę na to nie zasłużyła? Wódz zaprzeczył i więcej do tematu nie wracali.

„Tęskniła do kraju na pewno – uważała Zofia Woźnicka. – Często spotykam się z pytaniem, dlaczego została w Związku Radzieckim, dlaczego nie powróciła na stałe do Polski. Myślę, że bezpośrednia przyczyna – to związanie się z Kornijczukiem; sprawa uczuć, trwałego związku z mężczyzną, którego kochała, była zawsze w jej życiu ważna – nie umiała żyć samotnie. Łączyła ich przy tym wspólna działalność w czasie wojny i później, wspólne zainteresowania pisarskie i polityczne, jednakowe upodobania (między innymi potrzeba kontaktu z przyrodą, potrzeba szerokich kontaktów z ludźmi)”.

Wasilewska była konsekwentna, podczas podpisywania układu pomiędzy Polską a ZSRR nie chciała nawet stanąć do wspólnej fotografii. Brała udział w obradach jako gość honorowy, zatem nie powinna figurować na żadnych oficjalnych zdjęciach. Do zmiany decyzji nakłoniła ją dopiero interwencja Stalina.

Faktycznie, wycofała się z polityki, chociaż często odwiedzała ojczyznę. W willi Broniewskiej zawsze stał przygotowany dla niej pokój. A przebywając w kraju, regularnie spotykała się z polską elitą władzy.

„[...] miała ogromny wpływ – wspominał Aleksander Wat – w pierwszych latach, w 1947, 1948 r. W ogóle się nie pokazywała, przyjeżdżała do Warszawy i zamieszkiwała incognito, bardzo strzeżona, w willi Broniewskiej. Ale przecież miała olbrzymi głos w sprawach Polski. Po prostu partia, prezydium partii, Bierut, Berman, to wszystko liczyło się z nią”.

Przez sześć kadencji była deputowaną do Rady Najwyższej ZSRR. Po wojnie działała w ruchu na rzecz pokoju, z racji czego często wyjeżdżała za granicę. Pojawiła się również w Sztokholmie w kwietniu 1956 r. na posiedzeniu Rady Pokoju. Doszło wówczas do spotkania z polską delegacją, w której skład wchodził Jarosław Iwaszkiewicz i Maria Dąbrowska.

„Nie wiem – zapisała w swoim dzienniku Anna Kowalska – jaki będzie rezultat tego, że M. [Dąbrowska – S.K.] odmówiła się przywitać z Wandą [...] na kolacji polskiej delegacji w Carltonie. Iwaszkiewicz uratował sytuację, zasłaniając swoją ogromną postacią Wasilewską i ciągnąc Korniejczuka i przedstawiając go Marysi. M. była nieprzygotowana na spotkanie [...] i w zaskoczeniu stanęła dęba”.

Akurat Wanda Lwowna twórczość Dąbrowskiej ceniła wysoko i to jej zdanie w dużej mierze zadecydowało o zdjęciu z autorki *Nocy i dni* zakazu wydawniczego. Ale dla pisarki towarzyszka Wanda pozostała wyłącznie zdrajczynią sprawy polskiej, człowiekiem, który w zniewoleniu narodu odegrał poważną rolę. Nazywała ją „liżydupą Stalina” i specjalnie swojej opinii nie ukrywała...

WDOWA PO BERII

Podczas wojny rozpadł się związek Janiny Broniewskiej z Romualdem Gadomskim i nowym partnerem pisarki został generał Leon Bukojemski. Były legionista i oficer sztabu armii „Łódź” z kampanii wrześniowej, podobnie jak Berling został przez Sowietów uznany za „przydatnego na przyszłość” i nie podzielił losu oficerów zamordowanych wiosną 1940 r. Trafił do armii Andersa, w niezrozumiałych okolicznościach wylądował w sowieckim więzieniu, skąd wyciągnął go Berling – formowana nad Oką dywizja cierpiała na dramatyczny brak polskich oficerów. Bukojemski służył w Ludowym Wojsku Polskim od chwili jego powstania, a w lutym 1945 r. został dowódcą okręgu wojskowego „Lublin”. Kilka miesięcy później został przeniesiony do rezerwy.

Po zakończeniu wojny Broniewska zasłynęła jako bezwzględna propagatorka socrealizmu w literaturze. Posiadała ogromne wpływy, pełniła funkcję sekretarza organizacji partyjnej Związku Literatów Polskich. Irena Krzywicka wspominała, że wręcz zmuszała bezpartyjnych do wstępowania w szeregi PZPR. Powszechnie uważano ją za fanatyczkę, a w wewnątrzpartyjnej ocenie określono, że „stosuje metody bolszewickie”. Nawet Wasilewska przyznawała, że „Jasia po prostu nie lubi ludzi”, i rzeczywiście dla swoich przeciwników Broniewska była bezwzględna. Gorzej, że nie miała również skrupułów wobec ludzi, których uważała za niezdecydowanych lub neutralnych. Nic dziwnego, że za plecami zaczęto ją nazywać „wdową po Berii”.

Zdarzały się jej jednak również ludzkie odruchy, po śmierci Marii Zarębińskiej (w 1947 r.) zajęła się jej córką, Majką. Wzięła ją do siebie na wychowanie, oprócz niej wychowywała jeszcze dwoje dzieci, córkę z małżeństwa z Broniewskim i syna ze związku z Gadomskim. Inna sprawa, że stwarzało to czasami pewne komplikacje. Gdy Janina pewnego dnia nie mogła pójść na szkolną wywiadówkę Majki (miała zebranie partyjne), to wysłała tam Bukojemskiego. A kiedy mąż zastanawiał się, jak przedstawić swoje powiązania z dziewczynką, to Broniewska odparła:

„To bardzo proste. Majka to córka drugiej żony pierwszego męża twojej żony i jej pierwszego męża”.

Dziwne natomiast wrażenie wywiera zachowana korespondencja pomiędzy Broniewską a Wasilewską. Panie regularnie wymieniały listy, pisząc do siebie praktycznie o wszystkim. A ton ich korespondencji zupełnie nie przypominał języka działaczek komunistycznych, była to raczej rozmowa przyjaciółek przepełniona wzajemną troską. Ale Wandzie zdarzały się również chwile dawnych uniesień, kiedy z entuzjazmem mówiła o zdobyczach socjalizmu, o „chłopach stołujących się we własnych restauracjach”, czy też „o świńskich fermach, na których wszyscy pracownicy mieli co najmniej średnie wykształcenie”.

„[...] widziałam – pisała – na własne oczy, jak setki i tysiące ludzi mieszkają i żyją w epoce komunizmu i to nie jest na Księżycu, ale o marne tysiąc kilometrów od Kijowa [...]. Co z tego zrobić, bo ci przecie i tak nikt nie uwierzy i powie, że jesteś stara, zaślepiona wariatka”.

Broniewską uważano za fanatyczkę, ale jednak cechowała ją lojalność wobec dawnych przyjaciół. Gdy po śmierci Stalina odsunięto Bermana, jako jedna z nielicznych nie zerwała z nim kontaktów. Natomiast podczas wydarzeń marca 1968 r. trzymała się na uboczu. Ostrzegała wnuczkę (studentkę) będącą w ciąży, aby nie mieszała się do wypadków, po czym przygarnęła do własnego domu jej przyjaciółkę z dzieckiem. Mąż dziewczyny został aresztowany i jego żonę usunięto z pokoju w akademiku. A sama Broniewska okres rewolucyjnych uniesień miała już za sobą. Żyła jednak jeszcze dostatecznie długo (zmarła w 1981 r.), aby zobaczyć, jak jej świat powoli odchodzi w przeszłość. Komunizm polski epoki Edwarda Gierka miał niewiele wspólnego z ideałami, które przez całe życie wyznawała. A już cykliczne bunty robotnicze, z powstaniem „Solidarności” na czele, w ogóle starym działaczom nie mieściły się w głowie.

Majka Broniewska została aktorką, wyszła za mąż za krytyka, reżysera i scenarzystę Lecha Pijanowskiego. Jej synem jest Wojciech Pijanowski – autor i prezenter wielu teleturniejów telewizyjnych, z „Kołem Fortuny” na czele.

PLUTY

Śmierć Stalina nie osłabiła rewolucyjnej czujności Wandy Lwowej. Po opublikowaniu *Poematu dla dorosłych* Adama Ważyka z oburzeniem pisała do Chruszczowa:

„Uważam, że w Polsce sprawy na froncie kulturalnym źle stoją. Pod hasłami »wolności jednostki«, »wolności twórczości«, »swobody krytyki« prowadzona jest stała wroga agitacja przeciwko marksizmowi, przeciwko ustrojowi Polski Ludowej oraz przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Znajduje to swój wyraz w publikowanych wydawnictwach, w prasie periodycznej, w polityce repertuarowej teatrów”.

Kilka miesięcy później Wasilewska miała już znacznie większe problemy. Podczas XX Zjazdu KPZR Nikita Chruszczow wygłosił swój referat na temat kultu jednostki.

Niestety nie wiemy, jak przyjęła rewelacje na temat ogromu stalinowskich zbrodni, jak zareagowała na egzekucję Berii i na walkę o władzę na Kremlu. Zapewne z radością powitała objęcie władzy przez Chruszczowa, którego dobrze знаła i z którym była zaprzyjaźniona. A może właśnie dlatego w tym okresie zajęła się sprawami domowymi, zaczęła wędkować i z czasem całkowicie poświęciła się wnukowi? Czy nie był to rodzaj ucieczki przed myślami i własnym sumieniem?

„Wielką radością Wandy – wspominała jej młodsza siostra – był ukochany (jedyne do czasów jej śmierci) wnuk Piotr, urodzony w 1950 r., którego wychowaniu poświęcała wiele czasu. Spędzał u niej w Kijowie i Plutach znaczną część swych pierwszych lat życia, a później wszystkie wakacje. Szczegółowe i pełne zachwyty opisy wyglądu wnuczka i jego postępów w rozwoju zajmują bardzo wiele miejsca w jej listach do matki”.

Faktycznie, uznała, że „jej powołaniem życiowym jest właśnie być babcią”, albowiem gdy miała własne małe dziecko, „była za głupia, żeby to docenić”.

Na pewno żyła na poziomie niedostępnym dla przeciętnych obywateli ZSRR. Jeszcze przed przenosinami do Kijowa spotkała się z Justyną Kreczmarową przebywającą w Moskwie z zespołem Teatru Polskiego.

„Wtedy Justysia – wspominała Ola Watowa – spotkała się z Wasilewską, z którą zresztą Kreczmarowie przyjaźnili się od dawna. Była zaproszona do Wandy [...]; portierey ze złotej lamy, lokaje w złotych rękawiczkach, no i potem Wasilewska wyszła z Justysią, zaprowadziła ją do wspaniałego sklepu z futrami, wybrała jej piękne futro z nurków, no i wystawiła czek. Justysia po powrocie do Warszawy wstydziła się paradować w zrujnowanym mieście w tych nurkach, jak i tego, że są od Wandy [...], o której nie wypadało mówić”.

To nie był wyjątek, zachowała się relacja Johna Steinbecka, który w 1947 r. odwiedził w Kijowie Wasilewską i Kornijczuka. Wizyta wywarła duże wrażenie na autorze *Gron gniewu*, z uznaniem opisywał dom gospodarzy z pięknym ogrodem pełnym warzyw i kwiatów.

„Obiad był przepyszny i bardzo obfity. Warzywny kawior z bakłażana, ryba z Dniepru w sosie pomidorowym, jajka faszerowane o dziwnym smaku, a do tego starka, żółta i bardzo dobra. Następnie podano czysty esencjonalny bulion i małe smażone kurczęta, przypominające nasze pieczone kurczaki z południa, tylko że obtoczone w panierce. Potem ciasto, kawa i likier. Na końcu Kornijczuk przyniósł ogromne cygara Upmana w aluminiowych tubach”.

Czasy się jednak zmieniały i na początku lat 50. Wasilewska poniosła pierwszą literacką klęskę. Wspólnie z mężem napisała libretto do opery Konstantego Dankiewicza *Bohdan Chmielnicki*. Spotkała się z ostrą krytyką, uznano, że autorzy zbyt słabo wyeksponowali temat walki narodu ukraińskiego. Zapomnieli również podkreślić rolę Rosji w konflikcie, w efekcie musieli solidarnie złożyć samokrytykę na łamach „Prawdy”:

„Uznajemy tą krytykę za zupełnie słuszną. Przyjmujemy ją w całości i dołożymy wszelkich starań, aby naprawić nasze błędy w librecie opery”.

W tym czasie Wanda z mężem nabyli domek letniskowy we wsi Pluty, trzydzieści kilometrów od Kijowa. Zamierzali wspólnie tam spędzać wakacje, Wanda odkryła w sobie pasję ogrodnictwa. Z zapałem zajęła się przydomowym ogródkiem.

„Ukojeniem były dla niej wyjazdy na letnisko – wspominał Mykoła Bażan – które wybudowali sobie pod miastem, na piaszczystym, zarosłym wierzbina brzegiem rzeki. Dnieprowe fale, rozmywając brzegi, podchodziły coraz bliżej pod sad i ogród, w którym kwitły kwiaty, dojrzewały pomidory, a gałęzie drzew uginały się od pomarańczowych moreli i gruszek. Całymi dniami pływali łodzią po rzece, czasami zabierając ze sobą zaprzyjaźnionych wędkarzy. Tutaj Wanda pisała swoje książki, tutaj z zapałem oddawała się sztuce kulinarnej, chętnie podejmując gości na werandzie ozdobionej cudownym paneau”.

Przez całe życie nienawidziła wędkowania, jednak w Plutach zachwyciła się tą formą relaksu. Zapewne miało na to wpływ zamieszkanie nad obfitującym w ryby Dnieprem. I jak zwykle, kolejnej pasji Wasilewska oddawała się całym sercem.

„Już po wojnie – kontynuował Bażan – potrafiła z Saszka Kornijczukiem dwadzieścia cztery godziny na dobę przesiadywać w łódce czekając na jakiegoś nieostrożnego okonia, a przeważnie na lekkomyślne kiełbie. Czasem rybołówcze trofea były dość sporawe, wówczas cała kuchnia kipiała, skwierczała, pełna była swędu obłoków pary: gotował się wspaniały obiad dla przyjaciół i sąsiadów, których latem nigdy nie brakowało w tej letniskowej miejscowości pod Kijowem”.

Ważne osoby Kraju Rad powinny być jednak cały czas dostępne dla władz państwowych. Telefonów komórkowych jeszcze nie wynaleziono, wobec czego do Plut dociągnięto przewody telefoniczne na słupach. Ułatwiało to doskonale orientację w terenie, a miejscowa ludność przez długie lata określała linię jako „słupy Kornijczuka”.

W związku z mężem coś jednak zaczęło się psuć; niewykluczone, że z czasem zaczęła dostrzegać prawdziwe oblicze partnera. Kornijczuk zawsze lubił kobiety, Wat wspominał, że gdy został do niego wezwany we Lwowie, to czekał aż od Ukrainca wyjdą „dwie dziewczki z wypukłymi pupkami, takie ładniusie”. Mąż nadużywał również alkoholu, a Sokorski uważał go za „pijaka i brutalnego erotomana”. Podobno „zniszczył życie nie tylko Wandzie, lecz i jej córki Ewy”, miał niemal legalnie równoległą rodzinę, a dwoje dzieci z tego związku uznał za własne.

W latach 80. ubiegłego stulecia miałem okazję uczęszczać na zajęcia do profesora Pawła Wieczorkiewicza w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Podczas jednych z nich profesor (wówczas jeszcze doktor) powiedział nam, że Wasilewska u schyłku życia popadła w dewocję religijną i wszystkie pieniądze zapisała na polski kościół w Kijowie. I chociaż potwierdzenia tej informacji nigdzie nie znalazłem, to nie mam powodu nie wierzyć znakomitemu historykowi. To zresztą doskonale pasuje do Wandy Lwownej, ta kobieta nie uznawała półśrodków, jeżeli oddawała się jakiejś idei, to całą sobą. Podobno również zastrzegła w testamencie, że nie życzy sobie, aby Kornijczuk został pochowany u jej boku.

Zdrowie jej coraz bardziej doskwierało, miała problemy z sercem i układem krążenia. Wanda Michalewska znająca dobrze Wasilewską (pracowała w polskim konsulacie w Kijowie) nie poznała jej od razu na pogrzebie poety Maksyma Rylskiego:

„Była bardzo zmieniona – opisywała jej wygląd. – Twarz miała ściemniałą i rysy zaostrome. Wyglądała na ciężko chorą. [...] Poza tym lipiec 1964 r. był w Kijowie wyjątkowo upalny, ciężki dla ludzi cierpiących na choroby systemu krążenia”.

Przecucie Michalewskiej nie zawiodło, 29 lipca 1964 r. Wanda Wasilewska zmarła na atak serca i spoczęła na kijowskim cmentarzu Bajkowym. Kornijczuk przeżył ją o osiem lat i faktycznie został pochowany w innym grobie nekropolii.

HALINA WASILEWSKA

Po wojnie Wasilewską często odwiedzała rodzina z kraju, do Kijowa przyjeżdżała matka i młodsza siostra. Wdowa po towarzyszu Leonie już nie protestowała, zmieniły się czasy i w kwestii przyszłości Polski nie miała złudzeń. Za żelazną kurtyną pozostała natomiast inna siostra Wandy Lwownej, Halina Wasilewska-Niemiec.

Najstarsza córka Leona Wasilewskiego była biologiem, absolwentką uniwersytetu we Lwowie. Podczas I wojny światowej trafiła do służby sanitarnej I Brygady Legionów, była kurierką Polskiej Organizacji Wojskowej, walczyła (w męskim przebraniu!) w obronie Lwowa. Po wojnie z bolszewikami stała się jedną z organizatorek Przysposobienia Wojskowego Kobiet. Dzieliła swój czas pomiędzy Lwów a Warszawę, przed hitlerowską inwazją pełniła obowiązki komendanta stołecznego Centrum Wyszkożenia PWK. Podczas kampanii wrześniowej brała czynny udział w obronie Lwowa i nad Pełtwią doczekała sowieckiej okupacji.

Podczas gdy jej młodsza siostra z entuzjazmem kolaborowała z Sowietami, Halina działała we lwowskim ruchu oporu. Po inwazji niemieckiej nie myślała o ewakuacji na wschód, przedostała się do Warszawy i jako członkini Armii Krajowej trafiła na Pawiak. Osadzona w Ravensbrück, przetrwała do wyzwolenia i w stopniu majora pełniła służbę w dywizji pancerniej generała Stanisława Maczka. Po zakończeniu wojny nie powróciła do kraju rządzonego przez komunistów i do końca życia pozostała na emigracji. Zmarła na trzy lata przed Wandą Lwowną i została pochowana w Stafford w Wielkiej Brytanii.

Dwie siostry, córki tych samych rodziców. Dwa różne losy w tragicznym okresie naszych dziejów. Różne wybory, po prostu dramatyczna historia Polski dwudziestego stulecia...



Rozdział III. Pogodzona z nowym ustrojem



Zofia Nałkowska (1935 r.)

„[...] była fenomenem jedynym, nie tylko w literaturze polskiej, ale i w polskim życiu kulturalnym. Żadna z polskich sławnych kobiet nie łączyła w sobie tylu najwyższych darów talentu i urody, triumfów, zaszczytnych stanowisk literackich, jak powołanie jej do Akademii Literatury, stanowisk politycznych, jak wybór do Sejmu”. (Jerzy Zawieyski)

NAŁKA

Szykując się do przejęcia władzy, komuniści zadbali o dobry wywiad w środowiskach artystycznych. Doskonale orientowali się, kto pozostał w kraju, a kto znalazł się na emigracji; wiedzieli, kto pozostanie nieprzejednany, a kogo można nakłonić do współpracy.

Na ofiarę komunistów idealnie nadawała się Zofia Nałkowska. Polityką nigdy specjalnie się nie interesowała, ale przed wojną uchodziła za ulubienicę władz sanacyjnych. O jej pozycji w świecie literackim świadczył fakt, iż piastowała stanowisko wiceprezesa polskiej sekcji PEN Clubu i była jedyną kobietą w Polskiej Akademii Literatury. W życiu prywatnym była jednak osobą niezdecydowaną i uzależnioną od opinii partnerów, chociaż w czasie okupacji po raz pierwszy musiała decydować o sobie. Nie tylko zresztą o sobie, ale również o sędziwej matce (zmarła podczas wojny) i młodszej siostrze, rzeźbiarce. Panie prowadziły razem sklep z tytoniem, a ciężka praca fizyczna była dla pisarki trudnym doświadczeniem. I na najbliższe lata określiła jej poglądy.

Pisarkę zawsze najbardziej fascynowały praca twórcza i życie towarzyskie. Lubiała mężczyzn, intelektualną wymianę myśli, uwielbiała błyszczeć i być adorowaną. W swoich utworach koncentrowała się na relacjach międzyludzkich, chociaż w *Granicy* komuniści doszukali się problematyki społecznej. Uznali, że powieść idealnie wpisuje się w nową rzeczywistość, a jej autorka jest im po prostu potrzebna.

Nowi władcy Polski dysponowali poważnymi argumentami. Mogli zapewnić pani Zofii odpowiednie warunki bytowe i zagwarantować najważniejszą rzecz dla każdego autora – masowe nakłady książek. Likwidacja analfabetyzmu musiała zaowocować wzrostem czytelnictwa, powieści drukowano w dziesiątkach i setkach tysięcy egzemplarzy. Każdy wydawany literat mógł poczuć się jak Tadeusz Dołęga-Mostowicz, uznając, że jego twórczość trafiła do przeciętnego Polaka.

Nałkowską obserwowano uważnie już podczas okupacji. Komunistyczne podziemie nawiązało z nią kontakt i zadbano, aby przed wybuchem powstania warszawskiego opuściła stolicę.

„Przychodzi ten jedyny z nich – zanotowała pisarka 26 lipca 1944 r. – przedstawiający wyraźną wartość człowieczą, ten, którego nie potrafię nawet nazwać. Jest względem mnie nie tylko człobitny, ale po prostu dobry. Ale jest także stanowczy. [...] Żąda teraz, abym wyjechała zaraz, nikomu nie mówiąc dokąd. Daje mi sposoby ratunku. Rozstajemy się jak ludzie bliscy”.

Posłuchała sugestii i dwa dni później była już u znajomych w Adamowiźnie koło Grodziska Mazowieckiego. Zaoszczędziło to jej osobistej tragedii, a być może uratowało życie.

Osobnikiem „przedstawiającym wyraźną wartość człowieczą” i nachodzącym autorkę był Kazimierz Mijal, członek Polskiej Partii Robotniczej i Krajowej Rady Narodowej, późniejszy prezydent Łodzi i szef kancelarii Bolesława Bieruta. Wywiązał się z powierzonego zadania, a później sprawę przejęli inni.

Dla pisarki związanej przez całe życie z Warszawą, sprawa Kresów, Wilna czy

Lwowa miała drugorzędne znaczenie. Autorka nie przejawiała również specjalnej niechęci wobec zdobywców ze wschodu, a na kartach *Dzienników* można przeczytać zadziwiające opinie o Armii Czerwonej:

„Od [...] lat obrastali w Europie w różne legendy, ostatnio propaganda niemiecka uzupełniła ten obraz mnóstwem barw demonicznych. – I oto wchodzi do domu ludzie przyjemni, łagodni – ani głodni, ani obdarci, ani brudni, tylko zmęczeni długim pościęciem, odurzeni tym raptownym zwycięstwem. Dwudziestoczteroletni kapitan je z jednego talerza ze swym ordynansem. W żołnierskiej gazecie felieton Erenburga”.

W Adamowiźnie Nałkowską odwiedzali ludzie związani z nowym porządkiem, pojawili się również ci najważniejsi: Jerzy Putrament i Jerzy Borejsza. Tym personom warto się przyjrzeć bliżej.

Trzydziestopięcioletni Putrament miał za sobą zadziwiającą karierę. Przed wojną był działaczem Młodzieży Wszechpolskiej, ale w latach 30. przeżył metamorfozę i został komunistą. Jednak coś z obyczajów Wszechpolaków przetrwało w nim do końca życia; pozostał antysemitą, nosił zresztą przy sobie ciężką laskę, podstawowy atrybut prawicowych nacjonalistów. We wrześniu 1939 r. znalazł się we Lwowie, gdzie serwilizmem wobec Sowietów potrafił zniechęcić nawet Wasilewską. Wanda Lwowna nie podpisała kilku przygotowanych przez niego oświadczeń, ale uznała, że może być przydatny. Do Polski pisarz dotarł jako członek Związku Patriotów Polskich i oficer oświatowo-polityczny I Dywizji imienia Tadeusza Kościuszki.

Do ZPP należał również starszy od niego o pięć lat Jerzy Borejsza. Był członkiem Komunistycznej Partii Polski dał się poznać jako utalentowany publicysta, drukując między innymi na łamach „Wiadomości Literackich”. W sowieckim Lwowie pokazał swoje ambicje, planował przejęcie z ramienia Kremla kontroli nad polską kulturą. Sowietci wybrali jednak Wasilewską i Borejsza zadowolili się stanowiskiem dyrektora wydawnictwa Ossolineum. Po niemieckiej inwazji walczył jako ochotnik w szeregach Armii Czerwonej, aż wreszcie wstąpił do Ludowego Wojska Polskiego.

Czas Borejszy nadszedł pod koniec wojny. W 1944 r. założył w Lublinie Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”, która na polskim rynku księgarskim szybko stała się monopolistą. Publicysta stworzył prawdziwe „państwo w państwie”: „Czytelnik” organizował biblioteki i księgarnie, wydawał dzienniki („Życie Warszawy”, „Dziennik Polski”, „Rzeczpospolita”), periodyki („Przekrój”, „Przyjaciółka”, „Odrodzenie”, „Kuźnica”, „Twórczość”, „Problemy”). Do tego dochodziły liczne edycje książek w masowych nakładach. Ten człowiek miał Nałkowskiej wiele do zaoferowania.

NOWA RZECZYWISTOŚĆ PANI ZOFII

„Egzotyzm, poplątanie elementów ideologicznych i narodowych – zanotowała pisarka po odwiedzinach obu panów – stąpa się po tym terenie pełnym najdziwniejszych niespodzianek. Prasa tu nie dociera, ale dostałam parę numerów tych pism. Ta łagodna

metoda jednak się utrzymuje z wyraźną konsekwencją. Te początki przypominają tamte z roku osiemnastego – budzą tyleż zadziwień, zastrzeżeń, niepokoju. Pewno i to ulegnie zmianie – ale gdy wówczas było to stopniowe zwijanie chorągiewek, tu rozwój pójdzie po linii ich rozwijania”.

Nałkowska polityką mogła się nie interesować, ale w otaczającym ją świecie dostrzegła zmiany. Obawiała się, że to, co „nadciąga, będzie bardzo burzliwe, bardzo w tutejszych warunkach odporne i trudne”. Borejsza jednak złożył jej propozycję, której odrzucić nie potrafiła.

„[...] proponuje, bym była prezesem Komisji do badania zbrodni w Oświęcimiu. W Łodzi powstają pisma, jest dom z mieszkaniami poniemieckimi dla pisarzy. Chcą mię tam zabrać samochodem, ale jestem jeszcze chora. Wzięli *Węzły życia* do »Odrodzenia«. Chcą drukować nowe, piąte wydanie *Granicy*”.

Prozaiczka skończyła już sześćdziesiąt lat, była samotna i zmęczona wojną, a nowi władcy kraju mogli jej zapewnić życie na odpowiednim poziomie. Trudno było oczekiwać od niej kontestacji zmian ustrojowych, chyba zresztą szczerze uwierzyła w nowy ustrój. Inna sprawa, że właściwie zawsze chciała pisać i z pióra się utrzymywać.

„Trud pisania powinien być dobrze opłacony – mawiała – bo to nie tylko jest zachętą, miarą względnej lub bezwzględnej wartości tego, co robimy, to jest warunek. Gdyby nam nie płacono, przestalibyśmy pisać”.

A Borejsza miał rozmach, mógł jej zaproponować nakłady, o jakich przed wojną mogła tylko marzyć. Jaki twórca mógł się temu oprzeć? Odwiecznemu pragnieniu, aby jego twórczość trafiła pod strzechy?

„Gdy wojna się skończyła – wspominał Jan Gebethner – Nałkowską porwał nam Borejsza do »Czytelnika«. Trudno się temu dziwić. Dynamiczny rozwój tej instytucji, w okresie kiedy całe nasze życie literackie koncentrowało się w Łodzi, ściągnęło do siebie prawie wszystkich pisarzy. Nakłady utworów pani Zofii zaczęto drukować nie w tysiącach, jak to było u nas, lecz w dziesiątkach tysięcy”.

Komuniści zadbali również o odpowiednie splendory. Nałkowską dokooptowano do KRN, a następnie została posłanką Sejmu Ustawodawczego. Jej nazwisko podnosiło znaczenie tych instytucji, natomiast Zofię mile zaskoczyła ważność własnej osoby. Jako czołowa polska autorka i posłanka oficjalnie odwiedziła Francję, Jugosławię i Czechosłowację. W krajach bloku wschodniego notowała wypowiedzi miejscowych i szczerze w nie wierzyła:

„Słowa tego prostego Czecha w wagonie między Pragą i granicą: »U nas komunizm lepszy niż gdzie indziej, bo u nas ludziom jest dobrze. Nie potrzebujemy się od nikogo uczyć«. I tego robotnika w czeluściach ciężarówki na przerwie toru między Zagrzebiem i Lublaną: »Jeżeli u was jest tak, jak u nas, to znaczy, że jest dobrze«”.

Z pewnym zdziwieniem przyjmowała natomiast krytykę w kraju, szczególnie z ust zwykłych ludzi. Zanotowała rozmowę z roznosicielem mleka w Łodzi, człowiekiem, który przeżył niemiecki obóz. I jego pytania, dlaczego „ten rząd robotniczy, tak robotników

mężczy?». Mleczarz wyjaśniał, że przed wojną jeden człowiek stał przy dwóch maszynach włókienniczych jednocześnie, a za czasów Polski Ludowej musi obsługiwać cztery.

W zapiskach Nałkowskiej zdarzały się jednak również bardziej trzeźwe opinie. W grudniu 1946 r. w Wilanowie wzięła udział w przyjęciu na cześć syna prezydenta USA Franklina Delano Roosevelta. Z niesmakiem zanotowała, że dawni właściciele pałacu są „dotąd w Rosji”, co było dodatkowo przykre, albowiem „oboje Braniccy byli też więzieni przez Niemców”.

Polityka pojawia się w *Dziennikach* sporadycznie i właściwie tylko w sytuacjach bezpośrednio dotyczących artystki. Sfałszowane wybory do Sejmu Ustawodawczego skwitowała uwagą, iż „wczorajsze głosowanie, dające zwycięstwo Blokowi Demokratycznemu, sprawiło, że jestem posłem”.

W zapiskach pisarki niemal nie znajdziemy śladów słynnego referendum z 30 czerwca 1946 r. Nałkowska zanotowała wyłącznie, że głosowała rano, „tylko tak biorąc udział w tym historycznym dniu”, koncentrując uwagę na odbytych później spacerach. O stopniu jej zaangażowania politycznego najlepiej świadczy fakt, iż ona, posłanka do Sejmu Ustawodawczego, nie wspomniała nawet słowem o kongresie zjednoczeniowym Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej.

W parlamencie zasiadała do końca życia, po uchwaleniu nowej konstytucji weszła w skład Sejmu I kadencji. Na pewno jednak nie przemęczała się pracą, w ciągu dziewięciu lat działalności publicznej na sali obrad zabrała głos zaledwie trzy razy.

„Nałkowska była – pisał Jerzy Zawieyski – fenomenem jedynym, nie tylko w literaturze polskiej, ale i w polskim życiu kulturalnym. Żadna z polskich sławnych kobiet nie łączyła w sobie tylu najwyższych darów talentu i urody, triumfów, zaszczytnych stanowisk literackich, jak powołanie jej do Akademii Literatury, stanowisk politycznych, jak wybór do Sejmu”.

Firmowała swoją osobą nowe porządki nad Wisłą, ale trudno nie oprzeć się wrażeniu, iż czasami atakowano ją ze zwykłej ludzkiej zawiści. Niektórzy nie mogli zrozumieć, że cieszyła się uznaniem sanacji, a po zmianie ustroju sytuacja pozostała bez zmian. Sugerowano, że wynikało to z powodu jej lekceważenia świata urzędzonego przez mężczyzn. Zawsze przecież mawiała, że „mężczyźni są tacy dziwni”.

„Złośliwi twierdzą – kontynuował Zawieyski – że zgoda pisarki na »konwenans historyczny epoki« była jej lekkomyślnością, dowodem braku charakteru, a także kobiecą pobłażliwością dla świata organizowanego przez mężczyzn.

– Dlatego też – wyjaśniali złośliwi – lekką stopą przekraczała progi Zamku, gdzie rezydował Ignacy Mościcki, jak później progi Belwederu, gdzie rezydował Bolesław Bierut”.

UROKI DWORU

Flirt z nową władzą wywoływał jednak oburzenie nieprzejednanych. Anna

Kowalska uznała, że „czołowa pisarka lewicowa” tak naprawdę jest „przede wszystkim starą kurwą”. Niewiele lepiej wypowiadała się Maria Dąbrowska:

„Nałkowska olśniewała – opisywała ze złością posiedzenie PEN Clubu w lutym 1947 r. – Trzyma się coraz lepiej, musi mieć świetnych masażystów i kosmetykarzy, bo nawet gładka zrobiła się na gębie i na szyjsku. I co za ton, co za pewność siebie, już nie znakomitej pisarki, ale wielkiej figury politycznej! – Co za protekcyjne kiwanie paluszkami na mężczyzn, którzy w podrygach podbiegają, by jej podać papierosa lub przyjąć na ucho jakieś szeptane zlecenie królowej. Byłam zaskoczona, nigdy jej w życiu nie widziałam w tak triumfującej, apodyktycznej formie. Musi mieć jeszcze chyba kochanka, bo niepodobna, by same tylko sukcesy w karierze dały jej taki tupet!”.

Od 1945 r. Nałkowska działała w oddziale łódzkim Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce. Wizytowała miejsca masowej zagłady, co niebawem zaowocowało *Medalionami* – zbiorem opowiadań opisujących hitlerowskie porządki. To był jej wkład w nową rzeczywistość, tego oczekiwały od niej władze. A pani Zofia znów była wielką damą, tak jak przed wybuchem wojny.

Podczas pobytu w Moskwie na spotkanie w fabryce traktorów założyła „kapelusze z ogromnym piórem i suknię naszywaną dżetami”, co wywołało prawdziwą sensację. Nic dziwnego, że jeden z młodych rosyjskich pisarzy stwierdził, że „ona caryca, ona pierwsza wielka dama, jaką widział”.

W Łodzi pisarka zamieszkała w luksusowym trzypokojowym mieszkaniu „umeblowanym i urządzonym do drobiazgów nawet, jak firanki w oknach i lampy na stołach”. Jednak nie czuła się tam dobrze, mówiła, że wolała własne „wysłużone mahonie warszawskie od tych ponemieckich wspaniałości”. Ale Warszawa leżała w ruinach, zresztą w Łodzi trzymała ją współpraca z wydawanym tam tygodnikiem „Kuźnica”, brała też czynny udział w życiu miejscowej elity kulturalnej.

„Otoczona jak zwykle przyjaciółmi – opisywał spotkanie z pisarką Wacław Barcikowski – pełna dowcipu i godności, wypowiadająca się skrótami, jak gdyby oszołomiona doniosłością i znaczeniem przewrotu społecznego, chciała w nim brać udział”.

Nie potrafiła żyć bez spotkań towarzyskich, wzajemnej inspiracji i wymiany myśli. Chociaż zmienił się ustrój, uważała, że zasady salonu literackiego nadal obowiązują. Zdarzało się jednak, iż przyjeżdżając do Warszawy na posiedzenia Sejmu, czasami zapominała o swoich wymaganiach i „sypiała w Hotelu Sejmowym na poduszkach ze słomy”. Ale był to tylko wyjątek, w rzeczywistości powróciła do przedwojennych obyczajów.

„Nałkowska prowadziła tryb życia bardzo towarzyski, to prawda – pisał Wilhelm Mach. – Bywało u niej stale dużo ludzi. I chciała tego, i męczyła się nadmiarem własnej gościnności. [...] Sama dopinała się o odwiedziny, występowała z inicjatywą spotkań. Lubiła obecność ludzi”.

W 1950 r. otrzymała mieszkanie w stolicy na Brackiej, niebawem jednak

przeprowadziła się do trzypokojowego lokalu w Domu Literatów przy Krakowskim Przedmieściu. Znow otaczali ją ludzie sztuki, a sama pisarka błyszczała i jak przed wojną pomagała początkującym twórcom. Nigdy nie była zazdrosna o talent i ta cecha pozostała jej do końca życia.

„Zwłaszcza była ciekawa pisarzy – wspominał Zawieyski – młodych przede wszystkim, którzy wnosili coś nowego. [...] Lubiła czytać cudze teksty, których znoszono jej pełno, do ostatnich dni życia. Czytała te teksty z ołówkiem, tropiąc w nich brzydotę stylistyczną, powtarzanie się słów w bliskich odstępach, ich złe brzmienie fonetyczne, nagłe rymowania. Nawet Iwaszkiewiczowi przy lekturze jego książki o Szopenie wytknęła kilkanaście błędów [...]”.

KOBIETA Z PRZESZŁOŚCIĄ

W dwudziestoleciu międzywojennym autorkę *Medalionów* uważano za „Messalinę polskiej literatury”. Zarzucano jej niepohamowany apetyt seksualny i piętnowano związki ze znacznie młodszymi partnerami. Panie zazdroszcząc jej dobrej prezencji, mawiały z przekąsem, że „literatura konserwuje”, a złośliwi twierdzili, iż młodzi mężczyźni w Warszawie mają dwie drogi zrobienia kariery. Pierwsza wiodła przez łóżko Nałkowskiej, a druga przez łóżko Iwaszkiewicza...

Było w tym nieco prawdy, Marian Kister z wydawnictwa Rój wspominał, że pewnego dnia zjawił się u niego mocno zaniedbany (ale bardzo przystojny) młody człowiek z rękopisem. Wydawca był zajęty, ale wysłał go do słynnej pisarki...

„W tydzień czy dwa później chłopak zjawia się u mnie wystrojony, w nowym garniturze, ostrzyżony, ogolony, z pochlebnym listem od Nałkowskiej. Co mam robić, drukuję, zresztą to podobno niezłe. Ale chłopaczyna się urządził. Sam nie wiedziałem, że przyczynię się do tego.”

Był to Bogusław Kuczyński, różnica wieku wynosiła dwadzieścia dwa lata, co stało się przyczyną licznych komentarzy.

„Patrzyłam na tę niemłodą – wspominała Krzywicka – tęgą, nieforemną kobietę, o pięknej twarzy (w ówczesnej konwencji), ale która według mnie, nie mogła pociągać już żadnego mężczyzny, ze swoim wielkim biustem i ciężką figurą. Patrzyłam z pewnym przestraczem i zdumieniem, bo obok niej znajdował się nieodstępnie młody, przystojny chłopak, który mógłby być jej synem”.

Kuczyński wprowadził się do pisarki, przejmując obowiązki agenta literackiego. Sprawnie negocjował nowe umowy, dbał o wznowienia dawnych tytułów i honoraria za przekłady, zapewnił jej finansową stabilizację. Prozaiczka mogła poświęcić się wyłącznie pisaniu. Związek ten przetrwał aż do wybuchu wojny, oboje w pierwszych dniach września opuścili Warszawę. Kuczyński wybrał jednak emigrację, natomiast Zofia nie chciała porzucić chorej matki i powróciła do stolicy.

Był on ostatnim mężczyzną z którym pisarka związała się na dłużej. Wbrew bowiem

krażącym plotkom, pani Zofia nie miała aż tak wielkiego temperamentu seksualnego. Dwa razy wychodziła za mąż, a czterech innych partnerów zagościło w jej życiu na dłużej. Z kilkoma innymi mężczyznami do pełnego zbliżenia nigdy nie doszło, nieodwzajemniona pozostała również jej wielka miłość do Karola Szymanowskiego. Kompozytor pozostał zwolennikiem miłości greckiej i pomimo całej sympatii do autorki nigdy nie pokonał granicy własnej seksualności. Natomiast prawdą jest, że Nałkowska promowała swoich partnerów erotycznych. Dzięki niej zadebiutował Bruno Schulz i można podejrzewać, że gdyby nie Zofia, świat nigdy by nie poznał twórczości skromnego nauczyciela z Drohobycza. Wiele zawdzięczał jej również Michał Choromański, chociaż romans z nim nigdy nie został do końca skonsumowany.

Pisarka zawsze ceniła męską urodę, co pozostało jej do końca życia. Czasami nosiło to charakter wręcz mistycznego przeżycia.

„Na ławie naprzeciwno – notowała wrażenia z podróży pociągiem do Belgradu w 1946 r. – ujrzałam pogrążonego we śnie młodzieńca. Spał siedząc wyprostowany, obciśnięty jakimś wojskowym mundurem, z łokciem pod skronią, z opuszczoną małą głową, z domkniętymi ciasno powiekami. Tę cudną młodą postać o piersi szerokiej, najszczuplejszych biodrach i długich nogach nazwałam sobie w pierwszym olśnieniu Endymionem. Był niewiarygodny. Był zbyt piękny. Ale ta przesada nie trwała długo na szczęście. Poruszył głową, inaczej ją umieścił wobec mego wzroku – i jego piękność stała się do zniesienia”.

Podobnych dygresji na kartkach *Dzienników* można znaleźć wiele; pani Zofia poznając młodego mężczyznę, nigdy nie zapominała dodać, że był przystojny, czarujący lub chociażby uprzejmy. Na kobiety nie zwracała aż tak wielkiej uwagi.

Podczas pobytu w Jugosławii spotkała jedną z największych miłości swojego życia, Mirosława Krleżę. Od ich paryskiego romansu minęło czternaście lat i teraz ze zgrozą obserwowała zmiany w aparycji dawnego ukochanego. Chociaż Chorwat był od niej młodszy o dziewięć lat, zauważyła, że jest „stary, z pulchnymi policzkami i wpadłymi ustami”, zmieniony „nie do poznania”.

Osobiście zawsze dbała o wygląd i do pasji doprowadzały ją koleżanki nieukrywające upływu lat.

„– Cóż to za siwiznę sobie pani zapuściła? – pytała zgorzonna Hanę Mortkowicz-Olczakową. – Jak to tak można? Kompromituje pani osoby o tyle starsze. Proszę spojrzeć na mnie. Tylko parę siwych włosów. Tyle, ile na srebrnym lisie. Żeby było widać, że nie farbowane”.

Po zakończeniu wojny, w Warszawie pojawił się Bogusław Kuczyński. Za granicą pozostawił włoską żonę (znaną projektantkę kostiumów filmowych) i próbował odnowić związek z pisarką.

„[...] po wojenno-emigracyjnej tułaczce – wspominał Wilhelm Mach – znalazł się znowu blisko Nałkowskiej – tak mi się wydawało – prawem swoistej inercji, przyjętej do wiadomości przez obojga, poświadczoną koleżeńską, solidną rzeczową ugodą. Po prostu

wrócił, był znowu, przychodził – dość w sobie zamknięty, trochę sarkastyczny, odrobinę zdziwaczały, pedantycznie schludny, młodo się jeszcze prezentujący starszy pan [...]”.

Zofia nie dopuściła już jednak do wspólnego zamieszkania i Bogusław osiadł w Skolimowie pod Warszawą. Upływ lat nie osłabił jego „niemal maniackiej pasji dla jej prac, jej papieru”. Ale nie przeszkadzało mu to w dostrzeganiu innych kobiet, a szczególnie młodych. W 1948 r. poznał maturzystkę Mirosławę Okolską, którą cztery lata później poślubił. Miał z nią syna, małżeństwo jednak rozpadło się już po śmierci Nałkowskiej. Inna sprawa, że poślubiając Okolską, nie miał rozwodu z pierwszą żoną.

Zofia nie byłaby jednak sobą, gdyby w jej życiu zabrakło flirtów. Coś łączyło ją z młodszym o blisko dwadzieścia lat Jerzym Zawieyskim. Literat i katolicki działacz polityczny zrobił na niej duże wrażenie, korespondowali ze sobą, a Nałkowska „postanowiła sobie przystać” na pocałunki. Przyznawała przed sobą, że decyzję o zakończeniu życia seksualnego „utrudniał jej erotyzm we wszystkich epokach jej biografii”. Wiedziała jednak, że ma już swoje lata i powinna postępować zgodnie z przyjętymi normami.

„Pamiętam – wspominał Jan Kott u schyłku lat 40. – jak jeszcze w Łodzi wróciła Nałkowska z parotygodniowego pobytu w Krakowie. [...] Piliśmy herbatę do późna, Nałkowska była bardziej niż zwykle uróżowiona, wyglądała na odmłodzoną, oczy miała zawsze wspaniałe, ciemnoniebieskie i bardzo głębokie. O pierwszej w nocy powiedziała: »Poznałam w Krakowie młodego człowieka. Był bardzo ładny. Chciałam go zabrać ze sobą do Łodzi. Ale zrezygnowałam«. Chwilę milczała i dopiła herbatę. »Wie pan, panie Janie, nie mogłam; takie się ma obowiązki względem własnej biografii«”.

PANI GENOWEFA

W intymnym życiorysie prozaiczki można zauważyć pewną prawidłowość. Przez całe życie poddawała się męskiej dominacji, można wręcz odnieść wrażenie, że szukała możliwości podporządkowania się partnerowi. I chociaż to ona była z reguły stroną zrywającą, to agonie związków trwała długo, a czasami potrzebna była interwencja osób trzecich.

W latach okupacji w jej życiu pojawiła się Genowefa Goryszewska, trzydziestoletnia córka robotnika folwarcznego. Miała ukończone cztery klasy szkoły podstawowej i dotychczas pracowała jako służąca przy rodzinach inteligentnych. W domu Nałkowskiej przeszła zadziwiającą metamorfozę, stając się powierniczką i asystentką pisarki. Po wojnie uzupełniła wykształcenie tylko o jedną klasę, co nie przeszkodziło jej w zajęciu miejsca, które dotychczas w życiu Zofii zajmowali mężczyźni. Obie panie połączyła dziwna przyjaźń (bez podtekstów seksualnych), podobnie toksyczna jak związki Zofii z partnerami przeciwnej płci.

Genowefa była osobą „despotyczną, uwielbiającą, zajadłą, złą jak diabeł i zarazem zdolną do wszelkich poświęceń, zuchwałą i oddaną”. Powstanie warszawskie przeżyła

w stolicy i ocalała z mieszkania Nałkowskiej, co tylko się dało. Odtąd towarzyszyła pisarce na dobre i złe, wraz z nią przeniosła się do Łodzi, a następnie powróciła do Warszawy.

Złośliwi opowiadali, że „pani Zofia panuje, ale Genia rządzi”, i mieli całkowitą rację. Nałkowska była jedynym celem w jej życiu, a jej lojalność pozostawała poza wszelkimi podejrzeniami. W zachowanych listach do niej tytułuje ją „najdroższym, jedynym słońcem”. A silnej ręki obok siebie pisarka zawsze potrzebowała.

„Poznałem ekscentryczną – opisywał wizytę na Brackiej Wilhelm Mach – rubaszną, wojowniczo-serdeczną pannę Genowefę, osobę godną powieści, piastującą co się widziało zaraz – szerokie pełnomocnictwa domowe, trochę się wystraszyłem jej żołnierskimi manierami”.

Faktycznie, mógł się wystraszyć, albowiem panna Goryszewska ewoluowała w zadziwiającym tempie. Podporządkowała sobie Zofię, zajęła miejsce Kuczyńskiego i zazdrośnie strzegła swojej pozycji. Pisarka umawiała się z przyjaciółkami za plecami groźnej asystentki, a panna Genowefa zawsze miała wytłumaczenie – nie pozwalała męczyć chlebodawcy.

„Teraz często – wspominała Wanda Melcer – przychodząc do pani Zofii zastawałam u jej nóg Genowefę. Zofia przywiązała się bardzo do tej egzaltowanej dziewczyny, obdarzała ją kosztownymi podarunkami i całkowitym zaufaniem, podając się ze zwykłą biernością tyranii tego uczucia. Kontynuowała też misję uszczęśliwiania: znalazła Genowefie męża – choć pożycie trwało podobno zaledwie parę tygodni – a potem kupiła jej motocykl. Ale gdy czasami zdawało mi się spotkać ją samą na ulicy: »Umówmy się – prosiła – w jakiej kawiarni, tak, żebym mogła uciec Gieni«”.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa spotkała kiedyś Nałkowską na odbudowanej warszawskiej Starówce. Pisarka była dumna, że wymknęła się spod nadzoru Goryszewskiej, i zaproponowała ciastka w kawiarni Pod Krokodylem. Niebawem jednak pojawiła się Genowefa, kategorycznie żądając, aby Zofia za godzinę stawiła się w domu. A ona potulnie zastosowała się do rozkazu.

Wobec osób nieprzestrzegających ustalonych zasad pomocniczka nie miała skrupułów. Gdy uznała, że odwiedziny trwają zbyt długo, bezceremonialnie wkraczała do akcji. Jan Kott wspominał, że „stuknęła i wyrzuciła go za drzwi”, a Zofia to tolerowała...

Asystentka pisarki zmieniała się również fizycznie. Jadwiga Żylińska po przypadkowym spotkaniu na warszawskiej ulicy nie ukrywała zaskoczenia:

„Pewnego dnia zobaczyłam, jak przed Dom Literatów zajeżdża motocykl, z którego zsiadała Genowefa, ale jakże odmieniona. W owym czasie [...] zaczęła prowadzić motocykl, nosiła spodnie i pulower, włosy obcięta po męsku, a witając się składała wojskowy ukłon, stukając przy tym obcasami. Mówiła (przedtem wcale nie mówiła) głosem szorstkim, krótko i stanowczo”.

Najwyraźniej w domu Nałkowskiej potrzebny był substytut męskiej obecności. Czy to przypadek, że jej wszystkie dojrzałe związki wyglądały podobnie? I że gdy mieszkała

razem z partnerem, zgadzała się na jego hegemonię?

„Nie wiem – pisała Żylińska – jaki geniusz pchnął tę wątłą, astmatyczną, wiejską dziewczynę, z pewnym defektem wzroku, na tę karkołomną, w dosłownym i przenośnym tego słowa znaczeniu, drogę, jaką nieomylnie obrała. To, że jej aparycja od początku była aseksualna, umożliwiło teraz ową hermafrodyzyjską metamorfozę, w której była trudna do rozpoznania. W tej nowej wersji była zatrwazająca jedynie przez to, że wymykała się łatwej klasyfikacji. Przewaga Genowefy nad panią Zofią była widoczna, a polegała jak myślę, na sile instynktu tej pierwszej”.

Goryszewska potrafiła rozdzielić pisarkę nawet z jej rodzoną siostrą. Przed wybuchem wojny Kuczyński zmusił matkę autorki do wyprowadzenia się ze wspólnego mieszkania, a teraz Gienia uznała, że jej pozycji zagraża Hanna Nałkowska.

„[...] w jej mieszkaniu – opowiadała Wanda Melcer – rej wodziła młoda kobieta, nie zawsze taktownie sprawując rządy, zabierając głos we wszystkich kwestiach, w każdej dyskusji narzucając własne zdanie, ba, drąc nawet umowy z wydawnictwami, które jej się nie podobały. Hania mieszkała początkowo razem z siostrą, ponieważ jednak Genowefa nie znosiła rywali, a wszelka kontrola wydawała jej się zbędna, Zofia pod jej wpływem poróżniła się z siostrą, która zresztą wyszła po raz drugi za mąż, tak, że nawet, kiedy pani Hania owdowiała, mieszkały już oddzielnie”.

Goryszewska nie przekraczała jednak pewnych granic i zdając sobie sprawę z przywiązania do siebie sióstr, traktowała Hannę na odmiennych zasadach. Wyraziła nawet zgodę na jej dłuższą wizytę – artystka modelowała w mieszkaniu popiersie Zofii. Pracowała w kuchni, a Genowefa wiedząc, że to „podnosi rangę artystyczną domu o nowy stopień”, zrezygnowała ze zwyczajowych pretensji. I nie oponowała, gdy zwierzęta domowe (pies i koty) „roznosiły na łapach glinę po całym mieszkaniu”. A rzeźba Hanny miała w niedalekiej przyszłości posłużyć za model podobizny pisarki na jej grobie w Alei Zasłużonych na Powązkach Wojskowych.

„Nałkowska przyjeżdżała do gmachu radia – pisał Mieczysław Bibrowski – zawsze w towarzystwie tej osoby, która pomagała jej wysiadać z samochodu, prowadziła ją pewnie do celu, przytomnie telefonowała gdzie należy, jeśli trzeba było, pokrzykiwała na woźnych, była sprawna i efektywna, surowa nawet dla pani Zofii”.

Pisarka starzała się coraz bardziej, nigdy zresztą nie była wzorem porządku i samodyscypliny. Asystentka była jej potrzebna, albowiem często „zapominała o jakimś terminie spotkania, o miejscu, gdzie odłożyła rękopis, o zażyciu lekarstwa. Pani Genowefa korygowała niezwłocznie każdy błąd i wszystko płynęło dalej gładko”.

Właściwie tylko dawni znajomi prozaiczki mieli do Goryszewskiej pretensje, i to głównie o ograniczenie jej kontaktów z przyjaciółmi. Osoby obserwujące sytuację z dystansu dostrzegały zalety Gieni, uważając, że bez niej Zofia nie dałaby sobie rady. Nikt nie kwestionował jej oddania; pod płaszczykiem opryskliwości ukrywała swoje uczucia do artystki.

„Ale były to tylko pozory – dodawał Bibrowski – bo szorstka maniera, dryl prawie

wojskowy, kryły człowieka całkowicie oddanego pani Zofii, kobietę, która uwalniała ją od powszednich trosk i kłopotów, wprowadzała do jej samotnego teraz życia element żelaznego ładu, dbała o sprzątanie, o dietę, terminy, porządek w papierach, była jej sekretarką, pomocą, damą do towarzystwa, opiekunką, przy tym niekiedy nieco despotyczną”.

Chyba najlepiej podsumowała sytuację Żylińska, pisząc, że nie wie, „czy pani Zofia była w tym układzie szczęśliwa. Ale nie była samotna.” A to miało dla niej ogromne znaczenie.

OSTATNIE LATA

Zdrowie Nałkowskiej coraz bardziej szwankowało, chociaż „mimo upadku sił fizycznych rozporządzała w dalszym ciągu świetnym umysłem gotowym na poczekaniu do trafnych i ciętych uwag na tematy literackie”. Poważnym problemem stał się natomiast słuch, Nałkowska ukrywała defekt, co „bardzo utrudniało konwersację”. Narzekała również na problemy z koncentracją, przeżywała to boleśnie, mawiała, że „wszystkiego byłaby się spodziewała, ale tego, że będzie stara, to nigdy”. Kilkanaście dni przed śmiercią przewodniczyła zebraniu Związku Literatów i „przez godzinę trzymała się dobrze, a potem zaczęła wyglądać jak upiór”. Wydawało się, że na pewien czas straciła kontakt z otoczeniem. Ale do końca pozostawała sobą.

„Po raz ostatni spotkałam panią Zofię – wspominała Stefania Podhorska-Okołów – w holu Domu Literatów. Było to na parę dni przed atakiem gwałtownej choroby, która położyła kres jej istnieniu. W towarzystwie nieodstępnej pani Geni wybierała się naprzód do lekarza, później do teatru. W nikłym różowym oświetleniu przedsionka, odziana w efektowne jasne futro wyglądała nieprawdopodobnie świeżo i młodo. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie wyrazić jej mojego uznania i podziwu z tego powodu. Przyjęła je z łaskawym uśmiechem”.

Ostatni zapis w *Dzienniku* pochodzi z 8 grudnia, nazajutrz znaleziono pisarkę nieprzytomną. W szpitalu przeżyła jeszcze osiem dni, aż wreszcie nastąpił zgon. „Słowo Powszechne” i „prowincjonalne mutacje »Expressu«” zamieściły nekrologi, zanim jeszcze zmarła. Pod tym względem najwyraźniej nic nie zmieniło się do dzisiaj: dla dziennikarzy zawsze najważniejsza pozostaje informacja, a nie człowiek.

Pogrzeb na Powązkach Wojskowych odbył się ze wszystkimi splendorami, autorka spoczęła w Alei Zasłużonych, niedaleko zmarłego rok wcześniej Juliana Tuwima.

Genowefa Goryszewska po śmierci chlebodawczyni znalazła zatrudnienie jako kierowniczka kancelarii Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. To chyba najlepiej świadczy o jej przemianie w trakcie lat spędzonych z Nałkowską. Ukończyła zaledwie pięć klas szkoły podstawowej, a pracowała na nowym stanowisku aż do śmierci w 1970 r.

Tragicznie potoczyły się losy Bogusława Kuczyńskiego. Był w szpitalu w czasie

ostatniej choroby Zofii, pełnił wartę przy jej zwłokach w Pałacu Prymasowskim. Dwa lata później wszedł w skład komitetu redakcyjnego jej *Pism wybranych*. Jego wkład w twórczość pisarki został doceniony, nie miał podobnych problemów, co Irena Krzywicka, pominięta w zespole przygotowującym pośmiertną edycję dzieł Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

Wydawcy odrzucali jednak jego powieści (a tłumaczenia ukazywały się podczas wojny w Rumunii i Włoszech), w czasopiśmie publikował jedynie opowiadania i fragmenty. W 1960 r. wyjechał z kraju do Włoch, a następnie przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Żył w skrajnej nędzy, coraz bardziej podupadał na zdrowiu, chorował na nowotwór płuc. W lipcu 1974 r. strzelił sobie w usta, dwadzieścia lat po śmierci kobiety, której poświęcił życie.



Rozdział IV. Twarze pani Marii



Maria Dąbrowska (1954 r.)

„Odnosiłem się do pani Marii z należytyym szacunkiem, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że można na nią spojrzeć jak na kobietę. Ten trochę zezowaty karzełek, z grzywką przyciętą na pacholę, był dla mnie ostatnią istotą, do której mógłbym zwracać erotyczne zapęły”. (Czesław Miłosz)

KIJ I MARCHEWKA

Inną pisarką z literackiego Parnasu, która oddała pióro na usługi nowego ustroju, była Maria Dąbrowska. Autorka *Nocy i dni* zapisała się jednak w pamięci czytelników jako przeciwniczka komunistycznych porządków, na co zapewne wpływ miało opublikowanie wyboru *Dzienników* w latach 90. ubiegłego stulecia. Znalazły się tam wyjątkowo ostre opinie na temat powojennej rzeczywistości, a jeszcze mocniejsze sądy

można odnaleźć w pełnym wydaniu notatek pisarki. Ich lektura umożliwia również poznanie subtelnej gry, jaką prowadziły z artystką władze Polski Ludowej.

Autorka nie miała wątpliwości, co oznacza komunizm, i dwa dni po opanowaniu Warszawy przez Sowieców zanotowała z rezygnacją:

„To, co teraz zrobiono z Polską, przechodzi wszystko, co znane jest w dziejach jako cynizm i narzucenie narodowi obcej woli przemocą. I pomyśleć, że ten nieszczęsny naród po pięciu latach tak straszliwych ofiar, takiej niezłomnej walki i pracy podziemnej przeciwko Niemcom nie ma nawet tej satysfakcji, żeby historię tej cudownej walki, pracy, ofiar ujawnić i laurem uwieńczyć. Bo tę naszą krew i walkę opluto, zbezczeszczono, przekreślono”.

Nie miała złudzeń Zofii Nałkowskiej, a może po prostu lepiej orientowała się w polityce? Doskonale wiedziała, że wkroczenie Armii Czerwonej oznacza nową okupację, i obawiała się najgorszego. Miała przecież okazję przyjrzeć się sowieckim metodom we Lwowie po klęsce wrześniowej. Odmówiła wówczas współpracy z komunistami i powróciła pod niemiecką okupację do stolicy.

Nałkowska i Tuwim byli komunistom potrzebni, natomiast Dąbrowska już niekoniecznie. Jej znakomite pióro byłoby cenną zdobyczą, ale pisarka znana była z niepokornego charakteru. Wiadomo jednak, że „byt kształtuje świadomość”, i czynniki rządowe postanowiły odpowiednio „popracować” nad autorką.

Nie wznawiano jej utworów i w pierwszych latach po wojnie głównym źródłem utrzymania Marii były odczyty i wieczory autorskie. Zezwalano na spotkania, czekając na sprzyjającą okazję. A może na ruch ze strony pisarki?

„Borejsza – notowała zrezygnowana – zaproszony przeze mnie na wczoraj, nie przyszedł i dzisiaj. Wyraźnie to lekceważące danie do poznania, że skoro nie pracuję w propagandzie – nie jestem potrzebna. Pieniądzy mam jeszcze na jakieś trzy tygodnie. Nie wiem, co potem robić”.

Szef „Czytelnika” rozgrywał swoją partię popisowo. Po serii odczytów zaproponował duży wywiad na temat *Nocy i dni*, a nawet uwzględnił życzenia autorki w sprawie rozmówcy. Dał do zrozumienia, iż niebawem będzie możliwe wydanie epopei, tym bardziej że powieść z punktu widzenia władz Polski Ludowej powieść nie zawierała niestosowności. Przed Dąbrowską pojawiła się okazja, którą wykorzystała Nałkowska – szansa na ogromne nakłady i poważne dochody.

„Borejsza jest niewątpliwie – pisała w lutym 1946 r. – najlepszym strategiem i dyplomatą swojego obozu na gruncie stosunków z intelektualistami. Działa ostrożnie, precyzyjnie i sprawnie operuje swą taktyką liberalizmu kulturalnego popartego dobrodusznym i powiedziałabym – dobrotliwym stosunkiem do ludzi, przechodzącym z bliższymi mu w jowialną, a może nawet ordynarną rubaszność. Jest nadto pomysłowy, rzeczowy, konkretny, świetny organizator”.

Zdecydowanie gorsze zdanie miała o Włodzimierzu Sokorskim, który wezwał ją, oświadczając, że chciał ją poznać. Uznała to za skandal, albowiem w ten sposób „można

chcieć poznać prostytutkę, przywożąc ją do siebie”.

Metoda kija i marchewki sprawdziła się, bez względu bowiem na panujący ustrój pisarz przecież musi z czegoś żyć. W przypadku Dąbrowskiej emigracja nie wchodziła w rachubę, jej partner życiowy Stanisław Stempowski ciężko chorował na serce. Zresztą za granicą też musiałaby się z czegoś utrzymywać.

Zapewne dlatego zgodziła się na udział w pracach komitetu przygotowującego wrocławski Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju. Znalazła się w doborowym towarzystwie obok: Irène i Frédérica Joliot-Curie, Le Corbusiera, Vercorsa, Kazimierza Ajdukiewicza, Nałkowskiej, Jarosława Iwaszkiewicza, Xawerego Dunikowskiego, Tadeusza Kotarbińskiego i Jana Parandowskiego. Zresztą szczerze wierzyła, że jest szansa na pokój na świecie, a komuniści przecież zawsze „walczyli o pokój”.

„Kto chce, by rozkwitała kultura, by rozszerzała się wolność, by świat zamiast w trwodze i niepewności odbudowywać ruiny, mógł bez trwogi, a w radości tworzyć, ten musi pragnąć pokoju”.

Konsekwencją coraz bliższej współpracy z komunistami był udział w zjeździe zjednoczeniowym PPR i PPS. Opisała go złośliwie w *Dziennikach*, notowała szczegóły, sterowany aplauz delegatów i kolejne mowy działaczy. Z ironiczną satysfakcją zanotowała obecność Tuwima, chociaż przecież sama również pojawiała się na sali obrad.

Borejsza doskonale wywiązał się z zadania. W jednej z rozmów z pisarką przytoczył pytanie Bolesława Bieruta: „Dlaczego pani Maria nas nie lubi?”. To była zawołana groźba – ludzie trafiali za mniejsze przewinienia na Rakowiecką. A niebawem w masowym nakładzie wznowiono *Noce i dni*, co oznaczało koniec problemów finansowych pisarki.

W ŁOŻY SZYDERCÓW

Borejsza pochodził z rodziny żydowskiej, ale dla Dąbrowskiej nie miało to znaczenia. Wprawdzie pod adresem tego narodu zawsze wyrażała wątpliwości, jednak jemu nie wypominała semickich korzeni. Bardziej irytowało ją to, że był rodzonym bratem prokuratora Józefa Różańskiego.

Niepokoili ją jednak zauważalna obecność Żydów w aparacie państwowym, chociaż początkowo obawy ograniczała do sfery ekonomicznej.

„Trapią mnie też posępne rozmyślenia – cierpię na myśl, że Żydzi pod protekcją Rosji zawładnąć mogą znów życiem gospodarczym kraju – co by to była za piekielna krzywda. A nie wolno będzie zabronić im, by tu mieszkali, choć Sowietom wolno będzie wysiedlić Polaków z Małopolski, Wołynia i Wileńszczyzny”.

Z czasem jednak dotarło do niej, że aparat ucisku znalazł się w rękach żydowskich. Dwa lata po zakończeniu wojny dostrzegła wreszcie, iż tym razem nie chodzi o gospodarkę, a Żydzi zmonopolizowali w Polsce władzę.

„UB, sądownictwo są całkowicie w rękach Żydów – W ciągu tych przeszło dwu lat

ani jeden Żyd nie miał procesu politycznego – Żydzi osądzają i na kaźń wydają Polaków – i jak tu nie w Polsce szerzyć wrednego antysemityzmu? I czy kto zdolny jest przypuścić, że jedynie Żydzi są dobrymi Polakami i obywatelami, którzy nie zasługują nigdy niczem na sąd?”.

Z dużą dozą ironii obserwowała natomiast przemiany wśród działaczy komunistycznych. Fanatyczni rewolucjoniści powoli przekształcali się w ludzi dobrze osadzonych w aparacie władzy, a przodowały w tym kobiety. I kiedy pod koniec listopada 1946 r. odwiedziła ją jedna z nowych prominentek, z satysfakcją zanotowała:

„Patrząc na Dembińską mimo woli porównywałam tę skromniutką, nieefektywną, mizerną i fanatyczną komunistkę, z którą nocowałam półtora roku temu przypadkowo w »Czytelniku« – z tą świetną damą w najdroższych wełnach płaszcza, skórkach dobranej do płaszcza torby, w najcieńszych jedwabkach najdroższych pończoch, etc. Damy reżimu – sanacyjne czy rewolucyjne – zawsze to samo – stała się piękną kobietą – oto najpozytywniejszy dla niej wynik łagodnej rewolucji”.

Odrażę natomiast wzbudzała w niej nachalna propaganda. Zauważyła, że „Stalin wywodzony jest od Lenina, mniej więcej jak Chrystus od Boga Ojca”. Zastanawiała się nawet, „kto będzie trzeci w tej nowej Trójcy Świętej”.

A chociaż do religii zawsze miała stosunek ostrożny, to ze zgrozą obserwowała rozwój kultu przywódców partyjnych. Analogie były dostrzegalne, władze używały metod sprawdzonych od stuleci.

„W »Twórczości« (w numerze grudniowym) drukowana jest epopeja o Stalinie jakiegoś gruzińskiego poety, wzorowana zupełnie na kantyczkach i kolędach o narodzeniu Chrystusa. Jest i »święta rodzina« (dla odmiany – szewców) i ludzie śpiewający z darami etc. W ogóle ze wszystkich stron widzi się tendencje do wprowadzania kultu Stalina na miejsce kultu Chrystusa. I jeśli dalej ta koszmarna inscenizacja się uda – śmierć Lenina i narodzenie Stalina będą świętowane zamiast Bożego Narodzenia”.

Z radością natomiast dostrzegała objawy oporu społeczeństwa. Szczególny zachwyty wzbudziły w niej bokserskie mistrzostwa Europy w warszawskiej Hali Gwardii, gdzie doszło do wielu pojedynków polsko-sowieckich. Publiczność skandowała: „Lej Iwana za Katyń”, a gdy radziecki bokser lądował na deskach, podnosiły się okrzyki: „Dobij gołąbka pokoju!!!”. Dąbrowska nie omieszkała zauważyć, że Sowieci zdobyli tylko dwa złote medale (Polacy pięć) i wśród triumfatorów ze wschodu nie było żadnego Rosjanina.

Osobiście nie pozostawała jednak odporna na propagandę. Podobnie jak na Nałkowskiej nie zrobiło na niej specjalnego wrażenia przesunięcie granic kraju i repatriacja milionów Polaków. Uznała, że z faktami historycznymi nie ma możliwości dyskusji, Kresy były stracone, a bez Ziemi Odzyskanych Polskę skazano by na los Księstwa Warszawskiego. Poza tym chyba naprawdę uwierzyła w piastowską przeszłość Śląska i Pomorza.

„Wczoraj wieczorem i dziś rano – pisała Anna Kowalska – rozmawiałam z M. o Ziemiach Odzyskanych. Nie słyszałam – z dwoma czy trzema wyjątkami – jednego

dobrego słowa o tych ziemiach. M. twierdzi, że to brak znajomości historii”.

I chociaż Dąbrowska zdecydowała się na współpracę z komunistami, nie oszczędzała krytyki kolegom po piórze, potrafiącym lepiej się urządzić w nowych czasach. Ze szczególną złośliwością pisała o Nałkowskiej, która podobno „robiła wielkie starania, aby zostać ambasadorką w Paryżu”, ale została pokonana „przez Żyda Litwaka Skrzyszewskiego”. Podejrzewała, że pisarka „dostaje chyba żółtaczkę – z zawiści”.

Nałkowskiej dostało się również za *Medaliony*. Na spotkaniu literackim pani Zofia przeczytała fragment utworu, który Dąbrowskiej wydał się bardzo słaby, uznała go za „makabrę z czasów okupacji”. Stwierdziła, że został „podany z lodowatą elegancją pustki wewnętrznej” i zwyczajnie „nudził i raził”.

Fatalne wrażenie zrobiło na niej pierwsze posiedzenie PEN Clubu w lutym 1947 r. Obecne były same sławy przedwojennej literatury, co wcale nie wpłynęło na poziom dyskusji:

„[...] tłuste i zadowolone trupy zasiadły do biesiady życia na dymiącym jeszcze od krwi pobojuwisku. Te martwe, puste, szklane oczy – a nawet brak im oczu! Ta doskonała służbistość wstająca w głębokim milczeniu przy wejściu dygnitarza! To radosne poczucie zupełnej sytości psychicznej i fizycznej! Ten absolutny brak śladu, cienia bodaj tragedii co przeszła nad narodem i jakby ich nie dotknęła, nie musnęła nawet! I to te wszystkie usta »śmię pochlebiać sobie«, że mają wyśpiewać czy wyśpiewują sobie epos i etos narodu? Czuję się jak wśród cudzoziemców!”.

Wyjątkowo złośliwie wypowiadała się również o Tuwimie, bez wątpienia zazdroszcząc mu uznania nowych władz. Poza tym poecie komuniści zapewnili luksusowe warunki, o jakich mogła tylko pomarzyć. A w codziennym życiu jak zawsze rządziły pieniądze.

„Dziś w »Życiu Warszawy« opis triumfalnego przyjęcia Tuwima w Moskwie, jako tego, »co protestował przeciwko Polsce przedwrześniowej, a w czasie wojny zagrzewał do walki z okupantem«. Jezus Maria! Ile słów tyle łgarstw. Tuwim jest stary fircyk, co przed wojną ścisnął się z Wieniawą-Długoszowskim i Nowaczyńskim i ani śniło mu się przecie czemukolwiek protestować (z wyjątkiem jak każdy poeta przeciwko filistrowi i mieszcuchowi – w wierszach), a gdy wojna wybuchła, uciekł (słusznie, bo by Niemcy rozwalili, jak rozwalili jego matkę, której nie zabrał), we Francji napisał wiersz *Ja bić się nie potrafię*, a po wojnie wznosił teatryki i przedstawienia w rodzaju *Królowej Madagaskaru*, *Słomkowego kapelusza*, *Jadzi wdowy* etc., na czym robi kokosy. Wszystko to jest zwyczajnie ludzkie. Tylko po co robić z niego bohatera. Wystarczy – że poeta!”.

LIST 34

„[...] »Czytelnik« robi jednocześnie dwa wydania *Nocy i dni* – pisała Maria w styczniu 1950 r. – Wznawia wydanie poprzednie w tym samym formacie w dziesięciu tysiącach egzemplarzy (i to drukuje w Krakowie) oraz robi wydanie nowe, jak oni to

nazywają »albumowe« (na wzór *Cichego Donu* Szołochowa) w dwudziestu tysiącach egzemplarzy, które drukuje w Katowicach. Kiedy napomknęłam, że to wydanie albumowe miało być w trzydziestu albo czterdziestu tysiącach egzemplarzy, wyjaśniła mi, że przechodzą na nieco mniejsze nakłady, gdyż nie mają dość obszernych magazynów, aby pomieścić tak wielką ilość książek. Ale ja myślę, że w grę wchodzi tu kwestia przydziału papieru. Wątpię, aby na mnie dali go tyle, co na Szołochowa. W każdym razie rzecz się przedstawia lepiej niż sobie wyobraziłam”.

Losami pisarki osobiście interesował się Bolesław Bierut pamiętający ją z Lublina z okresu II wojny światowej, gdzie redagowała spółdzielcze pismo „Polska Ludowa”. A towarzysz Tomasz w odróżnieniu od wielu swoich partyjnych kolegów dobrze rozumiał, że do pisarzy należy odnosić się z szacunkiem, gdyż mają ogromny wpływ na opinię publiczną.

Również Wasilewska ceniła Marię wysoko. Wanda Lwowna puściła w niepamięć jej postawę w sowieckim Lwowie i naciskała na polskie władze, aby unormować stosunki z pisarką. Aleksander Wat uważał, że to właśnie zdanie Bieruta i Wasilewskiej przeważało, i pod koniec lat 40. „zaczęto właściwie bardzo tańczyć koło Dąbrowskiej”. Aby autorkę nastawić przychylnie, „obstawiono ją ludźmi pewnymi, zresztą przyzwoitymi. Wprawdzie byli to stalinowcy, ale udawali »niby porządnych ludzi«. Pisarka jednak „w miarę trzymała się aż do końca 1952 r.”, ale „potem nie wytrzymała”, co nie powinno specjalnie dziwić, gdyż „atmosfera była straszna”.

Komuniści mieli wiele sposobów, aby wykazać swoje możliwości. Jednym z nich było postępowanie wobec autorki *Nocy i dni* podczas pamiętnej wymiany pieniędzy w październiku 1950 r.

Pogłoski na ten temat krążyły już od dłuższego czasu, a Dąbrowska odwiedzając jeden z banków tuż przed samą operacją, zauważyła ze zdziwieniem niespotykany ruch w placówce. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją, że klientami byli głównie urzędnicy i pracownicy sektora bankowego. I gdy w niedzielę 29 października usłyszała w radiu wezwanie do stawienia się w miejscu pracy dla pracowników banków, wiedziała już, co się stało.

„Od razy zrozumiałam – pisała z rezygnacją trzy dni później – że ta reforma czyni mnie bankrutem. Miałam bowiem niezręczność przenieść połowę należności z »Czytelnika« na moje konto w Banku Rzemiosł i Handlu [...]. Będę ukarana za to, że nie zużyłam tych pieniędzy na własną korzyść, lecz zostawiłam je w banku na użytek państwa. Że pożyczyłam je państwu. Człowiek jest dziś karany nie za nielojalność, z której zawsze jakoś się wymiga, lecz za lojalność wobec państwa”.

Zarządzenie władz określało, że gotówkę można było wymieniać w stosunku sto do jednego, natomiast wkłady na kontach oszczędnościowych sto do trzech. Maria łudziła się jeszcze i w rozmowie z Jerzym Putramentem poruszyła temat swoich płatności z „Czytelnika”.

Aparatczyk wyjaśnił jej, że należności będą przeliczane według różnych kursów.

Pierwsze sto tysięcy w stosunku sto do trzech, następne sto do dwóch, a pozostałe sto do jednego. Pisarka obliczyła, że otrzyma około trzydziestu pięciu tysięcy nowych złotych, co powinno jej wystarczyć na kilka miesięcy.

„»Jedynym pani ratunkiem – mówił Putrament – jest jak najprędzej dać nową książkę. Pani opowiadanie *Skórka od słoniny* mogłoby pójść jakieś trzy lata temu, kiedy nam jeszcze zależało na przekonywaniu inteligencji. Dziś nam już na tym nie zależy. Kto wysiadł z tramwaju, to wysiadł, tramwaj stawał kilka razy, ale teraz odjeżdża już definitywnie. [...] My będziemy teraz tylko dbać o tych pisarzy, co do tramwaju wsiedli i z nami jadą”.

Ale tematu nie zamykał definitywnie. Zaproponował, żeby nieco „przyspieszyła tempo” i jednak „wsiadła z nimi do tramwaju”, albowiem władze gotowe są „troszeczkę go dla niej zatrzymać”.

Faktycznie, Putrament dotrzymał słowa i gdy Dąbrowska kilka dni później sprawdziła stan swojego konta, zamiast spodziewanych trzydziestu pięciu znalazła na nim czterdzieści tysięcy. Sama przed sobą uspokajała się, że to zapewne Związek Literatów coś wytargował, ale dobrze wiedziała, iż działacz dotrzymał słowa. A teraz wyczekiwał na jej ruch.

W styczniu 1952 r. zmarł partner pisarki, Stanisław Stempowski. Ten był socjalista i mason znany był ze swojego nieprzejednanego stanowiska wobec komunistów i zapewne jego śmierć przyspieszyła decyzję Marii. Niebawem weszła do Komitetu Wyborczego Frontu Jedności Narodu.

„Nie potrafię żyć – pisała w *Dzienniku* – w absolutnej negacji. Kocham każdą rzeczywistość w tym, co mi się zdaje w niej dobre. Nienawidzę każdej w tym, co w niej złe”.

Pisarka nie zawiodła, ale komuniści nie byli zachwyceni. Opowiadanie *Na wsi wesele* nie spełniało wymogów socrealizmu – w treści pojawiały się motywy zagrożenia kolektywizacją i emigracją do miast. A chociaż autorka pozytywnie wypowiadała się o reformie rolnej, to jednak nie tego od niej oczekiwano. Wątpliwości osobiście rozwiązał jednak Bierut, przyjmując ją ze wszystkimi honorami w Belwederze.

Dąbrowska angażowała się coraz bardziej i napisała pierwszą w Polsce publiczną deklarację przeciwko zachodnim politykom, rzekomo dążącym do wojny. Odmówiła jednak współpracy z ruchem spółdzielczym, z którym związana była przez wiele lat. Chyba zabrakło jej wiary (całkiem zresztą słusznie) w niezależność spółdzielczości i uznała, że po 1945 r. została ona skompromitowana. A chociaż planowano wydawanie codziennego pisma spółdzielczego z autorką jako redaktorem naczelnym, projektu nigdy nie zrealizowano.

„Dziś spółdzielczość w Polsce – pisała w artykule na pięćdziesięciolecie Społem – nie jest już tym, czym była i czym być obiecywała. Nie znam jej zresztą bliżej. Zdaje się, że mimo świetnych pozorów ucierpiała na cechującej dotąd nasz ustrój sztywnej centralizacji wszystkich dziedzin życia”.

Sugerowała wprawdzie, że wierzy w przyszłość ruchu, ale był to wyłącznie kamuflaż. Nie miała złudzeń, iż pewien rozdział jej życia został ostatecznie zamknięty, a na spotkaniach autorskich pytania na ten temat zbywała ogólnikami.

Flirt z komunistami trwał do marca 1964 r., kiedy znalazła się w gronie sygnatariuszy *Listu 34*, złożonego przez Antoniego Słonimskiego na ręce Józefa Cyrankiewicza. Tekst był krótki, zawierał zaledwie dwa zdania protestu przeciwko cenzurze i ograniczeniom w przydziale papieru. Dąbrowska nie miała zaufania do tego rodzaju metod, kiedy jednak pojawił się u niej Jan Józef Lipski, nie odmówiła:

„Przyniósł jakiś króciutki tekst zwracający się do Rządu o rozszerzenie wolności słowa zawarowanego Konstytucją. Było tam już dużo podpisów uczonych i pisarzy o bardzo sławnych nazwiskach. Nie palę się do takich »petycji«, bo to nic nie da, ale tak wciąż wszystkiego odmawiam, że zawsze w końcu zdarzy się coś czemu po prostu na zasadzie prawa liczb czy prawdopodobieństwa – nie odmówię. Bez dyskusji więc chciałam podpisać w przypadającej na mnie kolejności. Lipski na to: »Chciałem prosić – bo tu pod profesorem Infeldem zrobił się taki odstęp – żeby to miejsce wypełnić, może tu pani podpisze« (Infelda podpis był pierwszy). Podpisałam bezmyślnie. Bezmyślność to moja największa wada. Bo to był bardzo naiwny manewr – żeby uzyskać mój podpis na tak zwanym »czołowym« miejscu. Powinnam była powiedzieć: »Nie, proszę pana, to jest niedobry manewr. Adresaci pomyślą od razu, że inni podpisali, widząc mój podpis«. Tymczasem rzecz miała się odwrotnie. Ja podpisałam widząc tyle podpisów”.

List 34 podpisała również Anna Kowalska (partnerka Marii), akceptacji natomiast odmówiła Kazimiera Iłłakowiczówna, uważając sprawę za pusty gest. Sfery rządowe podpis Dąbrowskiej pominęły milczeniem, atak skierowano na Lipskiego (został zatrzymany), Słonimskiego, Pawła Jasienicę i Kowalską. Najostrzejsze represje dotknęły Melchiora Wańkowicza, któremu zarzucono przekazanie na Zachód tekstu zawierającego „fałszywe informacje oczerniające Polskę Ludową”. Został aresztowany i skazany na trzy lata więzienia. Wyroku nie wykonano, chociaż pisarz dążył do jego realizacji.

Autorka *Nocy i dni* miała rację. Wprawdzie list ogłosiły Radio Wolna Europa i londyński dziennik „The Times”, jednak niebawem okazało się, że dziesięciu jego sygnatariuszy podpisało przygotowany przez władze list do „Times’a”. Krytykował on Wolną Europę i oznajmiał, że w Polsce represji nie ma.

„Podpisali ów elaborat – notowała z niesmakiem Dąbrowska – wszyscy naukowcy z owych trzydziestu czterech »bohaterów« – z wyjątkiem trzech: Kotarbińskiego, Estreichera i nie pamiętam trzeciego, bodaj czy nie Szczepański. Podpisał go nawet!... Infeld, który na parę dni przedtem proponował mi »protest przeciwko represjom« i Gieysztor, który sam podlega dyskryminacji, o czym wspomina w osobnym liście do premiera [...] Podpisał nawet osiemdziesięcioletni Sierpiński, któremu zdjęto z radia cykl popularnych wykładów! Słowem profesorowie okazali się zawszonymi tchórzami, a ja myślałam, że środowisko literackie jest najgorsze”.

Maria dobrze wiedziała, że polskie władze nie mają wiele do powiedzenia. Były

tylko marionetkami Kremla, ściśle wypełniającymi polecenia Sowietów.

„Oni [polscy komuniści – red.] się niczego nie boją, bo nic nie wiedzą i nie rozumieją, a jednocześnie boją się wszystkiego, ponieważ są tylko wykonawcami instrukcji moskiewskich i nigdy nie mogą być pewni, czy zachowali się, nie przekraczając instrukcji i czy nie zostaną zbesztani”.

Podobno do Komorowa (gdzie Dąbrowska wówczas mieszkała) wybierał się osobiście Władysław Gomułka, aby osobiście z nią porozmawiać na temat jej podpisu pod *Listem 34*. Wymówiła się stanem zdrowia, ale w zamian pojawił się Putrament, przynosząc dużą, surową rybę (bolenia). Zaniósł ją do kuchni, wyszedł niemal bez słowa i nie wiadomo właściwie, o co mu chodziło...

MIŁOŚĆ I ALKOHOL

W prywatnym życiu pisarki można odnaleźć pewne prawidłowości. Mężczyźni, z którymi łączyły ją intymne kontakty, posiadali dwie charakterystyczne cechy: byli przewlekłe chorzy i wyjątkowo urodziwi. Marian Dąbrowski i Stanisław Stempowski chorowali na serce, a Jerzy Czop na uwięź rdzenia kręgosłupa. Z powodu schorzenia partnera szczególnie ucierpiał blisko trzydziestoletni związek ze Stempowskim:

„Nie marzyłam – pisała w czerwcu 1926 r. – że [...] się we mnie zakocha, a tak bardzo się zakochał. Takie jakieś cudy dzieją się na świecie. A teraz co? Dostał ataku sercowego”.

Jego stan zdrowia zdeterminował charakter ich związku. Partner nie mógł daleko wyjeżdżać, a Dąbrowska nie potrafiła żyć bez podróży. Ucierpiało również ich życie seksualne, współżyli ze sobą praktycznie tylko przez kilka pierwszych lat. Pisarka pocieszała się w ramionach Jerzego Czopa, przystojnego właściciela sanatorium w Jaworze. Ich romans trwał latami, autorka każdego roku spędzała u niego kilka miesięcy.

Gustowała w przystojnych mężczyznach, osobiście natomiast była mocno dyskusyjnej urody. Niska i drobna, nie stosowała makijażu, nie nosiła biżuterii, lubiła garnitury i praktycznie przez całe życie nie zmieniała fryzury (na pazia). A do tego miała dość poważnego zeza.

„Odnosiłem się do pani Marii z należyтым szacunkiem – wspominał Czesław Miłosz – ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że można na nią spojrzeć jak na kobietę. Ten trochę zezowaty karzełek, z grzywką przyciętą na pacholę, był dla mnie ostatnią istotą, do której mógłbym zwracać erotyczne zapały”.

Niektórzy mieli jeszcze gorsze zdanie. Antoni Słonimski nazwał ją „skrzyżowaniem jamnika z Piastem Kołodziejem” i określenie to szybko zdobyło popularność. Artystka poczuła się dotknięta i z lubością publicznie powtarzała o Słonimskim opinię Mariana Hemara: „Jaka szmata zrobiła się z literata”...

Inna sprawa, że prywatnie na temat własnej aparycji Maria miała raczej dobre zdanie. Zdarzało się jej pisać, że „dotykam swojego ciała, jeszcze tak młodego mimo

wieku i myślę głupawo: »Oto ciało jednego z ostatnich mieszkańców globu ziemskiego«”. A miała wówczas już ponad sześćdziesiąt lat. Trzy lata później zanotowała, że „wciąż jeszcze jest zgrabna”, dodając jednak, iż „już taka brzydka”. Nie byłaby jednak kobietą, gdyby nie wtrąciła, że „ludzie wciąż mi mówią, że świetnie i młodo wyglądam”.

Przez wiele lat czynnie uprawiała sport, jeździła na rowerze, dużo chodziła, zimą często gościła na lodowisku. Na kobiety dbające o wygląd patrzyła z niesmakiem, nigdy nie mogła zrozumieć zabiegów Nałkowskiej, jej upodobania do nowych fryzur i makijażu.

Zmarły w początkach 1939 r. Jerzy Czop był prawdopodobnie ostatnim mężczyzną w życiu Marii Dąbrowskiej. Zbliżająca się do pięćdziesiątego roku życia pisarka zaczęła okazywać zainteresowanie kobietami. W 1938 r. poznała we Lwowie małżeństwo Stanisławy i Izydora Blumenfeldów, u nich też zatrzymała się ze Stempowskim po ucieczce z Warszawy we wrześniu 1939 r.

Zakochała się w Stanisławie, a po powrocie do Warszawy tęskniła, martwiła się o jej losy, marząc o spotkaniu. Podobno śniła o niej niemal każdej nocy:

„Miałam dziś sen o Stasi, po którym zbudziłam się zrozpaczona, przerażona, niepokieszona. Śniło mi się, że jakimś sposobem znalazłam się we Lwowie – i że cały dom Inecków przyjął mnie wrogo. Wyrzekano z powodu listów do niej pisanych, Stasia brutalnie na mnie nakrzyczała, że ja zawsze ją męczyłam – ona, która przecież sama zainicjowała naszą przyjaźń, wyciągnęła do mnie rękę i serce. Mineczek wyszedł z domu, chłopcy byli jacyś drwiący. Ale najgorszy był ten brutalny krzyk i wyraz twarzy Stasi”.

Po zajęciu Lwowa przez Niemców pojechała nad Pełtew, cofnięto jej jednak zezwolenie na pobyt i po trzech tygodniach z trudem wydostała się z miasta. Ze Stanisławą spotkała się tylko przelotnie, w zamian jednak poznała Annę Kowalską, która miała odegrać ogromną rolę w jej życiu.

Stanisława Blumenfeld podzieliła los lwowskich Żydów i zginęła podczas wojny. Dąbrowska dowiedziawszy się o tym, w grudniu 1942 r. zapisała, że „skończyła się ostatnia miłość jej życia”.

W następnym roku do Warszawy przeniosła się Kowalska z mężem, zamieszkując po sąsiedzku w tej samej kamienicy przy ulicy Polnej. Anna, młodsza od Marii o czternaście lat, była żoną profesora filologii klasycznej, Jerzego Kowalskiego. Małżeństwo uchodziło za udane, oboje wspólnie pisali powieści i opowiadania, dużo też przed wojną razem podróżowali.

Kowalska zakochała się w Marii i swoich uczuć nie ukrywała. Dąbrowska pozwalała się adorować, ale uczuciowo się nie angażowała.

„Anna wpadła w tak straszną rozpacz, że ją przestanę kochać, że płakała jak dziecko. Jej bezprzykładna miłość – bezprzykładna zważywszy na całkiem już niegodny przedmiot miłości – rozrzewnia mnie i roztkliwi do tego stopnia, że wywołuje jakieś podobieństwo miłości. Dałabym nie wiem co, żeby istotnie – dla niej – w czułość rozkwitło. Bo mnie już tego rodzaju uczuć nie trzeba. Kocham Annę nad wszystkich, ale nie erotyczną miłością, choć tak żywą, że tego rodzaju przywiązań jeszcze dotąd nie znałam”.

Sytuacja jednak powoli ulegała zmianie i w styczniu 1945 r. Dąbrowska miewała już erotyczne sny o Kowalskiej. Tęsknocie sprzyjała rozłąka, Anna w tym czasie wyjechała do męża do Lublina i przez dwa miesiące nie dawała znaku życia. Maria ciężko to przeżyła:

„Ona, która pisała rok temu »obeszłambym kulę ziemską, żeby przynieść ci szklanę wody« – dziś nie zatroskała się nawet, co się z nami dzieje, nie uczuła potrzeby porozumienia się naszego co do rozpoczęcia nowego życia. I właśnie w czasie, gdy ja wreszcie ocknęłam się z mojego przeszło dwuletniego odrętwienia i rozpoznałam wreszcie moje uczucia do niej jako wielką może największą w życiu miłość”.

Tymczasem Anna usiłowała dojść do siebie. Przyznawała, że „wspomnienia ostatnich pięciu miesięcy z M. są koszmarne”, a już do zupełnej pasji doprowadzał ją egocentryzm partnerki. Powtarzała ze złością słowa Marii, nierozumiejącej, „jak oni mogli wywołać powstanie [warszawskie – red.], a nic nie zrobić, żeby mnie ocalić”. Utwierdzał ją w tym mąż, uważając, że Dąbrowska traktowała Kowalską jak służącą. Nie wiadomo jednak, czy wiedział o zaangażowaniu uczuciowym żony. Zapewne wówczas uważał jej związek z pisarką za specyficzny rodzaj damskiej przyjaźni.

Egoizm Dąbrowskiej nie był jednak wyjątkiem, Kowalska zauważyła, że większość literatów zachowywała się tak, jakby ich „właściwie nic nie obchodziło naprawdę oprócz nich samych”. I zbywali niecierpliwie „wszystko, co nie jest rozmową na temat ich twórczości”.

Maria zdecydowała się walczyć o uczucia Anny. Uznała, że „odnajdzie ją i przekona, że jest taką, jaką zawsze chciała widzieć”. Albowiem przecież kochała ją od chwili, „kiedy we Lwowie ułożyła ją na swojej kanapie i okryła pledem”. Miała dar przekonywania i od tej pory ich znajomość przerodziła się w ciąg rozstań, wymówek, powrotów i scen zazdrości. A Dąbrowska zanotowała szokującą w ustach kobiety opinię:

„Boże jacy mężczyźni są cudownie dyskretni. Jak cudowna jest ich miłość, nie wchodząca w zakamarki, które powinny pozostać nienaruszone, aby mogła ostać się miłość”.

Anna oczekiwała erotyzmu, który chyba nie był już wówczas Marii potrzebny. Czasami jednak nocą płacząc „osiągała co chciała” i pisarka zgadzała się na seksualne zbliżenia. Zachowywała się przy tym jak typowy pies ogrodnika i nie potrafiła ukryć rozczarowania, kiedy przyjaciółka zaszła w ciążę z mężem:

„To co przeżyłam w związku z Anną – notowała 7 marca 1946 r. – która mnie kocha jak nigdy a jest w siódmym miesiącu ciąży z mężem (wrześniowy pobyt w Krakowie), jest najprzykrzejszym, najboleśniejszym, najdziwniejszym, ale i najbrzydszym chyba przeżyciem mojego życia osobistego. Nie mam na to słów. Tydzień temu wróciłam od Anny, która przez całe trzy lata tak i teraz jest opętana miłością do mnie. I ja ją kocham – ale już teraz z jakąś litością a zarazem z lękiem. Do czego ona mnie jeszcze doprowadzi – w co ja z nią zabrnę i czy godziwe jest bym się tak dała jej niszczyć – Nie już tego nie rozstrzygnę. Coś nas związało na zawsze i mimo wszystko – ale nie na szczęście niestety”.

Wydaje się, że partnerzy obu pań bez większych problemów pogodzili się z sytuacją. Stempowski nie protestował, nie słyhać było również o sprzeciwach Kowalskiego. Niewykluczone, że panowie uznali, iż planowana przeprowadzka Anny i Jerzego Kowalskich do Wrocławia zakończy problem. Nie docenili jednak determinacji swoich partnerek.

Rozłąka nie wpłynęła na temperaturę uczuć. Dąbrowska dzieliła czas pomiędzy Wrocław a Warszawę, a w styczniu 1948 r. zmarł mąż Anny. Od tej pory panie regularnie się odwiedzały, do Wrocławia przyjeżdżał nawet Stempowski, pozostając tam tygodniami. Do obojga przywiązała się mała córeczka Anny – Tulcia (Maria), nazywając Stanisława „dziadkiem”.

„M. gniewa się – pisała Anna kilka tygodni po śmierci męża – gdy ja wspominam o jej dobroci. Ona nie wie, że jest dobra. W niej jest słońce dobroci oświetlającej wszystko to, co ona widzi. Stąd jej namiętna reakcja na każdą krzywdę. Ona świetnie diagnozuje ludzi, trafność jej określeń często mnie wprost olśniewa”.

W tym czasie w życiu autorki *Nocy i dni* coraz większą rolę zaczął odgrywać alkohol. Już w lipcu 1945 r. notowała, że „zaczyna się upijać z rozpaczy”, tłumaczyła to jednak problemami własnej psychiki:

„Mam taką dziwną okropną naturę. Denerwują mnie ludzie, którzy są zbyt zależni ode mnie czy uczuciowo – czy materialnie – a razem nie potrafię żyć bez czyjogoś zupełnego oddania”.

Zdarzały się jej alkoholowe porównania, zauważyła kiedyś, że namiętność Kowalskiej „grzeje ją jak gorzała”. W marcu 1946 r. zaprzestała wpisów do *Dziennika* na ponad miesiąc, a gdy na nowo zaczęła prowadzić notatki, z rezygnacją zauważyła, że „jest zupełnie wyniszczona kawą i wódką, którymi usiłuje zabić nieszczęście swoje”. Wracając do domu, często zaglądała na chwilę do pobliskiego sklepu, aby zakupić ćwiartkę wódki.

Problemy alkoholowe nasiliły się po śmierci Stempowskiego w styczniu 1952 r. Przyznawała się do tego dyskretnie w *Dziennikach*, chociaż tam wspominała o wódeczce z Miłoszem czy o drobnych dawkach alkoholu ze znajomymi. Kowalska miała na ten temat jednak zupełnie inne zdanie:

„Lękam się o M. – pisała w końcu czerwca 1952 r. – rozpaczam, że się niszczy – pali, pije. I nic nie pomaga, że proszę i błagam, i zaklinam. Miłość jak choroba trawi mnie. I jakoś strasznie mi jej żal. I podziwiam jej dzielność, jej doskonałość materii, z jakiej jest zrobiona. I boli mnie jej samotność”.

Anna z przerażeniem obserwowała zmiany w zachowaniu partnerki. Wydawało się, że Maria przestała panować nad problemem i pogrążyła się w uzależnieniu:

„W południe zastałam byłam M. dziwną. Alkohol buchał od niej. Skamieniałam. Nawet najżarliwsza, najżywsza miłość nie może jej wystarczyć. Nie tego bowiem potrzebuje, ale adoracji, pochwał, utwierdzeń, komplementów itd. Niestety, tego nie potrafię dać nikomu na świecie. Kocham ją. Cóż można więcej. Ale wiem, że jej nie dogodzę, nie ocale”.

Podupadające zdrowie wpłynęło jednak na rozwiązanie problemu. Ale Dąbrowska nigdy całkowicie nie porzuciła alkoholu i w styczniu 1961 r. Kowalska zanotowała:

„Maryjka ostatnio niespodziewanie wróciła do sił, do siebie, jak się to mówi. Oby jak najdłużej. Słonimski niepotrzebnie powiedział, że doradzano mu we Francji pić alkohol. Maryjka podczas świąt piła trochę żubrówki i wina”.

ŚLADAMI SAFONY

Związek na odległość był uciążliwy, ale Kowalska wahała się przed przeprowadzką do Warszawy. Problem stanowiła córeczka, za którą Dąbrowska nie przepadała. W mieszkaniu na Polnej dziecko zresztą nie miałoby najlepszych warunków.

„Polna to znaczy poświęcenie interesów Tulci – w jadalni nie będzie mogła się wyspać, nie będzie wolna, nie będzie miała domu, przez pół roku to ciemnica – jadalnia. Pozostawanie we Wrocławiu jest nieuczciwe wobec Maryjki, gdyż za dużo tu wkłada pieniędzy i jest skazana na samotność, którą źle znosi. Należy jej się opieka, a raczej troska”.

Anna z córką ostatecznie przeniosły się jednak do Warszawy i cała trójka zamieszkała w Alejach Niepodległości. Obie panie wzajemnie przyciągały się i odpychały, a sprawy wychowania Tulci potrafiły podzielić je na dobre. Na punkcie córki Kowalska miała obsesję, czego Dąbrowska nie rozumiała. Dziecko pisarkę męczyło, według niej Tulcia była „zepsutą dziewczyną, o złych skłonnościach, bez uczuć, niezdolną do dobrego, do szlachetnego”. Anna podejrzewała, że przyjaciółka widzi w jej córce „Tomaszka z *Nocy i dni*. Istotę bez pamięci przeżyć i bez uczuć”. Maria przyznawała zresztą, że „nie jest zdolna do życia rodzinnego”, do którego jednak czasami tęskniła.

Wspólne gospodarstwo domowe oznaczało podział obowiązków, co stało się źródłem konfliktów. Starsza partnerka oczekiwała, że Anna zastąpi w jej życiu Stempowskiego i zdejmie z niej codzienne problemy, dając jej czas na pisanie.

Kowalska sama jednak miała ambicje literackie i zajęcie się domem (była przecież jeszcze Tulcia) oznaczało utratę szans na pracę. Z goryczą notowała, że przy Dąbrowskiej „spada do rzędu trochę lepszej Marysi”. Ostatecznie panie zrezygnowały ze wspólnego mieszkania i Maria przeniosła się do skromnej willi w Komorowie pod Warszawą.

„[...] widzę, że nasz projekt zamieszkania razem – pisała szczerze Dąbrowska – jeśliby się zrealizował, przyniesie nam tylko cierpienie, przy najlepszych nawet chęciach i woli. Przy czym Anna więcej ryzykuje, bo żyjąc sama, ma większe szanse stworzenia sobie nowego życia osobistego. Mogłaby wyjść za mąż, gdyby tylko miała na to chęć, której, niestety, nie ma, tak przynajmniej mówi i śmiertelnie się obraża, gdy jej o tym wspomnę”.

Pisarka wspomagała Annę finansowo i przyjaciółka zdawała sobie sprawę, że bez tej pomocy nie dałaby sobie rady. Wolałaby uniknąć zobowiązań, ale było to niemożliwe. Publikacje zmarłego męża nie przynosiły praktycznie dochodów, a sama zarabiała mało

i bardzo nieregularnie. A dziecko miało swoje potrzeby.

Nie miała łatwego charakteru, ale rekompensowała to osobowością, a intelektem wcale nie ustępowała partnerce.

„[...] była interesującą pisarką – wspominała Irena Szymańska – i o wiele bardziej interesującym człowiekiem. Z postanowienia pesymistka (pamiętam jak odwiedziła mnie, kiedy byłam chora, i siedząc przy moim łóżku, duża i tęga, nawet z twarzy podobna do Buddy, złożąwszy ręce na obfitym brzuchu, mówiła spokojnie, wręcz wesoło: »No cóż, nadchodzi koniec epoki prometejskiej, nasz świat wkrótce zniknie z powierzchni ziemi«) z charakteru była czynną, dobrą, życzliwą optymistką”.

Dwoje ludzi spędzających ze sobą wiele czasu przejmują wzajemnie słownictwo, sposób myślenia, a nierzadko poglądy. W związku Marii i Anny to jednak autorka *Nocy i dni* była stroną biorącą, co czasami irytowało partnerkę:

„To prawda, że M. kocha mnie. Często o tym zapominam. Ale też rzadko kto tak mnie łupił jak ona. To jest nieprawdopodobne! Dziewięćdziesiąt procent tego, co mówi i pisze jest żywcem przeniesione z moich rozmów. Dalibóg M. bardzo się rozwinęła”.

U schyłku życia Dąbrowska nie była przekonana, czy dokonała właściwego wyboru. Z nostalgią wspominała swoich męskich partnerów, uznając, że lata spędzone u ich boku były najpiękniejszymi w jej życiu.

„Całe życie przeżyłam z mężczyznami i to było szczęśliwe życie. Może byłabym dotąd, jak wszyscy mi przepowiadali, radosna, młoda silna, gdyby tak pozostało. Klęską mojego życia i zdrowia jest, że kończę je w towarzystwie kobiet”.

TESTAMENTY MARII DĄBROWSKIEJ

Autorka *Nocy i dni* swoimi poglądami przypominała przedwojennych socjalistów. Nienawiść do Kremla i komunizmu, patriotyzm i duża niechęć do Kościoła katolickiego. Dąbrowska przez długie lata uważała kler za „czarnych łajdaków w sutannach”, pisała, że księża można porównać tylko „ze świniami”, co i tak stanowi dla nich „zbyt wiele zaszczytu”.

Lata Polski Ludowej i wojna państwa z Kościołem jednak odmieniły jej poglądy. Doszła do wniosku, że sowietyzacja kraju wymaga innego stosunku do religii, ale Kowalska miała inne zdanie:

„M. chodzi w Komorowie na Mszę! Jak gdyby nigdy nic. Skąd ta zmiana. Może trochę z lęku przed śmiercią – ale zdaje mi się, że, to z obawy przed opinią. M. porobiła już znajomości, a ci wszyscy [...] to ludzie, dla których człowiek niechodzący do kościoła jest przedmiotem abominacji. Tak więc przysłowie »Jak kto wejdzie między wrony, musi krakać jak i one« jest prawdziwe”.

W rzeczywistości zmianę w poglądach pisarki przyniósł pontyfikat Jana XXIII. Uznała działalność papieża za oznakę reform i na rok przed śmiercią „zdecydowanie przeszła na stronę Kościoła”. W testamencie poprosiła również o katolicki pogrzeb.

W ostatnich miesiącach życia pisarka zajmowała się głównie sprawą losów własnej spuścizny literackiej. Dwukrotnie zmieniała zapisy testamentowe, szczególną uwagę poświęcając *Dziennikom*. Notatki prowadzone przez ponad pół wieku są niezwykłym dokumentem, porównywalnym wyłącznie ze wspomnieniami Nałkowskiej.

Maria obawiała się ich zniszczenia i planowała ich wywiezienie z kraju. Rozważała nawet zdeponowanie ich w Watykanie... Ostatecznie *Dzienniki* pozostały w Polsce, aczkolwiek część zapisków zawędrowała do czeskiego Brna. Najważniejsze, że całość została ocalona dla potomnych.

W drugiej wersji testamentu z marca 1963 r. Dąbrowska zastrzegła, że ich wydanie może nastąpić dopiero czterdzieści lat po jej śmierci. Dodała jednak mało precyzyjną klauzulę, iż „fragmenty mogą być publikowane wcześniej”. Opiekę nad schedą literacką przekazała pięcioosobowemu zespołowi naukowemu, a testament zalegalizowano bezpośrednio po jej śmierci. Jednak dwa miesiące później Kowalska znalazła we własnym domu trzecią wersję testamentu z grudnia 1963 r. Był to wariant znacznie dla niej korzystniejszy, według którego spuścizną literacką pisarki mieli zająć się „Czesław Hernas i Anna Kowalska lub ci, których ona wyznaczy”.

Postanowienia ostatniej woli wywołały konsternację. Pogorszenie relacji Kowalskiej z Marią w ostatnich latach nie było dla nikogo tajemnicą. Usiłowano sądownie podważyć wiarygodność testamentu, jednak odpis notarialny oraz wpis w *Dzienniku* pod stosowną datą potwierdziły jego autentyczność.

Pierwsza próba publikacji fragmentów notatek autorki *Nocy i dni* miała miejsce na początku lat 70. Ostre ingerencje cenzury ostudziły jednak zapał opiekuna spuścizny, profesora Tadeusza Drewnowskiego. Uznał, że żądane zmiany idą zbyt daleko, wobec czego z wydaniem należy poczekać. Jedynie „Literatura” opublikowała wówczas niewielkie fragmenty, co zwiększyło sprzedaż tygodnika o ponad dziesięć tysięcy egzemplarzy. Co ciekawe, naczelnym pisma był wtedy Putrament...

W czasach Karnawału „Solidarności” podjęto kolejną próbę edytorską. Proces wydawniczy trwał jednak niezwykle długo, a cenzura również miała zastrzeżenia. Ostatecznie, z niemal trzystu żądanych zmian uwzględniono kilkanaście, jednak premiera pierwszego tomu wyboru *Dzienników* odbyła się dopiero w 1988 r. Dziwnym trafem ten właśnie rok określiła Dąbrowska jako pierwszą możliwą datę wydania wyboru *Dzienników*, co potwierdziło rozporządzenie odnalezione kilka lat później w Brnie. I jak tu mówić, że autorka nie miała politycznej intuicji...

Pomimo wysokiej ceny pięciotomowy wybór *Dzienników* (wydano je w formie kolekcjonerskiej) cieszył się ogromnym powodzeniem i cały pięćdziesiąty tysięcny nakład wykupiono błyskawicznie. Zachęciło to do edycji dalszych fragmentów, w efekcie w latach 1997–2000 pojawiła się siedmiotomowa edycja, a w 2009 r. po raz pierwszy wydano całość wspomnień. Pojawiły się jednak bez aparatu edytorskiego (przypisy, ujednolicenie pisowni) w nakładzie zaledwie trzystu egzemplarzy, z przeznaczeniem wyłącznie do celów naukowych.

Maria Dąbrowska zmarła 19 maja 1965 r. w Warszawie. Anna przeżyła ją o cztery lata, a ostatni okres życia poświęciła na przygotowanie do druku ostatniej, niedokończonej powieści partnerki, *Przygody człowieka myślącego*. Jednak wydania już nie doczekała. Obie przyjaciółki spoczywają blisko siebie, w Alei Zasłużonych na Starych Powązkach w Warszawie. W 2008 r. pojawił się na rynku wybór z *Dzienników Kowalskiej*, świadectwo potwierdzające uczucie i trudny związek obu pań.



Rozdział V. W cieniu prezesa



Anna i Jarosław Iwaszkiewiczowie

„Nagle spośród drzew wyłoniła się na wprost mnie pani Iwaszkiewiczowa. Nie poznała mnie, nie zareagowała na ukłon, nie dostrzegła. Wracała ze spaceru, otoczona psami, w szarym płaszczu z kapturem, jak habit mnisi. Twarz ryła głęboko, jak ekspresyjne postacie dawnych mistrzów ołtarzowych, ogromne, ciemne oczodoły, wzrok wpatrzony w coś niewidzialnego, jak mnich męczennik w mistycznej nieobecności”. (Hanna Kirchner)

To była największa sensacja towarzyska Warszawy. We wrześniu 1922 r. Anna, córka zamożnego przemysłowca Stanisława Wilhelma Lilpopa, wyszła za Jarosława Iwaskiewicza. Dla ubogiego poety z Kresów o dwuznacznej reputacji zerwała zaręczyny z Krzysztofem Radziwiłłem.

Lilpopowie byli jedną z najbardziej zasłużonych rodzin polskich przemysłowców. Pochodziła ona z austriackiego Grazu, a do Polski trafiła w czasach Augusta III. Antoni Augustyn Lilpop założył w 1789 r. zakład produkujący zegarki i firma zegarmistrzowska przetrwała do wybuchu II wojny światowej. Prawdziwą potęgę rodu zbudował jednak Stanisław Lilpop, główny udziałowiec firmy Lilpop, Rau i Loewenstein, największego zakładu przemysłowego przedwojennej Warszawy. To jego wnuczką była Anna, żona Iwaskiewicza.

Cieniem na jej życiu położyło się nieudane małżeństwo rodziców. Była jedynaczką, jedyną córką Stanisława Wilhelma Lilpopa i Jadwigi Stankiewicz. Kiedy miała dwa lata, matka odeszła od męża z pianistą Józefem Śliwińskim, a Lilpop zabronił żonie kontaktów z córką.

„Gdy [Hania] miała osiem lat – opisywała Ludwika Włodek – w operze rzuciła się ku niej szlochająca, elegancko ubrana pani. Jak głosi rodzinna opowieść, ojciec stanowczo wy dostał dziewczynkę z objęć kobiety i syknął zimno: »Proszę pani, to nie jest miejsce na takie sceny«”.

Ojciec Anny był nieprzeciętną osobowością. Bardziej niż interesy pasjonowały go podróże, polowania i fotografia. Uważano go za przystępnego „nie mającego w sobie nic ze snoba” i zachowującego w stosunku do ludzi „ton spokojnej uprzejmości”.

„Znam Stacha dobrze – pisała Aniela Pilawitzowa – i widzę w nim często dwóch ludzi. Jest o wiele lepszy, niż się wydaje. Pod względem honoru, uczciwości, prawości, pracowitości jest bez zarzutu. [...] W drobnostkach życia codziennego nie ma taktu często, ale w poważnych sprawach ma takt i powagę niezwykłą. Jest egoistą, więc broni się od uczuciowości, która daje więcej bólu niż radości. Jest w nim silne poczucie niezależności i pewien despotyzm”.

Ojciec nie ożenił się ponownie, a wychowaniem jedynaczki zajęła się jego siostra, Aniela Pilawitzowa. Lata I wojny światowej Lilpopowie spędzili w Rosji i tam Anna poznała Krzysztofa Radziwiłła. Po odzyskaniu niepodległości powróciła do kraju, uchodząc za jedną „z najciekawszych i najładniejszych w Warszawie panien tamtych lat”. Nie bez znaczenia był oczywiście również majątek jej ojca.

„Mnie się w niej wtedy – wspominał Roman Jasiński – podobała spontaniczność i wrażliwość, z jaką odnosiła się do sztuki. Dla ludzi sztuki miała wielkie uwielbienie. Była córką kapitalisty, lecz mało znałem młodych kobiet, które tak całkowicie ignorowały świat pieniędzy i bogactw”.

Zachowanie Lilpopówny można uznać za egzaltowane, Anna przez całe życie miała skłonność do gwałtownych wzruszeń. Interesowała się sztuką, lubiła poznawać artystów. Na ustach wszystkich byli wówczas skamandryci, a Lilpopówna zainteresowała się

szczególnie jednym z nich. Jarosławem Iwaszkiewiczem.

„Wiedząc, że obracam się już trochę w tym środowisku – opowiadał Jasiński – i stykam się z tymi poetami, wprost mnie o niego zapytała. Miała wielką ochotę go poznać. Odpowiedziałem spontanicznie: – Ależ to drobiazg, pani Haniu! Mogę zaraz do niego zadzwonić i poprosić, żeby przyszedł się pani przedstawić”.

Niebawem Anna zerwała zaręczyny z Radziwiłłem i zdecydowała się wyjść za Jarosława. Pochodzący z dalekich Kresów Iwaszkiewicz był biedny jak przysłowiowa mysz kościelna, utrzymywał się z guwernerki i próbował swoich sił jako dziennikarz. Po stolicy krążyły pogłoski o jego homoseksualnych skłonnościach i nawet przyjaciele poety uznali plany małżeńskie za oportunistyczny i próbę ułożenia sobie łatwego życia.

Młodzi postawili jednak na swoim i Lilpop mezalians zaakceptował. Okres narzeczeństwa i początek związku nie były jednak dla Jarosława łatwe, a po latach na rodzinie żony nie pozostawił suchej nitki.

Wszechwładnym ciotkom Anny zarzucał skrajne skąpstwo i wrogi stosunek do każdego gościa. Zmuszano go do opuszczania domu narzeczonej przed kolacją, goszcząc wcześniej wyłącznie „filiżanką czystej herbaty, do której raczej w charakterze dekoracji występował talerzyk suchych ciasteczek”. A kiedy wreszcie „bardzo rzadko, oficjalnie” bywał na kolacji zatrzymywany, posiłek składał się „zazwyczaj z kwaśnego mleka z kartoflami i jakiejś pozostałości z obiadu”.

W domu narzeczonej wszystko podporządkowano komfortowi ojca, a domownicy sprawiali odrażające wrażenie. Jarosław szczególnie nie znosił kucharki – „indywiduum nieżyczliwego, podejrzliwego, łakomego i chytrego”. Podobno kobieta „zachowywała pozory dobroduszości”, a jej głównym celem było zaskarbienie sobie łask obu ciotek.

Nie lepsze zdanie miał również o dalszych krewnych. Lekarza Wacława Lilpopa nazywał wprawdzie „jasną postacią wśród tej rodziny”, ale zaznaczył, że „każdy mieszczuch może być sympatyczny i wartościowy, dopóki nie wypłynie jakaś sprawa finansowa”. I nawet Daniela Lilpopa, którego osobiście lubił, nazywał we wspomnieniach „głupkowskim leśniczym” i „pocziwą duszą, chociaż durnowatym”.

Wielki dzień nadszedł 12 września 1922 r., młody pisarz wraz z matką oczekiwał na narzeczoną oraz gości na stacji w Brwinowie.

„Pociąg zajeżdża, z pierwszego wagonu wysiada tylko Grydzewski, z olbrzymim bukietem białych róż. Miał mi dostarczyć te róże, ale powiada, że więcej nikogo nie ma. Serce mi bije, struchlałem. Jak to, więc i mnie zrobiła taki kawał? Ale to tylko żart. Z ostatniego wagonu wysiada moja narzeczona, w szarym kostiumie, za nią mój przyszły teść w białym, letnim krawaciku i cała banda. Lechoń kiwa z daleką ręką, Tuwim prowadzi pod rękę Stefcię, która wygląda prześlicznie. Tolek Słonimski, trochę wzruszony, trochę cynicznie uśmiechnięty ściska mnie serdecznie, Kazio Wierzyński woła swoje nieśmiertelne »serwus!«, Horzyca kroczy zadumany i głaszcze rękami swoje baczki, Breiter drepcze i dziwi się »Jarosławie! Doprawdy?«. Przyjaciółka mojej żony nachyla się do ucha i pyta: »Któż to są ci wszyscy tacy jacyś dziwni?«. Rzeczywiście wyglądają

dziwnie, jeszcze nie obrośli w pierze i nie są tymi panami z »Ziemiańskiej« czy »Zodiaku«”.

W podróż poślubną Iwaszkiewiczowie wyjechali do Zakopanego, a po powrocie zamieszkali w panińskim pokoju Anny w mieszkaniu Lilpopów przy ulicy Górnej w Warszawie (obecnie Górnośląskiej). Nie było to najlepszym rozwiązaniem, młoda małżonka nie zmieniła bowiem dawnych przyzwyczajeń.

„Gdyśmy powrócili z naszej podróży poślubnej do Zakopanego, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu usłyszałem przez drzwi, jak Hania w drugim pokoju opowiadała ciotkom ze wszystkimi szczegółami dzieje naszej pierwszej nocy miłosnej, która zresztą wypadła dzięki najrozmaitszym wyrachowaniom mojej żony w dobry tydzień po naszym ślubie i tygodniowym pobycie w Zakopanem”.

Małżeństwo Jarosława i Anny można określić jako związek dusz i umysłów, ale nie jako miłość erotyczną. Oboje mieli skłonności biseksualne, co oczywiście wpływało na temperaturę uczuć. Kontakty intymne traktowali raczej jako „obowiązek małżeński” i rozładowanie emocji, trudno było znaleźć w tym namiętność.

„[...] nasz stosunek małżeński – narzekał się Iwaszkiewicz – zawsze bardziej podobny był do zabiegu higienicznego, niż do miłosnej manifestacji naszych zawsze głębokich uczuć, a to dzięki tysięcznym zabiegom i przygotowaniom mojej żony »przed« i »po«, co potrafiło odebrać cały urok miłosnemu aktowi”.

W PODKOWIE LEŚNEJ

Stanisław Wilhelm Lilpop miał ambicję zbudowania w okolicach Warszawy miasta-ogrodu. Był właścicielem rozległych terenów w pobliżu linii Elektrycznej Kolei Dojazdowej (obecnie WKD). Powołał spółkę Miasto-Ogród „Podkowa Leśna”, osobiście zachował w niej czterdzieści procent udziałów, a w 1925 r. rozpoczęła się sprzedaż gruntów. Powstało miasto o unikalnym planie urbanistycznym, opartym na koncentrycznych alejach – ulicach otaczających dworzec kolejki. Z Podkową Leśną związała też życie jego córka, ojciec podarował Iwaszkiewiczom grunty, na których stanęła ich siedziba – słynne Stawisko.

Początkowo do Podkowy przyjeżdżali tylko na lato, zajmowali wówczas stary domek myśliwski Lilpopa (Aidę). Często gośćmi byli przyjaciele: Karol Szymanowski i skamandryci. Warunki były dosyć prymitywne, ale piękno okolicy wiele wynagradzało.

„Jedyną rozrywką sportową – pisał Jarosław – jaką mogliśmy dać naszym gościom w Aidzie był starty angielski krokiet (nie krykiet!) rozstawiony koło domu. Szymanowski szalenie zapalił się do tej gry [...]. Ze Słonimskim, z moją żoną, z Rytardami, z kuzynem mojej żony, doktorem Lilpopem grywał w krokieta całymi godzinami, przejmując się i gorączkując jak dziecko”.

Chętnie grywał również Lechoń, który braki umiejętności nadrabiał oszustwem – przesuwał dyskretnie kule, sądząc, że nikt tego nie zauważy.

W listopadzie 1930 r. ojciec Anny popełnił samobójstwo. Nigdy nie ustalono przyczyn tego czynu, jednak było wiadomo, że Lilpop od lat cierpiał na stany depresyjne. Będąc człowiekiem dobrze wychowanym, odebrał sobie życie z dużą klasą – wynajął apartament w hotelu Polonia i zastrzelił się w łazience. Najwyraźniej uznał, że nie może narażać członków rodziny na złe wspomnienia (gdyby uczynił to w domu), poza tym łazienkę łatwo było posprzątać...

Niebawem samobójstwo popełnił również Kazimierz Gayczak, inny członek spółki Miasto-Ogród „Podkowa Leśna”. Związku pomiędzy wypadkami nie stwierdzono, a po śmierci Lilpopa rodzina Anny nie dopuściła Jarosława do spadku. Wybrano zarządcę, Jana Lenczewskiego, obdarzając go całkowitym zaufaniem.

Iwaskiewiczowie mieszkali już wówczas w Stawisku, na świat przyszły dwie córki, Maria i Teresa. Jarosław chcąc uniezależnić się finansowo, pracował w dyplomacji, niebawem otrzymał posadę sekretarza ambasady polskiej w Kopenhadze.

Pierwsze lata małżeństwa można nazwać poszukiwaniem własnej drogi. Jarosław usiłował zerwać z homoseksualizmem, jego żonę fascynowała Maria Morska – muza skamandrytów. Ze strony Anny można nawet mówić o uczuciu, przed którym szukała ucieczki. Prosiła nawet o pomoc spowiednika, a reakcja kapłana dała jej dużo do myślenia. Ksiądz ostrzegł ją, że „na tej drodze ona łatwo może ją wciągnąć”, i nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Pani Iwaskiewiczowa uświadomiła sobie, że biseksualizm nie jest niczym niezwykłym.

Po dwóch latach otrząsnęła się z zauroczenia, jej miłość pozostała zresztą związkiem platonicznym i raczej jednostronnym. Nie była natomiast prawdą rzekoma słabość Anny do Słonimskiego, o co mąż ją podejrzewał. Tych dwoje zbliżyła miłość do tej samej kobiety, poza tym można było mówić o przyjaźni. Tę sprawę opisywałem dokładnie w książce *Wpływowe kobiety II Rzeczypospolitej*, w rozdziale poświęconym Marii Morskiej.

Gdy Anna wzdychała do muzy skamandrytów, o homoseksualizmie Jarosława plotkowała cała Warszawa. Nieraz usprawiedliwiał się przed żoną:

„Wyobraź sobie – tłumaczył się – parę dni temu byłem na kolacji w Astorii z Olkiem L[andauem], miałem tę nieostrożność, przyleciał Leszek [Lechoń – S.K.], udawał, że nas nie widzi, ale naturalnie poleciał z pyskiem, poza tym Olek był raz w »Ziemiańskiej« i masz teraz, miasto »huczy« po prostu od plotek. Wiesz, wiem, że to ani ciebie, ani mnie nie obchodzi, ale chłopca mi żal, choć on ma w dupie cały świat; wczoraj już miał parę telefonów od przyjaciół, czy to prawda, że on żyje z Iwaskiewiczem? Miłe stosunki, co, a przede wszystkim pomyśl, że ja mogę się kochać w grubym starym Żydzie, mówiącym jak w Qui Pro Quo – daję słowo, już bym wolał starego Szrojta, który wczoraj siedział przy mnie na *Dantonie*”.

Iwaskiewicz odwiedzał restauracje w męskim gronie, albowiem Anna nie przepadała za tą formą życia towarzyskiego. Czasami można wręcz posądzić ją o skrajny snobizm, akceptowała środowiska artystyczne, ale elitę stanu oficerskiego traktowała

z wyższością.

„Pamiętam – opisywał Jarosław – kiedyś zaszliśmy z moją żoną do »Astorii«, nie było tam nikogo oprócz naszego przyjaciela Tolka [Słonimskiego – S.K.]. [...] zapewne chcieliśmy posłuchać paru pięknych wierszy i paru już znanych dowcipów, aż tu przysiadło się dwóch oficerów. Szybko zjedliśmy po porcji słynnej szarlotki z kremem i wyszliśmy z restauracji.

Moja żona zrobiła awanturę: jak oni mogli się do nas przysiądać! Tolek ich bronił: czego chcecie, i Beck i Wieniawa są bardzo kulturalni. »Być może – powiedziała moja żona – ale to nie nasze towarzystwo!«”.

W tej sytuacji Iwaszkiewicz nieraz musiał się tłumaczyć ze swoich męskich przyjaźni. Inna sprawa, że wystarczyło, aby pokazał się na mieście z innym mężczyzną, aby plotkowano o romansie.

„Byliśmy znowu z nim [Lechoniem] i z Grydzem na kolacji. [...] Franek nas widział – a Tadzio Marconi nie rozstawał się z nami cały dzień – w Ziemiańskiej my byliśmy i on (naturalnie osobno) – na kolacji też. Niestety, on się podobno oddaje mężczyznom!!! To potworne. Wiesz, to, że ostatecznie w naszych czasach prawie każdy młody człowiek uprawia, czy godzi się na miłość grecką, staje się dla mnie koszmarem. Lękam się, że zwariuję na tym punkcie”.

Czy oburzenie, że Marconi „podobno oddaje się mężczyznom”, było wyłącznie grą, czy też Jarosław skłaniał się do antycznego modelu pederastii, podobnie jak Karol Szymanowski?

Upodobania kompozytora odstręczały zresztą Annę, uważającą, że „ten erotyzm Karola »na obie strony« jest rzeczywiście przerażający”. Natomiast podejrzewała, że Lechoń tylko udaje homoseksualistę:

„Najśmieszniejszym jest już to pozowanie na tego rodzaju »przyjaźń« jak stale robi to Leszek. Przecież ten człowiek obnosi się wiecznie z jakimś chłopakiem (który, mam wrażenie, często nudzi go śmiertelnie, co było z Wackiem), jedynie po to, aby mówiono, że to jego kochanek. Chce koniecznie uchodzić za bardziej chorego nerwowo i zdegradowanego, niż jest rzeczywiście”.

Jarosław nie miał złudzeń, że na dłuższą metę uda mu się swoje życie erotyczne zakamufłować. Nie było to możliwe, przy „gadatliwości Lechonia, przy zupełnej szczerości Karola”. Dlatego chętnie przyjął propozycję stanowiska za granicą i w Kopenhadze wreszcie poczuł się „na swoim”. Napisał do Anny, że „po raz pierwszy w życiu jest to mój dom – nie twój”. Nie wiemy, w jaki sposób dawał jej to odczuć, ale Anna nie lubiła Danii. Urodzona w Brwinowie, mieszkała w Podkowie Leśnej i te okolice miała przez całe życie uważać za swoją małą ojczyznę. Ale rozłąka z reguły wpływa na temperaturę uczuć i po kolejnych odwiedzinach u męża zapisała z rozmarzeniem:

„Te trzy tygodnie, spędzone razem w Kopenhadze, pomimo moich przykrych dolegliwości zostawiły mi niezmacone, słodkie wspomnienia. Byliśmy tak bardzo razem i nic, nikt nam nie przeszkadzał, długie wieczorne rozmowy, pewność miłości, tej jedynej,

tak wielkiej, że o niej nigdy się nie mówi, nawet sobie samemu, prawie się o niej nie myśli, ale właśnie w takich chwilach, czasami bez znaczenia, najwięcej się ją odczuwa”.

Jarosław uwielbiał podróże, a od Stawiska odstręczały go wszechwładne ciotki żony. Przyzwyczajone do skrajnej oszczędności wprowadziły tam ostry reżim finansowy i w posiadłości zawsze czegoś brakowało. Wobec zaproszonych gości pokazywano się z zamożnej strony, ale na co dzień prowadzono wyjątkowo skromne życie. Inna sprawa, że właściwie do końca nie wiemy, jak wyglądały w tym czasie sprawy finansowe Iwaszkiewiczów. Słonimski uważał, że przyjaciel tylko pozował na biedaka:

„Gdy myślę wracam do tych dawnych czasów, widzę obraz nieco odmienny, widzę »brzydkie kaczątko« jako Króla Mody na balu w Hotelu Europejskim. Kaczątko jadąc na placówkę dyplomatyczną do Kopenhagi zabrało ze sobą własną służbę, szofera i kucharza”.

CHOROBA ANNY

Pani Iwaszkiewiczowa była osobą delikatną i wrażliwą, zapewne te cechy osobowości odziedziczyła po rodzicach. Ojciec miał problemy psychiczne i życie zakończył samobójstwem, a matka łatwo ulegała emocjom. Anna nigdy zresztą nie pogodziła się z jej brakiem, a cztery lata po ślubie niespodziewanie rozpoznała ją na warszawskiej ulicy:

„Dziwnym zbiegiem okoliczności na rogu placu Trzech Krzyży spotkałam moją matkę, tę dziwną kobietę, której stosunku do mnie nigdy nie mogłam zrozumieć. Nie widziała mnie zresztą i tak minęłyśmy się w ciemności, dalekie sobie jak zawsze”.

Życia nie ułatwiały jej również plotki krążące po stolicy. Jarosław miał być homoseksualistą i łowcą posagów, natomiast Anna poślubiła go, aby uniknąć większego skandalu. Jedną z plotek powtórzyła już po wojnie Maria Dąbrowska:

„U Stacha był stary plotus Czekalski, który opowiadał różne zakulisowe szczegóły o Iwaszkiewiczu i Brezie. Żona Iwaszkiewicza Lilpopówna była narzeczoną tego Radziwiłła (zdaje się Stanisława), który zginął w 1920 r.. Podobno był to romans, była z nim w ciąży, a podwinął się Iwaszkiewicz, »syn buchaltera« szukający pieniędzy i kariery. No, i panna wyszła za niego za mąż. A, że on był homoseksualistą, więc nie wiele robił sobie z tej panny z dzieckiem. Stąd wynikałoby, że starsza córka Iwaszkiewicza jest Radziwiłłówna. Obie jednak są do siebie bardzo podobne, na twarzach ładne, ale z budowy i wzięcia tak wulgarne, że obie wyglądają raczej na »wnuczki buchaltera«, niż aby któraś z nich miała być córka księcia”.

Dla żądnych sensacji nie było ważne, że pomylili dwóch Radziwiłłów. Jej narzeczoną był Krzysztof, natomiast Stanisław (adiutant Piłsudskiego) faktycznie poległ w 1920 r. Zaręczyny zostały zerwane w 1922 r., a pierwsze dziecko Anny przyszło na świat dopiero dwa lata później.

Krzysztof Radziwiłł przetrwał wojnę, współpracował z władzami Polski Ludowej

(był szefem protokołu dyplomatycznego), co przyniosło mu przydomek „czerwonego księcia”. Przeżył zresztą oboje Iwaszkiewiczów, a jednym z jego dzieci była Anna Radziwiłł, wiceminister edukacji narodowej i senator pierwszej kadencji III Rzeczypospolitej.

W 1931 r. u pani Iwaszkiewiczowej zdiagnozowano pierwsze objawy choroby umysłowej. Odbyła kurację w klinice w Monachium, jednak trzy lata później jej stan uległ znacznemu pogorszeniu. W tym roku Jarosław nie mógł przyjechać na święta, w styczniu Anna odwiedziła męża i w Danii nastąpiło załamanie nerwowe.

Iwaszkiewicz przywiózł żonę do kraju, gdzie znalazła się w sanatorium w Barwicach, a następnie przewieziono ją do Tworek. Sam powrócił do Danii, w najbliższych miesiącach przyjeżdżał jednak kilka razy.

Na domiar złego okazało się, że Anna jest w ciąży i lekarze dokonali aborcji. Pograżona w depresji pacjentka chyba nie zdawała sobie z tego sprawy.

„W wygładzie Hani – pisała do Jarosława Aniela Pilawitzowa – w oczach jest większy spokój niż dawniej. Słodka jest, cicha, nie ma w niej tej rozpacz, nie jęczy jak dawniej, zatraciła wyraźnie żywość uczuć. Pierwsze słowa do mnie są zawsze takie same: »Życie moje mogło być takie piękne, z takim człowiekiem jak Jarosław, mając takie najdroższe dzieci i wszystko stracone z mojej winy. Powiedz im, że ciągle o nich myślę, ale nic już nie czuję«. Może to i lepiej, ale niepokoi to mnie bardzo. Nic ją nie boli, nie czuje zimna. Z długości czasu nie zdaje sobie sprawy”.

W tym czasie Jarosława przeniesiono do Brukseli, ale niebawem zrezygnował ze stanowiska. Podobno „tragedie rodzinne zbiegły się z innymi o smaku skandalu”, ale nie posiadamy na ten temat bliższych informacji.

Choroba Anny nie była jedynym problemem rodziny. Lilpop pozostawił majątek o wartości miliona dolarów, jednak zarządzał nim Lenczewski, który z niego korzystał również osobiście. Pewnego dnia, niespodziewanie odwiedził Jarosława w jego mieszkaniu przy ulicy Kredytowej:

„Siadł przy biurku – relacjonowała Irena Krzywicka – rozmawiał o byle czym i Jarosław nagle zauważył, że jego gość stara się niepostrzeżenie wsunąć klucze od sejfu pod jego papiery. Natychmiast zrozumiał o co chodzi i pojął, że ktoś musi umrzeć. Z pewnością sejf był pusty. Lenczewski podrzuci mu klucze, aby zwalić nań winę, po czym niewątpliwie go zabije, aby upozorować samobójstwo”.

Ktoś przypadkowo wszedł i Lenczewski wycofał się, a następnego dnia znaleziono jego zwłoki z przestreloną głową. Sejf oczywiście był pusty, majątek zadłużony i przed Iwaszkiewiczami stało widmo bankructwa. Ale podobno wielki triumf *Lata w Nohant* uratował rodzinę, a od tej pory Jarosław wreszcie poczuł się panem na Stawisku.

Iwaszkiewicz faktycznie odniósł ogromny sukces finansowy, ale uratowanie rodziny za pomocą sztuki wydaje się legendą. Milion dolarów był wówczas ogromną sumą, a Lenczewski zapewne wszystkiego nie przetracił. *Lato w Nohant* przyniosło niecałe pięć tysięcy dolarów dochodu, co w porównaniu z majątkiem Lilpopa wydaje się niewielką

kwotą. Zresztą sam pisarz przyznawał, że o losach rodziny zdecydował spadek żony:

„Latem 1939 r. na skutek moich pracowitych starań nasza sytuacja majątkowa wyjaśniła się całkowicie. Po rozplątaniu bardzo zawiłych stosunków współwłaścicieli Podkowy Leśnej żona moja stała się właścicielką czterdziestu procent całego nie rozparcelowanego terenu tej miejscowości i już w ciągu całego przedwojennego lata mogliśmy przystąpić do rozprzedaży placów. Sprzedaż ta nie była wstrzymana przez całą wojnę i dzięki temu mieliśmy zawsze dostateczną ilość pieniędzy zarówno na utrzymanie domu jak i na poratowanie ludzi, którzy tej pomocy potrzebowali”.

Anna powoli wracała do zdrowia, w czym wielka zasługa Jarosława. Złośliwi uważali wprawdzie, że dbając o nią, ratował swoje finanse, ale zapewne bez jego pomocy żona nigdy nie pokonałaby choroby.

„Spędzał z nią w Stawisku długie godziny – opisywała Krzywicka – rozmawiając, dając jej różne drobne prace do wykonania, jak porządkowanie książek czy notatek. Z początku całe dni spędzali tak zamknięci razem, potem stan chorej zaczął się poprawiać, już tylko w pewnych godzinach wymagała opieki”.

Iwaskiewicz nie byłby jednak pisarzem, gdyby choroby żony nie wykorzystał twórczo. Niebawem powstało opowiadanie *Matka Joanna od Aniołów*, znane z doskonałej ekranizacji Jerzego Kawalerowicza z Lucyną Winnicką w roli tytułowej.

OKUPACJA

Anna nazwała czasy niemieckiej okupacji najbardziej etycznym okresem swojej biografii. Nie tylko zresztą własnej, również jej mąż zapisał się na stałe w dziejach polskiej kultury.

„Stawisko w czasie wojny – twierdził Czesław Miłosz – było taką oazą, gdzie się zbierali literaci warszawscy; gdzie można było się do stołu i przez chwilę mieć wrażenie, że właściwie istnieje jakaś ciągłość, że przecież to nie jest tylko groza okupacyjna”.

Iwaskiewiczowie oficjalnie zarejestrowali prowadzenie pensjonatu, co umożliwiło pobyt w majątku wielu uciekinierom. Dłuższy lub krótszy czas przebywali tam: Andrzejewscy, Tatarkiewiczowie, Goetel, Jasiński, księżne Czetwertyńska i Lubomirska, Grzymała-Siedlecki, Łobaczewska, Horzycowie, Gojawczyńska, Waldorff, Miłosz, Dygat, Mauersberger, Parandowscy, Berezowie, Leon Schiller, Borman, Baczyński i Piętak.

„Pamiętam go – wspominał Jarosława Waldorff – jak co rano z sypialni na piętrze schodził do holu starannie ogolony, w kolorowym szlafroku jedwabnym, z tureckim fezem na głowie. Majestatyczny, spokojny, na pytanie zebranych, jak przedstawia się wojenna sytuacja, odpowiadał, że jest korzystniejsza niż wczoraj”.

Iwaskiewicz działał w strukturach Polski Podziemnej, współpracował z profesorem Stanisławem Lorentzem przy ratowaniu zabytków kultury. Najważniejszy jednak okres nadszedł po powstaniu warszawskim, kiedy to Stawisko przeżywało

prawdziwe oblężenie. Chwilami przebywało w nim ponad czterdziestu gości, a zapewnienie wszystkim noclegu i wyżywienia nie było najłatwiejszym zadaniem. Tym bardziej że azyl znajdowali również Polacy pochodzenia żydowskiego, a wśród nich Irena Krzywicka. Pobytu w posiadłości nigdy nie zapomniała, była przez gospodarzy „karmiona, pojona, skromnie bardzo, ale przyjacielsko i serdecznie”.

„Jarosław był poniekąd prostym człowiekiem – pisała Anna do Pawła Hertza w 1946 r. – i oboje, choć od czasu do czasu przebywaliśmy w świecie babilońskim, nigdy nie czuliśmy się tam w domu. Dom to było prawdziwe życie, Stawisko, to, co się tam robi, otoczenie prostych ludzi, ich życie, nasze życie wcale od tamtych nie przedzielone żadną przepaścią; czułam to zawsze, ale nigdy tak silnie jak w czasie okupacji”.

Dla Anny największe znaczenie miało chyba jednak pojawienie się jej matki. Pani Śliwińska przyjechała w 1940 r., ale nie zamieszkała w Stawisku, wynajęto dla niej pokój na mieście. Do posiadłości przeniosła się dopiero wiele lat później, na rok przed śmiercią. Podobno zresztą zawsze „wołała pana domu, postawnego mężczyznę” niż własną córkę.

„[...] przy stole w Stawisku – opisywał Jarosław wigilię 1944 r. – siedzieli ludzie, którzy potracili wszystko, majątki, dzieci, rękopisy, pracę całego życia, a ja najwyższym wysiłkiem woli (bo szumiało mi w głowie porządnie po rybce!) musiałem być gospodarzem, nie ryczeć, nie śmiać się szyderczo, łamać się opłatkiem i bawić zebranych rozmową... żeby nie rozmyślali”.

Styczniowa ofensywa Armii Czerwonej oznaczała wycofanie się Niemców. W posiadłości zakwaterowano oddziały polskie i sowieckie, podobno jedni i drudzy jednakowo kradli. Do ogólnego złodziejstwa przyłączyła się służba i Anna zaczęła myśleć o likwidacji dworu. W nowych czasach uznała to za anachronizm, ale Jarosław nie chciał o tym słyszeć. Rozpoczął subtelną grę z komunistami, starając się ocalić stan posiadania rodziny. Doskonale wiedział, że posiadłość jest częścią duszy żony i nigdzie nie będzie czuła się dobrze.

Pisarz był nowym władcom Polski potrzebny. Uznano, że można przymknąć oczy na jego wielkopańskie maniery i gorliwy katolicyzm żony. Stawisko leżało blisko stolicy, świetnie zatem nadawało się do roli skansenu literackiego. Goście z zagranicy mogli na własne oczy zobaczyć jak w Polsce Ludowej szanuje się wybitnych twórców żyjących nie gorzej niż w czasach sanacji.

„Iwaszkiewicz Jarosław – pisano w jego charakterystyce dla władz PPR – pięćdziesiąt lat, prezes Związku Literatów. Literat o dużych wartościach. Ma duży mir wśród pisarzy. Redaguje »Nowiny Literackie«. Pochodzenie ziemiańskie z Ukrainy. Był sąsiadem i przyjacielem Karola Szymanowskiego. Pederasta. [...] Ustosunkowany pozytywnie do demokracji. Liberał zbliżony do grupy Słonimskiego i Tuwima. Nastawiony antylondyńsko, szczególnie po rozmowach ze Słonimskim. Przed wojną liberał. W czasie okupacji był w Warszawie, miał kontakty z konspiracją literacką i lawirował pomiędzy WRN i RPPS. Antyklerykał. Przyjaciel Żydów [...]”.

CZERWONE I CZARNE

Wiele stron napisano na temat flirtu Jarosława z komunistami, a sam Iwaszkiewicz doczekał się najróżniejszych ocen. Jedni widzieli w nim gładkiego oportunistę, inni Konrada Wallenroda. Początkowo zresztą nic nie wskazywało na zgodną koegzystencję skamandryty z nowymi władzami. Zlikwidowano redagowane przez niego „Nowiny Literackie”, przestał być prezesem Związku Literatów, nie pojawiały się nowe wydania jego książek.

Ale o emigracji nawet nie myślał. Uważał, że wyjazd na stałe za granicę oznacza zerwanie kontaktu z żywym językiem, a w konsekwencji utratę zdolności pisarskich. Poza tym nie wyobrażał sobie życia poza Stawiskiem.

„Siedzę w domu – opisywał wizytę w majątku Zygmunt Mycielski – z trzema paniami, które razem mogły pamiętać – jeżeli nie Łokietka, to Sobieskiego. Odczytuję sporo Iwaszkiewicza. Teraz go nie drukują. Jak na naszego »pierwszego prozaika« – sytuacja pachnąca tragedią. Teraz, gdy mógłby dawać sumę tego, czym jest”.

Jarosław był cierpliwy, nie miał zresztą wyboru. Uważał, że jego czas jeszcze nadejdzie i że okaże się przydatny nowym władcom Polski.

Tymczasem Anna dała się ponieść euforii i snuła wizje koegzystencji Kościoła z komunistami. Po wyborze Bieruta na prezydenta w lutym 1947 r. pisała z zachwytem:

„Ze szczerym wzruszeniem śledziłam dni otwarcia Sejmu, przysięgę prezydenta, do którego mam głębokie zaufanie; wszystkie jego posunięcia dowodzą wielkiego rozumu i niezwykłego taktu. Chciałabym bardzo poznać go osobiście. Historia ze ślubowaniem ucieszyła mnie bardzo, potwierdzając moje przekonania obecne i nadzieje na przyszłość. PPR głosuje za przysięgą religijną (»tak mi dopomóż Bóg«) i przeprowadza ją wraz ze Stronnictwem Ludowym, Stronnictwem Pracy i niezależnymi katolikami. O PPS, które wstrzymało się od głosowania, zawsze twierdziłam, że to są jedyni prawdziwi wrogowie Kościoła”.

Anna, tak jak wielu innych, uwierzyła w działania pozorne i bezpartyjność Bieruta, pisała, że przyszłość Polski i świata leży we „współpracy komunistów z katolikami”. Z radością obserwowała obchody święta 1 Maja, brak czerwonych flag zastąpionych przez barwy narodowe. Podkreślała, że PPR w stosunku do PPS wydaje się partią polską, a szczególnie wzruszyło ją, że „uroczystości zaczynają się od nabożeństw” transmitowanych przez radio. Marzyła o komunizmie chrześcijańskim, o „wyciągnięciu najlepszych ziaren dawnej kultury i zbudowaniu nowej” opartej na religii katolickiej. Uważała, że katolik z członkiem PPR na pewno dojdzie do porozumienia, natomiast z socjalistą z PPS jest to niemożliwe.

Inna sprawa, że władze faktycznie stosowały skuteczny kamuflaż. W pogrzebie generała Karola Świerczewskiego w kwietniu 1947 r. brało udział duchowieństwo, wydawało się, że Kościół katolicki zachował swoją pozycję w kraju. Niebawem jednak miało to się zmienić.

Niechęć Anny do PPS nie była wyjątkiem, krytycznie wypowiadała się również o polskiej emigracji. Uznała, że są to ludzie oderwani od rzeczywistości, zajmujący się sprawami bez znaczenia. Szczególnie oburzyła ją uchwała Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie zakazująca swoim członkom publikacji w kraju. Doszła do wniosku, że jest to przejaw megalomanii, pusty gest mający na celu rozbicie solidarności zawodowej.

Z czasem jednak zaczęła dostrzegać zmiany klimatu politycznego. Cieszyły ją sukcesy w odbudowie kraju, radość sprawiała podnosząca się z ruin Warszawa, ale powoli docierała do niej prawda o nowym ustroju. Odeszła gdzieś tolerancja i wążek narodowy pierwszych powojennych lat, teraz w rocznicę powstania Armii Czerwonej stolicę obwieszano sowieckimi flagami.

„O ile zakładanie świetlic, objazdy teatrów i objazdy literatów po prowincji, a przede wszystkim masowe wydawnictwa książek są istotnie osiągnięciem olbrzymim i godnym podziwu, o tyle cała ofensywa na froncie teoretycznie kulturalnym musi w każdym człowieku właśnie kulturalnym budzić jeżeli nie rozpacz i zgrozę, to najwyższy niepokój”.

Zauważyła, że komuniści używają języka przedwojennych endeków, identycznych „nadętych frazesów”, chociaż dostosowanego do własnej ideologii. To, co kiedyś służyło „sprawie narodowej”, obecnie miało służyć „walce klas” i „postępowi”. Socrealizm uznała za pojęcie „nie należycie wytłumaczone”, które „może być w miarę potrzeby naciągane do różnych interpretacji”. Z zadowoleniem przyjęła rezygnację męża ze stanowiska prezesa Związku Literatów, jego zaangażowanie nie miało sensu w sytuacji, „kiedy naprawdę już tak mało o literaturę chodzi”. A prawdziwą zgrozę wywołał w niej fakt, że „Czytelnik” odrzucił książkę dla dzieci Słonimskiego (z ilustracjami jego żony). Autorowi oznajmiono, że „obecnie należy uczyć dzieci miłości do człowieka”, albowiem „miłość do zwierząt jest uczuciem faszystowskim!!!”.

Już nie marzyła o katolickim marksizmie, z rezygnacją uznała, że pozostało „tylko robić jak najlepiej wszystko to, co można zrobić, szczerze mówić z ludźmi”. I modlić się, pokładając nadzieję w Bogu.

Pani Iwaszkiewiczowa uciekała we własny świat. Zanurzała się w muzykę, często chodziła na koncerty, z których relacje zajmują dużo miejsca w jej zapiskach. Słuchając Bacha, doznawała mistycznego uniesienia, uznawała jego talent za „wystarczający dowód istnienia Boga”. Powoli zamykała się w sobie, a w 1951 r. przestała prowadzić dziennik.

„Jak Anna wracała z teatru czy koncertu – wspominała Zofia Dziecioł, gospodyni ze Stawiska – wtedy była spóźniona kolacja. Siadali oboje i ona opowiadała o aktorach, jak który grał. I oni mogli tak gadać godzinami i mieli o czym. Nawet o pogodzie. [...] Przy herbacie, przy obiedzie, przy kolacji opowiadali o kulturze. I zawsze się zgadzali. Razem słuchali muzyki przez radio. Przeważnie w niedzielę była muzyka poważna. Jak wracała z kościoła, śniadanie było dopiero o dziesiątej. Zaraz potem słuchali radia. I wieczorem słuchali. Jak była Warszawska Jesień, jeździli do miasta”.

Tymczasem jej mąż dochodził do porozumienia z nową władzą. W 1948 r. odegrał

prominentną rolę podczas wrocławskiego Kongresu Intelktualistów, a rok później napisał typowo słuźalczą „laurkę urodzinową” dla Bieruta (wiersz *List do prezydenta Bieruta*). Nigdy wprawdzie nie wstąpił do PZPR, ale był etatowym posłem na Sejm (przez kolejnych siedem kadencji). Od 1959 r. aż do śmierci pełnił funkcję prezesa Związku Literatów Polskich (zastąpił Słonimskiego), co wzbudzało protesty w środowiskach twórczych. Szczególnie nie zapomniano mu pocałunku z Leonidem Breżniewem.

Czasami trudno było przewidzieć jego zachowanie, ale chyba najszcześliwszy był, gdy nie musiał nic robić.

„Zmartwił się – opisywał Jan Maria Gisges jego reakcję na *List 34* – a potem zezłościł: »Nic mnie to nie obchodzi. W dupie mam to wszystko! Ja już jestem za stary na to! Ach! Zagranica będzie trąbić, Gomułka się wścieknie, teraz nie mamy po co do niego chodzić«”.

Uważano, że można było go nienawidzić, „ale nie sposób nie zastanowić się, ile dobrego z jego postawy wynika”. Dostrzegano, że jego polityka „dawała korzystne dla Związku rezultaty, amortyzując najdrastyczniejsze zagrożenia, wynikające z licznych absurdów polityki kulturalnej”.

Najlepiej chyba podsumował działalność Iwaszkiewicza Czesław Miłosz, stwierdzając, że „on i Kazimierz Wyka są najlepszymi przykładami ówczesnej praktycznej filozofii życia, nieco podobnej do »pracy organicznej« po powstaniu 1863 r.: zrobić, co można, w danych warunkach”.

STAWISKO

Anna pozostawała w cieniu męża, stwierdzając, że nie „wtrąca się do życia politycznego Jarosława”. Z zadowoleniem dodawała również, że „nie bywa nigdy w ambasadzie sowieckiej”.

Można to uznać za oportunizm, ostatecznie wiedziała, w jakim kraju całkiem dostatnio żyła. Stawisko nie zostało upaństwowione, ale w zamian Jarosław zaprzedał się komunistom. Natomiast ona zamykając się w swoim świecie, symbolicznie umyła ręce od całej sytuacji.

Czasami jednak towarzyszyła mężowi w jego podróżach zagranicznych. Latem 1958 r. pojechali razem do Moskwy, pani Iwaszkiewiczowa ze wzruszeniem oglądała miejsca, gdzie spędziła kilka lat życia. Następnie odwiedzili Ukrainę, w tym rodzinny Kalnik Jarosława. Rok później byli w Paryżu, spotykając się z Arturem Rubinsteinem i Jeanem-Paulem Sartre'em.

W tym czasie po raz kolejny dała o sobie znać jej choroba. Stan psychiczny Anny pogorszył się szczególnie po śmierci ciotki Pilawitzowej, obawiała się wówczas, czy nowotworem nie zarażą się wnuki.

Choroba nie rozwinęła się jednak do tego stopnia jak przed wojną; pani Iwaszkiewiczowa miewała gorsze okresy, ale funkcjonowała w gronie rodzinnym.

Pogodziła się również z homoseksualizmem męża, a nawet pocieszała go w jego problemach. Akceptowała go takim, jakim był, od lat zresztą znała jego erotyczne preferencje.

„Pamiętam, nieraz sam mówiłeś – pisała jeszcze w 1928 r. – że to, że lubisz chłopczyków, odbija się bardzo na innych cechach Twego charakteru. Ten Twój brak woli, czasami brak ambicji, co mnie zawsze najbardziej boli, może rzeczywiście jest z tym związany. Inna rzecz, że masz za to i dodatnie cechy, które często się z tym łączą i sam wiesz dobrze, że właśnie dla nich, raczej z powodu nich, Ciebie pokochałam i Kocham w dalszym ciągu. Wiesz dobrze, jak nie znoszę »samców«”.

A Jarosław nie zawsze bywał dyskretny, niektórzy uważali, że jego podboje „idą hurtem”. Anna Kowalska obserwowała, jak kilka lat po wojnie uwodził młodziutkiego tancerza baletu moskiewskiego:

„»Dyplomata« i chłopiec z baletu, Jurij. Mój Jarosław młodnieje, rzy, głos z miodu, oczy żbika. Kręci zadkiem na krześle, śmieje się, kokietuje, opowiada o sobie. Jurij zdumiony, nie wie, co się dzieje, ale rumieni się, oczy mu błyszczą, czarne, wilgotne. Piękny chłopiec”.

Żona była jednak wyrozumiała, akceptowała również ostatnią wielką miłość męża, do Jerzego Błeszyńskiego. Ponad sześćdziesięcioletni pisarz, małżonek z ponadtrzydziestoletnim stażem, szczęśliwy ojciec i dziadek oszalał zupełnie dla młodzieńca z Brwinowa. A gdy młody kochanek zmarł na gruźlicę, nie potrafił ukryć rozpacz.

Anna stanęła na wysokości zadania i wysłała męża do Sandomierza, aby tam doszedł do siebie. Wiedziała, że był to dla niego straszliwy cios, nie miał nawet siły, aby być na pogrzebie partnera.

„Mówiłam Ci, żebyś nie pisał do mnie z Sandomierza, jeśli cię to nudziło, męczyło, w ogóle sprawiało ci jakikolwiek wysiłek i sama mówiłam, że mogę wcale nie pisać, żeby ci się z niczym, a w szczególności sobą narzucać. Potrzebę samotności rozumiem jak nikt chyba, a co dopiero w takich okolicznościach. [...] Tobie świat się zawalił. Ale przecież musisz, musisz wierzyć, że on żyje”.

Najważniejszą sprawą dla Anny w tych latach stała się wiara. Kościół parafialny w Podkowie Leśnej odwiedzała codziennie, a podczas choroby raz w tygodniu przyjmowała w domu komunię świętą. Mąż w kościele bywał tylko w Niedzielę Palmową, a podczas odwiedzin proboszcza rozmawiał z nim jak dziedzic z plebanem. Uważał jednak żonę za niemal świętą, stwierdzając, że „nigdy nie był jej wart”.

Anna przywiązywała ogromną wagę do świąt kościelnych, a szczególnie ważne okazały się dla niej obchody pięćdziesiątej rocznicy ślubu. Z zachwytem przyjęła fakt, iż mąż przystąpił do komunii.

„Hania tak ślicznie wyglądała – zapisał Jarosław w *Dziennikach* – aż mały Jasio nawet powiedział: kiedy babcię zobaczyłem, aż mnie zatkało z podziwu! Powiedziałem mu: a żebyś zobaczył pięćdziesiąt lat temu! Ale nie miałem racji, pięćdziesiąt lat temu

Hania była ładną, ale rozwydrzoną pannicą, a teraz była piękną kobietą u szczytu życia”.

Na obojgu ogromne wrażenie wywarł wybór Karola Wojtyły na papieża. Anna pisała, że „nigdy nie zapomni, jak Jarosław stojąc przy telefonie, drżącym głosem i ze łzami w oczach powiedział: »Kardynał Wojtyła został [...] papieżem«. W pierwszej chwili myślała, że żartuje, ale po jego wzruszeniu widziała, że to prawda”.

Iwaszkiewicz był przejęty, ale nie byłby sobą, gdyby nie żartował z całej sytuacji:

„Telefnowałem do Jurka Lisowskiego, kogo mi radzi umieścić na Kremlu. W Białym Domu jest Brzeziński, w Watykanie Wojtyła, a na Kremlu?”.

Najwyraźniej zapomniał, że urzędował tam już Polak, Feliks Dzierżyński...

U schyłku życia oboje doceniali swoje małżeństwo, co nie przeszkadzało w domowych kłótniach. Pisarz miał pretensje o dziwne stroje żony, a czasami do sprzeczki wystarczyło opóźnienie w podaniu obiadu. Jarosław był człowiekiem impulsywnym, a z wiekiem narastały negatywne cechy charakteru. I jak na mężczyznę przystało, zawsze zwracał uwagę na domowy jadłospis.

„Pani Anna nie cierpiała gotowania – wspominała Zofia Dziecioł. – Przychodziła tylko i wydawała dyspozycje albo się pytała: – Co dzisiaj, Zosiu na obiad proponujesz? Ona zawsze była na diecie i uważała, że Jarosław też powinien, a dieta to było dla niego jedzenie niezbyt smaczne. Więc pan mówił, że obrzydliwe jest u nas jedzenie na co dzień”.

Okoliczni mieszkańcy zapamiętali Annę jako wiecznie zaaferowaną, nerwowo drepczącą starszą panią niezwracającą uwagi na otoczenie. Popadała w dewocję, w ostatnich latach liczyła się dla niej już tylko religia.

„Nagle – opisywała swoją wizytę w Stawisku Hanna Kirchner – spośród drzew wyłoniła się na wprost mnie pani Iwaszkiewiczowa. Nie poznała mnie, nie zareagowała na ukłon, nie dostrzegła. Wracała ze spaceru, otoczona psami, w szarym płaszczu z kapturem, jak habit mnisi. Twarz ryta głęboko, jak ekspresyjne postacie dawnych mistrzów ołtarzowych, ogromne, ciemne oczodoły, wzrok wpatrzony w coś niewidzialnego, jak mnich męczennik w mistycznej nieobecności. Modliła się półgłęboko, przejmującą skargą: »Boże, Boże, dlaczego tyle cierpienia?«”.

Jarosław skarżył się, że u schyłku życia rozmowy z żoną sprowadzały się do „zagadnienia swojego bywania w kościele i odmawiania pacierza”. Ale gdy jej stan zdrowia znacznie się pogorszył, pisał z rozpaczą, że „cały świat, cały gąszcz spraw i zagadnień, cała splątana gmatwanina staje się bez znaczenia. Bardziej niż bez sensu gdybym to ja umierał”.

Dla gości odwiedzających w tych latach Iwaszkiewiczów atmosfera Stawiska przynosiła nierzeczywiste doznania. Zaproszony na kolację Józef Tejchma (ówczesny minister kultury) długo pozostawał pod wrażeniem wizyty:

„Jest to chyba ostatni żywy dworek z pięćdziesięcioma hektarami. Wszystko jest stare. Osiemdziesięcioletni gospodarz, który stale mówi o bliskiej śmierci, jego żona – rówieśnica siedząca na fotelu jak na filmach, ślepa suczka, walący się dom, zaniedbany ogród. Muzeum jak żywe”.

Pani Iwaszkiewiczowa niemal zawsze pozostawała w cieniu męża, jednak trwała przy nim na dobre i na złe. Była pierwszym recenzentem jego utworów, bardzo zresztą krytycznym. Jarosław dowcipkował nawet, że zasłużył na hasło w encyklopedii o treści: „Jarosław Iwaszkiewicz, mąż wybitnego krytyka, Anny Iwaszkiewicz”. Osobiście jednak publikowała mało, przed wojną jako Adam Podkowiński wydała kilka artykułów, przekładów i zbiór opowieści o zwierzętach. Sytuacja zmieniła się wraz z publikacją *Listów*, a następnie *Dzienników*. Zaskoczenie było ogromne, nawet rodzona córka napisała we wstępie do *Dzienników i wspomnień*, że nie „zdawała sobie sprawy z głębi Jej umysłu, z Jej przemyśleń, z walki, jaką toczyła o formowanie swojej osobowości”.

Anna Iwaszkiewicz zmarła 23 grudnia 1979 r., Jarosław był przy niej w chwili śmierci. Przeżył żonę o kilkanaście tygodni, podążył za nią 2 marca 1980 r. Oboje spoczęli na cmentarzu parafialnym w Brwinowie.

„W szafie pokoju – pisała Maria Iwaszkiewicz-Wojdowska po śmierci ojca – ostatniego jego pokoju, z którego wywieziono Go na śmierć do warszawskiej lecznicy, znalazłam w pudełeczku w kształcie serca dwie niebieskie ozdobne tasiemki od Jej wspaniałej wieczorowej sukni i poziomkowego koloru sweterek. Porównując zdjęcia odkryłam, że był to ten sam sweterek, który Anna miała na sobie w momencie, kiedy wyznali sobie miłość w ogrodzie Agrykola na wiosnę 1922 r.”.



Rozdział VI. Wszystkie kobiety Bolesława Bieruta



Wanda Górka

„Obowiązki Wandy w Belwederze ograniczały się do umiejętności zręcznego posługiwania się kilkoma telefonami, które ustawione były częściowo na biurku, częściowo zaś na podręcznym stoliku. [...] W kompetencji Górskiej leżało również kwalifikowanie próśb i petycji o osobistą audiencję u prezydenta. Jeżeli były to ważne osobistości spoza kół rządowych, wówczas prośby te przedstawiała prezydentowi z odpowiednimi komentarzami o danej osobie”. (Stanisław Łukasiewicz)

LUBELSKI SPÓŁDZIELCA

Niemalże w każdym okresie życia Bolesława Bieruta pojawiają się sprawy niejasne i zagadkowe, sugerujące spiskową teorię dziejów. Badacze spierają się o fakty z życiorysu, podają w wątpliwość nawet jego nazwisko i pochodzenie. Można znaleźć opinie, że powojenny polityk nie był tym samym człowiekiem, który w czasach II

Rzeczypospolitej działał w ruchu spółdzielczym, tylko podstawionym agentem NKWD. Historycy sugerują nawet, że w pewnym okresie w Polsce było równoległe dwóch osobników podających się za Bieruta.

Według oficjalnej biografii, przyszły I sekretarz PZPR przyszedł na świat 18 kwietnia 1892 r. w Rurach Brygidzkowskich pod Lublinem. Pochodził z rodziny chłopskich emigrantów z Galicji, a jego rodzice chcieli, aby został księdzem. Do seminarium duchownego jednak nie trafił, a kościelną karierę ograniczył do funkcji ministranta i nauki w powszechnej szkole katedralnej w Lublinie. Edukacji nie dokończył, po strajku podczas rewolucji 1905 r. został wydalony ze szkoły. Pracował jako pomocnik murarza, zecer, a następnie pomocnik geometry. To właśnie wówczas zetknął się z lewicową ideologią i został członkiem PPS-Lewicy, a następnie związał się z ruchem spółdzielczym. Wszedł nawet do zarządu Lubelskiej Spółdzielni Spożywców i miał okazję poznać niewysoką, ambitną dziennikarkę prowadzącą miejscową gazetę spółdzielczą. Była nią nieprzeczuwająca jeszcze własnej kariery Maria Dąbrowska.

Po I wojnie światowej znalazł się w szeregach partii komunistycznej, ale specjalnej aktywności nie przejawiał. Dwukrotnie był aresztowany, ale za każdym razem szybko wychodził na wolność. Zmianę przyniósł dopiero pobyt w szkole partyjnej w Moskwie. W następnych latach z ramienia Kominternu przebywał w Austrii, Czechosłowacji i Bułgarii, zapewne był już wówczas agentem NKWD.

„Ja przecież Bieruta znałem dosyć dobrze sprzed wojny – opowiadał Stefan Staszewski – i spotykałem się z nim w różnych okresach jego życia. Najpierw w 1926 roku, kiedy przyjechał do Moskwy do szkoły kominternowskiej razem z »Jasią«, Markiem i Olkiem Fornalskimi. Był wtedy »większościowcem« i po ukończeniu szkoły wywiązała się w sekcji polskiej Kominternu dyskusja, czy puszcząć go do kraju, w którym rządy objęła »mniejszość« [frakcje w Komunistycznej Partii Polski różniące się między innymi poglądami na rzecz zależności od wytycznych z Kremla – S.K.]. Obowiązywał kierunek, że nie puszcząć i Bieruta skierowano do pracy w Ländersekretariat, jak się wtedy mówiło, czyli do kominternowskiej sekcji bałkańskiej”.

Za granicą przebywał kilka lat, a skierowany do Polski z wolna awansował w hierarchii partyjnej. W 1933 r. aresztowano go pod zarzutem współpracy z radzieckim wywiadem i skazano na siedem lat więzienia. Na wolność wyszedł na mocy amnestii, a w międzyczasie władze KPP pozbawiły go członkostwa w partii. Zarzucono mu współpracę z prokuraturą podczas śledztwa i zachowanie niegodne komunisty.

Pobyt za kratami miał jednak swoje dobre strony. Przeżył stalinowskie czystki, a przy okazji zlikwidowano jego przełożonych, którzy usunęli go z partii. W ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny nie przejawiał już aktywności politycznej, pracując jako księgowy w warszawskiej spółdzielni „Wyzwolenie”. Prezesem był tam Edward Osóbka-Morawski z PPS.

Nikt ze znających wówczas Bieruta zapewne nie przypuszczał, że w przyszłości towarzysz Tomasz z woli Stalina zostanie dyktatorem Polski. Na tle polskich komunistów

nie wyróżniał się niczym szczególnym, był przeciętny, uznawano go za wręcz bezbarwnego. Ale tacy działacze bez osobowości i ambicji idealnie nadawali się na wykonawców woli Kremla.

„Kulturalny, miły spokojny – uważał Leon Chajn. – Nie orzeł, ale cenił inteligencję innych, wielki patriota, entuzjasta stalinowskich koncepcji, ale przeciwnik jego metod”.

Podobne zdanie miał Jakub Berman:

„Bierut był samoukiem, miał bardzo szeroki zakres zainteresowań, dużo czytał, literaturę piękną znał dosyć dobrze, palił się do astronomii, architektury, ale [...] były w nim jakieś kompleksy nie do przełamania [...]”.

Kompleksy towarzysza Tomasza nie ograniczały się wyłącznie do ideologii. Z lubelskiego epizodu jego życia zachowała się informacja, iż „nie latał za spódniczkami” i w ogóle „jakieś tam flirty – były wykluczone”. Uważano go za nieśmiałego wobec płci pięknej, za mężczyznę nieumiejącego pokonać własnych zahamowań. Inna sprawa, że gdy już się wreszcie przełamał, to okazało się, że bez stałej obecności kobiety nie potrafi żyć. I to nie jednej, Włodzimierz Sokorski nazywał go nawet „Bolek – jebaka”, a podobno Bierut znał to przezwisko, ale traktował je jako komplement, zapewne lecząc dawne kompleksy...

JANINA GÓRZYŃSKA

Towarzysz Tomasz związany był z wieloma kobietami, problemem jednak pozostaje liczba pań, które uważały się za jego żony. A może nawet nie ich liczba, lecz formalne więzy małżeńskie. W różnych bowiem okresach życia cztery partnerki podawały się za jego małżonki, gorzej, że trzy z nich właściwie równocześnie.

Wydaje się, że w świetle prawa, Bolesław posiadał tylko jedną legalną żonę. Była nią Janina Górzyńska, przedszkolanka pochodząca z okolic Lublina. Poznali się w majątku Studzianki, gdzie Janina pracowała, a przyszły polityk prowadził prace miernicze. Była starsza od niego o dwa lata, a ślub kościelny wzięli w Lublinie w lipcu 1921 r.

„Ślub odbył się w katedrze – wspominała Górzyńska – i był bardzo oryginalny. Ksiądz zgodził się, że nie obowiązywała nas spowiedź. Ślub odbywał się na mszy. Nie mieliśmy strojów ślubnych, a ubrani byliśmy normalnie. Po nim przyjechaliśmy do domu, zjedliśmy śniadanie i wybraliśmy się na wycieczkę”.

Na świat przyszło dwoje dzieci, dwa lata po ślubie urodziła się córka Krystyna, a po kolejnych dwóch syn o imieniu Jan.

Ważną cezurą w życiu rodziny był wyjazd Bieruta do Moskwy. Tam związał się z Małgorzatą Fornalską (Jasią), z którą miał córkę Aleksandrę. Kiedy Fornalska była w ciąży, Bolesław sprowadził do Moskwy legalną żonę z dziećmi. Przebywał jednak z rodziną rzadko, etatowy komunista musiał być zawsze do dyspozycji przełożonych. A może sam nie mógł się zdecydować?

„Wiosną 1932 r. – wspominał syn Bieruta, Jan Chyliński – spotkałem się z ojcem

ponownie – tym razem dłużej. Razem z matką i siostrą przyjechaliśmy do niego do Moskwy. [...] Później dopiero zorientowałem się, w jak kłopotliwej sytuacji znaleźli się moi rodzice. Ojciec był już od pewnego czasu związany z inną kobietą – Małgorzatą Fornalską – którą poznał na studiach. Gdy przyjechaliśmy, była ona w zaawansowanej ciąży. W czasie naszego pobytu urodziła córkę, Oleńkę. Miałem więc drugą siostrę, a ojciec okropny problem ze znalezieniem dla nas mieszkania. Sam zajmował razem z Małgorzatą małe pokoiki w hotelu Lux”.

Towarzysz Tomasz miał zatem w Moskwie dwie równoległe rodziny, Janinę z dziećmi i Małgorzatę z córką. Wydaje się jednak, że żadnej z pań sytuacja specjalnie nie przeszkadzała. Podobno nawet się ze sobą zaprzyjaźniły, a Fornalska nie naciskała na rozwód.

„On mnie kocha i ja go Kocham – tłumaczyła matce – ale na naszej drodze są wielkie trudności. Nie możemy zawrzeć małżeństwa – ona ma rodzinę i obowiązki względem rodziny. Nie myśl mateczko, że to ja rozbiłam tę rodzinę. Wiesz, że ja bym tego nigdy nie zrobiła, znasz mnie przecież”.

O losach Janiny Górczyńskiej nie zachowało się zbyt wiele informacji. Wiadomo tylko, że Bierut nigdy się z nią formalnie nie rozwiódł, i to właściwie jej przypadła rola pierwszej damy Polski Ludowej. Jej mąż pełnił obowiązki przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej, następnie prezydenta Polski, premiera i I sekretarza PZPR. To praktycznie dawało mu dyktatorskie uprawnienia. Ale Górczyńska nie mieszkała z mężem, a pisząc do niego listy, tytułowała go „panem prezydentem”. Otoczenie niemal o niej zapomniało, a premier Józef Cyrankiewicz rozmawiając przed ślubem z Niną Andrycz, tłumaczył, że skoro prezydent nie jest żonaty, to właśnie Andryczówna zostanie pierwszą damą.

„Była to zwykła, poczciwa, siwawa pani – opisywał wizytę Górczyńskiej w Belwederze sekretarz prasowy Bieruta, Stanisław Łukasiewicz – zachowująca się skromnie, cicho, wyrażająca się składnie i poprawnie. [...] Bierut witał się z żoną z namaszczeniem, całował ją potulnie w rękę, wymieniali pocałunki w policzki. Do dalszych rozmów świadkowie już nie byli potrzebni i dlatego odbywały się one za zamkniętymi drzwiami gabinetu prezydenta. Po jakimś czasie pani Bierutowa z wolna opuszczała pałacyk, po drodze rozglądając się po ścianach, a w Belwederze sprawy ruszały wartko naprzód”.

DZIWNE LOSY MAŁGORZATY FORNALSKIEJ

Moskiewska wybranka towarzysza Tomasza była młodsza od rywalki o dwanaście lat. Pochodziła z rodziny o komunistycznych tradycjach, ewakuowanej podczas I wojny światowej w głąb Rosji. Po wybuchu rewolucji przystąpiła do bolszewików, w Carycynie (Wołgograd) służyła w batalionie komunistycznym, pracowała również jako wychowawczyni w domach dziecka. Niemal od samego początku należała do

Komunistycznej Partii Polski (wówczas jeszcze jako: Komunistyczna Robotnicza Partia Polski), co nie przeszkadzało jej w przynależności do partii bolszewików. Znalazła się również (razem z bratem Aleksandrem) wśród działaczy Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnej Polski, mającego po zwycięstwie Armii Czerwonej przejąć władzę nad Wisłą. Bitwa warszawska pokrzyżowała te plany, ale Fornalscy nie stracili zapału. Małgorzata przedostała się do Polski i za działalność partyjną trafiła do więzienia. Zwolniona we wrześniu 1939 r. znalazła się w radzieckiej strefie okupacyjnej. Jej pozostała w ZSRR rodzina nie miała tyle szczęścia, jej dwaj bracia zostali rozstrzelani, siostra otrzymała wyrok dziesięciu lat łagru.

O losach rodziny nie wiedziała niczego bliższego, Sowieci nie zadawali sobie trudu informowania o tym, co się działo z ofiarami. Bierut jeszcze po wojnie dopytywał się o Fornalskich, mając nadzieję, że przeżyli w jakimś łagrze. W rzeczywistości zamordowano ich wkrótce po aresztowaniu.

Podobno towarzysz Tomasz zwrócił na siebie uwagę wybranki miłym i uprzejmym stosunkiem do płci pięknej, co było rzadkością w sowieckiej rzeczywistości:

„Elegancki – wspominał Jan Kwiatkowski – powiedziałbym nawet szarmancki zwłaszcza wobec kobiet, pamiętał zawsze, by panią domu przy powitaniu pocałować w rękę, często przynosił jakiś kwiatek w podarunku, a dla dzieci cukierki lub inne upominki. [...] Lubiłem, gdy czekając na umówione spotkanie rozmawiał z gospodarzami lub ich żonami. Interesował się ich życiem i usposabiał do siebie przychylnie otoczenie”.

Potwierdzała to Julia Minc, uważając Bieruta za „przyjemnego, eleganckiego mężczyznę, szarmanckiego wobec kobiet”. Szczególnie zapamiętała jego zachowanie podczas pewnego oficjalnego przyjęcia, na którym pojawiła się w zwykłej, letniej sukience:

„Minc podszedł do mnie; jak ty wyglądasz – szepnął oburzony. – Bierut to usłyszał, wziął mnie pod rękę, przeszedł ze mną całą salę mówiąc: macie najpiękniejszą suknię ze wszystkich”.

Fornalska nie miała w sobie „nic z wampa”, ale „posiadała wewnętrzny urok i ciepło, które zyskiwało jej powszechną sympatię”. Podobno „nie należała do kobiet, które ponad wszystko przedkładają zachowanie pozorów”, a „praca i opieka nad dzieckiem wypełniły jej życie”. Zdawała sobie jednak sprawę, że „rozstanie jest nieuniknione”.

Relacja o opiece nad dzieckiem wydaje się mocno przesadzona. Aleksandra Jasińska-Kania (córka Bolesława i Fornalskiej) wspominała, że poznała matkę dopiero w wieku ośmiu lat! Jasia wyjechała na polecenie partii i do Moskwy powróciła dopiero po wybuchu wojny.

Przy okazji straciła też kontakt z Bierutem. Nie widzieli się od jego wyjazdu z ZSRR, a kiedy towarzysz Tomasz opuścił polskie więzienie, zamieszkał wraz z żoną i dziećmi w Warszawie. Wprawdzie tylko na kilka miesięcy, ale jednak. Czy to również Fornalska traktowała jako „zachowywanie pozorów”?

MIŃSK

Po klęsce wrześniowej Bierut znalazł się ponownie w „ojczyźnie proletariatu”. Początkowo zatrzymał się w Kowlu, następnie trafił do Czerwonego Chutoru pod Kijowem. Poszukiwał Fornalskiej i jej rodziny, przedostał się nawet nielegalnie do Moskwy, podróżując (zimą!) pomiędzy wagonami. Po latach miał wspominać, że „nigdy wcześniej nie zmarł w życiu tak, jak podczas tej drogi i pobytu”.

„Przyjechał do Moskwy bez dokumentów – wspominała Aleksandra Jasińska-Kania – bez zezwolenia, bez pieniędzy, bez biletu kolejowego i bez palta. A był to grudzień 1939 r., kiedy panowały czterdziestokilkustopniowe mrozy. I nie znalazł nas, gdyż zamieszkałyśmy gdzieś indziej. Nie znalazł też nikogo z naszych krewnych i bliskich, których zabrał rok 1937. Musiał więc wracać, a powrót był równie trudny, jak droga do nas”.

Poprzednio odwiedził stolicę światowej rewolucji kilka lat wcześniej i teraz nie poznawał znanego sobie otoczenia. Słyszał oczywiście o procesach, egzekucjach i zsyłkach, ale zakres stalinowskich represji mocno go zaskoczył.

„Nikogo z przyjaciół – opisywał Chyliński – i znajomych nie udało mu się odszukać. Nie znalazł matki Małgorzaty Fornalskiej i swojej córki, Oleńki. Od kiedy została zlikwidowana sekcja polska w Kominternie (1938 r.) nie mieszkały już w hotelu Lux. Nie mógł się dowiedzieć, jaki jest ich nowy adres. Dopiero później dowiedział, się że Oleńka z babcią zamieszkały w przybudówce kamienicy sąsiadującej z hotelem. Nie znał też miejsca pobytu samej Małgorzaty («Jasi»). Wiedział, że w 1934 r. została aresztowana i do wybuchu wojny przebywała w więzieniu”.

Zdecydowanie lepsze skutki przyniosła kolejna wyprawa do Moskwy. Tym razem pojawił się tam legalnie, w ramach delegacji służbowej.

„W czasie tego drugiego pobytu w Moskwie – opisywał syn – udało mu się znaleźć córkę i spotkać Małgorzatę, która właśnie spędzała tam urlop. Po wyjściu z więzienia we wrześniu 1939 r. przebywała w Białymstoku, gdzie znalazła pracę nauczycielki. Zamierzała zabrać ze sobą matkę i Oleńkę. Nikogo więcej z jej rodziny w Moskwie już nie było – o jej braciach i siostrze, aresztowanych w 1937 r., wszelki słuch zaginął”.

Bierut postanowił przenieść się do Białegostoku, gdzie osiadła Fornalska z córką. Zamierzał ściągnąć nad Białą również rodzinę z Warszawy, planując odtworzenie dawnego moskiewskiego układu. Małgorzata obiecywała pomoc w znalezieniu pracy, a Bolesław miał już dosyć Czerwonego Chutoru.

Plany jednak się nie powiodły, Górzyńskiej z dziećmi nie udało się nielegalnie pokonać granicy, a Sowietom nie wydali zgody na przeprowadzkę towarzysza Tomasza do Białegostoku. Zmiana pracy i miejsca zamieszkania w ówczesnym ZSRR była skomplikowanym procesem biurokratycznym, a nieposłusznym groziły surowe sankcje, z doraźną egzekucją włącznie.

Działaczowi przysługiwał jednak urlop wypoczynkowy i w maju 1941 r. ponownie

przyjechał do Białegostoku. Najwyraźniej dawna miłość nadal go pociągała, może zresztą chciał zobaczyć małą córeczkę?

„Czy jego przyjazd do Białegostoku – zastanawiał się Władysław Gomułka – wiązał się z pobytem w tym mieście Fornalskiej – nie wiadomo. Wiem jednak, że nie przebywali razem z sobą, zamieszkali oddzielnie i chyba też nie utrzymywali między sobą kontaktów [...]”.

Wszystko pokrzyżował jednak atak Hitlera na ZSRR. Bierut znalazł się w Mińsku, front przetoczył się dalej na wschód. Nie myślał już o dalszej ucieczce, postanowił zostać pod niemiecką okupacją. A może po prostu realizował rozkazy swoich przełożonych z NKWD?

ŻONA Z BIAŁORUSI

W Mińsku Bolesław Bierut zachowywał się jak typowy kolaborant. Otrzymał pracę w urzędzie miejskim, został nawet zastępcą kierownika do spraw aprowizacji. Miejscowi uważali go za „osobnika współpracującego z okupantem, wysługującego się Niemcom”, co zapewne było efektem doskonałego kamuflażu. Jako agent NKWD oczekiwał na dyspozycje centrali, unikając kontaktów z miejscowymi komunistami. Korespondował nawet oficjalnie z rodziną w Warszawie, wymieniał też listy z jednym z braci Fornalskiej mieszkającym na Lubelszczyźnie. I pomiędzy bajki należy włożyć relację syna, jakoby przysły prezydent zapewniał aprowizację okolicznej partyzantce. Bardziej prawdopodobne (o czym również wspominał Chyliński) jest wysyłanie paczek żywnościowych do stolicy. Towarzysz Tomasz nigdy bowiem nie zapominał o rodzinie, bez względu na aktualną sytuację osobistą. A właśnie w tym czasie w jego życiu pojawiła się kolejna kobieta.

Nazywała się Anastazja Kolesnikowa i była żoną kompozytora Izaaka Lubana. Po wybuchu wojny mąż uciekł do Moskwy, porzucając rodzinę, a Bierut załatwił jej dzieciom aryjskie dokumenty. W dotychczasowych bowiem figurowała narodowość żydowska, co w okupacyjnych warunkach musiałyby skończyć się tragicznie.

Podobne przeżycia zbliżają i Bolesław wprowadził się do Kolesnikowej. Anastazja dysponowała trzypokojowym mieszkaniem, miała również duży zapas ubrań po mężu, co nie było bez znaczenia. I była od nowego partnera młodsza o piętnaście lat.

„Ojciec i Anastazja stali się sobie bardzo bliscy – pisał Chyliński. – Nie wykluczam, że łączyły ich również intymne stosunki. [...] Nigdy też nie wypowiedział się na ten temat mój ojciec. On miał wówczas pięćdziesiąt lat, ona trzydzieści pięć. Oboje wiedzieli, że pobyt ojca w Mińsku nie może trwać długo i ewentualne ich wspólne życie nie ma żadnych trwałych perspektyw”.

Był to jednak czas wojny, a ona usuwa obyczajowe bariery. Towarzysz Tomasz zresztą już dawno porzucił nieśmiałość i raczej podobnych okazji nie przepuszczał.

Idylla nie trwała długo. Bierut postanowił na stałe przenieść się do Warszawy (Jasia wzywała). Anastazja jednak protestowała, zniknięcie człowieka zatrudnionego

w okupacyjnych strukturach urzędniczych mogło dla jej rodziny zakończyć się tragicznie.

„Zapytałam go: kiedy myślicie jechać? – opowiadała po latach. – Jutro – odpowiedział. Nie, to niemożliwe, a jak my? Przecież nas jako rodzinę zbiegłego z partyzantki Niemcy rozstrzelają! Ja muszę gdzieś znaleźć schronienie. Zgodził się więc zaczekać [...]”.

Ostatecznie Kolesnikowa ukryła się wśród partyzantów, a następnie wraz z dziećmi została przetrzucona do Moskwy. Spotkała tam męża, ale relacji z nim nie próbowała już naprawić. Niebawem doszło do rozwodu, a po wojnie wraz z dziećmi powróciła do Mińska.

Życie jej ułożyło się tragicznie, starsze dziecko (syn Dymitr) zginęło w pożarze. Miała kłopoty materialne i Bierut dyskretnie wspomagał ją finansowo.

„Wczoraj otrzymałem dwie Wasze depesze – pisał do niej z Moskwy na trzy tygodnie przed śmiercią. – Niestety nie mogę się z Wami zobaczyć. Byłbym bardzo zadowolony, gdybym mógł bardziej szczegółowo dowiedzieć się, jak Wy żyjecie i gdzie pracujecie. Będę oczekiwał Waszego listu, jeśli możecie go jutro napisać. Po list zgłosi się ten sam towarzysz, który wręczy Wam niniejszy list. Domyślając się, że potrzebujecie pomocy, przesyłam Wam niewielką sumę pieniędzy – wszystko, co w danym momencie posiadam”.

Z czasem Kolesnikowa zaczęła uważać się za kogoś więcej niż tylko partnerkę erotyczną polskiego komunisty. W 1974 r. napisała do Edwarda Gierka list, przedstawiając się jako „przyjaciółka, żona i pomocnica jego wielkiego rodaka, wybitnego działacza partyjnego Bolesława Bieruta”. Powołując się na kontakty łączące ją i dzieci z towarzyszem Tomaszem, poprosiła o przyznanie rodzinie emerytalnego zabezpieczenia.

List wprowadził władze PRL w zakłopotanie graniczące z osłupieniem, ale Gierek i jego ekipa stanęli na wysokości zadania. Interweniowali na Kremlu i Kolesnikowa wnioskowane zabezpieczenie otrzymała.

Podczas pobytu Bieruta w Mińsku dzieci Anastazji miały odpowiednio siedem i dwanaście lat, co wykluczało jego ojcostwo. Wiadomo również, że towarzysz Tomasz nigdy swojego potomstwa się nie wypierał, zatem podejrzenie, że miał dzieci z Kolesnikową, jest raczej mało prawdopodobne.

ŚMIERĆ JASIA

Małgorzata Fornalska została zrzucona do Polski w maju 1942 r. W ZSRR pozostawiła matkę i córkę, ale dla zadeklarowanej komunistki priorytetem były polecenia Kremla. Stalin wyraził zgodę na odtworzenie w okupowanym kraju struktur partyjnych i Jasia uznała to za najważniejsze zadanie.

Wysyłani do Polski komuniści byli zajadłymi integracjonistami, widzącymi przyszłość kraju jako siedemnastej republiki sowieckiej. Czasami przybierało to żaloso-humorystyczne formy, jak chociażby w chwili startu do kraju pierwszej „grupy

inicjatywnej”. Jak opowiadał Marcele Nowotko, „po puszczeniu motorów w ruch zaczęliśmy na pożegnanie naszej sowieckiej ojczyzny śpiewać pieśń *Sziroka strana maja radnaja*”. Śpiew nie pomógł, samolot rozbił się podczas startu, Nowotko złamał nogę, a radiotelegrafista Jan Turlejski zginął. Ekipę ostatecznie zrzucono dwa miesiące później, zaginęła im jednak radiostacja, co uniemożliwiało kontakt z Moskwą. Z nowym ekwipunkiem pojawiła się Fornalska, przejmując obowiązki radiotelegrafistki. Gwarantowało jej to pozycję obserwatora i kontrolera z ramienia Kremla.

Nie jest tematem tego rozdziału opis burzliwych pierwszych miesięcy działalności Polskiej Partii Robotniczej. W bezwzględnej walce o władzę zamordowano jej dwóch kolejnych liderów (Nowotkę, Bolesława Mołojca), a następny wyznaczony przez Moskwę zginął podczas zrzutu (Witold Kolski). Władzę przejął Paweł Finder, przy którym Fornalska odgrywała coraz ważniejszą rolę. I postanowiła ściągnąć z Mińska Bieruta.

Zapewne uzyskała akceptację NKWD, Jasia zbyt szanowała komunistyczne hierarchie, aby pozwolić sobie na niesubordynację. Bolesław podobnie, zawsze uważano, że był wobec Kremla patologicznie lojalny, do czego dochodziła „fanatyczna wręcz wiara w dogmaty, które ważyły na jego decyzjach”.

W stolicy widywał się z rodziną, czasami nawet odwiedzał bliskich w miejscu zamieszkania. Najczęściej spotykał się jednak z dziećmi, wykorzystując je również w charakterze łączników. Jego partnerką pozostała jednak Fornalska, ale ich związek nie miał przed sobą przyszłości. W listopadzie 1943 r. hitlerowcy aresztowali Jasię wraz z Finderem.

Osadzono ich na Pawiaku i z więzienia już nie powrócili. Oboje zostali rozstrzelani w ruinach warszawskiego getta na tydzień przed wybuchem powstania warszawskiego.

Kilkadziesiąt lat później, w lutym 2007 r., dwumiesięcznik „Bunt młodych duchem” opublikował list księdza Jana Ziei, legendarnego kapelana Szarych Szeregów. W latach 1950–1959 duchowny był rektorem warszawskiego kościoła sióstr wizytek i tam właśnie zgłosiła się do niego pewna pani, była działaczka PPS.

„Ta moja rozmówczyni – pisał Zieja – została aresztowana przez Niemców [...]. W tej celi więziennej, w której się znalazła, było już kilkanaście kobiet. Między nimi [...] Fornalska. Większość kobiet nieraz wspólnie się modliła. Małgorzata trzymała się na uboczu i nie uczestniczyła w tych modlitwach. Któregoś dnia doszło do rozmowy między tą moją petentką a Małgorzatą Fornalską. Z tej rozmowy [...] ze zdumieniem dowiedziała się, że w Polsce działały stronnictwa chłopskie, domagające się podziału wielkiej własności ziemskiej między chłopów pracujących na roli i że działała też i działa Polska Partia Socjalistyczna wśród robotników fabrycznych.

– To nas w Rosji oszukiwali! – zawołała Małgorzata. – Mówili nam, że w Polsce to same »pany« i dopiero my wniesiemy tam socjalizm”.

Czasami włączała się do wspólnych modlitw. Pewnego dnia poprosił o chwilę rozmowy informatorkę księdza Ziei:

„Mnie na pewno Niemcy zlikwidują – mówiła. – A pani może się uratuje. Mam

prośbę do pani. Ja mam dwoje dzieci [błąd w przekazie, Fornalska miała jedno dziecko – S.K.]. Gdy pani znajdzie się na wolności, proszę odszukać moje dzieci i powiedzieć im, że ja ich matka, przed swą śmiercią, proszę je, by przyjęły chrzest w Kościele katolickim, bo ja ich dotąd nie doprowadziłam do chrztu”.

Zieja pomógł swojej rozmówczyni odszukać córkę Fornalskiej i Bieruta. I niebawem do „zakrystii kościoła sióstr wizytek w Warszawie zaczęły dochodzić na moje nazwisko karteczki od pani Marcjanny Fornalskiej, matki Małgorzaty, a jedna nawet od córki Małgorzaty – pani Oli Jasińskiej po śmierci Bolesława Bieruta”.

TRAGICZNE LOSY RODZINY FORNALSKICH

Towarzysz Tomasz nie zapomniał o rodzinie „partyjnej żony”. Już jako osoba numer jeden w Polsce wielokrotnie w tej sprawie zwracał się do Stalina, poszukiwał również innych polskich komunistów. Miał nadzieję, że chociaż część przeżyła wielki terror.

„[...] rozmawiał na temat wielokrotnie – wspominał Stefan Staszewski. – Kiedy przyjeżdżał do Moskwy, szedł do Stalina, przy tych spotkaniach obecny był Beria. Bierut pytał, co jest z tymi polskimi komunistami, których nie ma, Stalin zwracał się do Berii: Ławrentij Pawłowicz, gdzie oni, ja wielu eł wam ich iskat, poczemu ich wy nie najdiotie. Taką komedię odgrywał za każdym razem”.

Bolesławowi udało się odnaleźć siostrę Małgorzaty, Felicję. Skazana na dziesięć lat łagru pracowała w pralni w Magadanie, gdzie „prasowała przez szesnaście godzin na dobę męskie koszule obozowych dygnitarzy”. W zamian „czasem wsuwano jej do kieszonki fartucha kawałek chleba lub marchewkę”, a co najważniejsze: w pralni było ciepło, dzięki czemu przeżyła w zabójczym klimacie Kołymy.

Po otrzymaniu informacji o losach Felicji Bierut podczas kolejnej wizyty u radzieckiego przywódcy przedstawił jej sprawę. Tym razem Beria musiał spełnić wolę dyktatora.

„[...] pewnego dnia – opowiadała Halina Ilnicz – władze obozowe kazały jej [Felicji] się przygotować do podróży, nie informując, dokąd jedzie. A enkawudzista przyszedł do niej i mówi krótko: »Zabieraj się z rzeczami«. Była pewna, że znowu dadzą jej następne dziesięć lat obozu, bo tak to zwykle się odbywało. Była bardzo zmartwiona, że traci »schronienie« w pralni, gdzie już sobie jakoś życie ułożyła. A tymczasem zabrano ją z tego ogólnego baraku do jakiegoś nędznego hoteliku i tam przez kilka dni pobytu przynoszono jej wspaniałe jedzenie, a ponadto uniform więzienny i to dopasowany do jej figury, nie za duży, nie za mały. Zawożą ją na lotnisko z dwoma strielkami; ląduje w Irkucku, potem gdzie indziej, wreszcie lądują w Moskwie. Myślała, że wiozą ją na Łubiankę. Tymczasem na lotnisku w Moskwie czekał już Bierut i mówi do niej: »Ani słowa, tu czeka na nas służbowy samolot, wsiadaj, pomówimy w Warszawie«”.

Nieco lepiej los obszedł się z matką Felicji i Małgorzaty. Po aresztowaniu synów wyrzucono ją wraz z wnuczką na ulicę (pomimo długoletniego stażu partyjnego) i nocowała

na klatkach schodowych. Pewnego dnia przypadkowo spotkała na ulicy sekretarza generalnego Kominternu, Georgija Dymitrowa. Ten dyskretnie załatwił jej pokój, dał również trochę pieniędzy. Później Marcjanna pracowała w przedszkolu jako sprzątaczką.

Los odwrócił się po pojawieniu się Jasi w Moskwie, a następnie obydwoma zaopiekował się Bierut. Do Polski powróciły pod koniec wojny.

Pomimo lat spędzonych w łagrze Felicja Fornalska nie zerwała z komunizmem. W kraju podjęła pracę w KC PPR, następnie pełniła funkcję naczelnika Wydziału Kadr Kancelarii Cywilnej Prezydenta RP. U schyłku życia (zmarła w 1987 r.) weszła w skład KC PZPR.

Życie dopisało do jej biografii charakterystyczną puentę. Dziesięć lat przed śmiercią została matką chrzestną statku handlowego (nazwanego imieniem siostry) wodowanego w Gdyni dla armatora radzieckiego z Magadanu. Podobno podczas uroczystości miała ochotę zapytać sowieckich oficjeli, czy tamta pralnia jeszcze istnieje...

KRÓLOWA BELWEDERU

W sylwestrową noc 1943 r. Bierut został przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej. Jego kariera nabrała rozpędu, oczywiście podczas powstania warszawskiego przebywał poza stolicą, podobnie jak większość komunistycznych liderów. Pięć dni po rozpoczęciu walk był już w Moskwie, gdzie zapewniał Stanisława Mikołajczyka, że o sytuacji w Warszawie niczego nie wie.

Córka Bolesława i Janiny Górczyńskiej, Krystyna, walczyła w powstaniu w szeregach Armii Ludowej i odniosła ciężką ranę. Dziwnym jednak trafem we wspomnieniach Chylińskiego nie znajdziemy na ten temat żadnych szczegółów. Syn towarzysza Tomasza szeroko rozpisywał się o tragedii miasta, obciążając za nią polityków emigracyjnych, ale w kwestii losów siostry i matki zachował niezrozumiałe milczenie. A sam w tym czasie przebywał w oddziałach Armii Ludowej na Podhalu. Czyżby Bierut zadbał jednak o rodzinę?

Udział Krystyny w powstaniu pozostaje jednak faktem, podobnie jak jej ciężka rana. Potwierdza to jej awans oficerski w 2001 r., a zatem już w wolnej Polsce, co wyklucza podejrzenia o mistyfikację. A może po prostu sprzeciwiła się woli ojca? Miała wówczas dwadzieścia jeden lat i zapewne pociągała ją wielka przygoda, walka z okupantem w rodzinnym mieście.

Towarzysz Tomasz został w lutym 1947 r. wybrany przez Sejm Ustawodawczy na prezydenta Polski, a półtora roku później objął stanowisko I sekretarza KC PZPR. Po przyjęciu nowej konstytucji połączył funkcję ze stanowiskiem premiera, usuwając Józefa Cyrankiewicza. Skupił w swoich rękach dyktatorską władzę, a w kraju rozpętał się kult jednostki według najgorszych sowieckich wzorów. Podobno jednak zawsze znajdował czas dla rodziny.

„Stałe z nami kontakty – pisał Chyliński – ojciec kontynuował po wojnie, gdy został

prezydentem. [...] Później stały się zwyczajem niedzielne u niego wizyty i wspólne obiady z udziałem dzieci – obu córek i moim. Oczywiście jeśli tylko jemu i nam nie stało coś istotnego na przeszkodzie. Chyba bardziej o nie zabiegał niż ja sam, mocno zaabsorbowany własnymi sprawami. Tak się też złożyło, że na przestrzeni kilku lat rzadko przebywałem w Warszawie – najpierw studia, a potem praca w Rzeszowie. Natomiast moje siostry systematycznie spędzały z nim niedziele i święta. Nawet gdy przychodzili do niego w tym czasie najbliżsi współpracownicy, nigdy nie przerywał naszych odwiedzin, a kontynuował je w rozszerzonym gronie”.

Podobne zdanie miała również córka Fornalskiej:

„Ojciec przejmował się niezmiernie naszym wychowaniem i wszelkie najdrobniejsze nawet trudności i niepowodzenia każdego z nas bolały go ogromnie. Starał się zawsze przychodzić nam z pomocą i radą, i usiłował poświęcić nam trochę czasu. Oczywiście w takim zakresie, w jakim zezwalały na to inne obowiązki. A poczucie obowiązku rozbudowane miał w najwyższym stopniu. Pracowity był ogromnie i skrupulatny. Aż do pedanterii”.

Chyliński przez pewien czas pełnił funkcję adiutanta ojca, towarzysząc mu w trakcie podróży zagranicznych. Czasami spędzał z nim urlopy, podobnie jak jego siostry.

„Kilka razy natomiast przebywałem z nim na urlopie, w tym raz na Krymie. Były to zazwyczaj, krótkie, kilkudniowe lub najwyżej tygodniowe pobyty. Moje siostry towarzyszyły mu częściej. Spędzanie wspólnie z nami urlopów sprawiało mu niewątpliwie dużą przyjemność – świadczą o tym zapisy w jego brulionach”.

W tym czasie Bierut związany był już z Wandą Górską. Młodsza od niego o jedenaście lat była łączniczką Pawła Findera, a następnie stała się partnerką życiową towarzysza Tomasza. Powszechnie uważaną ją za jego kolejną żonę.

Właściwie niewiele o niej wiadomo. W chwili związania się z Bierutem przekroczyła już czterdziesty rok życia, ale praktycznie nie znamy żadnych szczegółów jej wcześniejszej biografii. Nie wiemy nawet, czy miała wcześniej męża, dzieci, większą rodzinę. Prawdopodobnie z zawodu była nauczycielką (przynajmniej taką legitymację posiadała podczas wojny) i pochodziła z podwarszawskiej Radości (jej ojciec miał tam dom). A Władysław Gomułka uważał, że Bolesław wcale nie był jej pierwszym partnerem z kręgu komunistycznych prominentów:

„Wanda Górską była nie tylko łączniczką Findera, lecz także jego bliską przyjaciółką. Zamieszkiwał u niej na Żoliborzu niemal od pierwszych dni po przybyciu do Warszawy. W 1943 r. zamieszkali wspólnie w Wesołej. Zdarzało się, że Finder zapraszał mnie do siebie na spotkania, które odbywały się w obecności Górskiej, co naruszało zasady konspiracji”.

Kim właściwie była? Czy tylko konkubiną kolejnych partyjnych liderów, czy też agentką NKWD? Jej obecność u boku Findera podczas narad konspiracyjnych sugeruje drugie rozwiązanie. Na pewno była odważną kobietą, wspólne mieszkanie z szefem PPR pod niemiecką okupacją było wyjątkowym wyzwaniem. Miał on do tego stopnia semickie

rysy twarzy, że obawiał się jeździć tramwajem czy pociągiem. Nie wiadomo również, czy był partnerem Górskiej z czasów przedwojennych, czy też związali się ze sobą dopiero podczas okupacji. Lider PPR miał przecież legalną żonę, działaczkę KPP, zmarłą w 1997 r. Gertrudę Pawlak. Ale jak wiadomo, wśród polskich komunistów poligamia nie była wyjątkiem.

Górska i Bierut nie tracili czasu, po aresztowaniu Fornalskiej i Findera ich kontakty nabrały intensywności.

„Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem w 1943 r. – wspominała Wanda – przyszła do mego mieszkania [...] Krystyna Bierut, córka Bolesława Bieruta i przekazała mi polecenie Bolesława [...], abym przybyła do mieszkania jego rodziny na Żoliborzu w drugi dzień świąt około godziny szesnastej, gdyż chciałby ze mną porozmawiać”.

Zastosowała się do rozkazu i „podekscytowana i przejęta” stawiała się w umówionym miejscu. Zdenerwowana „nie śmiała wyciągnąć ręki” po kawę i ciasto, którymi ją poczęstowano.

Nie wiadomo, czy romans nawiązali od razu, czy też była to sprawa następnych tygodni. Z perspektywy czasu ich związek nie wydaje się jednak przypadkiem: to raczej niemożliwe, aby Górska została konkubina dwóch liderów PPR. Wprawdzie I sekretarzem był wówczas Gomułka, a siatka komunistyczna nie miała łączności z Moskwą (szyfry przepadły razem z Fornalską), ale dobry agent musi wiedzieć, kiedy podjąć osobistą inicjatywę. Jak było jednak naprawdę, tego zapewne nigdy się nie dowiemy. Nie bez powodu dostęp do teczek zawierających wspomnienie Wandy o Bierucie w warszawskim Archiwum Akt Nowych do niedawna był zamknięty. A chociaż dokument zawiera bardzo ogólnikowe informacje, utajnienie go uznano za konieczne.

Górska została łączniczką Tomasza, a po zakończeniu wojny jego sekretarką (w latach 1952–1953 pełniła funkcję szefa gabinetu premiera). Ich związek był publiczną tajemnicą, razem mieszkali, a podczas podróży zagranicznych towarzyszyła mu w charakterze żony. Brak formalnych więzów chyba nikomu nie przeszkadzał, a ona sama również nie stwarzała problemów.

„Żony wodzów ludu – ironizował Józef Światło – już od kierowników wydziału KC w górę, należą do tych uprzywilejowanych dam, które chodzą w najlepszych futrach, w najelegantszych sukniach i wytwornej bieliźnie. Dodam jeszcze, że poza willą przy ulicy Klonowej i drugą willą w Konstancinie każdy członek Biura Politycznego ma też willę w jakiejś miejscowości wypoczynkowej. Zależnie od upodobań i od stanu zdrowia – albo w górach, albo nad morzem. Mają też naturalnie swoje sklepy należące do MBP w Warszawie przy ulicy Rakowieckiej, Wiśniowej, Pułaskiej i w Alejach Niepodległości. Leczą się w najnowocześniejszej klinice rządowej i w specjalnym pawilonie szpitala bezpieczeństwa [...]. Każdy ma swojego nadwornego lekarza”.

Obowiązki Górskiej w Belwederze nie należały do specjalnie skomplikowanych. Właściwie polegały na najprostszych czynnościach biurowych.

„[...] ograniczały się do umiejętności zręcznego posługiwania się kilkoma

telefonami – uważał Stanisław Łukasiewicz – które ustawione były częściowo na biurku, częściowo zaś na podręcznym stoliku. [...] W kompetencji Górskiej leżało również kwalifikowanie próśb i petycji o osobistą audiencję u prezydenta. Jeżeli były to ważne osobistości spoza kół rządowych, wówczas prośby te przedstawiała prezydentowi z odpowiednimi komentarzami o danej osobie. Jeśli petent był zwykłym, mało znanym obywatelem chcącym złożyć swą petycję w Belwederze – wówczas takie sprawy Górka kierowała do Wasilewskiego, który rozpatrywał je dość opieszale, a czasem o nich zapominał”.

Łukasiewicz poznał ją jeszcze przed wojną i w Belwederze zauważył w jej zachowaniu oraz wyglądzie duże zmiany. Zdecydowanie „odmłodniała i wypiękniała”, traktowała ludzi nieco protekcyjnie. Chętnie zresztą powierzała mu pieczę nad telefonami, albowiem „ją jakieś żywioły ciągnęły do miasta”. Była w „nadzwyczajnej formie” i czuła się ważną personą.

Górka miała na ten temat zdanie odmienne. Uważała, że ciężko pracuje, poświęcając się dla komunizmu, Polski i konkubenta.

„Pracowałam od dziewiątej rano do dziesiątej wieczorem z przerwą na obiad. Nie miałam czasu na własne sprawy, cały dzień tkwiłam w pracy. Często też pracowałam i w nocy, bo posiedzenia zaczynały się wieczorem np. o dziewiątej i przeciągały się do późnych godzin nocnych”.

Po śmierci Bieruta zniknęła z kart historii. Dostawała wysoką resortową rentę, mieszkała w dwupokojowym mieszkaniu przy ulicy Marszałkowskiej. W 1976 r. podyktowała kilkunastostronicowe wspomnienie o swoim partnerze, będące zadziwiającym dowodem wiary w stalinizm. Dwadzieścia lat po śmierci Bolesława, w epoce Gierka, Wanda Górka nadal z nienawiścią wypowiadała się o Władysławie Gomułce, którego jej konkubent usiłował „sprowadzić na właściwą drogę”.

Ostatnie lata spędziła w Domu Weteranów Ruchu Robotniczego przy ulicy Komarowa (obecna Wołoska). Zmarła w październiku 1983 r., a kilkanaście miesięcy później odeszła na zawsze Janina Górzyńska – jedyna legalna żona towarzysza Tomasza.

ZA ŻÓŁTYMI FIRANKAMI

Elitę władzy wczesnego PRL otaczał niewyobrażalny dla przeciętnego obywatela luksus. Rąbka tajemnicy uchylił Józef Światło, należy jednak pamiętać, że był to człowiek działający na zlecenie swoich nowych mocodawców. Zapis jego wystąpień na falach Radia Wolna Europa był przykładem skrajnej propagandy, jednak warto przyjrzeć się bliżej rewelacjom uciekiniera na temat codziennego życia dygnitarzy.

Światło oskarżał Bieruta o niemoralność i brak konsekwencji. Podstawowym zarzutem był oczywiście brak rozwodu z Górzyńską i obecność w Belwederze Górskiej. Uciekinier przypominał, że I sekretarz głosił zasady „moralności socjalistycznej”, w której nie było miejsca na porzucenie żony. Nakazy etyczne dotyczyły jednak wyłącznie

funkcjonariuszy niższego szczebla. Dobrym przykładem była sprawa pułkownika Władysława Dominika – kierownika warszawskiego Urzędu Bezpieczeństwa.

„W Rosji zostawił żonę i dwoje dzieci. I tutaj w Warszawie doszedł do wniosku, że ta żona za stara i za brzydka, zwyczajna robotnica nie nadająca się na wysokie stanowiska i do salonów. Dobrał więc sobie młodą i obrotną kochankę i zamieszkał z nią jak z żoną na ulicy Strzeleckiej. Mieszkałem i ja tam z nimi i widziałem na własne oczy, jak to pożycie wyglądało. Bywał tam zresztą i mój przyjaciel, wiceminister Roman Romkowski i popijał razem z nami, z pułkownikiem Dominikiem i jego nieoficjalną żoną. Ale tymczasem prawdziwa i legalna żona w Rosji zaczęła się dopominać, że chce wracać do męża. I partia w imię moralności socjalistycznej, zmusiła pułkownika Dominika do zerwania stosunku z jego kochanką i do sprowadzenia żony z Rosji”.

Jego sprawa nie była jedyną. Światło przytaczał jeszcze inne przypadki ze swojego resortu, wskazując, że „moralność socjalistyczna, ta busola jego postępowania była inna dla niego, a inna dla zwyczajnego członka partii”. A funkcjonariuszy nieprzestrzegających norm obyczajowych wydalano nawet z szeregów PZPR.

Bierutowi sekundował Hilary Minc, niemal oficjalnie romansujący z Eddą Werfel, żoną Romana Werfla.

„Towarzysze partyjni w Warszawie już tak się oswoili z tą romantyczną informacją, że przyjęli ją jako fakt oczywisty i nie zgłaszają żadnych przeszkód. Obie panie, to jest Julia Mincowa i Edda Werfel, utrzymują ze sobą stosunki towarzyskie i prowadzą często dosyć nieostrożne rozmowy. Towarzyszka Julia skarżyła się na przykład pewnego dnia, że nie może dostać kucharki. Na co Edda z miejsca odpowiedziała: »Cóż w tym dziwnego, skoro wszystkie kucharki zostały żonami ministrów«”.

Elity władzy nie obowiązywały nie tylko normy obyczajowe, prominentów otaczał również nieprawdopodobny blichtr:

„Oczywiście członkowie Biura Politycznego mają własnych fryzjerów, szewców i krawców, którzy są pracownikami Departamentu Ochrony Rządu. Przy czym na przykład krawcy biorą im miary regularnie co pół roku i mają w swoich pracowniach modele każdego towarzysza, tak, aby nie musiał przychodzić do przymiarki. Ubrania z najlepszych zagranicznych materiałów przymierzają dla towarzyszy właśnie na tych modelach”.

Najwięcej jednak emocji wzbudzają warunki codziennego życia Bieruta i Górskiej. Światło doliczył się dziesięciu luksusowych rezydencji oddanych do dyspozycji lidera PRL. Należały do nich Belweder, willa przy ulicy Klonowej w Warszawie, rezydencje w Konstancinie, Natolinie, Sopocie, Juracie, Międzywodziu, Krynicy, Karpaczu i Łańsku.

„Tylko zewnętrznie Belweder – mówił uciekinier – jest tak skromny, jak był. [...] Jest tam więc przede wszystkim salon – gabinet myśliwski, utrzymany w szarym kolorze, jak skóra jelenia, którą obite są wszystkie meble, zwłaszcza przepiękne krzesła. Mają oparcia ze specjalnych żył sprowadzanych z Indii, które wyglądają jak struny kontrabasów. A na każdym krześle z tyłu metalowa tabliczka z napisem, że wykonano na specjalne polecenie towarzysza Bieruta, wymalowane przez przypochlebiających się artystów”.

Jeszcze bardziej efektownie wyglądała jadalnia, miejsce oficjalnych przyjęć. Światło na różnego rodzaju bankietach miał okazję być tam kilka razy:

„Hebanowe, ciemne meble, obicia z najlepszej skóry. Cicho jak cienie, snują się wytworne kelnerki, które w takich wypadkach razem z kucharzami dyżurują całą noc. Przy jednej ścianie, na niskim kredensie – wyszukane owoce południowe, najrozmaitsze słodczyce, zagraniczne papierosy i wyszukane soki owocowe. Pod drugą ścianą na większym kredensie: wódki, koniaki, likiery, zagraniczne wina – głównie francuskie, węgierskie, krymskie. A obok baterii butelek, na cieniutkiej zagranicznej porcelanie i na srebrnych paterach, kawior, łososie, homary i najwymyślniejsze zimne zakąski, mięsne i rybne”.

Relację uciekiniera z PRL potwierdza w pewnym sensie Stanisław Łukasiewicz, pracujący w Belwederze w latach 1945–1946. Przyznawał, że miejscowa kuchnia nawet na co dzień była doskonała:

„Do pracy przyjęci tu byli najlepsi kucharze (ze względu na bankiety). Toteż przynoszone stamtąd przez dziewczyny potrawy, głównie w porze, gdy Bierut jadł obiad, jakieś flaczki, paróweczki, ryby w galarecie, zupy pieczone – rozsiewały na cały pałac niezwykle smakowite wonie”.

Sam Bierut podobno nie przywiązywał specjalnej wagi do codziennego jadłospisu, co Górską martwiło. Obiady jadalni zwykle we dwoje, ale I sekretarz „zjadał swój obiad szybko i zaraz wracał do pracy”. Bardzo dużo palił, co również martwiło partnerkę. Z jej wspomnień wyłania się zresztą obraz mężczyzny walczącego z dawnymi kompleksami, których dyktatorska władza do końca nie uciszyła. Towarzysz Tomasz „miewał ambicję”, bywał „burkliwy” i „nie lubił przyznawać się do błędów”. I bez skrupułów wykorzystywał pomysły innych jako własne, nie zwracając uwagi na reakcje autorów.

Nie mieszkali w Belwederze, pałac był dla nich wyłącznie miejscem pracy, wykorzystywanym czasami do celów reprezentacyjnych. Na co dzień Bolesław zajmował mieszkanie w willi przy ulicy Klonowej, a Chyliński uważał, że ojciec wcale nie miał tam luksusów:

„W Warszawie mieszkał w willi przy ulicy Klonowej 4, na rogu ulicy Bacciarellego, zajmując w niej mieszkanie na pierwszym piętrze, składające się z pięciu niedużych pokoi oraz znajdującego się w części drugiego piętra: pomieszczenia kuchennego i służbowego, połączonych z mieszkaniem wewnętrznymi schodami. Mieszkał tam z Wandą Górską, która od 1944 r. do końca życia była jego nieodłączną partnerką, niewątpliwie silnie z nim związaną uczuciowo”.

Światło nie wspominał niczego bliższego o wyposażeniu tego mieszkania, niewykluczone, że nigdy tam nie był. Specjalną uwagę poświęcił natomiast willi w Konstancinie:

„Kiedy mu się znudzi ulica Klonowa, towarzysz Bierut jedzie do swego pałacyku w Konstancinie, oczywiście razem z Górską. Osiemnaście pokoi ma w tej willi, wszystko najnowocześnie urządzone. Tam spędza zwykle lato w salonach, obwieszonych starymi

obrazami, zapełnionymi arcydziełami sztuki snycerskiej. Znam tę willę bardzo dobrze. Obejrzałem ją sobie całą, kiedy zakładałem podsłuch dla rozmów towarzysza Bieruta z Aleksandrem Kowalskim [zmarł w niejasnych okolicznościach w zakładzie psychiatrycznym – S.K.] i z innymi likwidowanymi członkami partii”.

Polemikę z rewelacjami uciekiniera podjął Chyliński. Przyznawał wprawdzie, że ojciec miał do dyspozycji willę w Konstancinie i zabytkowy pałacyk w Natolinie, ale obie rezydencje przydzielono mu wyłącznie „w związku z pogarszającym się stanem zdrowia”. Natolin zresztą nie był przystosowany do zamieszkania, Bierut miał pojawiać się tam wyłącznie w celach reprezentacyjnych, ewentualnie przyjeżdżał w „soboty i niedziele dla spacerów po pięknym, rozległym parku”.

Z czasem jednak towarzysz Tomasz z Natolina niemal zupełnie zrezygnował. Przyczyna była bardzo prozaiczna: spacerując po tamtejszym parku, nadział się na rogi biegającego jelonka. Zwierzę nie uszanowało nietykalności dostojnika i Bolesław ostatecznie przeniósł się do Konstancina.

„Bardzo dobrze mu służył tamtejszy mikroklimat – wspominał Chyliński. – Jedyłą uciążliwością, na którą czasem narzekał, były stałe towarzyskie wizyty składane mu przez innych członków kierownictwa partii i rządu, dysponujących willami w sąsiedztwie i zjeżdżających do nich w dni wolne od pracy. Dla nich było to miejsce wypoczynku, dla niego raczej spokojnej, samodzielnej pracy. Owszem, odbywał tam spotkania i rozmowy – najchętniej spacerując po lesie – ale chciał sam decydować z kim i kiedy”.

Chyliński uważał, że w rezydencjach polityka nie było przepychu, a jedynie „skromne wyposażenie i umeblowanie”. Dodawał również, że rezydencje ojca „przewyższały gustownością” domy innych dygnitarzy.

Trudno raczej uwierzyć w „skromne umeblowanie i wyposażenie” konstancińskiej posiadłości. Willę zbudowano w latach 1933–1935 dla warszawskiego przemysłowca Gustawa Wertheima. Pierwotne wyposażenie zrabowano podczas wojny (zginął również właściciel willi), ale Bierut nie był człowiekiem odrzucającym zbytek. Znajomość faktów historycznych dopisuje zresztą do relacji syna zadziwiającą puentę.

W Sopocie towarzysz Tomasz miał korzystać „przez dwa czy trzy sezony z willi”, którą „dla potrzeb letniego wypoczynku przekazał mu inżynier Eugeniusz Kwiatkowski”. Dziwnym jednak trafem legendarny budowniczy Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego w 1948 r. otrzymał zakaz pobytu nad morzem (dotychczas nadzorował odbudowę polskich portów). Willa faktycznie nie była mu już do niczego potrzebna...

„Ani Bierut, ani żaden inny członek Biura Politycznego – tłumaczył Leon Chajn – nie posiadali prywatnej własności, korzystali z okresowego przydziału dla celów reprezentacyjnych. [...] Przy ulicy Klonowej [wille] były co najmniej dwurodzinne, a więc nie użytkowane przez jednego dygnitarza. Faktem jest jednak, że rzeczywiście wiele willi zostało zabranych na cele reprezentacyjne. W Konstancinie było ich kilkanaście, ale nie stanowiły one, podkreślam, ich własności [...]”.

Stosunek ówczesnych dygnitarzy do spraw bytowych doskonale ilustruje wywiad

Teresy Torańskiej z Julią Minc. Pomimo upływu kilkadziesiąt lat żona Hilarego Minca nie widziała niczego niewłaściwego w trybie życia Bieruta:

„A co! – oburzała się. – Miał siedzieć w trzech pokojach? Każdy w zależności od szczebla i ciężącej na nim odpowiedzialności musi mieć zapewnione inne warunki życia. Urowniłowka może będzie, ale dopiero w komunizmie, w socjalizmie zaś nie może być tak, by minister handlu zarabiał i żył tak samo jak sprzedawca. Przede wszystkim dlatego, że nikt wtedy nie zechciałby być ministrem. W socjalizmie dawać się powinno nie każdemu po równo, ale według zasług”.

Chyliński bagatelizował luksus otaczający ojca. Ośrodek w Łańsku na Mazurach miał być w tych czasach niewielkim kompleksem, „złożonym z dwóch obiektów – mieszkalnego i jadalno-wypoczynkowego”. Inne zdanie miał na ten temat Światło:

„W samej tylko willi myśliwskiej w Łańsku w województwie olsztyńskim jest garnizonik złożony z około pięćdziesięciu ludzi pod dowództwem porucznika Doskoczyńskiego. Ludzie ci pilnują willi, utrzymują ją w pogotowiu i hodują specjalną zwierzynę na tych dziesięć dni czy dwa tygodnie, które towarzysz Bierut spędza tam rocznie na polowaniu”.

Łańsk był dawnym pałacykiem myśliwskim Hermanna Goeringa, a marszałek III Rzeszy raczej niczego sobie nie odmawiał. Obiekt padł oczywiście ofiarą wojennej grabieży, ale jego świetność przywrócono. Nie tylko zresztą Bierut lubił siedziby Goeringa, słabość do nich miał również Jakub Berman.

„Wyjeżdża na Śląsk do Bierutowic [Karpacz Górny – S.K.], gdzie wypoczywa po trudach swojego urzędu, w dawnym pałacu Goeringa. Od czasu do czasu odnajdujemy go nad Bałtykiem, w Jastrzębiej Górze, gdzie odrywa się od nużących zadań partyjnych w mniej nużącym towarzystwie. Żony przy nim wówczas nie ma [...]. Towarzysz Jakub w czasie tych krótkich wypadów urlopowych, obraca się za to w towarzystwie młodych adeptek sztuki dyplomatycznej. Bo tak się już od dawna ułożyło, że po zreorganizowaniu Ministerstwa Spraw Zagranicznych czujne i chwytliwe ręce towarzysza Jakuba obsadzają placówki i stanowiska w MSZ młodymi przyjaciółkami, które umilają mu życie. Kariera Bermana na tym odcinku jest długa i urozmaicona”.

ŚMIERĆ W MOSKWIE

Bierut był zajadłym dogmatykiem, niedopuszczającym żadnych zmian w obowiązującej doktrynie. Uważano, że był bardziej ortodoksyjny od Stalina, i czasami sowiecki dyktator musiał hamować jego zapędy. Towarzysz Tomasz chciał nawet zmienić obowiązujący hymn i godło państwowe, co Kreml uważał za zupełnie niepotrzebne. Po śmierci dyktatora Bierut nie potrafił przystosować się do nowych czasów i kiedy w innych krajach bloku wschodniego zaczynała się odwilż, w Polsce kontynuowano w najlepsze dotychczasowy kurs.

Ludzie znający towarzysza Tomasza zauważali jednak pewne zmiany w jego

zachowaniu. Podobno zdecydowała o tym jedna z wizyt w Moskwie, podczas której po raz kolejny dopytywał się o polskich komunistów, „zaginionych” w sowieckim imperium.

„[...] chyba na początku 1950 albo pod koniec 1949 r. – opowiadał Stefan Staszewski – Bierut wrócił z kolejnej podróży do Moskwy wstrząśnięty i pod tak wielkim wrażeniem tego, co go spotkało, że wrócił i opowiedział. Poszedł do Stalina, zapytał, Stalin powtórzył swój cyrk z Ławrentijem Pawłowiczem, po czym Bierut wyszedł z Berią od Stalina i Beria mu powiedział [...]:

– Czego wy prijebilis k Josifu Wissarionowiczu, otjebities wy ot niewo. Ja wam sowietuju, a to chuże z wami budiet.

Zrozumiał aluzję, która aluzją nie była, a ostatecznym ostrzeżeniem, i przestał mówić ze Stalinem na temat swoich przyjaciół”.

Śmierć dyktatora oznaczała groźbę przejścia władzy przez Berię, a kiedy zagrożenie minęło, wybuchła afera z ucieczką Józefa Światły. Cykl audycji uciekiniera na falach Wolnej Europy, odsłaniających metody działalności władców PRL, kosztował Bieruta wiele zdrowia. Dodatkowym problemem stało się ujawnienie kulis władzy i przepychu otaczającego przywódców proletariatu. W efekcie towarzysza Tomasz zaczął nadużywać alkoholu.

„Nie wiem – kontynuował Staszewski – czy pił dużo czy mało, sam czy w towarzystwie, ale faktem jest, że ja go widziałem parę razy wyraźnie wstawionego. Prawdopodobnie picie było dla niego ucieczką – może przed strachem, a może przed złymi przeczuciami”.

Nie panował wówczas nad swoim zachowaniem, zdarzało mu się mówić słowa niedopuszczalne w ustach wasala Kremla. Staszewski zapamiętał uroczyste przyjęcie w Belwederze w obecności sowieckiego ambasadora:

„Jeden wielki stół stał w poprzek sali – jak zwykle – dla najważniejszych gości, a dla reszty ustawiono stoły wzdłuż. Wszyscy popijają, jedzą, rozmawiają. Bierut wychodzi z za swojego stołu z ambasadorem radzieckim i zaczyna przedstawiać mu ludzi. Podchodzi do miejsca, gdzie stałem z paroma i mówi: towarzyszu Staszewski, przedstawcie się naszemu ambasadorowi. My już witaliśmy się dzisiaj – odpowiadam. I nagle słyszę rzecz w ustach Bieruta straszną.

– Nic nie szkodzi, można jeszcze raz, można jeszcze raz się pokłonić naszemu ambasadorowi.

[...] był wstawiony i odczułem to jako symptom degrengolady człowieka, jakiegoś upadku, zatracenia godności. Ja go takim nigdy dotąd nie widziałem”.

Tymczasem na Kremlu trwała walka o władzę. Po zamordowaniu Berii, Chruszczow odsunął Gieorgija Malenkowa i został osobą numer jeden w ZSRR. Na luty 1956 r. zwołano XX Zjazd KPZR, na który zaproszono również polską delegację, z Bierutem na czele. Uroczyste pożegnanie wyjeżdżających do Moskwy przeszło do legendy, zapamiętano towarzysza Tomasza w futrze, na dworcu w Warszawie machającego przez okno wagonu. Z podróży już żywy nie powrócił, stąd wzięło się słynne powiedzenie,

iż „pojechał w futerku, a wrócił w kuferku”.

W ostatnich miesiącach stan jego zdrowia znacznie się pogorszył. Miał nawracające grypy przechodzące w zapalenia płuc, do tego dochodziły problemy z nerkami.

„Chudy, postarzały, nawet zmalał – opowiadał Włodzimierz Sokorski – jakby zapadł się w sobie. Skarżył się na chorobę, która go nie chciała opuścić. Zapalenie oskrzeli, antybiotyki, nie wytrzymuje serce, wątroba”.

Podczas słynnego referatu Chruszczowa odsłaniającego szczegóły kultu jednostki, Bierut zasłabł. I do zdrowia nie powrócił.

„Źle się czuł już podczas zjazdu – wspominała Wanda Górka – i byłam o tym poinformowana. Lecz ona sam w rozmowach telefonicznych zapewniał, że czuje się jak najlepiej. Gdy zaproponowałam, że przyjadę, odmówił. Tu żaden z towarzyszy nie przywiózł swojej żony i on nie może być wyjątkiem”.

Górkę wezwano jednak do Moskwy, pojawił się tam również Chyliński. Polska delegacja powróciła do Warszawy bez Bieruta, ale w krajowych mediach panowało milczenie na temat choroby I sekretarza. Jego partyjni koledzy mieli zresztą na głowie inne problemy, tajny referat Chruszczowa rozchodził się po kraju. W Polsce wrzało, zwolniono z więzienia Mariana Spychalskiego, odwołano ze stanowiska Bermana. Codziennie drogą lotniczą dostarczano Bierutowi stenogramy narad partyjnych, każdego dnia też odbywał długie rozmowy telefoniczne. Towarzysz Tomasz przestał być już jednak swoim kolegom potrzebny, kojarzył się ze zbrodniami i zniechęconym aparatem ucisku. A w ogóle najlepiej by było, gdyby z Moskwy nie powrócił żywy. Stan jego zdrowia na zmianę się pogarszał i poprawiał, chwilami tracił przytomność. Niebawem nadszedł koniec.

„[...] wpadł Grzybowski [szef ochrony Bieruta – S.K.] i mówi, chodźcie prędzej – opisywała Górka. – Tam zastałam już profesorów Markowa i Fejgina. Jeden trzyma za rękę, drugi robi jakiś zastrzyk, miny mają skupione. Wreszcie odwracają się, opadają im dosłownie ręce. Chory nie żyje, była godzina jedenasta czasu moskiewskiego, to jest dziewiąta rano naszego czasu”.

Według wspomnień syna Bolesław Bierut zmarł o świcie, natomiast relacja przytoczona przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego mówi o śmierci podczas spaceru w pobliżu lecznicy rządowej. Sekretarz miał poprosić ochronę o pozostawienie go samego na pół godziny, po czym znaleziono go martwego na parkowej ławce.

Dziwnym trafem podczas długiej (trwającej niemal miesiąc) choroby nie wezwano z Warszawy osobistego lekarza Bieruta, a profesor Fejgin podpisał protokół sekcji zwłok, w której nie uczestniczył...

Krystyna Bierut ukończyła architekturę na Politechnice Warszawskiej, a następnie doktoryzowała się w Moskwie. Wyszła za mąż za kolegę ze studiów Bidzinię Maminajswili i wraz z nim wyjechała do Gruzji. W 2000 r. powróciła do kraju i trzy lata później zmarła w stolicy. Jej dwie córki (Lena i Anna) posiadają polskie obywatelstwo.

Również Jan Chyliński ukończył studia w Moskwie (specjalizacja: silniki lotnicze). Wszedł do elity władzy PRL, pełnił obowiązki wiceministra przemysłu ciężkiego,

a następnie przemysłu maszynowego. Miał zostać ambasadorem Polski w stolicy Związku Radzieckiego, ostatecznie objął tę funkcję w Bonn (w latach 1978–1981).

Największą karierę zrobiła córka Fornalskiej, Aleksandra Jasińska-Kania. Poświęciła się socjologii, od 1956 r. pracowała na Uniwersytecie Warszawskim i w 1991 r. otrzymała tytuł profesora. Warto jednak zwrócić uwagę na temat jej pracy doktorskiej, obronionej w 1967 r.: *Karol Marks a problemy alienacji we współczesnej socjologii amerykańskiej*.

Zresztą po zmianie ustroju żadne z dzieci prezydenta nie chciało rozmawiać z dziennikarzami na temat ojca. Chyliński opublikował hagiograficzną biografię głowy państwa, natomiast Jasińska-Kania wypowiedziała się o rodzicach w pracy *Godziny zwierzeń*, zawierającej relacje potomków znanych person z najnowszych dziejów Polski.

Za potomka Bolesława i Wandy niektórzy uważają Macieja Górskiego, dziennikarza i ambasadora w czasach III RP we Włoszech i Grecji. Jednak oficjalna data urodzin dyplomaty kompletnie nie pasuje do chronologii związku jego rzekomych rodziców. Urodził się w styczniu 1944 r. i w najlepszym wypadku mógł być synem Pawła Findera. Wprawdzie komuniści fałszowali poważniejsze rzeczy niż metrykę urodzenia, ale cała sprawa wydaje się zwykłym pomówieniem, opartym na zbieżności nazwisk. O potomstwie Bieruta i Górskiej nic nie wspominał bowiem Władysław Gomułka, nienawidzący z całego serca rywala i jego otoczenia. A towarzyszowi Wiesławowi w tej kwestii należałoby raczej wierzyć...



Rozdział VII. „Krwawa Luna”



Julia Brystygier

„Luna stała się naprawdę wybitnym pracownikiem Bezpieczeństwa i na tle innych dyrektorów czy naczelników – nie odznaczającymi się wielkimi talentami i stosującymi toporne często metody – zdecydowanie się wyróżniała. Była przy tym wyjątkowo inteligentną kobietą [...]. Bystra, przenikliwa, umiała nawiązywać dobre kontakty z ludźmi. Powierzono jej spawy wymagające bardzo delikatnych tonów, dużej wiedzy i kwalifikacji wyższego rzędu”. (Jakub Berman)

Józef Światło sugerował, że w okresie powojennym Bieruta łączyły również intymne stosunki z Julią Brystygier, dyrektor V Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Towarzyszkę Julię nie bez powodu nazywano „krwawą Luną”, zarzucano jej okrucieństwo i wyrafinowany sadyzm. Jej ulubionymi ofiarami byli młodzi żołnierze Armii Krajowej, których z lubością osobiście torturowała. Sensację wzbudzała również swoboda obyczajowa Luny potrafiącej być jednocześnie kochanką kilku komunistycznych dygnitarzy. To jednak Brystygierowej nie wystarczało i dobierała sobie partnerów z grona podwładnych, a chętnych do odmowy raczej nie było.

Naprawdę nazywała się Julia Preiss (Prajs?), urodziła się w 1902 r. w Stryju w rodzinie zamożnego żydowskiego aptekarza. Była osobą wykształconą, ukończyła historię na lwowskim uniwersytecie, zrobiła nawet doktorat z mediewistyki (lub historii filozofii). Przez pewien czas przebywała w Paryżu, gdzie podobno była modelką Picassa. Po powrocie do kraju wyszła za mąż za działacza syjonistycznego Natana Brystygiera, z którym miała syna, Michała. Niewiele wiadomo o jej małżeństwie, właściwie tylko tyle, że mąż zmarł w 1930 r.

Luna związała się z komunistami i z tego powodu straciła pracę w gimnazjum w Wilnie (uczyła tam historii). Powróciła do Lwowa, wstąpiła do Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy, współorganizowała słynny kongres pracowników kultury w 1936 r.

Na pewno nie identyfikowała się z państwem polskim. Z pochodzenia Żydówka, a z przekonań komunistka „była bardzo, ale to bardzo ukrajinofilska. W swojej bibliotece miała dużo książek ukraińskich. Lubiła ich kulturę, literaturę”. Kilka razy więziona i skazywana za działalność komunistyczną, po klęsce wrześniowej pozostała nad Pełtwią. Zapewne już wcześniej była agentką NKWD, a pod sowiecką okupacją zasłynęła jako gorliwa autorka donosów. Denuncjowała nie tylko „wrogów ludu”, całkiem sprawnie donosiła również na kolegów partyjnych. Przy okazji nawiązała bliższe kontakty z Wandą Wasilewską, a znajomość ta miała odegrać ogromną rolę w jej karierze.

Nie wszyscy jednak mieli złe zdanie na temat lwowskiego epizodu jej życia.

„We Lwowie – wspominał późniejszy redaktor naczelny »Trybuny Ludu« Leon Kasman – mieszkała Luna Brystygierowa. Trochę dama, dosyć wykształcona, wymowna, umiała się zachować. Dotarła do jakiś ważnych Sowietów i pozwolono jej prowadzić opiekę nad byłymi więźniami. Powołano ośrodek Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom. Luna została jego przewodniczącą, przydzielono nam lokal, parę pokoi w centrum miasta. Jako nasza opiekunka robiła, co mogła, dwoiła się i troiła, by nam pomóc, by nas gdzieś poupychać przez różne znajomości. Nic złego nie mogę o niej powiedzieć”.

Pomogła również mało wówczas jeszcze znanemu działaczowi komunistycznemu z Podkarpacia. Dzięki Lunie Władysław Gomułka znalazł pracę, czego nigdy miał jej nie zapomnieć.

Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej Brystygierowa wyjechała na wschód. W Samarkandzie nie zmieniła obyczajów, nadal działała w MOPR i współpracowała

z NKWD. A ortodoksyjności poglądów mogliby jej pozazdrościć starzy czekiści. Postawiła przed komisją dyscyplinarną Józefa Goldberga (późniejszego prokuratora Józefa Różańskiego) z żoną, zarzucając im odbiór pomocy żywnościowej od rządu Sikorskiego. Chodziło o dwa kilogramy ryżu i torbę mąki, które przyjęła żona Różańskiego, chcąc ocalić dziecko od śmierci głodowej. Argumentacja ta nie przekonała jednak Luny, oskarżającej Goldbergów o kontakty z imperialistami, „polityczną zdradę” i „brak komunistycznej godności”. Różański był jednak również agentem NKWD (o dłuższym nawet stażu) i ostatecznie sprawa ucichła. Ale oboje tego incydentu nigdy nie zapomnieli.

Przyjęcie ryżu i mąki od „reakcyjnego rządu Sikorskiego” wydawać się mogło niewielkim przewinieniem, ale warto pamiętać, w jakich warunkach żyli ludzie na zapleczu frontu. Panował straszliwy głód, ludzie umierali z niedożywienia i braku witamin.

„Zobaczyłem naszych towarzyszy – opisywał sytuację w Samarkandzie Leon Kasman. – Galeria półtrupów. Odnalazłem Minca. Miał nieźle. Był profesorem na tamtejszym uniwersytecie i miał stołówkę. Wtedy liczył się dostęp do jedzenia, nie pieniądze. Mincowie mieszkali w małym pokoiku, pośrodku którego stała koza. Mały, żelazny piecyk, z rurą wyprowadzaną przez okno. Sufit i ściany były szerniałe od sadzy. Mincowa zaprosiła na kolację. Nie umiała gotować i do saganu wrzucała, co miała pod ręką: fasolę, kawałki mięsa, kartofle, okropne to było, ledwo mogłem jeść”.

OBRAZKI Z ŻYCIA INTYMNEGO

Luna nie uchodziła za specjalnie atrakcyjną kobietę. Zachowane relacje jednoznacznie określają, że miała ładną twarz, ale „była potwornie niezgrabna”. Nieoceniony plotkarz, Włodzimierz Sokorski, uważał, że „była od początku niezwykle ciekawą kobietą: ładna buzia i strasznie niezgrabna figura – nadawała się na modelkę do kubistycznych obrazów Picassa”.

Julia lubiła jednak mężczyzn i ceniła erotyczną stronę życia. Inna sprawa, że seks traktowała często instrumentalnie, w czym pomagały jej umiejętności dyplomatyczne. Podczas wojny jej kochankami byli jednocześnie: Jakub Berman, Hilary Minc i Eugeniusz Szyr. Panowie specjalnie sobie nie przeszkadzali, może za wyjątkiem Minca, który rościł sobie prawa do wyłączności. Zresztą obyczaje panujące w Związku Patriotów Polskich wprowadzały w osłupienie osoby postronne, niepotrafiące zrozumieć zmieniających się układów męsko-damskich.

„[...] należał do najbardziej zagorzałych sekciarzy – pisał Zygmunt Berling o Szyrze. – Znany był z tego, że jego arbitralność i arogancja budziły sprzeciw nawet osób niezainteresowanych bezpośrednio w sprawę. On nie dyskutował. On rozstrzygał. Był całkowicie opanowany przez kompleks antysemityzmu i z niego wywodził się jego stosunek do nie-Żydów, a przede wszystkim do Polaków. Przy tym wszystkim charakterystycznie »żydłaczył«. W owym czasie, w Moskwie został mężem... Brystygierowej. Uważałem go za antypatyczne indywiduum”.

Do określenia „mąż” należy podchodzić z pewnym dystansem, w kręgach komunistycznych sprawy te dalekie były od regulacji prawnych. Trwała zresztą wojna i nikt do formalizacji związków się nie spieszył. To wówczas pojawiło się określenie, które szybko zdobyło popularność – „przechodnia polowa żona” (w skrócie: PPŻ).

Berling uważał Brystygierową za złego ducha Wasilewskiej (której również nie cierpiał) i traktował jako główną przedstawicielkę frakcji żydowskiej w ZPP. Ironizował, że organizacja powinna zmienić nazwę na Związek Patriotów Żydowskich i zarzucał Lunie, iż dobiera ludzi wyłącznie pod kątem narodowościowym. A Wanda podobno w ogóle nie interweniowała:

„[...] stała się w rękach Brystygierowej narzędziem całkowicie bezwolnym. Ta ostatnia rządziła organizacją samowolnie i z istic bezwstydnym tupetem, tak jak chciała. Królowało sekciarstwo i zuchwałe forowanie Żydów i Żydówek, bez względu na ich faktyczne kwalifikacje i pochodzenie społeczne na wszystkie kierownicze i mające jakiegokolwiek znaczenie stanowiska”.

Intymne kontakty Luny nie ograniczały się wyłącznie do Szyra. Nadal regularnie sypiała z Mincem i Bermanem. Zdawała sobie sprawę z faktu, że Szyr ma najmniejsze szanse na karierę, natomiast pozostała dwójka szykowała się do objęcia najwyższych stanowisk. I znaleźli dla Luny odpowiednie zajęcia...

W październiku 1944 r. Brystygierowa wstąpiła do PPR, została również włączona w skład Krajowej Rady Narodowej. Partyjni koledzy wystąpili wówczas z propozycją nie do odrzucenia.

„W Lublinie – mówił Berman – szukano odpowiednich ludzi dla wzmocnienia Urzędu Bezpieczeństwa i jak mi potem sama opowiadała, do pracy w Bezpieczeństwie zmusili ją Gomułka i Bierut. Podobno nie bardzo chciała, bojąc się odpowiedzialności i uważając, niezbyt zna się na tej robocie, ale [...] powołali się na obowiązek partyjny, dali nakaz i poszła. Została dyrektorem V Departamentu Społecznego i pod swoją opieką miała sprawy kleru oraz środowisk twórczych. Po niedługim czasie okazało się, że decyzja [...] była słuszna”.

Faktycznie, Julia Brystygierowa stała się prawdziwym postrachem Urzędu Bezpieczeństwa, uczciwie zapracowując na przydomek „krwawej Luny”.

TOWARZYSZKA DYREKTOR W AKCJI

Gomułka miał wobec Luny dług wdzięczności, dla Bieruta była wprawdzie osobą anonimową, ale sugestia Bermana i Minca okazała się wystarczającą rekomendacją.

„Luna stała się naprawdę wybitnym pracownikiem Bezpieczeństwa – kontynuował Berman – i na tle innych dyrektorów czy naczelników – nie odznaczającymi się wielkimi talentami i stosującymi toporne często metody – zdecydowanie się wyróżniała. Była przy tym wyjątkowo inteligentną kobietą [...]. Bystra, przenikliwa, umiała nawiązywać dobre kontakty z ludźmi. Powierzono jej sprawy wymagające bardzo delikatnych tonów, dużej

wiedzy i kwalifikacji wyższego rzędu. Miała robić rozpoznanie nastrojów panujących w środowiskach artystycznych i określać, kto z tych ludzi jest uczciwy, a kto nie. Trzeba przyznać, że dzięki wrodzonej kulturze dobrze to rozeznanie robiła”.

Kontakty z inteligencją traktowała instrumentalnie, wiedząc, że to środowisko nigdy nie zaakceptuje komunizmu. Tłumaczyła podwładnym, iż tej warstwy nie można poddać eksterminacji, gdyż opóźni to rozwój kraju. Sowieci podczas rewolucji wymordowali swoją inteligencję, i popełnili wielki błąd. Należało zatem wykorzystywać umiejętności, a terror powinien zniszczyć całkowicie objawy oporu.

Od łagodnego obrazu kreślonego przez Bermana radykalnie odbiegają inne relacje. Nie pozostawiają wątpliwości, że Luna osobiście brała udział w przesłuchaniach więźniów, ze szczególną lubością torturując młodych mężczyzn.

Podejrzewano ją wręcz o sadyzm na tle seksualnym, katowała rozebranych więźniów szpicrutą, ze specjalnym uwzględnieniem okolic jąder. Jedną z jej ofiar stał się szef propagandy opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego na województwo olsztyńskie.

„[...] maltretowany przez Lunę Szafarzyński stanowił widok przerażający – opisywał Tomasz Grotowicz. – Jądra miał na wysokości kolan. Brystygierowa wsadzała mu przyrodzenie do szuflady i następnie zatrząskiwała, a także bez opamiętania biła więźnia. Szafarzyński wkrótce zmarł wskutek ogólnego wycieńczenia”.

To nie był wyjątek, Brystygierową powszechnie uważano za „zbrodnicze monstrum przewyższające okrucieństwem niemieckie dozorczyńce z obozów koncentracyjnych”.

Do obowiązków Luny należały również „sprawy wymagające delikatnych tonów”. Chodziło o nadzór, a właściwie przygotowywanie procesów księży wrogich nowym porządkom. Stworzyła w parafiach sieć agentów, a do inwigilacji katechetów proponowała nawet użycie uczniów. Wiedziała, że w środowisku kościelnym można wykorzystać ulubione metody władzy totalitarnej, czyli „antagonizmy pomiędzy poszczególnymi księżmi, spory ambicjonalne i spory na tle walki o zdobycie lepszej pozycji materialnej i w hierarchii kościelnej”.

Brała udział w przygotowywaniu procesu kieleckiego biskupa Czesława Kaczmarka, oskarżonego o kolaborację, szpiegostwo na rzecz USA i Watykanu, faszyzację życia społecznego oraz nielegalny handel walutami. Berman umniejszał jej rolę, ale nie zaprzeczał udziału:

[...] prawdopodobnie była zorientowana w sprawie, gdyż podlegał jej zakresowi pracy. Przypuszczam jednak, że przygotowywała pewne dokumenty, które nadawała wydziałowi śledczemu, gdzie [...] siedział Różański i jej informacje wyglądające wątpliwie, czy nawet niepewnie, poddawane przez niego i jego ludzi głębszemu rozpracowaniu, wyjaśniane na dodatek nie zawsze właściwymi metodami czy uczciwymi metodami przynosiły taki, a nie inny efekt”.

Luna widziała w hierarchii kościelnej głównego wroga nowego ustroju. Polska była jednak krajem katolickim i czasami konieczne były inne metody.

„Kler pomaga kułakom – mówiła na odprawie dyrektorów MBP w grudniu 1948 r. – sieje propagandę przeciw spółdzielczości itd. Ograniczać należy działalność wpływów kleru w instytucjach państwowych i społecznych. W szkołach należy dążyć do częściowego zastępowania księży przez świeckich katechetów, do zmniejszenia godzin religii, do ograniczenia ilości sióstr klasztornych itd.”.

Wzięła również udział w aresztowaniu Stefana Wyszyńskiego. Uczestniczyła w jego przesłuchaniach, a sam prymas określił ją jako „straszna kobietę”.

Berman nie wypowiadał się na temat metod stosowanych przez Lunę w trakcie przesłuchań. Miał powód, przełożeni Brystygierowej po śmierci Bieruta zostali skazani, natomiast Julia zeznawała wyłącznie jako świadek. Podobno postawieniu jej przed sądem sprzeciwił się osobiście Władysław Gomułka, który właśnie wtedy przejął władzę. Nowy szef PZPR miał dobrą pamięć...

W jej osobiste zaangażowanie w procesy czy tortury więźniów powątpiewał sekretarz warszawskiej KW PZPR, Stefan Staszewski. Zaprzeczył jednak, że łączyły go z nią intymne kontakty.

„Luna to był typowy dywersant polityczny – opowiadał Teresie Torańskiej – miała pod swoją opieką Kościół, inteligencję. Nie brała udziału w walce ze zbrojnym podziemiem, nie zajmowała się wymuszaniem zeznań czy montowaniem procesów, przydzielano jej zadania wymagające dużej inteligencji, typowo dywersyjne. Kulturalna, elokwentna, wcale nie krzykliwa, taka pani do towarzyskiego obcowania”.

Julia faktycznie mogła nie dostawać zadań obejmujących osobiste wymuszanie zeznań, ale nikt nie zabraniał jej własnej inicjatywy. Jako wysoko postawiony urzędnik MBP (w stopniu pułkownika) miała przecież duże możliwości samodzielnego działania.

Jej bezpośredni przełożeni (szef ministerstwa Stanisław Radkiewicz oraz jego zastępca Roman Romkowski) traktowali podwładną na specjalnych zasadach. Nadal bowiem łączyły ją intymne kontakty z Bermanem, a możliwe, że jej kochankiem był również sam Bierut. Towarzysz Tomasz nie był przecież mężczyzną rezygnującym z jakiegokolwiek kobiety.

„I dzięki temu – twierdził Józef Światło – jak Brystygierowa chce coś przeprowadzić, nawet przeciw Radkiewiczowi czy Romkowskiemu w bezpiece, to wszystko może zrobić. Ileż to razy Radkiewicz nie zdążył jeszcze zreferować jakiejś sprawy Bierutowi, a już Bierut, czy Berman dzwonił do niego z zapytaniem: „Słuchaj no, jest u ciebie taka a taka sprawa, dlaczego nam o tym nic nie mówisz?” [...] oni już wiedzieli, bo oczywiście Brystygierowa referuje im wszystko nocami”.

Luna nie ograniczała się wyłącznie do standardowych metod inwigilacji opozycji. Popierała ruch tak zwanych księży-patriotów, a pod jej szczególną opieką znalazł się Bolesław Piasecki. Ten był działacz endecki (więzień Berezy Kartuskiej), antysemita i przywódca prawicowej Konfederacji Narodu w 1944 r., wpadł w ręce Sowiec. Z niezrozumiałych powodów nie został zlikwidowany, ale powierzono mu organizację „postępowego ruchu katolików świeckich popierającym władze komunistyczne”. I w tej

roli (w 1947 r. założył Stowarzyszenie PAX) stał się podopiecznym Julii. A przy okazji został jej kochankiem i dobrze na tym wyszedł.

Ale Lunie Piasecki również nie wystarczyło, chyba można było ją podejrzewać o poważne zaburzenia na tle seksualnym. Stefan Staszewski uważał, że wobec mężczyzny była „agresywna” i „zaborcza”. Prezentowała typ „pani z tych, które mówią, kto ma ją dziś do domu odprowadzić”.

„Powstała legenda – mówił Berman – że demoralizowała środowisko literackie przede wszystkim. [...] Prawdopodobnie utrzymywała szerokie kontakty różnymi ludźmi, bo należało to do jej obowiązków. Prawdopodobnie były to kontakty o różnym charakterze. Żadnych przecież ograniczeń urzędowych w tym względzie nie stosowaliśmy, więc mogła robić, co chciała lub uważała za właściwe”.

LASKI

W niektórych sprawach Luna faktycznie wykazała się inteligencją, chociaż na celu miała wyłącznie dobro Polski Ludowej. Należała do nich historia z Pawłem Jasienicą.

„Ona właśnie pokierowała losem [...] Jasienicy, który siedział – mówił Stefan Staszewski. – Przeprowadziła z nim interesujące rozmowy i w ich wyniku zrozumiała, że więcej będzie z niego pożytku na wolności niż w więzieniu”.

Historyk miał prawo obawiać się o swój los, był dezertorem z Ludowego Wojska Polskiego i adiutantem Zygmunta Szendzielarza (słynnego „Łupaszki”) w V wileńskiej brygadzie AK. Za pisarzem wstawiał się również Piasecki i w końcu został zwolniony z więzienia. Warto pamiętać, że gdyby nie decyzja Luny, polska literatura zostałaby pozbawiona znakomitych pozycji wydawniczych, z *Polską Piastów* na czele...

„Nie zawsze – uważał Sokorski – mogła się oprzeć sugestiom Wozniesieńskich i innych doradców radzieckich, ale na tle swojego resortu była dość samodzielna, co wprawiało w zdenerwowanie nawet Bermana”.

Kariera Julii załamała się po ucieczce na Zachód Józefa Świątły. Nazwisko Brystygierowej padało w audycjach Wolnej Europy, zresztą już śmierć Stalina zachwiała dotychczasowym systemem. W Polsce zaczynała się odwilż, choć hamowana jeszcze przez Bieruta.

„Wypadki ze Świątłą i Różańskim – mówiła Brystygierowa w trakcie narady aktywu MBP w listopadzie 1954 r. – ujawniły kryzys metod organizacyjnych i metod kierowania w naszym aparacie. Nie może u nas mieć miejsca taka jezuicka teoria, że każda metoda jest dobra, jeżeli prowadzi do celu. W myśl tego Różański bił w mordę w imię partii. Trzeba wszystkich uświadomić o jedności celu i środków – faszystowskie metody nigdy nie mogą prowadzić do socjalistycznego celu.”

Najwyraźniej znęcania się nad narządami płciowymi aresztowanych nie uważała za „faszystowskie metody”...

Urząd Bezpieczeństwa Publicznego przetrwał do 1956 r., kiedy to większość

funkcjonariuszy przeszła do utworzonej w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Służby Bezpieczeństwa. Z resortu usunięto Romana Romkowskiego, Różańskiego i Anatola Fejgina, a następnie postawiono ich przed sądem. Procesy zakończyły się wyrokami więzienia, ale na mocy amnestii wyszli na wolność w 1964 r.

Podobno w przypadku Różańskiego Julia załatwiała z nim stare porachunki. Na rozprawach pojawiała się wyłącznie w charakterze świadka, zeznawała również na procesie rehabilitacyjnym Władysława Siły-Nowickiego.

„Przed rozprawą – wspominał Władysław Minkiewicz – w kuluarach sądowych spotkało się wielu przyjaciół, byłych więźniów, którzy niedawno odzyskali wolność. Serdeczne uściski, pocałunki, wymiana wiadomości o swoich losach. [...] Tylko na ławce pod ścianą dość skromnie ubrana siedziała jakaś pani, z którą nikt się nie witał”.

Innym świadkiem był dawny wiceminister MBP Roman Romkowski doprowadzony na salę sądową w kajdankach, co wszystkim sprawiło „niemałą satysfakcję”.

W listopadzie 1956 r. Brystygierowa zwolniona została z MSW. Odchodząc z resortu, miała okazję spotkać się z Sokorskim:

„[...] wręczyła mi kilka donosów – opowiadał wiele lat później – pisanych do niej przez moich najbliższych przyjaciół, i to na wysokich stanowiskach. Podobno byłem działaczem Polskiej Organizacji Wojskowej, dwójkarzem, przyjacielem komisarza Pogorzelskiego, kochankiem Zofii Nałkowskiej i masonem. Schowałem teksty na pamiętkę. Do nikogo zresztą nie mam o nie pretensji. Moi przyjaciele byli po prostu dziećmi systemu, bali się o swoją skórę i ratowali w ten sposób swój los, kiedy inaczej nie mogli.”

Po zwolnieniu z MSW Luna na warunki materialne nie mogła narzekać, otrzymywała resortową emeryturę, pracowała również w wydawnictwie „Nasza Księgarnia”. Następnie przeniosła się do Państwowego Instytutu Wydawniczego, próbowała sił także jako pisarka. W 1960 r. ukazała się jej powieść *Krzywe litery*, podejmująca temat stosunków etnicznych w Galicji Wschodniej na początku XX stulecia. Książka miała niezłe recenzje, chociaż autorce zarzucano zbyt mocne akcenty erotyczne.

Dwa lata później ukazał się jej zbiór opowiadań *Znak H*. Obie pozycje sygnowała jako Julia Prajs. Najwyraźniej uznała się za pisarkę i w 1969 r. złożyła podanie o przyjęcie do Związku Literatów Polskich. Popierał ją osobiście Jerzy Putrament (wiceprezes ZLP), jednak wniosek odrzucono. Zarząd uznał, że „przyjęcie kogoś, kto powszechnie uchodził – słusznie czy niesłusznie – w opinii publicznej za »mózg« bezpieki, byłoby jej swoistą rehabilitacją”.

Na początku lat 60. Luna zaczęła odwiedzać miejscowość Laski, siedzibę Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi. W archiwach IPN znajdują się raporty informatorów w sprawie prowadzonej przeciwko prezesowi Towarzystwa, księdzu Antoniemu Marylskiemu. Przewija się tam postać Julii Brystygier.

Do Lasek wprowadziła ją siostra Bonifacja (Goldman), niewidoma neofitka – franciszkanka. Nie wiadomo, w jaki sposób zakonnica poznała Lunę, ale gdy trafiła do szpitala, to Brystygierowa często ją odwiedzała. Czytała jej książki i czasopisma (w tym

„Tygodnik Powszechny”), następnie przyjęła zaproszenie do Lasek, a wizyty zaczęły się powtarzać.

„16 bm. [czerwca 1962 r.] – donosił Tajny Współpracownik »Ksawery« – w godzinach popołudniowych widziałem wyjeżdżającą z Lasek w towarzystwie Wolmanowej Anny – Brystygier. Do samochodu doprowadziła ją siostra Bonifacja – Goldman i Zula Morawska. Z rozmowy pomiędzy Z. Morawską, a Marylskim wynikało, że Brystygier obiecała załatwić sprawy paszportowe Marylskiemu. [...] Brystygier przyjechała samochodem marki »Moskwicz« koloru zielono-kremowego nr rejestracyjny WC – względnie WE 4513. [...] Wyglądała na zdenerwowaną, prawdopodobnie ze względu na duże towarzystwo, które było świadkami jej wyjazdu, paliła nerwowo papierosy”.

Miała prawo do zdenerwowania, przypuszczała, że zakład w Laskach znajduje się pod obserwacją jej następców i jej wizyty zostaną dostrzeżone.

Faktycznie, bez problemu zidentyfikowano samochód, zapewne też z tego powodu ustały wizyty Luni w Laskach. Prezes Towarzystwa był jednak pewien, że Julia znajduje się na drodze do nawrócenia.

„Ona teraz uświadomiła sobie – mówił Marylski w obecności TW »Rawskiego« – ile zła i nieszczęścia wielu ludziom swym nieludzkim postępowaniem sprawiła i stara się obecnie nowym chrześcijańskim życiem jeszcze wiele naprawić”.

Według niektórych informacji miała przyjąć chrzest, podobno zresztą jeszcze w czasach swojego dyrektorowania czytywała *Nowy Testament*. Kiedy w Wielki Piątek 1949 r. otrzymała od prymasa Stefana Wyszyńskiego *Pismo Święte*, odparła że „zna tę księgę, a najbardziej lubi czytać *Ewangelię według św. Mateusza*”. Nie przeszkodziło jej to oczywiście brać później udział w aresztowaniu prymasa...

Julia Brystygier do końca życia mieszkała w Warszawie, zmarła w październiku 1975 r. (możliwe, że w Laskach). Nie spoczęła jednak na miejscowym cmentarzu, pochowana została na koszt państwa na Powązkach Wojskowych.

Jej synem jest znany muzykolog i krytyk muzyczny, profesor Michał Bristiger. Wykładowca na wielu krajowych i zagranicznych uczelniach, osoba niezwykle zasłużona dla polskiej muzyki. Konsekwentnie odmawiał wypowiedzi na temat matki, sam zresztą w czasach PRL miał na sumieniu niezbyt piękne postęпки. Był jednym z krzewicieli marksistowskiej wizji muzyki i gorliwym zwolennikiem osławionej profesor Zofii Lissy. Stefan Kisielewski w swoich dziennikach używał wobec niego określeń: „co za skurwysyn” i „bydlak”. Ale to już zupełnie inna historia...



Rozdział VIII. Towarzyszka Zofia



Zofia i Władysław Gomułkowie z wnuczką (1969 r.)

„Umiejętnie trwała na drugim planie. Nieraz bywałem w ich mieszkaniu na Frascati, Gomułka wzywał mnie, aby omówić jakiś problem. Towarzyszka Zofia witała mnie serdecznie, ale w rozmowie udziału nie brała. Kręciła się w kuchni, coś pichciła. Gotowała smacznie, chociaż potrawy raczej niewyszukane [...] Kiedy jechałem w zagraniczną delegację, Zofia wręczała mi listę sprawunków. Przeważnie prosiła o kawę, czasem jakiś delikates typu sardynki albo kawior. Zamawiała też bieliznę osobistą dla towarzysza Wiesława”. (Stanisław Trepczyński)

LIWA SZOKEN

odróżnieniu od swoich poprzedników czy następców Władysław Gomułka nigdy się nie

interesował dobrami materialnymi. Towarzysza Wiesława pasjonowała wyłącznie władza, natomiast związane z nią przywileje już niekoniecznie. Przez całe swoje dojrzałe życie pozostał również wierny jednej kobiecie.

W Jego żoną była Liwa Szoken, pochodząca z ubogiej żydowskiej rodziny. Z powodów ekonomicznych nie ukończyła gimnazjum i podjęła pracę w fabryce zapalek „Płomyk” na warszawskiej Pelcowiznie. Kiedy poznała pochodzącego z Krosna Wiesława, miała już za sobą pobyt w więzieniu za działalność w komunistyczną.

Zamieszkali razem, ale o ślubie nie myśleli.

„Małżeństwo moje – wspominał Gomułka – nie mieściło się w ramach prawnych obowiązujących w przedwojennej Polsce. Było dobrowolnym związkiem dwojga ludzi, nie usankcjonowanym ślubem kościelnym. [...] Pod tym względem również komuniści stosowali się w zasadzie do kanonów kościelnych. Co najwyżej ten i ów odmawiał stawania przed konfesjonałem dla odbycia ceremonii spowiedzi i oczyszczenia się z grzechów przed ślubem. Jednak komuniści mojego pokroju traktowali ślub kościelny jako odstępstwo od zasad ideologicznych. Nie chcąc do tego dopuszczać, zawierali nieślubne związki małżeńskie. Tak było i ze mną, z naszym małżeństwem”.

W latach 1927–1931 Gomułkowie mieszkali w Zawierciu, gdzie Wiesław pełnił funkcję sekretarza i skarbnika Zarządu Okręgowego Związku Robotników Przemysłu Chemicznego i Pokrewnych. Wynajmowali jedną izbę, lubili ich sąsiedzi i „nikogo nie raziło, że Zofia Gomułkowa, do której mąż pieśczośliwie zwracał się Liwuś, była Żydówką”. Liwa musiała być jednak przywiązana do tradycji rodzinnej, albowiem „w szabasowych dniach wysyłała dzieci do studni po wodę i płaciła za przyniesienie kubeczka trzydzieści groszy”. Podczas pobytu w Zawierciu Gomułkowa urodziła pierwsze dziecko, niemowlę jednak wkrótce zmarło.

„Gdy ksiądz dowiedział się – opowiadał Bogdan Dworak – że dziecko jest niechrzczone, w dodatku po matce Żydówce, nie pozwolił na pogrzebanie oseska na katolickim cmentarzu. Również gmina żydowska odmówiła pochówku na kirkucie. Przez kilka dni Gomułka ze zmarłym dzieckiem i żoną gnieździli się w jednej izbie. Wreszcie za drobne pieniądze wyjednał zgodę na pogrzebanie dziecka na kirkucie”.

Podobno po wojnie, gdy towarzysz Wiesław został wicepremierem i ministrem Ziemi Odzyskanych, miejscowi działacze zaproponowali ekshumację potomka. Ojciec jednak odmówił.

Władysław i Zofia doczekali się następnego dziecka, syna Ryszarda (w przyszłości przybrał nazwisko Strzelecki). A chociaż rodzice byli ateistami, to dziecko przed pójściem do szkoły zostało ochrzczone. Brak tego sakramentu oznaczał brak metryki urodzenia, co uniemożliwiało objęcie obowiązkiem szkolnym. Gomułkowie w tym czasie przebywali zresztą w więzieniu i decyzję podjęli rodzice Wiesława.

Regularne pobyty w zakładach penitencjarnych nie były jedynymi niedogodnościami związanymi z działalnością partyjną. Udział w wiecach i nielegalnych demonstracjach również miał swoją cenę. Władysław postrzelony przez policjanta podczas komunistycznej

zadymy na całe życie pozostał kaleką.

„Kula pozostawiła ślad – wspominał Ryszard Strzelecki – lewa noga pozostała trwale niepełnosprawna, nastąpiło uszkodzenie nerwu obwodowego i wadliwe zrośnięcie kości”.

Jak przystało na rewolucjonistów, małżonkowie oczywiście nie mieli czasu dla dziecka. Syna wychowywała rodzina ojca i tak naprawdę poznał on rodziców dopiero pod koniec II wojny światowej:

„Kilkanaście dni po wyzwoleniu tego miasta, we wrześniu 1944 r. przyjechała do Krosna moja matka i zabrała mnie do Lublina. Mieszkaliśmy w wyodrębnionej części dużego mieszkania, drugą zajmował Bolesław Bierut z rodziną. [...] Po wyzwoleniu Warszawy w lutym 1945 r. zamieszkaliśmy na Pradze, a od 1946 r. w Warszawie lewobrzeżnej”.

ARYJSKIE PAPIERY

Wybuch wojny zastał przyszłego I sekretarza w więzieniu w Sieradzu. Przedostał się do Warszawy, a gdy okazało się, że Stalin nie zajmie Polski do Wisły, trafił do Białegostoku. Stamtąd było już niedaleko do Lwowa, gdzie przebywała Liwa.

„W okupowanej przez Niemców Polsce – pisał w pamiętnikach – nie widziałem wówczas dla siebie miejsca. Komunistyczna Partia Polski przestała istnieć. Środków do życia nie miałem. Do Krosna, do domu rodzinnego, wracać nie mogłem, gdyż Niemcy wkrótce umieściliby mnie znowu za kratami [...] Przejście do strefy zajętej przez wojska radzieckie stanowiło dla mnie najlepsze i bodaj jedyne wyjście z sytuacji. Ponadto, pomimo rozwiązania KPP, nie przestałem być przecież polskim komunistą, widziałem w związku ostoję międzynarodowego proletariatu, przewodnika i czołową siłę klasy robotniczej i mas pracujących w walce o zwycięstwo socjalizmu”.

Liwa pracowała jako robotnica w fabryce likierów, natomiast Gomułkę mianowano dyrektorem małego zakładu produkującego koperty. Posadę załatwiła mu Julia Brystygier, czego Wiesław nigdy jej nie zapomniał.

We Lwowie para nie przejawiała większej aktywności partyjnej, sowieckie porządki najwyraźniej nie przypadły im do gustu.

„W pierwszych miesiącach po przyjeździe do Lwowa mieszkałem wraz z żoną w małym, niewygodnym mieszkaniu u samotnej, starej Żydówki. Dręczyła nas ciągle obawa, czy władze radzieckie nie wysiedlą nas gdzieś w głąb Związku Radzieckiego, jako »bieżeńców« nie mogących zamieszkiwać w strefie przygranicznej. [...] Wielu uchodźców z Polski, głównie Żydów rozczarowanych rzeczywistością radziecką, pragnąc uniknąć wysiedlenia na nie znane im obszary państwa radzieckiego, rejestrowało się w urzędującej we Lwowie komisji niemieckiej »na powrót« do okupowanej przez Niemców Polski. Powracającym pod okupację niemiecką Żydom nie przychodziło nawet na myśl, że czeka ich tam śmierć. [...] Rejestracja »na powrót« została przez »bieżeńców« żydowskich

zaniechana dopiero po skierowaniu przez władze radzieckie kilku transportów kolejowych do Związku Radzieckiego zamiast na okupowane przez Niemców tereny Polski”.

Gomułkowie jednak mogli nie obawiać się o siebie. Dostali sowieckie paszporty bez słynnego paragrafu 11. (zakaz pobytu w strefie nadgranicznej i w dużych miastach), co zapewniało względne bezpieczeństwo. Stanowisko Władysława przynosiło również określone dochody, zapewniające egzystencję. Ale na specjalne ekstrawagancje nie mogli sobie pozwolić, oboje pojawili się we Lwowie bez rzeczy osobistych i wszystko musieli nabyć na miejscu.

„Żyliśmy bardzo skromnie – kontynuował towarzysz Wiesław. – Niezależnie od normalnych wydatków na utrzymanie, zarobki moje i żony przeznaczaliśmy w znacznej mierze na zagospodarowanie mieszkania, zakup pościeli, bielizny, naczyń kuchennych, stołowych itp. Niczego przecież nie mieliśmy. Stołowałem się wyłącznie w domu [...] Do pracy zabierałem zazwyczaj dwie kromki chleba posmarowane masłem, niekiedy dochodziła jeszcze jakaś wędlina czy mięso. Posiłek ten spożywałem w przylegającej do hali produkcyjnej szatni, popijając jakimś płynem, najczęściej herbatą. Obiad złożony z posiłków gotowanych spożywałem wieczorem po powrocie do domu. Wszystkie posiłki sporządzała żona. Ona też robiła zakupy w sklepach”.

Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej zdecydował o ich losach. Nie zdołali ewakuować się na wschód, a zajęcie Lwowa przez hitlerowców wiązało się dla Liwy z ogromnym niebezpieczeństwem.

„W niemieckim okresie przebywania we Lwowie – wspominał polityk – nasze warunki bytowe były bardzo trudne. Wystarczy nadmienić, że cały nasz skromny dorobek w postaci bielizny i odzieży uznanych za »zbędne« przeszedł w ręce chłopów za ziemniaki i inne artykuły żywnościowe sprzedawane w handlu wymiennym, uprawianym przeważnie przy pomocy i w porozumieniu z dozorcami domów. Transakcje takie przeprowadzała Zosia. Przez długi okres stanowiły one główne źródło naszego zaopatrzenia żywnościowego”.

Zapadła decyzja o przeniesieniu się w rodzinne strony Gomułki, przyszedł I sekretarz doszedł do wniosku, że „na własnym terenie łatwiej było się ukrywać”.

Jako pierwszy w Krośnie pojawił się Władysław i dzięki pomocy rodziny załatwił dla żony aryjskie dokumenty na nazwisko Jadwiga Suk. Przywiózł je nad Pełtew, po czym Liwa wyruszyła na zachód. Przez kilka tygodni mieszkała z rodziną męża, a następnie przeniosła się kilka kilometrów dalej. Ostatecznie jako Jadwiga Zagórska wyjechała do Warszawy, znajdując zatrudnienie jako pomoc domowa lekarza Jana Rutkiewicza. Z mężem zamieszkała dopiero dwa lata później, kiedy był on już jednym z najważniejszych działaczy niedawno powstałej Polskiej Partii Robotniczej.

JAN CHRZCICIEL Z PPR

Po śmierci Marceliego Nowotki, Bolesława Mołojca i aresztowaniu Pawła Findera

władzę w partii przejął towarzysz Wiesław. Zofia została jego łączniczką, a następnie weszła w skład KC PPR. Żydowskie pochodzenie i aparycja stanowiły w okupacyjnej rzeczywistości poważny problem. Gomułkowa korzystała z pomocy katolików. Przebywała głównie w okolicach warszawskiego Bródna, co kilkanaście lat później dla miejscowej ludności miało przynieść pozytywne efekty. W ramach dyskretnej wdzięczności wyjednała u męża zgodę na budowę kościoła przy ulicy Wysockiego, czego miejscowym wiernym dotychczas odmawiano.

Nie był to jedyny przypadek wdzięczności Zofii wobec katolików ukrywających Żydów podczas wojny. W czasach, gdy Gomułka był ministrem do spraw Ziem Odzyskanych, jego małżonka pomogła odzyskać dzwony należące do parafii Zakrzówek w pobliżu Kraśnika. Zalegały na jakimś złomowisku i namawiała męża do ich wykupienia oraz przekazania parafii. Towarzysz Wiesław zrozumiał intencje partnerki i spełnił jej prośbę.

W ostatnich miesiącach wojny Zofię przesunięto do wydziału kadr KC PPR. Nadzorowała zmiany nazwisk towarzyszy żydowskiego pochodzenia, tak aby w społeczeństwie nie budziły negatywnych skojarzeń.

„Wówczas także kursowało trafne powiedzonko – wspominał Grzegorz Smolar – które charakteryzowało kryterium, jakim się posługiwała Zofia przy wyznaczaniu żydowskiemu komuniście pracy. Zwykle mówiła ona, patrząc na towarzysza: »Twarz jak twarz (to znaczy człowiek może jeszcze uchodzić za Aryjczyka), ale nazwisko...«. O niej samej ukuto odwrotne powiedzenie: »nazwisko i imię, jak nazwisko i imię (żona Gomułki), ale twarz – niech ją Pan Jezus weźmie w opiekę« – była niskiego wzrostu, okrągła, o typowo semickiej twarzy”.

Z takim zapałem zmieniała krajanom personalia, że złośliwi nazywali ją „Janem Chrzcicielem z PPR”. Inna sprawa, że chociaż powszechnie uchodziła za „dość skromną osobę”, to w czasach pełnienia funkcji zastępcy kierownika kadr „umiała rozstawiać ludzi po kątach”.

Gomułkę uważano za antysemitę, co w niezrozumiały sposób godził z pochodzeniem żony. Co prawda, niektórzy twierdzili ironicznie, że każdy stałby się wrogiem Żydów, gdyby na co dzień żył z towarzyszką Zofią, ale była to tylko złośliwość. Według zgodnej opinii otoczenia darzyli się wzajemnym uczuciem, a towarzyszowi Wiesławowi nie przeszkadzała mocno dyskusyjna uroda partnerki.

Niezrozumiałe natomiast wydaje się zachowanie Zofii podczas antysemitycznej kampanii w 1968 r. Zagrożeni działacze szukali u niej obrony, ona jednak uznała, że czystka jest potrzebna. I podobno osobiście doprowadziła do usunięcia z PZPR przynajmniej jednego „syjonisty” (Emanuela Planera).

MIEDZESZYN

Cechą charakterystyczną komunizmu było traktowanie krewnych przeciwników

politycznych jako części wrogiego systemu. W czasach wielkich czystek Stalin eliminował całe rodziny, w najlepszym wypadku wdowy po zamordowanych członkach partii trafiały do łagrów. W podobny sposób potraktowano Zofię aresztowaną razem z mężem (Wiesławowi zarzucano słynne odchylenie nacjonalistyczno-prawicowe). Losy Gomułki w pierwszych powojennych latach doskonale oddaje pewna anegdota:

„W więzieniu siedzi trzech facetów. – Za co pan siedzi? Pytają jednego. – Za Gomułkę. – Jak to? – Bo powiedziałem, że Gomułka to zdrajca i moskiewski agent. – A kiedy to pan powiedział? – W 1945 r. – A pan za co siedzi – pytają drugiego. – Też za Gomułkę. – Jak to? Bo powiedziałem, że Gomułka to dobry Polak i wielki patriota. – A kiedy pan to powiedział? – W 1950 r. – A pan za co siedzi? – pytają trzeciego. – A ja właśnie jestem Gomułka”.

Wiesław był fanatycznym komunistą, ale nie chciał powielać sowieckich wzorców. To wystarczyło, aby powstała legenda polskiego patrioty i wroga kołchozów. A do tego chyba nie najlepiej czuł się w otoczeniu Bieruta.

„Gomułka przychodził do Belwederu – wspominał Jerzy Łukasiewicz – umawiając się wcześniej z Bierutem. Przyjeżdżał samochodem, a potem szedł na górę krokiem szybkim, energicznym. Widać było, że nic sobie nie robi ani z dywanów, ani otoczenia, ani z Belwederu, że ani mu w głowie przejmować się czymkolwiek”.

Początki problemów towarzysza Wiesława datują się na 1947 r., kiedy to na posiedzeniu Kominformu (Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych) w Szklarskiej Porębie oświadczył, że w Polsce nie powinien istnieć system monopartyjny. To brzmiało jak prawdziwa herezja, ale na tym grzechy Gomułki się nie kończyły. Miał również własne zdanie na temat secesji Jugosławii, a kolejną zbrodnią był opór przeciwko kolektywizacji rolnictwa.

W niespełna rok po później Władysława zdymisjonowano ze stanowiska I sekretarza PPR. Władzę przejął Bierut, łącząc w swoim ręku najwyższe stanowisko partyjne z funkcją prezydenta Polski. Gomułkę zesłano na stanowisko kierownika oddziału Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, po czym został wiceprezesem Najwyższej Izby Kontroli. Do władz nowo powstałej PZPR już nie wszedł.

Władysław spodziewał się aresztowania, zbyt dobrze znał metody działania systemu. Kolejno znikali w więzieniach jego współpracownicy, jednak najbardziej przejął się aresztowaniem swojej zaufanej sekretarki, Wandy Podgórskiej.

„Miał [kochanki – S.K.] to zwykle były jego sekretarki – plotkował Włodzimierz Sokorski. – On je bardzo lubił, obtańcowywał. Kiedy w 1948 r. jedną z nich wsadzili do kicia, to Gomułka bardzo to przeżywał. Chociaż później już do niej nie wrócił, bo miał nową sekretarkę. W sumie [...] tak po chłopsku lubił kobiety, miał z nimi ciche kontakty”.

Szczegółów stosunków łączących Wiesława z Podgórską zapewne nigdy nie wyjaśnimy, ale opinia Sokorskiego wydaje się pomówieniem. Towarzysz wprawdzie był szczerze do sekretarki przywiązany, ale jeszcze bardziej do swojej mało efektownej żony. Zofia zresztą jego los dzieliła, a jej wypowiedzi zarejestrowane przez podsłuch w ich

mieszkańcu oceniano jako antypartyjne. Żona Wiesława zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa i mówiła z rezygnacją, iż „i tak trzeba będzie głowę oddać, że nie chciało się być pajacem”.

Gomułkowie wiedząc, że aresztowanie jest nieuniknione, zdecydowali się uregulować sprawy osobiste. Nie chcieli, aby syn miał problemy z powodu nieprawego pochodzenia, wobec czego zawarli małżeństwo. Starali się nie narażać przyjaciół i „na świadków poprosili przypadkowych ludzi”. Był tylko jeden problem, ci „przypadkowi ludzie” i tak okazali się agentami MBP...

Latem 1951 r. Władysław i Zofia wyjechali na urlop do Krynicy. Jako byłym prominentom przysługiwała im ochrona, w rzeczywistości funkcjonariusze spełniali rolę strażników. Zostali aresztowani i przewiezieni do podwarszawskiego Miedzeszyna.

„W 1951 r. – wspominał Ryszard Strzelecki – letnie wakacje spędzałem nad morzem. [...] Po powrocie do Warszawy zastałem mieszkanie w alei Szucha opieczętowane, a od pracowników Służby Bezpieczeństwa dowiedziałem się o aresztowaniu rodziców. Na kilka dni odpieczętowano mój pokój, a potem przeprowadziłem się do kawalerki przy ulicy Poznańskiej. Pozostawałem pod jakimś nadzorem służby bezpieczeństwa, niekiedy stwierdzałem, że jestem śledzony. [...] Moje nagabywanie o rodziców kwitowano zwyczajową formułą, że śledztwo jest w toku”.

Strzelecki miał prawo obawiać się o los rodziców. W całym bloku wschodnim odbywały się pokazowe procesy byłych prominentów oskarżanych o szpiegostwo, nacjonalizm i kontrrewolucję. Rozprawy przebiegały według jednego scenariusza, złamani torturami oskarżeni przyznawali się do winy i kończyli na szubienicy. Dwa lata przed aresztowaniem Gomułków na Węgrzech stracono László Rajka, powieszono Trajczko Kostowa (Bułgaria) i Rudolfa Slánskiego (Czechosłowacja). Skazańcy przyznawali się do kontaktów z Wiesławem i wiadomo było, że władze szykują się do krwawej z nim rozprawy. Nic dziwnego, że Strzelecki codziennie w napięciu słuchał wiadomości radiowych.

Gomułkowie nie trafili do regularnego więzienia, osadzono ich w tak zwanym obiekcie Spacer (trzy nadzorowane przez MBP budynki). Przetrzymano ich oddzielnie, nie wiedzieli nawet, że przebywają w sąsiednich celach. A co najważniejsze, nie postawiono im żadnych oficjalnych zarzutów.

„To co diametralnie różniło pobyt w Miedzeszynie od sytuacji w przedwojennych więzieniach – opowiadał Strzelecki – to nie tylko niepewność co do dalszych losów, przetrzymywanie bez sądowego wyroku. To również fakt, że w tym drugim przypadku prześladowcami byli dawni współtowarzysze”.

Bezterminowy pobyt nadszarpał zdrowie małżonków. Nie byli wprawdzie torturowani, ale doskonale wiedzieli, co im groziło. A mieli dużo czasu do rozmyślań, Zofia została zwolniona dopiero w lipcu 1954 r., a kilkanaście tygodni później ciężko chory Władysław trafił do szpitala MBP. Na wolność wyszedł po upływie kolejnego roku.

W NIEREALNYM ŚWIECIE PRL

Sytuację Wiesława zmieniło załamanie systemu stalinowskiego. Władze potrzebowały jego osoby, dla członków partii był symbolem oporu przeciwko Sowietom, a dla społeczeństwa jedynym patriotą wśród komunistów.

W mieszkaniu Gomułek ponownie zaczęli pojawiać się znajomi. Jeszcze niedawno gorliwie ich oskarżali, a teraz zabiegali o względy. Władysław nie miał im tego za złe, prawdziwy komunista nie mógł mieć przecież pretensji do ludzi wypełniających wolę partii.

„[...] został przez nich ohydnie zdradzony – tłumaczył Stefan Staszewski – oni się go w końcu wyparli. Wszyscy prócz Zenona Kliszki. Gomułka im to oczywiście potem wybaczył, miał niesłychane zrozumienie dla ludzkich słabości. Zresztą nawet nie musiał wybaczać, bo jednym z komunistycznych dogmatów jest to, że skoro partia mnie potępiła, a następnie potępił mnie ludzie, trudno mieć do nich o to pretensje, że posłuchali partii, a nie mnie, że zawierzyli partii, a przestali wierzyć mnie. Partia bowiem to po prostu partia, a więc słowo zastępujące wszystkie znane wyrazy i pojęcia, absolut, abstrakt. Ma zawsze rację, jest naszym honorem, celem naszego życia, naszym szczęściem”.

O losie Gomułka zdecydował słynny referat Nikity Chruszczowa na XX Zjeździe, a następnie śmierć Bieruta. Edward Ochab utrzymał się u władzy zaledwie przez kilka miesięcy i w październiku 1956 r. Polska weszła w nową erę. Słynne przemówienie towarzysza Wiesława na warszawskim placu Defilad zjednało mu powszechną sympatię, zapewniając kapitał polityczny na najbliższe lata.

Zofia początkowo udzielała się publicznie i weszła w skład komisji kontroli partyjnej przy Komitecie Dzielnicowym PZPR Warszawa-Śródmieście. Z czasem jednak zrezygnowała z ambicji politycznych i zajęła się prowadzeniem domu.

„Od 1955 r. – wspominał Strzelecki – mieszkaliśmy w Warszawie na Saskiej Kępie przy ulicy Saskiej, w nowo zbudowanym dwupiętrowym domu. Rodzice zajmowali trzypokojowe mieszkanie na drugim piętrze o powierzchni około sześćdziesięciu metrów kwadratowych. [...] było dość wygodne, funkcjonalne z niewielkim gabinetem dla ojca. Obok niego było dwupokojowe mieszkanie, które przydzielono mnie i mojej żonie. [...] Saska Kępa była spokojną, przyjemną dzielnicą Warszawy. Do pobliskiego parku Skaryszewskiego często chodziliśmy na wspólne spacerunki”.

W 1964 r. Gomułkowie przeprowadzili się z Saskiej na Frascati. Choć plotkowano o warszawskiej willi Wiesława, nie było to prawdą.

„[...] nawet niektórzy działacze partyjni mówili o willi Gomułka – wspominał współpracownik i sąsiad Wiesława, Jan Ptasieński – w której nie tylko mieszkał, ale był jej właścicielem. Kiedy prostowałem, że jest to zwykłe kłamstwo, gdyż dom, w którym mieszka Gomułka, jest domem władz miejskich, gdzie oprócz niego mieszkają jeszcze cztery inne rodziny, patrzono na mnie jak na wariata. Wielu musiałem zapraszać do siebie, aby ich przekonać, że mieszkam w tym domu, gdzie Gomułka, że mieszkają tam także inni

lokatorzy”.

Zofia realizowała się w pracach domowych, podobno kuchnia przez nią oferowana nie była specjalnie atrakcyjna, ale towarzysz Wiesław „raczej nie zwracał uwagi na jedzenie”.

„Umiejętnie trwała na drugim planie – uważał dyplomata, Stanisław Trepczyński. – Nieraz bywałem w ich mieszkaniu na Frascati, Gomułka wzywał mnie, aby omówić jakiś problem. Towarzyszka Zofia witała mnie serdecznie, ale w rozmowie udziału nie brała. Kręciła się w kuchni, coś pichciła. Gotowała smacznie, chociaż potrawy raczej niewyszukane”.

I sekretarz nie miał specjalnie wyrafinowanego gustu, ale lubił domowe ciasta. Żona unikała jednak cytrynowych i kawowych, albowiem Wiesław zabronił importu „luksusowych” towarów. Szczególną niechęć przejawiał „do manii chłęptania kawy”, co stanowiło pewien problem. Małżonka uwielbiała bowiem „małą czarną”, ale zadowalała się prywatnym importem za plecami męża.

„Kiedy jechałem w zagraniczną delegację – dodawał Trepczyński – Zofia wręczała mi listę sprawunków. Przeważnie prosiła o kawę, czasem jakiś delikates typu sardynki albo kawior. Zamawiała też bieliznę osobistą dla towarzysza Wiesława”.

Osobiście nie miała okazji do zakupów za granicą, mąż jeździł z oficjalnymi wizytami samotnie. Natomiast urlopy spędzali zawsze w rodzinnym gronie.

„[...] niektóre wakacje zimowe spędzał w górach – wspominał Strzelecki. – Lubiał spacerować w Dolinie Kościeliskiej. Natomiast latem jeździł nad morze oraz na Mazury. Wtedy dużo spacerował, wiosłował, pływał. Na urlopie ujawniała się inna część osobowości ojca – był pogodny i rozluźniony”.

Nie mogło oczywiście zabraknąć urlopów na Krymie – stałego rytuału komunistycznego świata. I sekretarz odwiedzał półwysep z rodziną, zdarzyło się również, że z żoną i synem spędził wakacje w Rumunii. Ale podobno Gomułkę zraził luksus panujący w otoczeniu Nicolae Ceaușescu i z ponownej wizyty zrezygnował.

Strzelecki zdradzał natomiast zaskakujące fakty, dotyczące obchodów świąt kościelnych:

„Święta Bożego Narodzenia czy Wielkanoc obchodziliśmy w sposób tradycyjny, wyniesiony z domu rodzinnego ojca w Krośnie. Było dość uroczyście, ale dominowała pogodna, rodzinna atmosfera. Wigilia Bożego Narodzenia była dniem szczególnym, z tradycyjnym zestawem potraw i często z opłatkiem”.

Trudno w to uwierzyć, biorąc pod uwagę, że małżonkowie byli ateistami, którzy przed wojną woleli konkubinat niż ślub kościelny. A Zofia pochodziła z rodziny niemającej nic wspólnego z polskimi tradycjami i przed wojną w soboty nie chodziła nawet osobiście po wodę.

Inna sprawa, że w środowisku polskich komunistów zdarzały się sytuacje niecodzienne. Józef Tejchma opowiadał, jak podczas „tradycyjnej” partyjnej wigilii podawano bigos, co przypominało scenę z kultowego filmu *Rozmowy kontrolowane*. A już

w epoce Gierka na posiedzeniu Biura Politycznego wybuchł spór dotyczący tego, który z działaczy był dłużej ministrem. Albowiem w młodości do mszy służyli wszyscy członkowie tego gremium...

Właściwie tylko podczas balu sylwestrowego w gmachu KC Gomułkowie pozwalali sobie na luźniejszą zabawę. Wiesław skrupulatnie tańczył z przodowniczkami pracy, Zofia na brak partnerów także nie narzekała. Po północy I sekretarz z reguły nadużywał alkoholu (zawsze czysta Wyborowa) i o szóstej rano opuszczał gmach. Warto przy okazji zauważyć, że w jego czasach nawet oficjalny toast telewizyjny wznoszono wódką, a nie szampanem...

O Władysławie można powiedzieć wiele, ale na pewno nie można było go uznać za światowca. Dyplomatyczne rauty, wymagające znajomości form towarzyskich, czasami zamieniały się w farsę. Podczas przyjęcia w ambasadzie francuskiej w Warszawie jako pierwsze danie podano owoce morza, a do nich misy z wodą do obmycia rąk. Towarzysz Wiesław, widząc plastry cytryny, wziął naczynie i zaczął pić. Dyskretnie mu wytłumaczono, do czego woda jest przeznaczona, ale pod koniec przyjęcia podano poncz... Gomułka zauważył, że w wazie pływają pokrojone cytrusy, i oczywiście umył w niej ręce...

Po kraju krążyły legendy o ascetycznym trybie życia rodziny I sekretarza. Podobno towarzysz Wiesław nawet papierosy dzielił na pół, paląc je w szklanych lufkach (Sporty bez filtra). Ale syn uważał, że ojciec robił to nie ze skąpstwa, ale w celu ograniczenia palenia.

„[...] nie był zainteresowany posiadaniem jakichś dóbr przekraczających normalne potrzeby, zupełnie obcy był mu instynkt bogacenia się, bycia właścicielem. Nawet gdy pojawiła się możliwość wykupu mieszkania na własność, matka musiała użyć wielu argumentów, aby go do tego przekonać. [...] Nie miał wygórowanych potrzeb, ale lubił na przykład być dobrze ubrany i moja mama zamawiała dla niego garnitury u dobrego, prywatnego krawca, płacąc odpowiednią cenę”.

Ciekawe jednak, czy polityk wiedział, że ubierał go „prywaciarz”? I czy akceptował rachunki, czy też Zofia nie mówiła mu prawdy? Relację syna potwierdzają jednak wspomnienia Walerego Namiotkiewicza, który będąc sekretarzem Władysława, był człowiekiem dobrze poinformowanym:

„Był skromny, ale nie był sknerą. Wydaje mi się, że nie było w tym przesady. Prawdą jest, że denerwowały go jakieś nieprzemyślane, bezmyślne wydatki. Ale też zawsze jeździł Mercedesem 300 SE, jakim jeździli inni szefowie rządów w Europie. Dbał o ubiór, garnitury szył sobie u Zaremby [Tadeusz – słynny warszawski krawiec – S.K.], dbał o eleganckie koszule. Rosjanie zawsze z podziwem mówili o jego garniturach, nawiasem mówiąc, Breżniew zawsze gdy był w Polsce, kupował dla siebie garnitury, koszule, wszystkie dodatki”.

Możliwe jednak, że prawda leżała pośrodku. Gomułka musiał wiedzieć, że Zofia zamawiała garnitury w firmie znanego krawca (choćby kwestia przymiarek), ale

niekoniecznie musiał znać ich cenę. Zapewne fakt, iż ubierał go „prywaciarz”, Wiesława nie zachwycał, ale chciał dobrze wyglądać podczas publicznych wystąpień. Ostatecznie był w państwie osobą numer jeden.

Z upływem lat coraz bardziej oddalał się od rzeczywistości. Zdarzyło się, że niemiłosiernie zbeształ współpracowników, którzy podarowali mu elegancki krawat za dwieście złotych, podczas, gdy w państwowym sklepie kosztował dziesięć (na gumce). Bardzo charakterystyczne okazały się natomiast losy innego prezentu dla I sekretarza:

„Na sześćdziesięciolecie urodzin – wspominał Walery Namiotkiewicz – Biuro Polityczne postanowiło kupić Gomułce w prezencie szwajcarski zegarek. Oczywiście ktoś miał pomysł, aby był to zegarek złoty. Na szczęście Cyrankiewicz, który był człowiekiem bardzo praktycznym, powiedział, aby nie kupować złotego zegarka, bo nas zwymyśla i dlatego kupili normalny nikłowy zegarek szwajcarski. Komentując to Cyrankiewicz powiedział: »W zasadzie Gomułce to zegarek jest niepotrzebny, bo i tak nastawiały go na kilka dni do przodu”.

Otoczenie towarzysza Wiesława umiejętnie utrzymywało go w niewiedzy. Sklepy w okolicach jego domu były specjalnie zaopatrywane, tak aby sekretarz mógł osobiście wejść i zobaczyć ich asortyment. Absurd trwał całymi latami, a polityk dziwił się dochodzącym go opiniom o brakach w zaopatrzeniu. I publicznie głosił, że jego żona bez kłopotów kupuje mu kalesony (te sprowadzano dyskretnie zza granicy).

Oderwany od realnego świata czasami zaskakiwał społeczeństwo poglądami. Co gorsza, zdarzało mu się wygłaszać skandaliczne opinie w środkach masowego przekazu.

„[...] Gomułka, człowiek absolutnie uczciwy – twierdził Roman Werfel – który pewnego razu przez radio zwierzał się, iż on się dziwi, gdy mówią powszechnie, że nie ma rajstop, ponieważ jego żona kupuje bez trudności”.

Problem pogłębiał brak normalnych kontaktów towarzyskich. Małżonkowie nie mieli właściwie zwykłych przyjaciół, otaczali ich wyłącznie współpracownicy i podwładni.

„Przyjaciół [...] w zasadzie nie miał – uważał Namiotkiewicz – i to była jego wielka słabość, ponieważ ich brak nie pozwalał mu nigdy odprężyć się do końca. Przez pewien czas Moczar miał z nim lepsze kontakty, ale tylko do pewnego czasu”.

Kontakty ze współpracownikami nigdy nie przekraczały pewnych granic, a z czasem I sekretarz całkiem oddalił się od otoczenia. Władza wyobcowała go nie tylko ze społeczeństwa, ale nawet z grona działaczy partyjnych. W latach 50. sprawiał wrażenie człowieka przystępnego, później wszystko uległo zmianie. Widoczne było to nawet podczas wyjazdów urlopowych.

„Wiesław mówił: no to chodźcie, pójdziemy na łódkę – wspominał pobyty w Łańsku Namiotkiewicz. – Pływaliśmy łódką. Potem zaproponował, aby zorganizować drużynę do gry w siatkówkę. Jednym słowem był wtedy bardzo kontaktowy. Potem to zmieniło się. I jak potem przyjeżdżałem razem z nim na urlop, to już nie zapraszał ani na łódkę, ani na siatkówkę, ani też przy śniadaniu żadnej takiej rozmowy nie było. Mimo tych

długich lat pracy, w końcu byłem z nim przez cały okres sprawowania władzy – stosunki pomiędzy nami pozostały formalne, służbowe”.

Zofia lubiła czasem pozować na „dobrą matkę narodu” i przy okazji załatwić jakąś sprawę bytową obywateli. Zdarzyło się kiedyś, że Gomułkowie spędzali urlop w Ciechocinku, co szybko przestało być tajemnicą. Ochroniarzy zasypywano listami i petycjami, a jeden z nich wpadł w ręce Zofii. Wzruszona prośbą pewnej kobiety o przydział mieszkania przekazała list do sekretarza PZPR w Bydgoszczy z poleceniem załatwienia sprawy. Wola towarzyszki była prawem, mieszkanie przydzielono, jednak o całej sprawie dowiedział się Gomułka.

„Wściekł się – opowiadał Stanisław Trepczyński. – Przeprowadził śledztwo, kto śmie wykorzystywać jego autorytet w tak drobnej sprawie. Szef ochrony kapitan Jan Tomczak dzielnie przyjął ciosy, ale roli pani Zofii nie ujawnił, a ona też się nie przyznała”.

KALINA JĘDRUSIK, TELEWIZOR I KAPEC

Towarzyszka Zofia mogła dyskretnie załatwiać różne sprawy, ale nigdy oficjalnie nie sprzeciwiała się mężowi. Wiesław był uparty, szybko też tracił cierpliwość. Zresztą w wielu codziennych sprawach mieli podobne zdanie.

Należały do nich kwestie programu telewizyjnego (pamiętajmy, że był wówczas tylko jeden) i osób pojawiających się na szklanym ekranie. Do legend należy jednak zaliczyć informację, iż to ona zażądała od Andrzeja Wajdy wycięcia z „Ziemi obiecanej” sceny erotycznej w powozie. Film wszedł na ekrany w 1974 r., kiedy nie mieli już z mężem żadnych wpływów.

Nie zmienia to jednak faktu, iż pani Gomułkowa szczerze nie znosiła Kaliny Jędrusik. Podobno nabrała do niej niechęci podczas transmisji koncertu dla robotników, gdy aktorka występowała w sukni z ogromnym dekoltem, a na piersiach widoczny był krzyżyk. Zofia interweniowała i dyrekcja telewizji poprosiła aktorkę, aby w przyszłości pokazywała się na wizji „przyzwoicie” ubrana. Faktycznie, następnym razem pojawiła się zapięta pod szyję, ale w pewnej chwili odwróciła się do kamery tyłem, zdjęła szal i pokazała dekolt do pośladków.

Gomułkowie z niechęcią odnosili się do kabaretów, ze szczególnym uwzględnieniem „Starszych Panów”. Inteligencka rozrywka była dla nich raczej niezrozumiała, zresztą irytowały ich stroje i tytuły. Opowiadano, że gdy na wizji pojawiała się Jędrusik (zadebiutowała w jednym z pierwszych odcinków kabaretu), I sekretarz rzucał w telewizor kapciem. Inni dodawali bardziej drastyczne szczegóły, zamiast kapcia towarzysz Wiesław miał używać kałamarza czy popielniczki. Eleonora Syzdek, biografka wielu prominentnych postaci z czasów PRL, uważała to jednak za plotki:

„Nie mógł rzucać kapciami w telewizor (ani tym bardziej popielniczką czy kałamarzem), bo był człowiekiem oszczędnym. Jego oszczędność była wręcz legendarna. Niszczenie czegokolwiek, a zwłaszcza rzeczy cennej, jaką w tamtych czasach był telewizor,

nie mieściło mu się w głowie. Zresztą on nie miał czasu na telewizję. To był wybitny człowiek, najbardziej pracowity spośród I sekretarzy. Czytał wszystkie dokumenty. Wystarczy prześledzić jego dzień pracy”.

Zdecydowanie protestował również Strzelecki. Podawał bardziej logiczny powód, jego ojciec był po prostu kaleką i w ogóle nie nosił kapci. W domu posługiwał się specjalnym obuwem ortopedycznym.

Inna sprawa, że tryb życia polityka raczej wykluczał oglądanie „Starszych Panów”. W domu pojawiał się o dziewiętnastej trzydzieści na „Dziennik telewizyjny”, który oglądał z żoną podczas kolacji. Nie interesował się późniejszym programem, za wyjątkiem czwartków, kiedy oglądał Teatr Sensacji „Kobra”. A następnie kładł się spać.

„I tu mamy problem – zauważył Jerzy Eisler – bo »Starszych Panów« nadawano późno, dopiero po dwudziestej drugiej trzydzieści. A Gomułka dość wcześnie chodził spać, wiemy to z licznych relacji. Denerwowało to na przykład Nikitę Chruszczowa. Kiedy po polowaniu w ośrodku rządowym w Łańsku Chruszczow chciał posiedzieć do nocy przy wódce, Gomułka się zmywał. »Towarzyszu Wiesławie, napijcie się jeszcze«. »Dziękuję, ale dokumenty muszą przeczytać, węgiel policzyć«. Jest więc możliwość, że [...] nigdy do »Starszych Panów« nie dotrwał”.

Podobno I sekretarz lubił po kolacji razem z żoną (oczywiście w inne dni niż czwartek) zasiąść i posłuchać zachodnich stacji radiowych. Odbiór bywał jednak z reguły kiepski, więc irytował się, że audycje są zagłuszane (na jego zresztą polecenie).

Próby włączania Zofii Gomułkowej do polityki kończyły się na ogół fatalnie i raczej ich unikano. Mieczysław Rakowski wspominał, że zaproszono ją kiedyś na przedstawienie Studenckiego Teatru Satyryków, licząc na jej wstawiennictwo (scenie groziło zamknięcie). Spektaklu nie zrozumiała, ale i tak uznała go za antypaństwowy.

KONSTANCIN

Władysław Gomułka został odsunięty od władzy w efekcie krwawych wydarzeń na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. Utrata stanowiska odbiła się na jego zdrowiu (potwierdza to wiele relacji), całkowicie zmieniła również tryb życia rodziny. Nagle, z dnia na dzień małżonkowie zostali odsunięci od centrum wydarzeń, musieli też opuścić willę w podotwockim Śródborowie, dotychczas użytkowaną przez towarzysza Wiesława. A oboje ten dom lubili.

„Będąc na emeryturze – wspominał ojca Ryszard Strzelecki – narzucił sobie niezwykle unormowany tryb życia. Wstawał o szóstej rano. Rozpoczynał dzień od gimnastyki. Główne ćwiczenie odbywało się w wannie i polegało na gimnastykowaniu chorej nogi – pamiątki po policyjnej kuli z 1932 roku. Codziennie po śniadaniu wyjeżdżał za miasto, do lasu, gdzie spacerował przez około trzy godziny, niezależnie od pogody. Nieodłącznym uczestnikiem tych wypraw był pies »Szarik«. Towarzyszyła często ojcu matka, a w dni świąteczne również inni członkowie rodziny. Od 1973 r. korzystał

z oddanego mu w użytkowanie domku w Konstancinie, w którym niekiedy mieszkał w miesiącach letnich, dom ten stanowił bazę wielogodzinnych spacerów”.

Domek w podwarszawskim Konstancinie (przy obecnej ulicy Potulickich 20) był niewielki i zaniedbany. Był to „skromny, liczący trzy pokoje jednopiętrowy budynek z ładnym frontonem”, a „przez leśną działkę, która odgradzała go od ulicy, przepływał strumyk”. Przysługiwała im ochrona, ale oboje uważali, że oficerowie są raczej ich strażnikami. Ale do jednego z nich mieli sporo sympatii.

„[...] podszedł do mnie na ulicy w Konstancinie – wspominała Maria Turlejska – dowódca ochrony Gomułki. »Wiesław« i Zofia nazywali go »majorem Tadeuszem«. Nie wiem, jakie miał nazwisko. Był to mężczyzna w średnim wieku, chodzący w cywilu, podobnie jak czwórka innych. Był dość tęgi, wyglądał pocziwie. »Wiesław« i Zofia wyraźnie go lubili, znali od dawna, gdyż był jeszcze w ochronie Gomułki przed 1970 r. Pomagał im w życiowych kłopotach, załatwiał różne sprawy, np. opłatę czynszu za willę”.

Wiedzieli, że ochrona regularnie pisuje raporty dla nowych władz, podejrzewali również, iż dom jest na podsłuchu. Dlatego przyjmując gości, zawsze włączali radio, a słuchając Wolnej Europy zagłuszali audycję za pomocą telewizora. Gości zresztą nie było wielu, Zenon Kliszko, Ignacy Loga-Sowiński i kilku innych. Stałą bywalczynią domu była również ostatnia sekretarka polityka, spisująca jego wspomnienia. Wzbudzało to plotki, nawiązujące do informacji kolportowanych przez Sokorskiego.

„Szlachcic podzielił się ze mną rewelacją – zanotował w marcu 1971 r. Mieczysław Rakowski – że Gomułka zamierza rozwieść się ze swoją Zofią i powtórnie ożenić, chyba z Rejniakową, swoją wieloletnią sekretarką. Oni wszyscy w końcu żenią się ze swoimi sekretarkami – tak było z MM [Mieczysław Moczar – S.K.] i z Loga-Sowińskim. Szlachcic biadał, że Gomułka wystawi się w ten sposób na pośmiewisko, a chciałoby się ratować jego autorytet. Zgadzam się z nim, ale uważam, że jest to plotka”.

I faktycznie taką była, Wiesław do końca życia pozostał z żoną. Zmarł we wrześniu 1982 r., ona przeżyła go o cztery lata. Nie spoczęli jednak razem, I sekretarza pochowano w monumentalnym grobowcu w Alei Zasłużonych na Powązkach Wojskowych. Zofia spoczywa niedaleko, w oddzielnej mogile. Podobnie jak za życia, również po śmierci pozostała w cieniu męża.



Rozdział IX. Pierwsza dama Polski Ludowej



Nina Andrycz

„Kiedyś napisałem coś złośliwego o Andrycz w sztuce O’Neilla »Pożądanie w cieniu więzów«. No, co będę mówił, wyobrażacie sobie, jak pani Nina zagrała prostą amerykańską farmerkę. Pani Nina była wtedy żoną premiera Cyrankiewicza, no i przyszli do radia jacyś dwaj tajniacy [...]. Ale szefową redakcji była Janina Titkow, matka reżysera Andrzeja Titkowa i żona byłego sekretarza KW. I mnie jakoś wybroniła. »Warszawka« sztukę O’Neilla w związku z rolą pani Niny przemianowała na »Powiązanie w cieniu rządów«”. (Janusz Głowacki)

PREMIER JÓZEF CYRANKIEWICZ

Elita władzy PRL właściwie nigdy nie cieszyła się popularnością w społeczeństwie, aczkolwiek od tej reguły był pewien wyjątek. Józefowi Cyrankiewiczowi wybaczone nawet słynną wypowiedź o „odrabrywaniu ręki podniesionej na partię”. Inna sprawa, że premier był wyjątkowo inteligentnym człowiekiem i potrafił dać sobie radę w różnych sytuacjach.

„[...] w Poznaniu mi opowiadali – pisał Stefan Kisielewski – że on pojechał kiedyś do tego samego Cegielskiego [zakłady przemysłowe – red.], gdzie właśnie o tej ręce mówił. I tam się szykowali na niego »my tego tutaj drania splantujemy«. A on od tego zaczął: »Ja tu na pewno zostawiłem złe wspomnienie. Powiedziałem o tym obcinaniu ręki. No, ale wiecie przecież jakie to były czasy. Wiecie, gdzie żyjemy«. I tu pokazał ręką na wschód. I wtedy ogromne oklaski: »Morowy chłop«, »swój człowiek«”.

Jego karierę powszechnie uznaje się za przykład politycznego oportunisty. Pochodził z rodziny o endeckich tradycjach, sam jednak związał się z Polską Partią Socjalistyczną. Przed wojną studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim, a podczas kampanii wrześniowej dostał się do niewoli. Zbiegł z transportu i włączył się w działalność konspiracyjną. Jako oficer Związku Walki Zbrojnej zorganizował akcję odbicia z rąk gestapo legendarnego kuriera Jana Karskiego.

W 1941 r. sam wpadł w ręce Niemców i ostatecznie trafił do Auschwitz. Relacje na temat jego pobytu w obozie są sprzeczne, według komunistycznej propagandy był organizatorem ruchu oporu, natomiast inni zarzucali mu współpracę z Niemcami i handel kosztownościami. Podobno obawiając się ujawnienia prawdy, już jako urzędujący premier nie skorzystał z prawa łaski wobec rotmistrza Witolda Pileckiego. Na ten temat historycy spierają się, a jedyną pewną informacją jest fakt, iż pod koniec wojny znalazł się w Mauthausen, gdzie doczekał wyzwolenia.

Czteroletni pobyt w obozie pozostawił w nim trwałe ślady. Wcześniej był energicznym i pełnym radości życia człowiekiem, teraz najbardziej interesowały go przyziemne przyjemności.

„Według mnie Cyrankiewicza złamał obóz – uważał Władysław Gomułka. – [...] wyszedł z Oświęcimia ze złamanym kręgosłupem moralnym i politycznym, z jednym tylko pragnieniem: żyć, używać”.

Działalności politycznej jednak nie zaprzestał. Został jednym z liderów PPS, ale w odróżnieniu od wielu kolegów partyjnych oceniał sytuację realnie. Polska znalazła się w sowieckiej strefie wpływów i o losach kraju decydowała wola Kremla.

„Siedziałem obok Stalina – opowiadał o wizycie w Moskwie w 1946 r. – Nagle [...] odwrócił się – chyba do Mołotowa. Zauważyłem, że ma pustą szklanę, więc – całkiem odruchowo – napełniłem ją. Stalin spojrział na szklanę, potem na mnie. Podniósł dwa palce i bardziej stwierdził, niż spytał: »Ty mnie chcesz upić, Cyrankiewicz«. Zapadła absolutna cisza. Patrzyłem mu w oczy. Małały, zmieniały się w dwie fosforyzujące szparki.

Nie wiem, jak długo to trwało, sekundy czy minutę. Nie odwróciłem głowy, przez cały czas modliłem się w duchu: »Spraw, Przenajświętsza Panienko, aby z łysiny nie pociekła mi ani jedna kropla potu«”.

Despota go jednak polubił, a podobno zdecydowała o tym otwartość, z jaką zgadzał się z wolą Kremla. Rozbawiał również dyktatora anegdotami, czasami nawet o antysowieckiej treści. I z woli Moskwy został w 1947 r. premierem Polski.

Już wówczas opowiadano o jego wystawnym życiu, a szczególnie o upodobaniu do pięknych kobiet. Było w tym wiele prawdy i nawet jego oficjalny życiorys wzbudzał kontrowersje. Przed wojną związał się z Krystyną Munkówną (siostrą reżysera filmowego Andrzeja Munka). Planowali wspólną przyszłość. Po kampanii wrześniowej partnerka znalazła się jednak na zachodzie, a uczucia nie znoszą próżni. Po kilku latach Cyrankiewicz oświadczył się jej siostrze, Joannie, i pobrali się w sierpniu 1940 r.

Aresztowanie męża i długa rozłąka odbiły się fatalnie na zdrowiu małżonki. Po zakończeniu wojny poddała się ona leczeniu psychiatrycznemu, pozytywne rezultaty przyniosła dopiero kuracja w Szwajcarii. Małżeństwo nie przetrzymało jednak próby i w rok po wojnie doszło do rozwodu. Joanna ponownie wyszła za mąż, ułożyła sobie życie, ciepło wspominała ją Kira Gałczyńska, pracująca z nią w redakcji muzycznej Telewizji Polskiej:

„Piekielnie dowcipna, o niewyparzonym języku, mówiąca bez ogródek co myśli, sypiąca parkanowi polszczyzną, z której powstawały najbardziej niespodziewane »wiązanki«. [...] Pojawienie się Joanny w redakcji wprawiało mnie zawsze w dobry humor. Czekałam na jej cięte riposty, zjadliwe komentarze, na dowcipy o wspólnych znajomych, których zawsze miała dużo (dowcipów oczywiście) i na każda okazję”.

Podobno miała „dar obcowania z ludźmi, nawiązywania natychmiastowych kontaktów w taki sposób, że już po kilku minutach znajomości wydawała się być osobą dobrze znaną, i to od lat”.

Natomiast o przygodach erotycznych jej byłego męża plotkowała cała Polska, a temat jego życia prywatnego pojawiał się nawet na posiedzeniach sowieckiego kierownictwa. Premierowi uchodziło to jednak na sucho, niebawem zresztą postanowił ponownie się ożenić. Tym razem jego wybranką została wybitna aktorka dramatyczna, piękna Nina Andrycz.

SOLANGE

Była młodsza od Cyrankiewicza o cztery lata, urodziła się w 1915 r. w Brześciu Litewskim. Młode lata spędziła w sowieckim Kijowie, podobno pojechały tam z matką w odwiedziny do rodziny i rewolucja odcięła im powrót do domu.

„Pamiętam miasto – wspominała po latach – które przechodziło z rąk do rąk, raz byli w nim czerwoni, raz biali. Na placu odbywały się egzekucje, których oczywiście nie oglądałyśmy. Na całe życie zapamiętałam jednak krew na śniegu. Bandy grabiły domy,

przyszli też do nas. Bałyśmy się z mamą piekielnie. Pamiętam, jak mama, która była jeszcze młoda i bardzo ładna, poprosiła jednego z bandziorów, żeby nie zabierał jej zegarka, pamiątki po mężu, który jest w Polsce. I ten bandzior zabrał jakąś szubę, palto, a zegarek zostawił”.

W tym miejscu po raz pierwszy dotykamy sprawy wiarygodności wspomnień pani Niny. Nie negując ich uczciwości, warto jednak przypomnieć, że w 1920 r. Kijów zajęła polska armia i wielu rodaków powróciło do kraju razem z wycofującymi się oddziałami Edwarda Rydza-Śmigłego. Dlaczego nie zrobiła tego jej matka?

Sowiecki Kijów nie był łatwym miejscem do życia. Zamożni krewni z dnia na dzień stali się żebrakami, matce przyszej aktorki udało się znaleźć zatrudnienie w charakterze tłumacza. Przydało się wykształcenie i znajomość języków.

Nina chodziła do szkoły, a potajemnie uczęszczała również na lekcje religii. Polskiego uczyła ją matka w domu, po wojnie polsko-bolszewickiej nie był to nad Dnieprem język mile widziany.

W Kijowie panowała bieda, ale właśnie wówczas dziewczynka zainteresowała się teatrem.

„[...] głodujący mieli dwa abonamenty – jeden do przewspaniałej opery, drugi do przewspaniałego teatru dramatycznego. Jako dziewczynka widziałam wszystkie piękne spektakle – *Fausta*, Dostojewskiego – połowy wtedy nie rozumiałam, ale i tak bardzo mi się spodobało”.

Recytowała wiersze i już wówczas musiała przejawiać talent, gdyż rówieśnicy chętnie jej słuchali. Miało to przełożenie na popularność w szkole, a co za tym idzie na lepsze warunki bytowe.

„Mówiąc wiersze, zdałam sobie sprawę, że mam pewną władzę nad rówieśnikami, że nikt się nie wierci, nie gwizdże, że mnie słuchają. Pomyślałam, że jestem niezwykłą istotą i że trzeba wyciągnąć z tego wnioski. Zauważyłam też, że jak występowałam, to byłam lepiej traktowana, dostawałam lepszy »pajok« na drugie śniadanie. Nie chcę naginać faktów, ale wiem, że już wtedy rozumiałam, że będę aktorką. To mnie też trochę wyrывało z tej szarzyzny, z tego głodu, nędzy, strachu, rozstrzeliwań. Bo wojna domowa to jest głód i strach”.

Po dziesięciu latach obie odnalazł ojciec Niny i matka z córką legalnie powróciły do Polski. Ponownie zamieszkały w Brześciu, a po kilku latach dziewczyna rozpoczęła studia. Dostała się do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Warszawie, ale wobec sprzeciwu matki równolegle studiowała na uniwersytecie. Po dwóch latach skoncentrowała się jednak wyłącznie na aktorstwie.

Występowała w wileńskim Teatrze Na Pohulance, ale prawdziwy sukces przyniosła jej dopiero Warszawa i Teatr Polski. Pod okiem Arnolda Szyfmana stworzyła wspaniałe kreacje, a w pamięci widzów pozostała jako Solange z *Lata w Nohant* Jarosława Iwaszkiewicza. Premiera utworu uczyniła z niej gwiazdę, miała wówczas dwadzieścia jeden lat.

ALEKSANDER WĘGIERKO

Do dat w życiu pani Andrycz należy jednak podchodzić z pewnym dystansem. Jeżeli faktycznie na świat przyszła w listopadzie 1915 r., to w chwili teatralnego debiutu miała zaledwie dziewiętnaście lat, a pracę w Wilnie z nauką w warszawskiej szkole raczej trudno byłoby pogodzić. Zachowała się również informacja, że studiowała historię na Uniwersytecie Wileńskim, co jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Warszawska szkoła teatralna powstała w 1932 r. (studia trwały trzy lata), co wydaje się jedyną pewną datą. Niewykluczone, że pani Nina trochę lat sobie odjęła, co w tamtych czasach było normalną praktyką. Do perfekcji doprowadziły tę umiejętność córki Wojciecha Kossaka, posuwając się nawet do fałszowania dat na obrazach ojca. A Maria Pawlikowska-Jasnorzewska w swoim paszporcie z 1939 r. odmłodziła się aż o osiem lat.

Niezależnie od problemów z metryką okres studencki wywarł wpływ na całe życie artystki. Poznała wówczas Aleksandra Węgierkę, znacznie od niej starszego aktora, reżysera i wykładowcę. Był on żonaty, nie należał jednak do mężczyzn dochowujących wierności. Na swój sposób był jednak do żony przywiązany; Zofia Węgierko pracowała w teatrze jako plastyk i scenograf.

Jednym ze źródeł do poznania życia Niny Andrycz są udzielane przez nią w ostatnich latach wywiady. Niestety, aktorka ma zwyczaj przedstawiania tych samych wydarzeń w różny sposób, niewykluczone zresztą, że swoją rolę gra jej sędziwy wiek. I tak opowiadając o związku z Węgierką, stwierdziła, że „przeżyła erotyzm tak piękny, że każdy następny wydawał się niczym. Jeden jego pocałunek był wart wielu tych płomiennych stosunków [...], moja pierwsza miłość była romantyczna, a jej podkład erotyczny był tak wzniosły, że następne doświadczenia wyglądały... jakby słabiej”. Natomiast w innej rozmowie przyznała, że „skończyła szkołę teatralną jako dziewica”. Albowiem chociaż „była w nim zakochana przez cały drugi i trzeci rok, on wiedział, jak się sprawy przedstawiają, ale dziewictwa mi nie odebrał. No cóż, można być bardzo szczęśliwą w inny sposób”. Co prawda „wzniosły erotyzm” nie wyklucza zachowania dziewictwa, jednak czasami w wypowiedziach aktorki trudno doszukać się logiki.

Podobno o romansie wiedzieli wszyscy, Nina jednak obiecała żonie reżysera, że ich małżeństwa nie rozbije. Nie przeszkadzało jej to przez całe życie, nawet w trakcie związku z Cyrankiewiczem, trzymać w mieszkaniu portretu ukochanego. Wtedy jednak wisiał w jej gabinecie, co premier kwitował słowami, iż „nekrofilia kwitnie w domu”. Do dzisiaj zresztą artystka uważa, że była to jedyna miłość jej życia, a pozostałe związki były wyłącznie epizodami, niemającymi nic wspólnego z uczuciem.

Aleksander Węgierko nie przeżył wojny, a jego osoba do dzisiaj wzbudza kontrowersje. Zarzucano mu kolaborację z Sowietami, niedawno nawet proponowano zmianę patrona Teatru Dramatycznego w Białymstoku. Uznano, że scena nie może nosić imienia zdrajcy, na szczęście zabiegi nie odniosły sukcesu. W rzeczywistości bowiem prawda jest bardziej złożona, podobnie jak losy wielu naszych rodaków podczas II wojny

światowej.

Po klęsce wrześniowej aktor znalazł się w Grodnie. Stworzył tam zespół teatralny z Tolą Mankiewiczówną, Jackiem Woszczerowiczem i Haliną Kossobudzką, debiutował tam również młody Czesław Wołłejko. Po przeprowadzce do Białegostoku stanął na czele Teatru Polskiego Zachodniej Białorusi, który pod sowieckimi rządami zachował zadziwiającą autonomię. Dyrektorowi zaś udało się to, o czym zawsze marzył, czyli organizacja sceny dramatycznej. Wystawiał polskich romantyków i Williama Shakespeare'a, w repertuarze pojawiły się utwory niespotykane na radzieckich scenach (*Intryga i miłość* Friedricha Schillera, *Dożywocie* Aleksandra Fredry, *Pigmalion* George'a Bernarda Shawa, *Panna Maliczewska* Gabrieli Zapolskiej, *Wesele Figara* Pierre'a Beaumarchais'go).

Działał jednak w określonych warunkach i nie mógł nie okazywać lojalności wobec Kremla.

„Tworząc nową sztukę socjalistyczną – mówił w wywiadzie dla »Wolnej Pracy« – nie tylko przebudowujemy, ale i rozbudowujemy polską tradycję rewolucyjną. Teatr – to potężny środek wychowania komunistycznego. Teatr polski operujący słowem, i to słowem artystycznym – może się stać, najlepszym przewodnikiem ideologii socjalistycznej do polskich mas pracujących”.

Czy nie był to jednak wyłącznie kompromis, umożliwiający prezentację dobrego repertuaru po polsku? A do tego mający zapewnić pracę polskim aktorom? Teatr Węgierki często występował na prowincji, na terenach, które po wojnie polsko-bolszewickiej przypadły Sowietom. Od dawna nie słyszano tam ze sceny języka polskiego; entuzjazm był ogromny, a jego dowody wzruszające. Widzowie dzielili się z aktorami czym tylko mogli: masłem, obrazkami, kolorowymi papierkami.

W tym czasie w Wilnie (przekazanym przez Sowietów Litwie) oficjalnie występowała Hanka Ordonówna. Nikt jej nie zarzucił kolaboracji, chociaż Węgierko również wystawiał po polsku. Ale on nie został aresztowany przez NKWD jak aktorka i nie miał przed sobą pięknej karty uratowania setek polskich dzieci z bezdroży Kazachstanu...

„Trzeba powiedzieć wprost – uważa Tomasz Danilecki z IPN – że Teatr Dramatyczny w Białymstoku nie powinien nosić imienia twórcy, którego działalność nosiła wyraźne znamiona kolaboracji ze zbrodniczym systemem sowieckim”.

Aktorowi zarzuca się, że jego scena „była narzędziem propagandy, a grane na jego deskach przedstawienia niejednokrotnie stanowiły peany ku czci komunizmu”. Łatwo po latach ferować wyroki z pozycji wygodnego widza na kanapie. Nie wiadomo, jak dzisiejsi sędziowie zachowaliby się na miejscu reżysera; nie doceniają też elementu odpowiedzialności za rodzinę, podwładnych i zwykłego ludzkiego strachu.

Białostockiemu reżyserowi proponowano zresztą objęcie scen w dużych miastach sowieckich, jednak konsekwentnie odmawiał. Twierdził, że zgodzi się wyłącznie wówczas, gdy będzie mógł się przenieść razem ze swoim zespołem. A dla władz sowieckich aktorzy grający po polsku nie mieli znaczenia, interesował ich tylko dyrektor.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej zastał teatr w Mińsku. I od tej pory skazani jesteśmy wyłącznie na domysły. Wiadomo tylko, że reżyser odmówił ewakuacji na wschód i pozostał ze swoim zespołem.

Węgierko pochodził z rodziny żydowskiej i to miało stać się przyczyną jego zguby. Nina Andrycz podała jedną z wersji jego śmierci, zaznaczając również, że jest niepotwierdzona:

„Ukrywał go ksiądz katolicki. Kiedy przyszli gestapowcy, wyszedł i powiedział: »Ja jestem tym, którego szukacie«. Nie chciał tego księdza narażać. Zabrali go, ale nie zabili od razu. Zapytali: »Umiesz jeździć?«. A on: »Tak, całe życie prowadzę wóz«. Oni: »To będziesz nas woził«. Kompletnie nie wyglądał na Żyda, złote włosy, niebieskie oczy. Inaczej od razu by go zastrzelili. Ale były donosy, jak to zwykle w społeczeństwie. [...] Rozstrzelali go gdzieś pod Brześciem. Dziwne, że on tego Brześcia strasznie się bał, uważał za obrzydliwe miasto. Powiedział mi o tym, kiedy się poznaliśmy, dosłownie w pierwszej rozmowie. A ja na to: »Ale ja się tam urodziłam«”.

Według innych relacji przeżył załamanie nerwowe i sam się przyznał do swojego pochodzenia. Nie wiadomo jednak, czy został przez hitlerowców zastrzelony na miejscu, czy też zginął w obozie.

Zachował się jednak pewien dokument, który może rzucić odmienne światło na losy artysty. Odnaleziono zdjęcia wykonane przez jednego z niemieckich fotografów w styczniu 1943 r. w teatrze w Mińsku. Na jednym z nich widoczny jest aktor niezwykle podobny do Węgierki. Czyżby ukochany Niny kontynuował karierę pod niemiecką okupacją? A jeżeli tak, to jakie były jego dalsze losy? Ta sprawa oczekuje na wyjaśnienie.

Wojnę przeżyła natomiast Zofia Węgierko. Podjęła pracę w warszawskim Teatrze Polskim i wówczas zetknęła się z Andrycz.

„Spojrzałyśmy sobie w oczy nie bez wzruszenia – opisywała Nina. – Ona nadal była jeszcze ładną zadbaną kobietą po pięćdziesiątce. Dźwiżyła ciężar swojego wdowieństwa, aczkolwiek żałoby nie nosiła. Emanował z niej jakiś dziwny spokój, może tylko gdzieś na dnie przyciemniony okupacyjną udręką ukrywania się”.

Panie rozmawiały spokojnie, czas leczył rany. Zofia Węgierkowa przyznała się, że mąż był jedyną miłością jej życia, podejrzewała również, iż dla Niny był „również tą jedną”. Ale wdowa po reżyserze wiedziała już wówczas, że jej dawną rywalką zainteresował się premier rządu polskiego, Józef Cyrankiewicz.

Z POWROTEM NA SCENIE

Nina Andrycz jest autorką dwóch powieści autobiograficznych. Niestety, jak często w tego rodzaju publikacjach bywa, fakty przeplatają się tam z fikcją, a rzeczywistość trudno odróżnić od fantazji. Dialogi bohaterów są czasami mało naturalne i przypominają rozmowy studentów pierwszego roku filozofii. Ale opowieści sławnej artystki nie można całkowicie przekreślać, rzucają bowiem ciekawe światło na kluczowe epizody jej życia.

Podczas wojny przebywała w Warszawie, nie pracowała jednak na żadnej ze scen koncesjonowanych przez okupanta. Na życie zarabiała jako kelnerka.

„W teatrze – pisała po latach – jest przekleństwo »Bodajbyś z tacą chodził«, nie wolno brać tacy do ręki, bo to wróży nieszczęście. A ja jako kelnerka z tą tacą chodziłam. I nic złego się nie stało. W dodatku do kawiarni jako pierwszy klient wszedł Niemiec. Cofnęłam się razem z tacą, ale miałam tak rycerskich kolegów, że powiedzieli: »Idź do toalety, my mu podamy«”.

Po wojnie znalazła się w Łodzi, a pomimo tragedii powstania warszawskiego nigdy źle się na ten temat nie wypowiadała.

„Jak sobie pomyślę o chłopakach z AK, to tylko klękać i całować ślady nóg na podłodze. Cieszę się, że się im podobałam, że byłam ich muzą. Mówili: »Dopóki Andryczka się maluje, nos pudruje, to my nie możemy przegrać«. Niestety przegrali”.

Nigdy również nie myślała o porzuceniu zawodu, w czym utwierdzała ją matka, ostatecznie pogodzona z wyborem córki. Marzeniem Niny była kontynuacja kariery na deskach ukochanego Teatru Polskiego, co niebawem miało się spełnić.

W listopadzie 1945 r. wraz z grupą aktorów powróciła do Warszawy, zamieszkując przy ulicy Wileńskiej na Pradze. Niebawem niespożyty Arnold Szyfman (miał wówczas sześćdziesiąt trzy lata) przystąpił do prób. Panna Andrycz występowała w *Papudze* w reżyserii Juliusza Osterwy, a wielki sukces odniosła w *Szkole obmowy*. Kilka dni po premierze otrzymała bukiet pięknych róż z biletem, na którym widniały inicjały – J. C.

MĘŻCZYŹNI PANI NINY

Chociaż Andrycz zawsze twierdziła, że w życiu miała tylko jedną miłość, to jednak innych mężczyzn dostrzegała. Wspominała o swoich okupacyjnych partnerach, natomiast po powrocie do stolicy związała się z niejakim Janem Chybem, porucznikiem Ludowego Wojska Polskiego. Po latach nazwała go „niewłaściwym mężczyzną”, a sam romans opisała dość dokładnie we wspomnieniach. Ile w tym prawdy, a ile fikcji literackiej – wie tylko sama aktorka.

„Smukłe kolana bez pośpiechu ruszyły w moim kierunku. Dotychczas widziałam go tylko z profilu. Teraz miałam przed sobą twarz i oczy. Nie doznałam żadnego olśnienia jego męską urodą. Rozum instynktowny (ten, co nie analizuje!) momentalnie schwycił fizyczne podobieństwo zbliżającej się postaci do już nieżyjącego chłopca z Brześcia [Węgierki – S.K.], namiętności moich czternastu lat. Tamten też miał smukłe kolana, suchy, hardy profil i ciemne, jakby spieczone usta. [...] Nie podobały mi się wcale ani jego niebieskie oczka w nieco lodowatym odcieniu, ani chytry uśmieszek”.

Warto zauważyć, że „chłopiec z Brześcia” w chwili śmierci miał niemal pięćdziesiąt lat, a gdy Nina rozpoczęła studia, prawie czterdzieści...

Porucznik Chyb mówił słabo po polsku, w pierwszej chwili Nina uznała go zresztą za „chamowatego”. Ale wzbudzał w niej dziwne uczucie, podejrzewała, że jej „ciało w ten

sposób chciało dojść do głosu”. Nigdy dotychczas nie wyobrażała sobie „bliższego kontaktu z mężczyzną bez zrozumienia, bez podziwu, czułości, psychicznego pokrewieństwa”, ale jej myśli zaczęły krążyć wokół przystojnego oficera. I wbrew sobie zaczęła się z nim spotykać, uczyła polskiego języka (podczas pobytu w ZSRR niemal go zapomniał). Edukacją wojskowego zajęła się również zaprzyjaźniona rodzina Dorochowskich.

„A ponieważ wszystkie moje wieczory w lutym nadal były wolne – zaczęłam wreszcie uczyć porucznika prawidłowej polskiej wymowy. Jan pilnie i pokornie sylabizował *Pana Tadeusza*, czyniąc postępy. Prócz tego czytał zupełnie nowe dla siebie książki, pożyczone z biblioteki Dorochowskich. Stopniowo poszerzył mu się zasób polskich słów i przestał mówić »nu«. Pułkownik nie tylko systematycznie, ale i z pasją wykładał mu historię Polski. Lucyna dbała o ogładę towarzyską oraz lepsze maniery”.

Z punktu widzenia narracji opis repolonizacji Jana Chyba jest interesujący, ale pani Nina raczej po raz kolejny mija się z prawdą. Pochodzący z patriotycznej polskiej rodziny porucznik (jego bracia podczas wojny byli w AK-owskiej partyzantce) nie mógł przez kilka lat zostać całkowicie zrusyfikowany. A tym bardziej nic nie wiedzieć o wojnie 1920 r. czy też innych wydarzeniach z dziejów Polski. To raczej „*licentia poetica*” autorki przedstawiającej wybrańca jako przystojną wersję Kaspara Hausera...

Nie jest to jedyna nielogiczność we wspomnieniach pani Andrycz. Aktorka miała być dla porucznika nie tylko mentorką intelektualną, ale również seksualną. Wprawdzie podkreślała swoje niezaangażowanie i brak doświadczenia erotycznego, ale na partnera wywarła zbawienny wpływ. Pod jej wpływem Chyb miał przeistoczyć się w doskonałego kochanka, a współżycie miało im przynosić wiele satysfakcji. Nie można tego wykluczyć, ale cała sytuacja sprawia wrażenie elementu wciśniętego na siłę, aby podnieść atrakcyjność narracji.

„I tak zaczął się w moim życiu – pisała Nina – czas porucznika [...], a ściślej jego erotyczno-uczuciowa edukacja. Z czasem robił w niej postępy, choć podejrzewałam, że nie z przypływu wielkiego uczucia, tylko z rozpalonej ciekawości, jak też te sprawy wyglądają w innym, nieznanym mu świecie. Poza tym niewątpliwie bardzo chciał dać mi rozkosz. Musiał więc zupełnie odrzucić swoje żołnierskie nawyki, opanować brutalność odruchów, no i bardzo przedłużyć miłosne preludium. Z żalem zaprzestał komplementów w rodzaju: *jesteś słodziutka, wężutka, aksamitna*”.

Podczas zbliżeń miała nie poddawać się namiętności, uważając, że „powtarza pieszczoty, które kiedyś spontanicznie narodziły się z czułości i zachwytu”. Miała osiągać zadowolenie, ale jej myśli krążyły wokół Węgierki. A przecież w sensie erotycznym między nią a reżyserem do niczego podobno nie doszło...

Związek z przystojnym porucznikiem miał obfitować w gwałtowne wydarzenia, partner nadużywał alkoholu i czasami zachowywał się wulgarnie. Ostatecznie z życia panny Andrycz zniknął dwa lata po wojnie, kiedy związała się już z Cyrankiewiczem. Podobno utonął w Wiśle, a artystka sugerowała, że mogło to być samobójstwo.

FASCYNACJA PREMIERA

Tajemnicę bukietu róż z bilecikiem „J. C.” rozwikłał znajomy panny Andrycz, dziennikarz Zbigniew Mitzner. Redaktor „Robotnika” (i współzałożyciel „Szpilek”) wyjaśnił, że „jego szef jest w niej zakochany”. Dla niego Józef nie był zresztą tylko urzędującym premierem, uważał go przede wszystkim za lidera PPS i współredaktora „Robotnika”.

„Byłem zdziwiony i zaskoczony – tłumaczył dziennikarz – kiedy ten człowiek, mający ogromne powodzenie u kobiet, sceptyczny i nieufny, po raz pierwszy zapytał mnie o panią”.

Dziennikarz znał dobrze słabości pryncypała i zauważył, że jego sposób okazywania zainteresowania nie pasował do dotychczasowych praktyk. Ale nie ukrywał, że Cyrankiewicz zabrał się do rzeczy jak rasowy polityk. Miał do dyspozycji metody niedostępne przeciętnym śmiertelnikom, polecił zatem sporządzić sobie dossier wybranki.

„Wiem – mówił Mitznerowi – że ostatnio dziewczyna żyła z pewnym oficerem. Zula mi go pokazała na ulicy. Fizycznie chłopczyna bez zarzutu. Mógł się podobać. Nawet bardzo. Właśnie z szynku wychodził, bo ona go podobno porzuciła. Widujesz się z nią przecież? Sprawdź, czy to się zgadza”.

Redaktor wystąpił w roli pośrednika i zaproponował w imieniu premiera wspólną kolację, gdzie miał się pojawić w roli przyzwoitki. Nina zwlekała z odpowiedzią, uznając, że „jeżeli ktoś sporządza sobie jej dossier, to i jej przysługują jakieś choćby elementarne wiadomości o nim”. Mitzner zresztą nie ukrywał swojego zdania na temat Józefa.

„[Jest] zwierzęciem politycznym czystej krwi – tłumaczył. – A że polityka nie jest jak wiadomo wiedza ścisłą, tylko sztuką stosowaną, sędzę, że uprawia tę sztukę z talentem. Jest socjalistą od najwcześniejszej młodości, wbrew woli zamożnego ojca i pomimo licznych batów. Na pewno chciałby w tej ideologii zobaczyć przyszłość kraju... Będąc jedną realistą, wie, że karty w historycznej grze są już raczej rozdane”.

Opowiadał, że pryncypał ma problemy z osobowością, czego przyczyną był pobyt w Oświęcimiu. Racjonalistyczny światopogląd w niczym nie pomagał i premier szukał ucieczki w przyjemności życia.

„Z tak upiornego melanżu pozostała mu do dziś wyraźna nieufność, szczególnie do nowo poznawanych ludzi. Te i inne problemy swej codzienności okrasza sporą dawką humoru, a przy tym ma wdzięk i niekłamane powodzenie u pań. Toteż nawet wobec tak niepospolitej osoby jak pani na pewno nie chciałby bujać w obłokach”.

Oglądając Ninę na scenie, miał powiedzieć, że nie interesuje go wyłącznie przygoda. Nie zamierzał jednak „terminować gdzieś tam na peryferiach”, ostatecznie przecież „w końcu nie był porucznikiem”.

I miał rację, był najinteligentniejszym politykiem z grona nowych władców Polski. Doskonale ubrany, przystojny i wysportowany podobał się kobietom, a w odróżnieniu od pozostałych członków ówczesnej elity władzy potrafił poruszać się eleganckim światem.

Panna Andrycz jednak nie spieszyła się i do jej pierwszego spotkania z Cyrankiewiczem doszło dopiero po trzech miesiącach. Przyjęła zaproszenie na kolację w prywatnym mieszkaniu premiera przy ulicy Zygmuntowskiej na Pradze. Towarzyszył jej oczywiście Mitzner.

„Wódz nie bez wahania wypuszcza moja rękę i wchodzimy do obszernego pokoju, będącego jednocześnie salonkiem i jadalnią. Parkiet lśni. Na białym obrusie lśnią kieliszki i nakrycia. Cała kolacja przygotowana na zimno, bo służby ani widu, ani słyhu. Dostrzegam bez trudu pewien charakterystyczny szczegół, który mnie niejako spokrewnia z panem domu.... A mianowicie w najmniej oczekiwanych miejscach leżą książki. Jedna spora kupka na oknie. Druga, jeszcze większa, za lustrem, a trzecia i czwarta w rogach pokoju”.

W relacjach z epoki nie bez powodu podkreślano inteligencję polityka, jego dobrą polszczyznę i nieużywanie kartki podczas publicznych wystąpień. Ten człowiek zdecydowanie odróżniał się od aparatczyków wczesnego okresu Polski Ludowej i mógł się stać równorzędnym partnerem umysłowym dla aktorki.

Nie wiadomo, jak przebiegały kolejne fazy znajomości. Premier zrobił na niej dobre wrażenie, uznała, że jest przystojny, inteligentny i bardzo samotny. A jaka kobieta nie doceniałaby tych cech w jednym mężczyźnie? Na dodatek gdy ten mężczyzna jest szefem rządu?

„Był on, jak podawała ówczesna prasa – zapisała po latach – najmłodszym urzędującym premierem w Europie. A.D. 1947, w czerwcu, miał bardzo szczupłą wysportowaną sylwetkę i bardzo niebanalną męską urodę. Golił mianowicie głowę, niewątpliwie wiedząc, że ma ładny kształt czaszki. To samo robił w Hollywoodzie Yul Bryner. Taki zabieg rozjaśniał regularne rysy twarzy, wydobywając z niej marmurowego tła żywe, ciemne oczy i zmysłowe usta”.

Cyrankiewicz zdawał sobie sprawę z podobieństwa, mówiąc z uśmiechem, że wygląda jak „Yul Brynner dla niezamożnych”. Ale mógł się podobać, o czym zresztą dobrze wiedział. Podobno już podczas drugiego spotkania (tym razem bez przyzwoitki) zaczęli rozmawiać o małżeństwie. Przypomina to obyczaje z belle époque i sprawia nienaturalne wrażenie. Ale pasuje do wspomnień Andrycz, w których rzeczywistość miesza się z fantazją.

Sprawa szybko stała się publiczną tajemnicą. Przy okazji Szyfman planował załatwić kilka spraw dla swojego teatru. W tej sytuacji przydział nowej ciężarówki nie stanowił już większego problemu...

W kulisach szeptano o fascynacji premiera, plotkowano, że ślub szefa rządu będzie wydarzeniem.

„Nina zrobi najlepszą partię w Polsce – emocjonował się Szyfman w rozmowie z Zofią Węgierkową. – Oko mi dzisiaj zbielało, kiedy ujrzałem, jakie orchidee wnoszono do jej garderoby. Mówię to pani nie bez kozery, pani Zofio. Mam nadzieję, że pani ubierze ją do ślubu”.

Podobno oświadczyła Cyrankiewiczowi, że zadowolony się rolą kochanki i wcale nie musi wychodzić za mąż. Premier zaprotestował, zauważył, że miał w życiu wystarczającą liczbę nieformalnych związków, a teraz oczekuje stabilizacji. Miał nawet zaproponować ślub kościelny, cytując Alberta Camusa, iż „wprawdzie w Boga nie wierzy, ale takim znowu ateistą nie jest”.

Rozmowa ta miała miejsce w czerwcu 1947 r., gdy jeszcze daleko było do walki państwa z Kościołem. To właśnie w tym okresie Anna Iwaszkiewicz snuła wizję katolickiego marksizmu, a pogrzeb generała Karola Świerczewskiego odbył się w obecności duchowieństwa.

Był jednak pewien problem, o którym pani Nina w ogóle nie wspominała. W świetle przepisów kościelnych jej nowy partner był nadal żonaty z Joanną Munkówną. Posiadał wyłącznie rozwód cywilny, co skutecznie uniemożliwiało zawarcie sakramentu. Pozostawała droga zmiany wyznania lub kościelnego unieważnienia związku, a to byłoby zbyt wiele jak na premiera państwa zależnego od Kremla. Dlatego pomysł ze ślubem katolickim wydaje się kolejną fantazją pani Andrycz, a przecież zawsze uważała małżeństwo za skomplikowaną instytucję, której nie można łączyć z sakramentem. A co ciekawsze, podobno takie zdanie miała już przed wojną, gdy w Polsce praktycznie nie istniały jeszcze śluby cywilne...

MADAME JÓZEF CYRANKIEWICZ

Aktorka postawiła pewne warunki, które premier przyjął bez większych oporów. Podstawowym była jej niezależność zawodowa, nie zamierzała porzucić aktorstwa:

„[...] w żadnych okolicznościach, w żadnej koniunkturze politycznej nie przerwę pracy w Teatrze Polskim – tłumaczyła Cyrankiewiczowi. – Ukochany, o którym Ci wspominałam, przed laty zdradził mnie i to z byle kim. Praca natomiast dochowywała mi wierności, nawet po sześcioletniej przerwie. Dzięki niej stoję dziś na własnych nogach i jestem ludziom potrzebna”.

Zastrzegła również, że małżeństwo musi pozostać bezdzietne, nigdy zresztą nie odczuwała potrzeby macierzyństwa.

„Miałam zawsze wstręt do ciąży, za to jako aktorka bez przerwy rozmnażałam się psychicznie. Bo – jak mówi bohaterka mojej sztuki *Lustro*: »Kiedy jest się naprawdę gwiazdą, to nie rodzi się dzieci, rodzi się role«. Kiedy urodziłam Marię Stuart, byłam tak zmęczona, że chyba poród fizyczny tyle by mnie nie kosztował. Role to są moje córki – piękne, szalone, mądre, głupie, różne. Ja ciągle czułam się jak w ciąży, więc jak mama powiedziała mi: »Ty tylko urodź, ja wychowam, wszystkim się zajmę od pierwszych dni«, odpowiedziałam: »Przecież ja bez przerwy rodzę«. Mama spojrzała na mnie jak na osobę zdecydowanie pomyloną”.

Wbrew krążącym plotkom nie zażądała przed ślubem oddzielnej sypialni, chociaż doszło do tego w późniejszej fazie związku. Początkowo ich życie seksualne musiało

układać się dobrze, albowiem narzeczony „udowodnił żarliwie i ponad wszelką wątpliwość, że jest o wiele lepszy od porucznika”. Tłumaczył zresztą, że po „upiornej oświęcimskiej wstrzemięźliwości” nie wystarczy mu konwencjonalny miesiąc miodowy. A Iwaszkiewicz prosił nawet Ninę, aby „nie skrzywdziła Józia”, a komu jak komu, ale panu Jarosławowi można było raczej wierzyć w sprawach męskiej wrażliwości.

Ślub odbył się w lipcu 1947 r. i od początku żona premiera zaczęła sprawiać problemy specjalistom od protokołu dyplomatycznego. Odmówiła używania wizytówek przedstawiających ją jako „Madame Józef Cyrankiewicz” (pani Józefowa Cyrankiewiczowa). Na potrzeby dyplomacji przyjęła nazwisko męża (Nina Andrycz-Cyrankiewicz), ale w życiu zawodowym posługiwała się wyłącznie własnym. Uważała, że na renomę długo pracowała, i nie zamierzała jej stracić. Aktorstwo zawsze było dla niej na pierwszym miejscu.

Unikała oficjalnych wizyt u boku męża, podróżowała za granicę wyłącznie, gdy obowiązki zawodowe na to pozwalały. Razem odwiedzili Chiny, Tajlandię oraz dwukrotnie Indie.

„W Indiach jeździliśmy na słoniu – relacjonował Zygmunt Broniarek. – Cyrankiewicz i pani Nina, pod palakinem, na samym grzbiecie słonia, a ja – gdzieś na jego pupie. »Szpilki« miały ubaw, ponieważ po raz pierwszy w historii sprawdziło się fizycznie słynne powiedzenie »Słoń a sprawa polska«. Zamieściły one na okładce karykaturę państwa Cyrankiewiczów na słoniu z takim właśnie podpisem”.

Zaproszeń z Kremla jednak nie ignorowała. Stalin ją polubił i podczas pierwszej wizyty podarował wspańnię futro z norek. Podobno nigdy go nie założyła i ubiór zjadły mole, co przypomina opowieści o paleniu marihuany bez zaciągania się. Ale z drugiej strony, kto przy zdrowych zmysłach odmówiłby przyjęcia prezentu od Stalina?

Natomiast podczas innej wizyty pani premierowa niespodziewanie powróciła do Warszawy, aby wystąpić w teatrze. Wśród członków polskiej delegacji wzbudziło to prawdziwą panikę, tego dnia miała odbyć się uroczysta kolacja na Kremlu i przerażony Jakub Berman zemdlał. Tymczasem Stalin przyjął afront z filozoficznym spokojem i miał powiedzieć, że „ta kobieta musi lubić swoją pracę”, co prezes Rady Ministrów skwapliwie potwierdził. Nie był to zresztą wyjątek.

„Zawsze ratował mnie teatr – mówiła w jednym z wywiadów. – Zresztą, teraz też chroni. Kiedy Szyfman przysłał depezę do Chin: »Proszę, wracać, nikt nie chodzi na dublerkę«, wyraziłam przy kolacji tak dziką radość, że nasza delegacja osłupiała. Myśleli, że się tak cieszę z prezentów od Mao Tse-tunga. Józef strasznie się śmiał, nie pogniewał się”.

Wśród tych prezentów miały być piękne chińskie wazony. Kilka lat później cała stolica plotkowała, że podczas jakiejś kłótni domowej premier jednym z nich cisnął w żonę...

Ninę męczył świat polityki, a szczególnie jego „obłuda, nieprawda, gadki o urojonej rzeczywistości”. Czasami jednak jej obecność przydawała się, znała biegle

język francuski i na dworze w Kambodży była dodatkową tłumaczką. Ale wielokrotnie zdarzały się sytuacje, kiedy premier podróżował samotnie, a zgorzony ambasador pytał go o żonę. I wówczas odpowiadał, że Nina gra w teatrze...

W 1960 r. małżonkowie po raz drugi odwiedzili Indie. Tym razem o przygotowaniach do wizyty szeroko rozpisywała się polska prasa, informowano również, że kreacje dla pani premierowej szyte są przez najlepszych paryskich krawców. Wzbudziło to oburzenie społeczeństwa, egzystującego w skromnych warunkach. Na spotkaniach w zakładach pracy ostro atakowano rozrzutność, a do historii przeszła riposta Władysława Bieńkowskiego (byłego ministra i posła). Ten znany z ciętego języka publicysta miał uspokajać robotników stwierdzeniem, iż paryskie toalety pani Niny były tańszym wyjściem z sytuacji. Albowiem „gdyby Cyrankiewicz pojechał sam, to kosztowałoby nie mniej, bo kontakty z paniami na świecie drogo kosztują”.

Józef przez wiele lat bywał na każdej premierze żony, a o scenie Teatru Polskiego mówił, że to jego najgroźniejszy rywal. Dzięki żonie poznał zresztą wielu twórców kultury, co zawsze mu imponowało. Elita władzy PRL praktycznie nigdy nie pozbyła się kompleksu parweniuszy i wysoko ceniła znajomości w kręgach artystycznych.

Cyrankiewicz i Andrycz należeli do stałych partnerów brydżowych Magdaleny Samozwaniec, zresztą premier lubił pozować na polityka z „ludzką twarzą”, pomagając w miarę możliwości artystom. Te zresztą miał ogromne, w Polsce Ludowej w sprawach bytowych jego wola była właściwie obowiązującym prawem. Nie odmówił również pomocy wdowie po Witkacym, Jadwidze Witkiewiczowej (ciotecznej siostrze Samozwaniec). Podobno nakłonił go do tego inny były więzień Oświęcimia, Xawery Dunikowski...

Witkiewiczowa przewlekłe chorowała, nie miała mieszkania i środków do życia. Utwory męża nie pojawiały się w repertuarze teatrów, a obrazy nie cieszyły się jeszcze popularnością. Na polecenie szefa rządu dostała rentę, a rok później przydzielono jej małą kawalerkę. A premier koniecznie chciał poznać wdowę po Witkacym.

„Zapowiedział swoją wizytę – wspominała Halina Leszczyńska – przez Dunikowskiego i odwiedził ją kiedyś na Kruczej. A ona owszem, podziękowała mu za rentę oraz mieszkanie, zachowywała się uprzejmie, ale z godnością, właściwie nawet z wyniosłością. Bez unizoności, komplementów czy próśb, choć namawialiśmy – taka okazja! [...] wyraźnie go zafascynowała, bo faktycznie prezentowała się witkacowsko – prawdziwa, rasowa dama, zaciągająca się papierosem w długiej lufce, wspominająca stryja Wojciecha Kossaka, w ekstrawaganckim wtedy, pochodzącym z paczki »ciuchowym« komplecie – długiej bluzie i spodniach”.

Cyrankiewicz załatwił również mieszkanie Konstantemu Ildefonsowi Gałczyńskiemu, który źle znosił klimat Szczecina. Wystarczyło jedno słowo polityka i rodzina poety otrzymała trzypokojowy lokal w alei Róż, aby później przeprowadzić się do większego mieszkania w tej samej kamienicy.

Do premiera udały się również Alina Janowska i Danuta Szaflarska, z prośbą

o załatwienie mieszkania w stolicy dla choreografki Joanny Mieczysławskiej:

„Ledwie weszliśmy do gabinetu – wspominała Janowska – z petycją podpisaną przez wielu byłych uczniów pani Profesor, ledwie usiadliśmy na wskazanych przez premiera fotelach, a mój rozpadł się na części pierwsze. Wylądowałam na podłodze. Chcąc jednak zbagatelizować niezręczną sytuację, w jakiej znalazł się gospodarz, rzuciłam: jaki pan, taki kram. Moja puenta tak się Cyrankiewiczowi spodobała, że mogliśmy być z Danką spokojne, iż pani profesor Janina Mieczysławska spędzi ostatnie lata życia w Warszawie. Spędziła!”.

Zapewne na skuteczność interwencji miała wpływ również słabość Cyrankiewicza do Danuty Szaflarskiej...

Małżeństwo Niny z premierem musiało wywoływać plotki w środowisku teatralnym. Aktorce zarzucano, że jej pozycja jest efektem stanowiska męża i że dzięki temu obsadzana była w rolach koronowanych głów. Albowiem tylko takie kreacje miały zaspokajać jej rozbuchane ambicje.

„Dziennikarze często pytali mnie, w jaki sposób udało mi się zgromadzić na koncie aż taką ilość koronowanych głów i myśleli, że ja sama sugerowałam takie role, że tylko takie chciałam grać. A to nieprawda. Wszystkie moje królewskie role przynosiły teatrowi dochód, więc dostawałam następne do grania. Prywatnie nie grałam wielkiej damy, bo zawsze oddzielałam scenę od rzeczywistości, która w tamtych latach była bardzo uboga, wręcz tragiczna”.

Inna sprawa, że jak mało która polska aktorka do takich ról się nadawała. Miała wspaniałą prezencję, wydawało się wręcz, że urodziła się w pobliżu tronu. Jeszcze przed wojną otrzymała tytuł królowej mody i elegancji, który wyjątkowo ceniła, albowiem warszawskie sklepy „dawały jej na raty wszystko, czego zapagnęła”.

Zarzuty jednak pozostały. Uważano, że zniszczyła karierę Irenie Eichlerównie, atakowanej za manieryczność i która faktycznie do 1956 r. rzadko pojawiała się na scenie. Twierdzono, że sama Nina wybierała sobie role, a właściwie ustalała obsadę przedstawień, wykorzystując do tego swoją pozycję żony premiera. Inna sprawa, że Eichlerówna w Teatrze Telewizji zaczęła się pojawiać dopiero, gdy małżeństwo Andrycz z Cyrankiewiczem przestało funkcjonować.

Podobno o aktorstwie artystki nie wypadało pisać źle, o czym osobiście przekonał się Janusz Głowacki. Jako student polonistyki przygotowywał recenzje dla Polskiego Radia i ośmielił się skrytykować żonę premiera:

„Kiedyś napisałem coś złośliwego o Ninie Andrycz w sztuce Eugene’a O’Neilla »Pożądanie w cieniu wiązków«. No, co będę mówił, wyobrażacie sobie, jak pani Nina zagrała prostą amerykańską farmerkę. Pani Nina była wtedy żoną premiera Cyrankiewicza, no i przyszli do radia jacyś dwaj tajniacy [...] czy coś tam. Ale szefową redakcji była Janina Titkowska, matka reżysera Andrzeja Titkowskiego i żona byłego sekretarza KW. I mnie jakoś wybroniła. »Warszawka« sztukę O’Neilla w związku z rolą pani Niny przemianowała na »Powiązanie w cieniu rządów«.

ALEJA RÓŻ 8

Dwa lata po ślubie Nina z mężem zamieszkali przy alei Róż 8, w ponadstusiedemdziesięciometrowym apartamencie. Była to ulica elity, mieszkania przydzielano tam dygnitarzom i literatom. W kamienicy pod numerem 6 Gałczyński sąsiadował przez ścianę z Władysławem Broniewskim, mieszkania na parterze zajął później Antoni Słonimski, a na górze mieszkał Leon Kruczkowski. Nie mogło zabraknąć Jerzego Borejszy, Sokorskiego czy Stefana Żółkiewskiego. Ulica była cicha i spokojna, w pobliżu był Belweder, Komitet Centralny i Urząd Rady Ministrów, a nieodległa Dolina Szwajcarska zapewniała dobre miejsce do spacerów.

Czasami obecność bohemy literackiej miała jednak swoje złe strony. Podobno pewnego dnia do drzwi apartamentu Cyrankiewiczów zapukał Gałczyński, przedstawił się i zapytał, gdzie jest łazienka. Skierowany tam przez Andrycz rozebrał się i z całym spokojem wszedł do wanny. A wychodząc, powiedział przerażonej Ninie, że zawsze chciał się wykąpać w wannie premiera...

W mieszkaniu przy alei Róż aktorka mieszkała nawet po rozwodzie z Cyrankiewiczem. Były mąż przeniósł się pod siódmkę, natomiast odradzał byłej żonie wykupienie lokalu na własność. Podobno mawiał z uśmiechem, że tak wybitnej artystce jak ona stolica zawsze zapewni mieszkanie. Ten były socjalista po prostu wierzył w trwałość komunizmu w Polsce.

Ich małżeństwo nigdy nie przypominało związków dygnitarzy PRL, a pani Andrycz-Cyrankiewicz zdecydowanie odróżniała się od żon elity władzy. Premier miał jednak chyba nadzieję, że kiedyś chociaż częściowo wygra rywalizację ze sceną. Tęsknił do ogniska domowego, chciał mieć dzieci. Nie było to jednak możliwe przy trybie życia żony, która rano miała próbę, a wieczorem spektakl, po którym była zmęczona.

Dwukrotnie zachodziła w ciążę, za każdym razem dokonując jednak aborcji. I to ich małżeństwu zadało cios ostateczny.

„Jak za drugim razem szłam na zabieg – wspominała Nina – moja mama się popłakała. Tłumaczyła mi: »Nie rób tego drugi raz. Z pierwszym zabiegiem się pogodził, ale drugiego ci nie daruje, bo pokazujesz, że ci na nim nie zależy«”.

SCENY Z ŻYCIA PREMIERA

Pierwsze lata ich małżeństwa przypadły na wyjątkowe czasy dla polskich socjalistów. Komuniści szykowali się do likwidacji PPS, inwigilowano premiera, w jego mieszkaniu założono nawet podsłuch. Podobno przygotowywano jego aresztowanie, miał go spotkać los Gomułki i Mariana Spychalskiego.

Andrycz wspominała, że mąż gryźł się z planami „zjednoczenia” PPR i PPS. Nikt nie lubi być grabarzem własnej partii, ale Nina starała się go uspokoić. Zauważyła, że jeżeli „chce wyskoczyć przez okno, dobrze, popchnie go, ale cała PPS nie wyskoczy, jest

odpowiedzialny za kilkuset ludzi”. I tak się stało, w grudniu 1948 r. na zjeździe zjednoczeniowym na Politechnice Warszawskiej powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

„[...] Cyrankiewicz odchodząc od PPS-owskiego socjalizmu – uważał Włodzimierz Sokorski – komunistą nigdy się nie stał. Był jeszcze jedną ofiarą Stalina, który mu po wojnie obiecał istnienie PPS, lecz obietnicy nie dotrzymał i Cyrankiewicza zmuszono, by kopał grób dla własnej partii. Robił to zresztą nie na tych warunkach, które ustalał z Gomułką, lecz na podyktowanych przez Bieruta i Bermana”.

Dla premiera był to kolejny cios. Wcześniej uważano go za oportunistę, który za cenę wygodnego życia zgodził się na współpracę z komunistami, a teraz zarzucano mu zdradę.

„[...] nie stronił od alkoholu – kontynuował Sokorski – choć nie ujawniał tego publicznie. Pił w swoim towarzystwie i wówczas niejednokrotnie przyznawał się do tego, że jest kolaborantem i pozostaje w PZPR dlatego, by ratować nie tylko własną głowę, ale i resztki zdrowego rozsądku”.

Alkohol zaczął jednak w jego życiu odgrywać coraz większą rolę. Na zachowanych zdjęciach i nagraniach filmowych widać było, jak zmieniał się jego wygląd. Nabierał wagi, twarz mu nabrzmiała, to nie był już ten przystojny mężczyzna ze schyłku lat 40.

„Ratował się wódką – uważał Sokorski – i przygodami damsko-męskimi i samochodowym hobby. Uciekał nawet przed goryłami do swoich »pokrzywek«, gdyż zawsze je wolał od dam z towarzystwa”.

Opowiadano o wielu kobietach, z którymi był związany, a jedna z najgłośniejszych plotek w czasach PRL łączyła jego osobę z Ireną Dziedzic. Premier zaprzeczał, ale niektórzy zadawali pytanie, w jaki sposób możliwa była błyskawiczna kariera nikomu nieznaney dziennikarki z Kołomyi? Pomógł jej na pewno związek z prezenterem telewizyjnym Janem Suzinem, ale czy na pewno tylko on?

„Ale za to – uważał Józef Światło – pan premier uległ innym czarom. Kiedy skończył się czar Danuty Szaflarskiej i młodej Czajkowskiej, premier zaczął regularnie chodzić do sklepu z kwiatami na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Pracowała tam z mężem kształna blondynka dwudziestokilkuletnia. Pracowała tak długo, dopóki towarzysz Cyrankiewicz nie zakochał się w kwiatkach i nie czynił codziennie większych zakupów. Wtedy młoda asystentka sklepowa przestała nagle pracować. Okazało się, że nie można pogodzić pracy w sklepie z kojeniem znojnych trudów premiera”.

Cyrankiewicz zaszywał się w ośrodkach rządowych, a na weekendy często uciekał do podwarszawskiego Jadwisina. Z jego wyprawami za miasto wiąże się sprawa budowy wiaduktu nad linią kolejową w Legionowie. Wprawdzie w latach 60. ruch samochodowy był niewielki, ale permanentnie zamknięty przejazd kolejowy był prawdziwym postrachem miejscowych kierowców.

Świadkiem historycznej (dla okolicznej ludności) chwili był ówczesny mieszkaniec Legionowa, Jacek Iwaszkiewicz:

„Przed szlabanem, z obu stron, nazbierało się już kilkanaście pojazdów samochodowych i ja z moim WSK. Wtedy nadjechał ON. Jak zwykle bez żadnej asysty, czarnym Mercedesem, w kapeluszu na łysej głowie.

Pędził do swej letniej rezydencji w Jadwisinie. Był rozpoznawalny i powszechnie znany z niekonwencjonalnych zachowań. Podjechał lewym pasem pod sam szlaban, omijając kolejkę stojących karnie samochodów.

Wysiadając z mercedesa, zdjął kapelusz i machając do dróżnika wołał »otwierajcie dziadku, bardzo się śpieszę«. Dróżnik siedział pod swoją budką i nie reagował. Premier Cyrankiewicz, zirytowany brakiem reakcji urzędnika państwowego na służbie, podniesionym głosem zapytał, czy dziadek wie, z kim ma okazje rozmawiać. Stary kolejarz flegmatycznie odpowiedział: »Nawet Premier nie ma prawa rozkazywać kolei. Jak zadzwonią telefonem, że może otwierać, to otworzy, a jak nie zadzwonią, to nie otworzy. Trzeba czekać«. Odpowiedź dróżnika najwyraźniej zamurowała Dygnitarza i aby ratować nadwyrężony autorytet Władzy, zwrócił się do stojących blisko kierowców i zapowiedział, że nastąpi koniec bałaganu komunikacyjnego na zegrzyńskiej szosie i za trzy miesiące od tej chwili, rozpocznie się budowa wiaduktu nad torami. Nikt w to wtedy nie wierzył, bo nie takie obietnice wysłuchiwał Naród od Władzy, ale żebym nie był »naocznym i nausznym« świadkiem tej zapowiedzi, rzeczywiście, po trzech miesiącach nastąpił cud i PRK-7 przystąpiła do budowy wiaduktu. Było to pospieszne projektowanie i popełniono karygodne błędy statyczne (zbyt małe stopy fundamentowe słupów), ale budowa ruszyła, ze Szwecji sprowadzono strunobetonowe elementy i wiadukt szybko powstał, jak to obiecał premier [...]”.

Nic dziwnego, że przez lata nazywano budowlę „wiaduktem Cyrankiewicza”. Używana była zresztą jeszcze kilka lat temu, dopiero niedawno wybudowano nową konstrukcję.

Premier lubił szczególnie rezydencję w Łańsku na Mazurach i zasłynął z organizowanych tam wykwintnych imprez. Na stołach pojawiał się kawior, łosoś, francuski koniak. Wprawdzie Andrycz twierdziła, że premier „jadł bardzo skromnie, lubił zwykłą polską kuchnię, bigos, śledzia, żadnych cudów, żadnych szampanów”, ale nie było to prawdą. Był sybarytą i nawet przemawiając w Sejmie, popijał tonik Schweppesa, co w czasach siermiężnego komunizmu było wyrafinowanym luksusem. A kiedy podczas jednego z przyjęć w Łańsku zameldowano mu, że niebawem w ośrodku pojawi się Władysław Gomułka, zareagował natychmiast. Ze stołów zniknęły zagraniczne specjały, a w zamian pojawiły się kaszanka, ser i kawa zbożowa. I sekretarz był, jak wiadomo, ascetą i nie znosił żadnego luksusu.

„[...] to był premier bardzo dla mnie wygodny – miał powiedzieć Gomułka. – No, widzicie, już przez to, że on miał kartotekę obciążoną tym, że chce te ręce ucinać, to można go było łatwo wykończyć przy lada okazji. [...] Tak jak w niektórych krajach, tak samo u nas [...] władza miała swego Cyrankiewicza. Zawsze są ludzie, którzy są tylko kukłami i w ten sposób są potrzebni rzeczywistej władzy”.

W odróżnieniu od Gomułki premier nie stwarzał dystansu w kontaktach z otoczeniem. Mieczysław Rakowski mile wspominał wspólny wyjazd z delegacją do Moskwy u schyłku lat 50.:

„Bardzo miły, uprzejmy, nie napuszony. Nie bił z niego majestat władzy. Często zachodził do naszego wagonu, rozmawiał o d... Maryni. Po prostu fajny facet. Niektórzy pepesowcy zdecydowanie odbijają poziomem, ogłada towarzyską od peperowców i kapepowców [...]”.

Pasją szefa rządu były samochody. Początkowo jeździł ZIS-em 110. Jerzy W. Borejsza (syn Jerzego) wspominał wypadki za miasto, kiedy premier pędził Wałem Miedzeszyńskim z zawrotną wówczas prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Potem ZIS-a zastąpiły kolejne modele mercedesów, które osobiście prowadził. Nie lubił być pasażerem, kochał kierownicę i szybką jazdę.

Ludzie związani z legalną opozycją PRL towarzysza Józefa jednak nie lubili. Woleli Gomułkę, a premiera uważali za cynika.

„Nie ufam Cyrankiewiczowi – notował w swoim *Dzienniku* Jerzy Zawieyski. – Jest z gruntu amoralny. Dziś taki, jutro może być inny. Wszystko mu jedno. Zdaje się, że najważniejsze dla niego – to władza i wszelkie stąd wynikające słodczyce życia”.

Spółeczeństwo darzyło go jednak względną sympatią, chyba jako jedyne z ówczesnej elity władzy. Trafnie podsumował to Stefan Kisielewski:

„Ta postać ma swoje podłoże cyniczne, bo polityk tego rodzaju musi być cynikiem. Ale stara się jakoś wypłynąć tak, żeby Polacy go lubili. Nie powiem – kochali – ale żeby go nie powiesili jak dojdzie co do czego”.

NIEDYSKRECJE UCIEKINIERA

Od obrazu kreślonego we wspomnieniach Niny Andrycz zdecydowanie odbiega relacja Józefa Światły. Wprawdzie pewien jej procent był zwykłą propagandą, ale opinie uciekiniera na temat żony premiera warto jednak przedstawić.

„Wiadomo, że losy państwa Cyrankiewiczów – twierdził Światło – od chwili zawarcia związku ślubnego między premierem i Niną Andryczówną, układały się rozmaicie. Upodobania pani [...] wahały się między byłym ambasadorem sowieckim w Warszawie Lebidiewem, marszałkiem Rokossowskim i często pomniejszych dygnitarzami. W okresie, kiedy akcje marszałka stały wysoko, państwo Cyrankiewiczowie wyjeżdżali na wypoczynek do jego kwatery głównej w Legnicy, jeszcze przed objęciem przez niego marszałkostwa. Bo tuż pod Legnicą znajduje się zameczek myśliwski, w którym tego rodzaju polsko – sowieckie kontakty towarzyskie rozwijały się jak najlepiej”.

Relacja Światły dotyczyła pierwszych lat małżeństwa aktorki, były wicedyrektor X Departamentu MBP zbiegł na zachód w grudniu 1953 r. Z jego wypowiedzi wynika, że artystka nie unikała wówczas przyjemności, płynących z przynależności do klanu rządzących Polską. Szczególne zdziwienie wzbudzają jej wizyty z mężem w Legnicy,

w kwaterze głównej Północnej Grupy Wojsk Armii Czerwonej. Podobno przyciągało tam Cyrankiewiczów „wspaniałe kasyno oficerskie, zainstalowane w odnowionych salach starego piastowskiego zamku”, oraz „wytworny zameczek myśliwski”. Obiekt stanowił miejsce eleganckich „spotkań wyższych oficerów Armii Czerwonej” oraz tych „polskich dygnitarzy, których los obdarzył strojnymi i przystojnymi żonami”.

Premierostwo mieli pojawić się tam po raz pierwszy w 1952 r., co stawia relację Światły pod poważnym znakiem zapytania. Rokossowski został marszałkiem Polski w 1949 r., a zatem małżonkowie nie mogli tam bywać „jeszcze przed objęciem marszałkostwa”. Chyba że uciekinierowi poplątały się szarże Rokossowskiego, który od 1944 r. był przecież marszałkiem ZSRR. Nie zmienia to jednak faktu, iż relacja jest bardzo interesująca:

„W owym czasie inny gość, poseł albański w Warszawie Petro Paki, pobił nawet czar państwa Cyrankiewiczów, bo zjawił się [w Legnicy – S.K.] z dwiema żonami. Sztabowcy sowieccy bardzo sobie ten sezon myśliwski chwalili. Chwalił sobie i marszałek Rokossowski, który uległ czarowi pani Niny Cyrankiewicz”.

Wizyty w Legnicy nie były jedynymi krajowymi eskapadami pani premierowej. Chętnie odwiedzała również willę w Jelitkowie, znajdującą się w gestii Rady Ministrów. Podobno często jeździła tam nawet bez męża.

„Piękny pałac otoczony ogrodem – opowiadał Światło – opasany wysokim murem. Od strony morza również ogrodzona i strzeżona plaża do wyłącznego użytku znakomitych gości. Służbę ochronną w pałacu pełniła specjalna jednostka K[orpusu] B[ezpieczeństwa] W[ewnętrznego], elegancko wyposażona w mundury z doskonałej gabaryny. [...] W tym to pałacyku przygrywa gościom do posiłków orkiestra Szkoły Specjalistów Morskich z Ustki”.

W takim miejscu jadłospis musiał być wykwintny, podobnie jak wystrój sali i toalety gości:

„Wytwornie nakryte stoły, stopy papierosów amerykańskich, pudła najlepszych czekoladek rozłożonych wszędzie. Obowiązuje strój bardzo formalny – to znaczy wieczorowe najczęściej toalety, błyszcząca biżuteria. Wśród rozochoconych i podchmielonych gości kręci się zawsze po sali wielu ugrzecznionych cywilów, którzy nie spuszczają orkiestry z oka. Zjawiają się zawsze jak spod ziemi, ilekroć zachodzi możliwość, że któryś z członków orkiestry będzie się starał nawiązać bliższy kontakt z gośćmi. To agenci UB, którzy równocześnie dbają o to, aby informacje o zbytku panującym w Jelitkowie nie przedostały się na zewnątrz”.

Relację Światły w pośredni sposób potwierdziła osobiście sama Andrycz. Kiedy w ramach trasy promocyjnej książki *Bez początku, bez końca* zawitała do Trójmiasta, jej wieczór autorski odbył się w Muzeum Sopotu mieszczącym się w dawnej willi rządowej. Pani Nina wspominała czasy, gdy po kąpielach w lodowatym Bałtyku „ratowała się koniakiem w towarzystwie męża”. Zachowały się również zdjęcia dokumentujące jej wizyty, ale bliższych szczegółów nie zdradziła nikomu...

ROZWÓD

Druga aborcja zdecydowała o rozpadzie małżeństwa. Chociaż związek oficjalnie trwał, to dla wszystkich stało się jasne, że pozostawał fikcją. Cyrankiewicz miał jednak już chyba dość przygód i na trwałe związał się z Krystyną Tempską – lekarzem reumatologiem. Kolejna partnerka była nieprzeciętną osobowością, wybitnym specjalistą, organizatorką walki z chorobami kości. Premier planował rozwód z Niną i nowe małżeństwo, ale zaprotestował Gomułka. Uważał on, że od prezesa Rady Ministrów należy oczekiwać przykładu dla społeczeństwa, a nie trzech ślubów w życiorysie. Ale szef rządu potrafił czekać i w odpowiedniej chwili zaszachował I sekretarza. Po wypadkach marcowych 1968 r. towarzysz Wiesław miał poważniejsze zmartwienia na głowie i ustąpił przed szantażem. Prezes Rady Ministrów groził dymisją, co w gorącym politycznie okresie mogło mieć niewyobrażalne konsekwencje.

Inna sprawa, że wysunięcie w takim momencie na plan pierwszy spraw prywatnych ostatecznie określiło postawę polityczną Cyrankiewicza. Był już chyba zmęczony swoim premierowaniem i dążył do osobistego szczęścia. Wiedział, że Gomułka nie ma innego kandydata, co bez skrupułów wykorzystał.

Ten nie oponował i w czerwcu 1968 r. premier poślubił Krystynę. Wybranka miała trójkę dzieci z poprzedniego małżeństwa i potrafiła stworzyć rodzinny klimat, którego premierowi wcześniej brakowało. Z upływem lat, podobnie jak większość mężczyzn, odczuwał potrzebę stabilizacji, zbliżał się zresztą do sześćdziesiątki i wrażeń już nie szukał. A nowa miłość w odróżnieniu od Niny z reguły znajdowała czas, aby towarzyszyć mężowi.

„Kochał bardzo – wspominał Władysław Barcikowski – swą trzecią żonę i jej rodzinę. Była to dla niego wymarzona rodzina, której zawsze bardzo pragnął. Czuł się w niej szczęśliwy”.

Rozwód Andrycz z Józefem odbył się bez większych problemów. Premier zostawił byłej żonie mieszkanie, zastrzegł jednak, że nie życzy sobie, aby kiedykolwiek wypowiadała się na temat ich wspólnego życia. I artystka faktycznie przez wiele lat milczała, informując ciekawskich, że były mąż mieszka po sąsiedzku i ma dobry słuch.

Pani Nina zawsze twierdziła, że niczego nie żałuje, była dumna, iż poświęciła się scenie i Teatrowi Polskiemu. Niewiele natomiast grała w filmach, częściej można było ją oglądać w Teatrze Telewizji. Zadebiutowała również jako poetka, a o jej wierszach pochlebnie wypowiadał się sam Iwaszkiewicz.

[...] aktorstwo nie znosi rywalizacji – mówiła – dlatego pakowałam do szuflad niezliczone wiersze, prozę, pamiętniki itd. Gdy minęłam lat południe, wzięłam się na odwagę i pojechałam do Jarosława Iwaszkiewicza. Wybitny pisarz przeczytał i powiedział: »Masz w tej chwili wybrać się do Czytelnika i powołać się na mnie. To są bardzo dobre wiersze. Jak chcesz, mogę ci napisać przedmowę«”.

Andrycz nie chciała jednak, żeby pisał ją dla Solange, wobec czego przedmowę

przygotował Klemens Górski. Pierwszy tomik wydano w nakładzie aż dziesięciu tysięcy egzemplarzy, a pozytywnie wypowiedali się o nim Ewa Lipska i ksiądz Jan Twardowski. Ukazało się również kilka następnych. Nina jest również autorką wspomnianych powieści autobiograficznych. Obecnie pracuje nad kolejną, w której ma przedstawić kulisy swojego małżeństwa z premierem. Uznała, iż minęło już tyle lat, że może je opisać...

Józef Cyrankiewicz był najdłużej w dziejach Polski sprawującym urząd prezesem Rady Ministrów. Łącznie spędził na tym stanowisku dwadzieścia dwa lata, zaledwie o rok krócej trwało jego małżeństwo z Niną Andrycz. Ustąpił po krwawych wypadkach w grudniu 1970 r., został wówczas na dwa lata przewodniczącym Rady Państwa. Do końca dbał o opinię społeczeństwa o sobie:

„Dzwonił do mnie Cyrankiewicz, obecnie jeszcze przewodniczący Rady Państwa – zapisał w marcu 1972 r. Józef Tejchma – z informacją, że otrzymał od Jaroszewicza projekt dekretu o dodatkowym opodatkowaniu psów. Byłby to ostatni akt zamykający karierę Cyrankiewicza. Ale on nie na darmo pełnił dwadzieścia pięć lat najwyższe stanowiska. Odroczył sprawę i jako pierwsza znajdzie się na biurku nowego przewodniczącego Rady Państwa, czyli Prezydenta”.

Umarł w styczniu 1989 r., na kilka miesięcy przed upadkiem Polski Ludowej. Pani Nina Andrycz cieszy się dobrym zdrowiem, a w 1993 r. otrzymała nawet tytuł „Elegancja '93”. Żałuje właściwie tylko tego, że nigdy nie zagrała u Andrzeja Wajdy, dwa razy scenariusze filmowe odrzucono. Jednym z nich było *Przedwiośnie* na podstawie powieści Stefana Żeromskiego, gdzie miała zagrać rolę Laury. Poza tym czuje się spełniona, a portret Aleksandra Węgierki nadal wisi w jej mieszkaniu.



Rozdział X.

Stasia



Stanisława Gierka

„Wiliś Szewczyk zaklina się, że Gierkowa w październiku ubiegłego roku obroniła pracę magisterską. Napisała (to znaczy, ktoś za nią napisał) wspomnienia o swojej pracy politycznej w Belgii. Całość opatrzoneo tzw. aparatem naukowym i w ten sposób Uniwersytet Śląski nadał jej tytuł magistra. Moczar, którego podczas naszego niedawnego spotkania zapytałem, czy to prawda, potwierdził”. (Mieczysław Rakowski)

Zasady politycznego *savoir vivre*'u bloku wschodniego tworzyli Sowieci, a władcy p wasalnych kopiowali tamtejsze wzory. Towarzysz Wiesław mógł być sceptyczny wobec kremlofskich rozwiązań, ale jemu również nie przyszłoby do głowy zabrać żonę w oficjalną podróż zagraniczną. Specyficzny status Niny Andrycz niewiele zmienił w partyjnych rytuałach, jej mąż był tylko urzędującym premierem i nigdy nie stanął na czele PZPR.

Wyłomu w obyczajach partyjnych liderów dokonał dopiero Edward Gierek. Nowy władca PRL w odróżnieniu od poprzedników nie miał za sobą epizodu w Komunistycznej Partii Polski, w komunistycznym ruchu oporu czy marszu od Lenino do Berlina. Przez ponad dwadzieścia lat pracował w belgijskich i francuskich kopalniach, a na zachodzie Europy obowiązywały inne standardy uprawiania polityki. Zresztą pragnął być odbierany jako głowa państwa (planował przywrócenie instytucji prezydenta, którą chciał połączyć z przywództwem partii), co również miało wpływ na pozycję jego partnerki. I faktycznie, Stanisława Gierek jako pierwsza z żon partyjnych dygnitarzy wyszła z cienia męża.

Towarzysz Edward pochodził z zagłębiowskiej rodziny górniczej. W młodym wieku wyemigrował wraz z matką i ojczymem do Francji, gdzie pracował w kopalni. W 1934 r. za działalność komunistyczną wysiedlono go do Polski. W kraju odbył służbę wojskową, tutaj też poślubił Stanisławę Jędrusik. Wybranka była młodsza o pięć lat i podobnie jak on pochodziła z sosnowieckiej rodziny górniczej.

Gierkowie zawarli małżeństwo kościelne, co w ich przypadku nie było koniecznością. W pobliżu przebiegała dawna granica zaboru pruskiego, gdzie dopuszczano związki cywilne. Wpływ na decyzję miała zapewne matka pana młodego – jako gorliwa katoliczka nie wyobrażała sobie innego ślubu.

Towarzysz Edward miał problemy ze znalezieniem pracy, komunistyczna przeszłość była fatalną rekomendacją. Zdecydował się na ponowną emigrację i wraz z żoną wyjechał do Belgii. W Limburgii pracował pod ziemią jako specjalista od robót kamiennych i całkiem nieźle zarabiał. Część dochodów małżonkowie odsyłali do kraju, gdzie matka Gierka budowała dom. Starsza pani musiała mieć całkiem dobrą orientację biznesową, albowiem inwestycję ukończyła jeszcze przed wojną. Inna sprawa, że rodzina Gierków nigdy w tym domu nie zamieszkała.

Zgodnie z górniczą tradycją Stanisława nie pracowała zawodowo. Zajmowała się domem, na świat przyszło trzech synów, z których średni zmarł „w kołysce”. Najstarszy, Adam został ochrzczony, a sam przyszły I sekretarz również był widywany wraz z żoną w kościele.

„[...] muszę powiedzieć – przyznawał Gierek Januszowi Rolickiemu – że ksiądz tak chodził koło mojej rodziny, że w końcu przyzwoliłem, by babka zaniósła Adama do chrztu. Natomiast młodszego Jurka, który urodził się kilka lat później, już w czasie wojny, nie chrzciliśmy. Użyłem wybiegu, powiedziałem bowiem księdzu, że zaczekam z uroczystym obrzędem do końca wojny”.

Towarzysz Edward przykładał zawsze ogromną wagę do życia rodzinnego. Potrafił

zaryzykować karierę dla najbliższych, zresztą przez wiele lat nie był zainteresowany władzą. Był komunistą z przekonania, ale przede wszystkim czuł się ojcem i mężem.

„Dla górnika rodzina – wspominał – troska o jej byt, jest najważniejsza. [...] Dlatego, jak sądzę rodziny górnicze są bardzo trwałe, a małżeństwa najczęściej dożgonne”.

KSIĄŻĘ ŚLĄSKA

Gierkowie powrócili do kraju w 1948 r. Edward trafił do Warszawy, natomiast żona z dziećmi zamieszkała w domu teściowej w Zagórzcu. Przyszły polityk nie był zachwycony rozłąką, ale protesty nie wchodziły w grę. Partia komunistyczna przypominała przecież „zakon czy organizację kastową. Polecenia wyższego szczebla były rozkazem” i towarzysz posłusznie je wypełniał. Ostatecznie odesłano go na Śląsk, otrzymał również przydział na mieszkanie.

„[...] Dostałem klucze do dwupokojowego mieszkania w tak zwanym kołchozie partyjnym, czyli budynku zamieszkanym przez pracowników KW. I tak stabilizując się życiowo zostałem, jak się okazuje, na całe już życie związany na dobre i na złe z aparatem partyjnym. Ale stabilizacji zawodowo-rodzinnej nie dano mi zakosztować, bowiem jesienią 1949 r. skierowano mnie do szkoły partyjnej w Warszawie”.

Dla rządzących Polską Gierek stanowił pewną zagadkę. Przez ponad dwadzieścia lat przebywał na zachodzie Europy, co wzbudzało nieufność. Ale miał w sobie potencjał, którego innym członkom PZPR brakowało. W gronie działaczy o niemal identycznych biografiami stanowił odmianę, która mogła okazać się przydatna.

Kariera towarzysza Edwarda nabierała rozpędu. Wziął udział w stłumieniu strajków górniczych w 1951 r. (bez użycia siły) i w nagrodę został członkiem KW PZPR w Katowicach. Osobiście zwrócił na niego uwagę Bolesław Bierut i dookoptował go w szeregi Biura Politycznego. A w rok po objęciu władzy przez Gomułkę, Gierek był już na Śląsku osobą numer jeden.

Z perspektywy lat trudno sobie wyobrazić poziom rzeczywistej władzy I sekretarzy wojewódzkich. Nic w regionie nie mogło odbyć się bez ich wiedzy, samorząd całkowicie podporządkowano ich decyzjom. Ale akurat towarzysz Edward dobrze współpracował z wojewodą śląskim, Jerzym Ziętkiem.

„On był strasznym leniem – mówił Kazimierz Kutz – nic mu się nie chciało. Gierek był szczęśliwy, gdy Ziętek wszystko za niego robił i się raczej nie wtrącał. A Stary był szczęśliwy, bo mógł rządzić. Ale owoce zbierał Gierek, to o nim mówiono, że jest dobrym gospodarzem i organizatorem.

Inna sprawa, że tandem miał się czym pochwalić. Węgiel był dla polskiej gospodarki kluczowym surowcem, co wojewoda wykorzystywał w mistrzowski sposób. Za jego czasów na Śląsku pojawiały się nowoczesne drogi, w Katowicach wybudowano „Spodek”, a w Chorzowie słynny park kultury i wypoczynku. Mieszkańcy regionu nie mogli narzekać na zaopatrzenie, a rozsiane po kraju branżowe ośrodki wczasowe stanowiły

przedmiot podziwu i zazdrości. O Gierku mówiono „śląski książę” i na tle oszczędnego Gomułki wydawał się człowiekiem z innej planety. Popularność ta miała z czasem przynieść określone profity.

Stanisława nie miała ambicji politycznych i realizowała się w prowadzeniu domu. Ariadna Gierek (synowa sekretarza) zapamiętała, że podczas jej pierwszej wizyty w domu teściów żona sekretarza podała kawę i własnoręcznie upieczone ciasto.

Mieszkali wówczas w trzypokojowym mieszkaniu w centrum Katowic. Lokal urządzone zgodnie z ówczesną modą („wersalka, meblościanka, fotele”), wyróżniał się jedynie dużą kuchnią i łazienką. Stanisława osobiście zajmowała się sprawami domowymi, a tylko raz w tygodniu przychodziła pomoc do sprzątania.

„To była prosta, niewykształcona kobieta – opowiadał w jednym z wywiadów emerytowany dziennikarz, bywalec domu Gierków. – Miała w sobie wiele ciepła. Typowa Ślązaczka, dbająca o rodzinę, mąż musiał mieć na czas ugotowane i uprane”.

Towarzysz Edward lubił dobrze zjeść (jak każdy mężczyzna) i preferował domową kuchnię.

„Ojciec miał swoje ulubione potrawy – wspominał Adam Gierek – głównie zagłębiowskiego rodowodu. Były one proste: zalewajka, zacierka, kluski szare z serem, plindze – placki ziemniaczane, co Mama chętnie przygotowywała. Nie lubowała się w wymyślnych daniach, ale lubiła eksperymentować, na przykład wymyśliła pączki z dyni”.

Domowe specjały preferował również premier Piotr Jaroszewicz. W młodości pracował na Mazowszu i zawsze z nostalgią powracał do miejscowej kuchni. W niedzielę zawsze prosił o przygotowanie „kartoflanki zaprawionej obficie skwarkami z boczku, mazowieckiego żurku z grzankami, zupy z dyni albo owoców oraz mielonego kotleta”.

Ponad dwadzieścia lat spędzonych w kręgu kultury francuskiej pozostawiło jednak pewne ślady w kulinarnych upodobaniach I sekretarza. Polubił pewne francuskie i belgijskie przysmaki: „kozie sery i w ogóle sery fermentowane, ale często mówił o mulach oraz zupie rybnej w stylu francuskim”.

Chociaż Gierek zawsze liczył się ze zdaniem żony, to jednak raz w życiu nie powiedział jej prawdy. W grudniu 1970 r., po krwawych wypadkach na Wybrzeżu, bez uprzedzenia wyjechał do Warszawy na plenum KC PZPR. Gomułkę odsunięto od władzy, a towarzysz Edward powrócił do Katowic jako nowy władca PRL.

EPOKA PROPAGANDY SUKCESU

„Bierut nie był specjalnie inteligentny – twierdził Jerzy Putrament – ale miał mądrych doradców. Gomułka był mądry, ale miał kiepskich pomocników. Natomiast Gierek był ograniczony i miał głupich doradców”.

Ekipa przejmując władzę, zadbała o sprawy bytowe społeczeństwa. Cofnięto podwyżki cen żywności, zamrażając je na dwa lata, co przyniosło zdecydowaną poprawę

nastrojów. Sympatię wzbudzał również nowy I sekretarz – postawny mężczyzna w świetnie skrojonych garniturach i „pachnący pierwszorzędnymi kosmetykami”.

Uzyskano zgodę Kremla na zachodnie kredyty i do kraju popłynęły pieniądze z pożyczek. Znalazło to przełożenie na inwestycje. Licencja na Małego Fiata, Centralna Magistrala Kolejowa, Huta Katowice, trasa szybkiego ruchu z Warszawy do Katowic (tzw. gierkówka), rozwój budownictwa mieszkaniowego. A do tego Coca-Cola, papierosy Marlboro, magnetofony kasetowe. W pewexach można było nabyć zachodnie towary za bony walutowe, pojawiły się możliwości legalnych wyjazdów za żelazną kurtynę. Nastroje poprawiały sukcesy kadry piłkarskiej Kazimierza Górskiego, za którą w tyle nie pozostawiali siatkarze Huberta Wagnera.

Ekipa Gierka zadbała o symbole, rozpoczęto odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie, a I sekretarz na każdym kroku podkreślał, iż robi wszystko, aby „Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatniej”. Inna sprawa, że niektóre projekty sugerowały brak kontaktu z rzeczywistością. Należał do nich pomysł budowy sztucznej wyspy u wybrzeży Antarktydy, co miało wzmocnić pozycję naszego kraju w świecie...

„Życia towarzyskiego – wspominał polityk – mówiąc szczerze nie prowadziłem żadnego. To znaczy nie miałem stałego kółka brydżowego czy innego. Moje życie towarzyskie w każdym przypadku byłoby przedłużeniem polityki. Dlatego też zrezygnowałem z niego świadomie, na rzecz nieskrępowanego życia rodzinnego”.

Towarzysz Edward był zdeklarowanym domatorem. Zarzucano mu wręcz, że zaniedbuje sprawy państwowe, zawsze chcąc się jak najszybciej pozbyć obowiązków.

„Gierek miał opinię najbardziej leniwej osoby w państwie – twierdziła Karyna Andrzejewska – a jednocześnie narcyza politycznego. Ci, którzy go znali, opowiadali, że marzył tylko o jednym – żeby jak najszybciej wyjść z gmachu KC, pojechać do domu, zamienić buty na kapcie, zasiąść przed telewizorem i na wideo oglądać filmy”.

Miał również słabość, która fatalnie wpłynęła na jego losy. Lubił błyszczeć na ekranie, co z czasem doprowadzono do całkowitego absurdu. Niemal zawsze „Dziennik Telewizyjny” rozpoczynano od informacji, co w danym dniu robił I sekretarz. Z ekstazą powiadamiano społeczeństwo o kolejnych spotkaniach przywódcy narodu, jego wystąpieniach czy „gospodarskich wizytach”. Szczególnie te ostatnie sprawiały karykaturalne wrażenie, chociaż były starannie przygotowywane. Wyglądały na oderwane od rzeczywistości, a otoczenie, w którym gościł towarzysz Edward przypominało marną scenografię filmową. Sam sekretarz też czasami bywał zdziwiony, szczególnie gdy gospodarze przesadzili z przygotowaniem. Zdarzyło się bowiem kiedyś, że odwiedzając pewne państwowe gospodarstwo rolne, zainteresował się osobliwym wyglądem krów. Poprosił o wyjaśnienia i usłyszał, że dyrektor przed wizytą delegacji „kazał wymyć krowy szamponem”...

Ogromne kredyty znajdowały przełożenie na warunki życia elity władzy. Prominenci nowego reżimu brali odwet za ascezę z czasów Gomułki, a I sekretarz jak dobrotliwy patriarcha zezwalał na nieskrępowaną konsumpcję. Paweł Kostikow, zajmujący się

z ramienia Kremla sprawami polskimi, ze zdziwieniem notował:

„W polskim sukcesie początku lat 70. był, jak skaza genetyczna, załączek klęski. Polacy żyją nie po karmanu [ponad stan]. Rzuciło się w oczy, że na Zachód przyjeżdżali polscy ministrowie, a nawet urzędnicy nie najwyższej rangi i kupowali, kupowali, kupowali”.

Opinia sowieckiego aparaczyka zdecydowanie odbiega od informacji podawanych przez Ariadnę Gierek. Znakomita okulistka w niedawno wydanej książce opowiadała bowiem zadziwiająco rewelacje na temat swoich pobytów za żelazną kurtyną:

„Wiedeń to piękne miasto, moje ulubione. Byłam tam z teściami w latach 70., ale wszystko było dla mnie za drogie. Ciągłe przeliczałam szylingi na złotówki, nie miałam odwagi wchodzić do sklepów. W kieszeni drobna sumka, prezent od teściowej. Starczyłoby na kawę. Na szczęście oglądanie wystaw nic nie kosztowało. W torebce nosiłam bloczek i rysowałam, jak jest uszyta sukienka, garsonka czy garniturek, które mi się spodobały. W Polsce kupowałam materiał na metry i zносиłam z rysunkiem do zakładu Elegancja w Katowicach. Pracowali tam wyśmienici krawcy. [...] W Elegancji latami ubierałam się ja, moja siostra i teściowa”.

Na większą wiarę zasługują jednak słowa sowieckiego polityka, człowiek zajmujący się zawodowo polskimi sprawami musiał wiedzieć, o czym pisze. A relacje osób znających okulistkę w latach 70. jednoznacznie potwierdzają, że zawsze była znakomicie ubrana, pachnąca zachodnimi perfumami. I wcale nie nosiła swetrów, które „sama sobie robiła na drutach”.

„Spotkałem się [...] z Karskim, naszym ambasadorem w Wiedniu – zanotował Mieczysław Rakowski w styczniu 1977 r. – Opowiadał mi różne historyjki o naszych bonzach (na przykład, że co najmniej raz na kwartał przyjeżdża tu pani Stasia Gierkowa z całą niemal rodziną i dokonuje zakupów)”.

Oczywiście Stanisława nie latała co tydzień do paryskiego fryzjera, jak plotkowano w kraju, ale wizja podglądania zachodnich wzorów na wystawach nie wytrzymuje krytyki...

Ariadna wyszła za starszego syna państwa Gierków w 1962 r. Była rozwódką, ale małżonkowie szybko ją zaakceptowali. Gorzej przyjęli małżeństwo młodszego syna, Jerzego. Uchodzący za playboya młody człowiek poślubił swoją wybrankę po krótkiej znajomości, bez zgody rodziców. Na ich polecenie jednak się z nią rozwiódł, po czym wybrał rodzoną siostrę Ariadny. Dwaj synowie I sekretarza poślubili zatem rodzone siostry.

Z awansu towarzysza Edwarda nie mogła natomiast być specjalnie zadowolona matka nowego władcy PRL:

„Matka Gierka ma około osiemdziesięciu lat – pisał Józef Tejchma. – Żyje niedaleko Katowic w skromnym domu. Nigdzie nie chce się ruszyć. Jest przywiązana do górniczej ojczyzny. Ciężka starość matki zaczęła się od chwili, gdy syn został I sekretarzem. Ludzie nie dają jej spokoju. Przyjeżdżają z całego kraju z wszelkimi

prośbami. Atakują dom staruszki, wchodzą na siłę. Matka załamała się nerwowo, histeryzuje. Po co żeś tam poszedł, do Warszawy, mówi do Gierka. Gierek jest tym naprawdę zmartwiony, co odsłania jego sympatyczną cechę”.

BONA CUKROWA

Upojeni sukcesem małżonkowie powoli tracili kontakt z rzeczywistością. Zachowywali się wyjątkowo niezręcznie, z dnia na dzień I sekretarza zaczęto tytułować inżynierem. Jeszcze gorzej sprawa przedstawiała się ze Stanisławą, która nagle została magistrem historii.

„Wiluś Szewczyk zaklina się – zanotował Rakowski w kwietniu 1979 r. – że Stasia Gierkowa w październiku ubiegłego roku obroniła pracę magisterską. Napisała (to znaczy, ktoś za nią napisał) wspomnienia o swojej pracy politycznej w Belgii. Całość opatrzoneo tzw. aparatem naukowym i w ten sposób Uniwersytet Śląski nadał jej tytuł magistra. Moczar, którego podczas naszego niedawnego spotkania zapytałem, czy to prawda, potwierdził”.

Spółeczeństwo drażniły również kariery młodszego pokolenia. Wprawdzie Gierkowie nigdy nie pozwalali sobie na takie ekscesy jak Andrzej Jaroszewicz (syn premiera), to jednak synowie Stanisławy i Edwarda korzystali z protekcji ojca. Również błyskotliwa kariera Ariadny Gierek nie byłaby możliwa bez odpowiedniego poparcia. Młoda okulistka była niezwykle zdolna, ale to osoba teścia zapewniła jej karierę.

Stanisławie Gierek zarzucano, że nie potrafi zachować się publicznie i kompromituje Polskę. Faktycznie, zdarzały się jej poważne gafy, chociaż nie myła rąk w wazie z ponczem jak Gomułka. Niestety, jednak chyba nigdy nie zrozumiała, że dyplomacja spontanicznych zachowań nie toleruje. I kiedy podczas oficjalnej wizyty w RFN przed dostojnikami wystąpiło „Mazowsze”, to będący w składzie polskiej delegacji Rakowski zanotował z niesmakiem:

„W pewnej chwili Gierek zawołał »Zaśpiewajcie coś śląskiego!«. Oczywiście, że zaśpiewały »Szła dziewczeczka do laseczka«. Żona Gierka, pani Stanisława wzięła pod rękę żonę Schmidta [kanclerza Niemiec – S.K.], ta zaś Gierka, ten Schmidta i zaczęli się gibać. Cała ta scena trwała minutę lub dwie, ponieważ Schmidt jednym ruchem oswobodził się z tego łańcuszka. Gierek też widocznie uświadomił sobie, że jest to zbyt swobodne zachowanie i natychmiast zeszywniał”.

Żonie polityka zarzucano również, że wywiera wpływ na decyzje personalne męża. Na pewno wstawiała się za Janem Szydłakiem, podobno pod wpływem próśb jego małżonki. Zresztą w ogóle wobec dawnych podwładnych Edwarda ze Śląska okazywała dużo słabości. Mawiała, że ma czterech synów: „dwóch rodzonych oraz Tadeusza Pykę i Macieja Szczepańskiego”. A złośliwi dodawali, że zwłaszcza „krwawy Maciek”, wszechwładny szef Radiokomiteu, szczególnie jej się udał...

„Miała za duży wpływ na Edwarda – uważał Stanisław Trepczyński. – To mnie

trochę denerwowało. Gierek składał kiedyś wizytę we Włoszech, pani Stasia mu towarzyszyła. Wtedy właśnie dostrzegłem, że ona ma trochę nadmierne ambicje. Do wszystkiego się wtrącała”.

Niektórzy historycy tworzą obecnie legendę skromnej towarzyszki, zainteresowanej wyłącznie życiem rodzinnym. Zaprzeczają temu fakty: mogła nie lubić podwarszawskiej willi w Klarysewie, ale luksusem nie gardziła. Na pewno dobrze czuła się w Łańsku czy Arłamowie, a po przejęciu przez państwo ośrodka w Mucznej w Bieszczadach osobiście decydowała o zakresie remontu. Według relacji świadków „decydowała, jakie płytki położyć w łazienkach, na jakie kolory pomalować ściany, jak urządzić pokoje i upiększyć korytarze”. A Edward potulnie się z tym zgadzał, podobno zresztą bardziej od żony bał się tylko Leonida Breżniewa...

Krytyka małżonki I sekretarza nasilała się wraz z postępującym kryzysem gospodarczym. Po wprowadzeniu kartek na cukier (oficjalnie: bonów towarowych) złośliwie nazywano ją „Boną Cukrową”. A do pani Stanisławy wciąż nic nie docierało i zachowywała się tak, jakby żyła w innym świecie. Podczas obchodów pierwszomajowego święta w 1980 r. stała na trybunie obok męża i „szalenie rozbawiona rozrzucała wśród publiczności kwiaty”. Następnie cała ekipa partyjno-rządowa poleciała do Mucznej na uroczysty obiad, aby po trzech godzinach powrócić do Warszawy. A za niespełna dwa miesiące w kraju wybuchły strajki, które ekipę towarzysza Gierka miały zmieść z powierzchni.

INTERESY RODZINY

Jako lider PZPR Edward Gierek żył na wysokiej stopie. Korzystał z rezydencji rządowych, służbowych samochodów, garniturów, a nawet obuwia. Podobno Stanisława osobiście kupowała mężowi wyłącznie bieliznę, ale raczej nie płaciła za nią z własnych środków. Zresztą podział finansów domowych i publicznych w przypadku tak wysoko postawionego polityka był dosyć płynny. I nie tylko zresztą w jego przypadku.

Prominenci epoki propagandy sukcesu szczerze korzystali ze zdobyczy sławetnej operacji „Żelazo”. Przypomnijmy, chodziło o akcję okradania sklepów jubilerskich na zachodzie Europy przez polskich złodziei. Bracia Janoszowie pod patronatem polskiego wywiadu zajmowali się pospolitym rabunkiem, a zdobyte środki przemycali do kraju. Pobierali sowitą prowizję, a większość zdobyczy lądowała w sejfach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Łupem padło ponad sto pięćdziesiąt kilogramów złota, kamienie szlachetne oraz ogromna liczba wyrobów jubilerskich. Zrabowane kosztowności nie były praktycznie ewidencjonowane, w efekcie większość z nich „rozeszła się” wśród dygnitarzy.

Specjalna komisja badająca w 1984 r. aferę ustaliła, że najcenniejsze przedmioty (sztabki złota, złote monety, kamienie szlachetne i efektowne wyroby) pakowano w szare koperty i wysyłano bezpośrednio do gmachu KC PZPR. Podobno z tego źródła pochodziły „diety” dla dostojników przed wyjazdami na zachód Europy, a wśród osób odbierających

bezpośrednio łupy wymieniano Jana Szydłaka i Zdzisława Grudnia (następcę Gierka na stanowisku szefa partii w Katowicach). Niektóre z wyrobów przeznaczano na okolicznościowe prezenty, złoty zegarek miała otrzymać na urodziny żona Mieczysława Moczara. A co najważniejsze, podobno regularnym odbiorcą kwot finansowych, pochodzących ze sprzedaży zrabowanych przedmiotów, miała być towarzyska Stanisława. Czyżby w ten sposób finansowała swoje wiedeńskie zakupy?

Afera „Żelazo” to jednak zaledwie wycinek ciemnych interesów finansowych Edwarda i jego małżonki. Gierkowie doskonale zdawali sobie sprawę z faktu, iż stanowiska partyjne nie są w Polsce dożywotnie. Względnie wcześniej postanowili zadbać o przyszłość, a jak wiadomo, podstawą bytu są nieruchomości. Wybudowany przez matkę sekretarza dom w Zagórzcu został rozebrany przy okazji powiększania terenu kopalni, ale polityk początkowo nie upominał się o odszkodowanie. Potrafił czekać, a wspólnie z wojewodą śląskim opracowali plan ukrycia nadużyć finansowych. Rekompensatę ostatecznie wypłacono i posłużyła ona do legalizacji budowy domu w Ustroniu. Inwestycję rozpoczęto w 1967 r., willę zarejestrowano na towarzysza Edwarda i jego synów, a całości spraw doglądał Adam Gierek.

Metod opłacania budowy do dzisiaj nie wyjaśniono. Stanisława przesłuchiwana przez prokuraturę w 1982 r. odmówiła składania zeznań, natomiast Jerzy Ziętek zasłaniał się niepamięcią. Wiadomo jednak, że faktyczne koszty budowy znacznie przekroczyły wartość faktur (małżonkowie przezornie je zachowali), ale zostały ukryte w państwowych inwestycjach. Wydatki księgowano na rachunek Komitetu Budowy Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie, a państwowe firmy budowlane wykonywały usługi bezpłatnie. Zresztą budowa domu dygnitarza partyjnego była zawsze w czasach PRL sygnałem do składania dobrowolnych „darów”. Ofiarowywali je dyrektorzy państwowych przedsiębiorstw, a Stanisława podobno przekazywała je dyskretnie Ziętkowi. Ale świadków nie było...

Dom w Ustroniu był pierwszą z prywatnych inwestycji Gierków, następnie przyszła pora na willę w Katowicach-Brynowie. Początkowo planowano wybudowanie kilku domów dla miejscowych prominentów, ostatecznie powstała willa bliźniak przy ulicy Różyckiego 14.

Tym razem projekt nadzorował młodszy syn Gierków, Jerzy. Niezwykle kosztowną inwestycję sfinansowała Okręgowa Dyrekcja Rozbudowy Miasta w Katowicach, Urząd Rady Ministrów i Śląskie Zjednoczenie Budownictwa Miejskiego. Po zakończeniu konstrukcji willę przekazano Miejskiemu Zarządowi Budynków Mieszkalnych nr 2 w Katowicach, który oddał ją w użytkowanie rodzinie I sekretarza. Niebawem sformalizowano stan posiadania, w maju 1976 r. towarzysz Edward oficjalnie odkupił budynek od Skarbu Państwa. W akcie notarialnym pojawiła się adnotacja, iż należność za budynek została „wpłacona w gotówce do kasy Urzędu Rady Ministrów”. Dokument nie wymieniał kwoty transakcji.

Na tym sprawa jednak się nie skończyła. Z powodu rzekomych szkód górniczych

niebawem przeprowadzono generalny remont, co w praktyce oznaczało „dokonanie zmian architektonicznych oraz wydatne podniesienie standardu obiektu”. Prace realizowało Przedsiębiorstwo Budowlane Przemysłu Węglowego, a nadzorowali je Jerzy Gierek i szef ochrony osobistej sekretarza, Jerzy Karwacki. Kosztowną przebudowę (marmurowe parapety, złotych klamek jednak nie było) sfinansowało Miejskie Przedsiębiorstwo Gospodarki Mieszkaniowej, a rachunki włączono w koszty budowanej fabryki domów. Ale Stanisława i Edward czuli się wreszcie usatysfakcjonowani, a szczególnie cieszyła ich luksusowa szklarnia-warzywnik (koszt: półtora miliona złotych!). Ich zainteresowanie ogrodnictwem przynosiło zresztą niespodziewane efekty...

„Gierek wczoraj przy obiedzie – zanotował Tejchma w sierpniu 1978 r. – mówił cały czas o dyniach, które mu wyrosły w przydomowym ogródku i mogą otwierać dobrą perspektywę (jako dynie) żywieniowo-paszową. Co za dynie do cholery! Będę musiał się z tym zapoznać, bo sprawa wróci do »obiadowej« rozmowy”.

Małżonkowie zadbali również o potrzeby starszego syna. Zamieszkał w bliźniaku przy ulicy Drozdów jako sąsiad Zdzisława Grudnia. Adam Gierek po latach całą sprawę bagatelizował, uważając, że nie było w tym żadnych nadużyć:

„Ponieważ to dom kwaterunkowy, nie informowano mnie ani co do sposobu realizacji jego budowy, ani sposobu finansowania. Zmuszony jestem zaprzeczyć, że mamy w domu czy saunę czy jakieś inne specjalne urządzenia. Nie mamy różowych marmurów spawanych srebrem. Płacimy czynsz zgodnie z przepisami. Nikt nie kupował nam mebli ani firan, mieszkanie urządziliśmy sami. Nawet na malowanie ścian mamy rachunki”.

Fińskiej łaźni faktycznie nie było, ale Adam Gierek dostał meble o wartości trzystu sześćdziesięciu tysięcy złotych. A na jego polecenie w piwnicy wybudowano bunkier czy też schron...

ZMIERZCH BOGÓW

„O rany boskie!” – zakrzyknął towarzysz Edward do żony po wyborze Karola Wojtyły na papieża. – To wielkie wydarzenie dla narodu polskiego i duże komplikacje dla nas”.

Faktycznie, chociaż ekipa Gierka unormowała stosunki z episkopatem, to jednak wybór Polaka na głowę Kościoła oznaczał poważne problemy. Kryzys gospodarczy zataczał coraz szersze kręgi i stałym obrazem polskich ulic stały się tasiemcowe kolejki. Ludzie czekali na jakiegokolwiek dostawy, pojawiły się sklepy komercyjne (żywność dwa razy droższa niż normalnie), a potem superkomercyjne. Początkowo w społeczeństwie panowało poczucie beznadziei, ale z czasem musiało dojść do buntu. A Kościół katolicki zawsze cieszył się w Polsce ogromnym autorytetem i wybór Wojtyły zapewne przyspieszył zmiany.

„Próbie ustalenia nastrojów kolejkowych spotkałem rok temu we Wrocławiu – notował Tejchma kilkanaście dni po wyborze papieża – gdzie władze zainstalowały przed

sklepem mięsnym specjalne nasłuchy, aby wiedzieć, co się mówi. Ludzie nie narzekali, tylko jęczeli zrezygnowani. W Warszawie Bębenek nie stał długo w kolejce, posłuchał i uciekł: tych ludzi za Stalina posadzonoby na kilka lat do więzienia za to, co mówili w kolejce przeciwko rządowi. [...] Niedawno był w Łodzi Janczak i dokonał podziału kolejek na dwie grupy: mięsne są stosunkowo łagodne i wyrozumiałe, maślane są gwałtowne i wybuchowe. Nie dotykam tu kolejek po damskie obuwie z importu i odrzuty eksportowe”.

Sytuacja pogarszała się z każdym tygodniem, a wizyta w kraju Jana Pawła II wcale nie spacyfikowała nastrojów. Setki tysięcy ludzi uczestniczących w papieskich mszach pilnie przysłuchiwały się każdej aluzji w słowach Ojca Świętego. Do kuriozalnej sytuacji doszło w stolicy, gdzie po słowach papieża o pomocy, która nie przyszła ze wschodu dla powstania warszawskiego, Stanisław Kania polecił wyłączyć nagłośnienie. Realizujący transmisję Maciej Szczepański odmówił, a Gierek jego decyzję zaakceptował. I sekretarz chciał za wszelką cenę uniknąć eskalacji społecznych nastrojów.

Ostateczny cios ekipie towarzysza Edwarda zadała wyjątkowo surowa zima 1979/1980 r. Katastrofalne opady śniegu i siarczysty mróz ujawniły całą słabość polskiej gospodarki. Sekretarz i jego współpracownicy „znaleźli się w potrzasku. Z radzieckiego garnituru wyrastali, na nowy nie było ich stać”.

Nie pomogła dymisja premiera Jaroszewicza, w lipcu 1980 r. rozpoczęły się strajki, a w połowie sierpnia stanęło Wybrzeże. Na początku września Gierek utracił władzę.

Był poważnie chory na serce i nie była to zwyczajowa „ucieczka w chorobę”. Po dwóch miesiącach opuścił lecznicę rządową i przewieziono go wraz ze Stanisławą do pałacyku w Spale. Następnie Gierkowie powrócili do Katowic, do swojej willi w Brynowie.

Nowe władze nie zamierzały jednak zostawić rodziny w spokoju. W czerwcu 1981 r. Najwyższa Izba Kontroli zawiadomiła prokuraturę o „poważnych nieprawidłowościach i nadużyciach” przy budowie willi Gierków w Katowicach i Ustroniu. Pojawiła się tzw. komisja Grabskiego badająca sprawę, a na IX Zjeździe PZPR Edwarda usunięto z partii. Po wprowadzeniu stanu wojennego byłego I sekretarza internowano.

Nie był tym specjalnie zaskoczony, dobrze znał metody pracy aparatu partyjnego:

„W mroźną zimową noc z 12 na 13 grudnia wkroczyli do mego domu milicjanci wraz z oficerem. Obudzili mnie waląc pięściami w drzwi. Żona, gdy się zorientowała, że chcą mnie zabrać, zadbała o ciepłą bieliznę i ciepłe ubranie dla mnie. Trwało to jednak niezbyt długo, gdyż cały czas byłem poganiany. Ledwo tylko ubrałem się, zapakowano mnie do samochodu i przewieziono do komendy miasta. [...] Po kilku minutach zaczęli przyjeżdżać inni towarzysze, przestępcy niebezpieczni dla państwa, wśród nich Janek Szydłak”.

Internowanych zostało kilkudziesięciu byłych prominentów – generał Wojciech Jaruzelski usiłował wykazać swoją bezstronność. Wprawdzie między bajki należy włożyć relacje, iż dawnych dygnitarzy traktowano gorzej niż członków „Solidarności”, ale podczas

przymusowego wyjazdu umarł na zawał serca Zdzisław Grudzień. Śmierć jego była konsekwencją nieudzielenia mu pomocy lekarskiej.

Kiedy były I sekretarz przebywał w obozie dla internowanych, Sąd Wojewódzki w Katowicach spełnił żądanie prokuratora i bez nagłaśniania sprawy odebrał Gierkom willę przy Różyckiego 14. Unieważniono akt notarialny, ale małżeństwo pozostało lokatorami. Znalazłem jednak informację, iż dwanaście lat później (już za III RP) Edward wykupił dom od gminy, aby natychmiast sprzedać go z dużym zyskiem. Profesor Adam Gierek stwierdził natomiast, że rodzice zrzekli się willi nieodpłatnie i przeprowadzili się do Ustronia.

„Ojciec po 1980 r. – mówił starszy syn byłego lidera PZPR – został na wniosek tych, którzy przejęli władzę (Kania i Jaruzelski) pozbawiony należnej mu polskiej emerytury. Do końca życia ojciec, a potem mama, jako wdowa, korzystali z renty francuskiej, ale głównie z belgijskiej. Ojciec pracując tam bowiem jako emigrant był przecież ubezpieczony i należało mu się to z tego tytułu”.

Po zmianie ustroju w domu Gierków nie przelewało się. Zachodnia emerytura nie miała już tej samej wartości co za czasów Polski Ludowej, a nawet wielki sukces *Przerwanej dekady* – wywiadu rzeki przeprowadzonego przez Janusza Rolickiego – nie przyniósł poważnych zysków. Chociaż sprzedano około miliona (!) egzemplarzy, honorarium podobno wystarczyło tylko na zakup Małego Fiata. Jeżeli było tak naprawdę, to towarzysz Edward nie miał głowy do interesów.

Inna sprawa, że faktycznie jeździł „maluchem”, a jego żona prowadziła dom. Gotowała, sprzątała, stała w kolejkach po zakupy. Gierkowie nie różnili się specjalnie od innych emerytów. Przenieśli się do Ustronia, dom był jednak w nowych czasach mało ekonomiczny, a jego utrzymanie bardzo kosztowne. Zresztą złodzieje dla byłego I sekretarza nie mieli szacunku i ukradli nawet stalową bramę...

Edward Gierek zmarł pod koniec czerwca 2001 r. Uroczystość pogrzebowa w Sosnowcu (o świeckim charakterze) zgromadziła ponad dwanaście tysięcy ludzi. Stanisława podążyła za mężem sześć lat później. Spoczęła u boku człowieka, z którym przeżyła sześćdziesiąt cztery lata.

Obaj synowie Stanisławy i Edwarda rozwiedli się. Ariadna Gierek była kilka lat temu bohaterką głośnej afery, kiedy to udowodniono jej spożywanie alkoholu podczas pracy. Do dzisiaj mieszka w willi przy ulicy Drozdów, jej były mąż jest działaczem lewicy i posłem do Parlamentu Europejskiego. A karierę polityczną zawdzięcza magii nazwiska rodziców.



Rozdział XI.

Problemy uczuciowe Mieczysława F. Rakowskiego



Elżbieta Kępińska

„Była taka Elżbieta K. Od chwili gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją na scenie w teatrze na Jaracza, chodzę na każdą sztukę, w której gra. [...] Na bal przyprowadził ją Jurek Markuszewski. Elżbieta znakomicie tańczy, czego o sobie nie mogę powiedzieć. Zresztą nie jej taneczne umiejętności wzbudzają we mnie uczucia, które już nie mieszczą się w granicach dobrej znajomości. Działa na mnie jak magnes. Lubię słuchać jej głosu. Co tu ukrywać, bardzo mi się podoba. Oczywiście, ona o tym nie wie. Ale może kiedyś się dowie”. (Mieczysław Rakowski)

MFR

Mieczysław Rakowski zapisał się w dziejach Polski jako człowiek, który zakończył historię

komunizmu nad Wisłą. To właśnie on w styczniu 1990 r. (na ostatnim zjeździe partii) **M**wypowiedział słynne słowa: „Sztandar PZPR wyprowadzić”. A chociaż osobiście do tego polityka miałem zawsze wyjątkowo umiarkowany stosunek, to w tamtych dniach jego postawa wydawała mi się wyjątkowo godna. PZPR dożywała swoich dni, w kraju rządził gabinet Tadeusza Mazowieckiego, Leszek Balcerowicz wprowadzał swoje reformy, a niedawni komuniści opluwali własną przeszłość. Rakowski zachowywał spokój, prosząc młodszych kolegów partyjnych, aby „nie znęcać się nad PZPR, bo jest to znęcanie się także często nad własnym życiem”. Dobrze wiedział, że czołowe role w nowo powstałej Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polskiej zajmą młodzi politycy: Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller, Józef Oleksy. Natomiast dla niego pozostanie wyłącznie miejsce honorowego emeryta.

Rozwiązanie PZPR miało dla niego podwójnie gorzki smak. Kończyła się pewna epoka, w przeszłość odchodziła formacja, której poświęcił własne życie. Z partią był związany od jej początku i przez lata powoli wspinał się po szczeblach kariery. Na jej czele stanął w lipcu 1989 r., historia nabrała jednak przyspieszenia i dzieje PZPR miały jeszcze potrwać zaledwie pół roku. Ostatecznie towarzysz Mieczysław okazał się również najkrócej sprawującym funkcję I sekretarzem, nawet Stanisław Kania i Edward Ochab pozostawali na stanowisku dłużej niż on.

Mieczysław Franciszek Rakowski urodził się 1 grudnia 1926 r. we wsi Kowalewko w Bydgoskiem. Pochodził z zamożnej chłopskiej rodziny, jednak edukację zakończył na czterech klasach szkoły podstawowej. Wybuch wojny przyniósł tragedię: ojciec Mieczysława został rozstrzelany przez Niemców, a rodzina wysiedlona. Przyszły działacz przeniósł się do Poznania, pracował jako tokarz w zakładach naprawczych taboru kolejowego, a pod koniec wojny zgłosił się do polskiej armii. W Sowietach widział zresztą wyzwolicieli, co na zawsze określiło jego postawę wobec wschodniego sąsiada. Nigdy nie potrafił zrozumieć dramatu polskich Kresów, dla niego komuniści pozostali wybawcami, dzięki którym mógł pomścić śmierć ojca.

W Ludowym Wojsku Polskim trafił do szkoły politycznej, realizując aktualne hasło („Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z Ciebie oficera”). Rok po wojnie wstąpił do PPR, a następnie trafił do Wydziału Prasy i Propagandy KC PZPR. Opinie przełożonych jednoznacznie akcentowały jego „partyjną bezkompromisowość” i „słuszne klasowe podejście”. Doceniano również „sprężystość, jeśli chodzi o wykonywanie poleceń”, co szczególnie warto podkreślić. Były to przecież najczarniejsze lata polskiego stalinizmu...

Rakowski nie ograniczał się wyłącznie do pracy partyjnej. Energicznie uzupełniał wykształcenie na słynnej „czerwonej Sorbonie” (Instytut Kształcenia Kadr Naukowych, późniejsza Wyższa Szkoła Nauk Społecznych przy KC PZPR). Ukończył tam studia historyczne, a następnie zrobił doktorat.

„Mietek był bardzo dumny ze swojego wykształcenia – uważała Karyna Andrzejewska – z tego, do czego doszedł. Jako chłopski syn. Miał poczucie wyższości na zasadzie: skoro się wyszkoliłem, to patrzę na ludzi z góry”.

Czasami w brutalny sposób dawał to odczuć swoim rozmówcom. Przekonał się o tym osobiście Lech Wałęsa podczas słynnego spotkania w Stoczni Gdańskiej (sierpień 1983 r.). Rakowski złośliwie zaproponował wówczas przywódcy „Solidarności” rozmowę jak „pomiędzy nami, dwoma doktorami” (Wałęsa miał już wtedy kilka doktoratów honoris causa zachodnich uczelni).

Najważniejszym wydarzeniem w karierze młodego aparatczyka było objęcie funkcji redaktora naczelnego tygodnika „Polityka”. Na fali odwilży w 1956 r. mianowano go komisarzem partyjnym przy poprzedniku (Stefanie Żółkiewskim), a następnie osobiście objął stanowisko. Pozostał na nim przez ćwierć wieku, a dla „Polityki” nadeszła era „MFR”. Tak bowiem jej szef uwielbiał się podpisywać, czytelnie nawiązując do zachodnich wzorców.

WANDA WIŁKOMIRSKA

„[...] Rakowski w istocie rzeczy – uważał Radosław Piszczek – był opanowany obsesją dorwania się do władzy, był typowym produktem tamtych czasów i układów, nierzetelnym demagogiem, chamskim w obcowaniu z otoczeniem. Dziwię się, jak to się stało, że Wiłkomirska, bądź co bądź, osoba z inteligenckiej rodziny, wyszła za mąż za takiego faceta, chłopa, parobczaka, tyle, że po szkołach? Pierwsze pokolenie w butach”.

Faktycznie, na pierwszy rzut oka trudno wyobrazić sobie bardziej niedobraną parę. Działacz komunistyczny o plebejskim pochodzeniu i skrzypaczka z inteligenckiej rodziny. Nawet sposób ich poznania się odbiegał od przyjętych form towarzyskich, a Mieczysław zaprezentował się z jak najgorszej strony.

„Mietek był w Berlinie – relacjonowała Andrzejewska – i idąc z kimś ulicą, zwrócił uwagę na znajdującą się przed nimi zgrabną kobietę. Rakowski miał wówczas odezwać się do swojego towarzysza »Patrz, jaka dupa«. Na co Wiłkomirska odwróciła się i ku zaskoczeniu panów powiedziała po polsku: »Ta dupa rozumie po polsku« czy coś w tym rodzaju. I w ten sposób zaczęła się ich znajomość”.

Relację potwierdził osobiście Rakowski, dodając jedynie, że scena miała miejsce na korytarzu berlińskiego hotelu Newa. Przypadkowo zawarta znajomość zyskała niebawem kontynuację: następnego dnia MFR zaproszono na oficjalną akademię. Po przerwie zaplanowano część artystyczną, grał Henryk Sztompka, śpiewała Ewa Bandrowska-Turska. Następnie zapowiedziano Wandę Wiłkomirską

„Nazwisko znał z gazet – opowiadała po latach Wiłkomirska – był pewien, że to kolejna przedstawicielka zasłużonej generacji artystów. Gdy wyszłam na scenę – oniemiał. Po koncercie poszedł do bufetu strzelić sobie dla kurażu wódkę i wkrótce spotkaliśmy się przy stole z sałatkami. Był tak okropnie zmieszany, że wyciągnęłam rękę, mówiąc: »To już się poznamy«”.

Skrzypaczka wcale nie czuła się urażona. Chamskie zachowanie Rakowskiego sprawiło jej przyjemność, po raz pierwszy ktoś dostrzegł w niej wyłącznie kobietę, a nie

artystkę. Poczła się dowartościowana, a młody działacz wzbudził w niej zainteresowanie.

„Wiedziałam, że dobrze gram – wspominała – miałam poczucie własnej wartości, uważałam jednak, że jestem nieładna. Miałam wielu wielbicieli, ale wszyscy byli melomanami. Zaczynało się od »ach, jak pięknie grasz!«, a dopiero potem »kocham cię« i stąd brały się moje wątpliwości”.

Tym razem Mieczysław stanął na wysokości zadania. Następnego dnia Wanda znalazła pod drzwiami pokoju hotelowego „bukiet kwiatów i kartkę z adresem i numerem telefonu”.

Wiłkomirska była od niego młodsza o trzy lata. Pochodziła z artystycznej rodziny, ojciec był zasłużonym pedagogiem muzycznym, a starsze rodzeństwo grywało jako trio kameralistów. Wanda na piąte urodziny dostała skrzypce i ten instrument miał się okazać jej przeznaczeniem.

Rodzina Wiłkomirskich nie dyskutowała z wyborem Wandy. Osoba MFR wzbudziła w nich zaskoczenie, ale zaakceptowali początkującego aparatczyka. Nie protestowali również z powodu braku ślubu kościelnego – Rakowski jako działacz PZPR nie mógł nawet myśleć o uroczystości religijnej.

Oburzenia nie ukrywała natomiast matka Mieczysława. Dla niej brak sakramentu oznaczał konkubinat i związek syna uznała dopiero kilka lat później. Wanda zrobiła wiele, aby przychylnie usposobić teściową, a decydującą rolę odegrał ksiądz z Kowalewka. Był wielbicielem talentu Wiłkomirskiej i dzięki niemu teściowa zrozumiała wreszcie, jaką pozycję zajmuje synowa. Reszty dopełniło pojawienie się na świecie pierwszego wnuka.

„Bardzo szybko zamieszkaliśmy pod jednym dachem – wspominała Wanda – Mietek pochodził ze wsi, o muzyce poważnej nie wiedział nic, nigdy nie był w filharmonii. Natomiast ja zupełnie nie orientowałam się w polityce. Podczas pierwszej wizyty u niego zauważyłam nad biurkiem portret Stalina. W mojej rodzinie był to bohater negatywny, ale skoro dla Mietka był idolem – uznałam, że to mój mężczyzna ma rację. Wstąpiłam do partii, nigdy się tego nie wypieram. Ale tak samo jak otwarcie wymachiwałam czerwoną chorągiewką, z taką samą otwartością przeszłam po latach do opozycji”.

Kariery obojga nabierały rozpędu. Wanda zdobyła światowe uznanie, natomiast Mieczysław zapisywał się w dziejach polskiego dziennikarstwa. Okazał się znakomitym redaktorem naczelnym, starannie dobrał zespół i specjalnie w jego pracę nie ingerował. Wprawdzie osobiście pisywał teksty gorszej jakości, ale nie wpływało to na jakość tygodnika.

„Polityka” popierała linię PZPR, ale z odcieniem polemiki. Bywały również sytuacje, kiedy pismo przechodziło do niemal jawnej opozycji, co redakcji groziło nieobliczalnymi konsekwencjami. Ale Rakowski i jego podwładni potrafili zachować się z godnością nawet w najtrudniejszych chwilach PRL – nie przyłączyli się do antysemickiej kampanii w 1968 r.

MFR przez długie lata łączył dwie postawy: wiernego aparatczyka wobec partii i dziennikarza dla zespołu redakcyjnego. Stefan Kisielewski uważał go wprawdzie za

„franta” i „miglanca”, ale przyznawał, że był „ostatnim komunistą nietypowym”. Czasami zresztą zarzuty wobec Mieczysława były zwyczajnymi pomówieniami, jak w przypadku genezy imienia jego pierworodnego syna... Opowiadano, że nadał imię chłopcu na cześć Lenina, podczas gdy Wiłkomirska wyjaśniała, że chodziło o Włodzimierza Horowitza.

„Kiedyś »Polityka« urzędowała sylwestra w jakiejś leśniczówce w środku lasu – wspominał Jerzy Urban. – Zimno było tam niesłychanie, spaliśmy pokotem na słomie. Rakowski zajechał przed samą północą, widocznie wcześniej musiał się bawić na jakimś ważniejszym przyjęciu w Warszawie. Ogromną wesołość zespołu redakcyjnego wzbudził jego strój – ubrany był w smoking i koszulę z żabotami, plisami i koronkami, co w leśniczówce wyglądało śmiesznie. Wygłosił wtedy jedno z jego typowych, sentymentalnych przemówień”.

Małżeństwo z Wiłkomirską oznaczało dla MFR niezwykle awans towarzyski. Skrzypaczka nadała mu szlif kulturalny, ogładę towarzyską, dzięki niej poznał sfery artystyczne stolicy.

„[...] w świątku warszawskim pojawił się jako mąż Wandy Wiłkomirskiej – przyznawał Urban. – Był to okres, kiedy [...] była jedną z naszych czołowych artystek, a Rakowski – skromnym działaczem niewysokiego szczebla. Jako mąż swojej żony został, wprowadzony do środowiska artystycznego, intelektualnego, a także uzyskał dobra pozycję materialną, która już wówczas go wyróżniała i wzbudzała niechęć”.

Pod wpływem żony nauczył się nawet śmiać. Dotychczas bowiem uważano go za „postać cokolwiek drętwą, nieoszlifowaną, pozbawioną znajomości szerszego świata i poczucia humoru”. Przemiany ilustrują jego *Dzienniki polityczne*, na kartach których można prześledzić metamorfozę sztywnego aparaczyka w publicystę o szerokich poglądach i wielkich ambicjach.

Wanda zadbała również o wygląd partnera. Leopold Tyrmand zapamiętał młodego działacza, noszącego na głowie „szopę, ogromny blond kędzierzawy tłumok”, podkreślający „znamiona rozwoju intelektualnego na twarzy”. Rakowski wówczas „ubierał się schludnie i bez krawata, w bezkształtne wiatrówki i płaszcze watowane w ramionach, za to do samych kostek”. Niebawem skrócił fryzurę i zaczął pojawiać się „przy krawacie”. Ostatnia przemiana MFR oznaczała zachodnie ubrania („beże, zamsze, skóry, oliwki, buty koloru butelki”), wraz z nowym uczesaniem. Towarzysz Mieczysław zdecydował się ostatecznie na włosy „krótkie, płaskie, proste, zczesane do przodu, lecz nie na Tytusa, ale krojem francuskim”.

Wiłkomirska oddawała mężowi ogromne usługi, ale tryb jej życia wykluczał udany związek. Większość czasu spędzała w podróży, dawała ponad sto koncertów rocznie i w domu bywała gościem. Nie przeszkadzał jej nawet fakt, iż na świat przyszło dwóch synów, których wychowaniem zajmował się mąż, gosposia i rodzina.

„Wanda robi światową karierę – zanotował MFR w *Dzienniku* w styczniu 1963 r. – ale zbyt często nie ma jej w domu, co wcale nie wpływa dobrze na nasze małżeństwo. Nie można mieć wszystkiego. Chłopcy już się do jej stałych wyjazdów przyzwyczaili, ale

tęsknią za matką. Przedszkolanka opowiedziała nam o rozmowie z Antkiem. – Prezentów to ja mam dość, tylko mamusi za mało. – To twoja mamusia tak często wyjeżdża? – O, tak. Ja to się nawet urodziłem w żłobku, bo moja mamusia była wtedy w Lipsku”.

Po latach Wanda przyznawała, że kariera fatalnie wpłynęła na życie rodzinne. Nie miała osobistego wpływu na wychowanie dzieci, a ciągła nieobecność odbiła się również na życiu małżeńskim.

„Na pewno nie byłem dobrą żoną – przyznawała. – Stale wyjeżdżałam, dawałam do stu pięćdziesięciu koncertów rocznie i były jeszcze dzieci. W ostatni wieczór przed kolejnym wyjazdem chłopcy wprost konkurowali z ojcem: »Ty nas, mamó, połóżysz spać, dobrze? Ty nam poczytasz książeczkę«. Marzyłam o tym, by uspić synów i godzinę pograć – zawsze miałam w tym zaległości. Przed koncertami ćwiczyłam w hotelach, a nawet w pociągach. A Miecio na ten ostatni wieczór mógł kupić bilety do kina lub teatru. Wiedziałam, że jeśli nie pójdę z mężem – znajdzie sobie inne towarzystwo, jeśli zaś pójdę – będą mnie prześladować smutne, zawiedzione oczy dzieci”.

PRANIE

Znajomości w kręgach artystycznych stolicy oznaczały również bliskie kontakty ze środowiskiem Studenckiego Teatru Satyryków (STS). To była artystyczna i towarzyska ekstraklasa stolicy tego okresu, przez scenę przewinęli się twórcy takiej miary, jak: Agnieszka Osiecka, Olga Lipińska, Andrzej Jarecki, Stanisław Tym, Andrzej Drawicz, Jan Tadeusz Stanisławski, Jarosław Abramow-Newerly i wielu innych.

Rakowskiego scena STS pociągała, nie bez znaczenia było również zaangażowanie polityczne środowiska. MFR lubił „trzymać rękę na pulsie” i znać najnowsze trendy w kręgach artystycznych. A kontakty towarzyskie ze studencką sceną znalazły również odbicie w stylu życia małżonków.

„[...] środowisko STS osiadło we wsi Zgon na Mazurach – wspominał Jerzy Urban. – Oni wszyscy najpierw wyjeżdżali tam na lato, potem zaczęli się budować. Rakowski w latach 60. zbudował sobie domek w odległości dwóch kilometrów od Zgonu [właściwie: miejscowość Krzyże – S.K.], nieopodal leśniczówki Pranie. Żyli tam latem jedną bandą. Rakowski, gdy był naczelnym „Polityki”, spędzał w swoim domku nawet trzy miesiące w roku, co zespół doprowadzało do pasji. Całymi dniami oni tam wspólnie żyli, pili, itd.”.

Początkowo małżonkowie postawili piętrowy domek bez kanalizacji. Następnie dobudowano „z desek aneks jadalny z łazienką i klozetem, bo wcześniej chodziło się do sławojki, a myło – w jeziorze”.

Najbliższym sąsiadem Rakowskich była Kira Gałczyńska; leśniczówka Pranie wznosiła się sto metrów od ich domu. Córka poety miała jednak specyficzne poczucie humoru i potrafiła czasami zaskoczyć nawet satyryków z STS.

„[...] Gałczyńska po sąsiedzku pilnuje daczy, gdy Rakowskich nie ma – opowiadała

Andrzejewska. – Właściwie domu – jak pamiętam – pilnowały dwa psy Kiry. Jeden wyżeł, nazywał się Blin, a drugi, jazgotliwy terier, został przez Kirę nazwany Urbanem. Można więc powiedzieć, że Urban strzegł daczy Rakowskiego”.

Podobno na domiar złego terier miał wyjątkowo podły charakter...

MFR przywiązywał ogromną wagę do swojego mazurskiego azylu. A skoro spędzał tam wiele czasu, musiał mieć właściwe warunki do pracy i wypoczynku.

„W dużym pokoju na parterze – opisywała Andrzejewska – jest kominek w formie tak zwanej wiejskiej baby. Obok zwykła wiejska kuchnia. Pokój ten pełni funkcje sypialni i pracowni. Stoi tam tapczan, biurko, fotele. Stamtąd wychodzi się na werandę, teraz zadaszoną, z balustradką”.

Rakowscy posiadali w Praniu dwie łodzie: motorówkę i żaglówkę typu Omega. Co prawda w tych okolicach na jeziorze Nidzkim obowiązywała strefa ciszy, ale polityk znalazł sposób na omińnięcie przepisów. Zapisał się do ORMÓ, co umożliwiała mu pływanie z silnikiem. Nikt nigdy wprawdzie nie widział, żeby brał udział w milicyjnej operacji na wodzie, ale z zezwolenia korzystał.

Większe znaczenie miała jednak dla niego omega. Często pływał jachtem po okolicy, szalał na wodzie z synami, z zadowoleniem notował, że „Wanda sprawdza się jako członek załogi”. Ale żona musiała oszczędzać dłonie, żeglarskie liny mogły przecież zakończyć karierę skrzypaczki. Nawet w młodości ojciec zakazywał jej gry w siatkówkę z obawy o kontuzję...

Żona nie zawsze mogła towarzyszyć rodzinie podczas mazurskich eskapad, ale Mieczysław z wolna przywykł do jej absencji. Z upływem lat zaczęli żyć obok siebie i nawet mając wolne terminy, wypoczywali oddzielnie. Rakowski zaszywał się w Praniu, natomiast Wanda z synami wyjeżdżała za granicę. Życie nie znosi jednak próżni i w biografii MFR musiała pojawić się inna kobieta.

ELŻBIETA KĘPIŃSKA

„Kilka dni temu – zapisał MFR w styczniu 1961 r. – byłem w »Ateneum« na sztuce *Dwoje na huśtawce*. Reżyserował Andrzej Wajda. [...] Gra dwójka aktorów – Zbyszek Cybulski i Elżbieta Kępińska. Byli wspaniali. Od Kępińskiej nie mogłem oczu oderwać. Wszystko mi się w niej podobało, a szczególnie głos. Przez kilka dni wciąż o niej myślałem i chyba jeszcze nie raz pójdę na to przedstawienie. Dowiedziałem się, że ma dwadzieścia trzy lata, że po szkole aktorskiej debiutowała w Teatrze Wybrzeża i do Warszawy sprowadził ją Zygmunt Hübner. Wspaniała dziewczyna. Jest mężatką. Jej mężem jest aktor, Władysław Kowalski”.

Kępińska była młodsza od Rakowskiego o jedenaście lat. Ukończyła warszawską PWST (poprzednio bezskutecznie zdawała do szkoły aktorskiej w Krakowie) i Zygmunt Hübner zaangażował ją do Teatru Wybrzeże w Gdańsku. Propozycja reżysera oznaczała nobilitację, czego nie ukrywała:

„Profesor Bardini polecił mu Kajtka [Władysław Kowalski, pobrali się na III roku studiów – S.K.] i mnie. Mówiło się wtedy, że jest w Teatrze Wybrzeże młody dyrektor, robi coś ciekawego. Jechałam tam z olbrzymim entuzjazmem”.

Razem z mężem debiutowali w sztuce *Smak miodu* Shelagh Delaney. Ona jako Jo, Kowalski zagrał Geoffa.

„[...] Kępińska, tegoroczna absolwentka warszawskiej szkoły – pisał z zachwytem Andrzej Jarecki – błysnęła olśniewająco. Temperament w połączeniu z półdziecinym wdziękiem młodej dziewczyny, inteligencja i humor w połączeniu ze straszliwym, nieświadomym brakiem moralności – oto kontrasty, najważniejsze w jej grze. Wskutek jej interpretacji roli Jo sztuka straciła coś z zamierzonego surowego oskarżenia współczesnej młodzieży o niemoralność. [...] Wzbogaciliśmy się [...] o świetną kreację, pełniejszą i ciekawszą od proponowanego w tekście sztuki wzoru”.

Prawdziwy sukces przyniosła jej jednak rola Gizeli w *Dwojgu na huśtawce* Williama Gibsona na scenie warszawskiego Teatru Ateneum.

„Kępińska od początku trafia w tonację współczesnej dziewczyny – relacjonował Andrzej Wirth – jest postacią wewnętrznie zgodną w każdym geście.[...] Wyrażając na scenie swoją indywidualność, wciąż dąży jednak do zarysowania pewnego wzorca ponadosobowego. Charakteryzując siebie, potrafi jednocześnie charakteryzować typową bohaterkę pokolenia. [...] umie unieruchomić twarz, przenosząc ekspresję na głos i ruch ciała. Pisaliśmy już o niepospolitych warunkach głosowych tej aktorki. Wreszcie ktoś, kto nie słodzi wygłaszanych kwestii. Głos Kępińskiej jest chwilami chropawy, wykazuje niepokojącą zmienność barwy”.

Sukces sztuki zrobił z niej gwiazdę, ale z perspektywy czasu ważniejszy okazał się zachwyty MFR. Nie skończyło się na kolejnej wizycie w teatrze, Rakowski widział przedstawienie wielokrotnie, nie opuszczał również kolejnych inscenizacji. I nie były to jednorazowe wizyty na widowni.

„Była taka Elżbieta K – zanotował towarzysz Mieczysław dwa lata później. – Od chwili gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją na scenie w teatrze na Jaracza, chodzę na każdą sztukę, w której gra. Na *Ich dwoje na huśtawce* byłem kilka razy. Na bal przyprowadził ją Jurek Markuszewski. Elżbieta znakomicie tańczy, czego o sobie nie mogę powiedzieć. Zresztą nie jej taneczne umiejętności wzbudzają we mnie uczucia, które już nie mieszczą się w granicach dobrej znajomości. Działa na mnie jak magnes. Lubię słuchać jej głosu. Co tu ukrywać, bardzo mi się podoba. Oczywiście, ona o tym nie wie. Ale może kiedyś się dowie. To, że zachwycam się jej grą, chyba wie, bo Jurek zapewne jej powiedział. Marek nie potrafi utrzymać czegoś w tajemnicy. Zresztą dobrze, że jej to powiedział”.

AGNIESZKA OSIECKA

Kępińska i Rakowski zostali kochankami, co prawdopodobnie nastąpiło w 1964 r. Sugeruje to wpis w dzienniku MFR z sierpnia następnego roku:

„Moje zaangażowanie w romans z E. [Elżbietą Kępińską – S.K.] nadal trwało i w związku z tym także nie miałem najłatwiejszego lata. Choć już kilka razy stanowczo postanawiałem sobie, że z tym skończę, zawsze jednak wracałem do E. Może teraz wreszcie znajdę dość sił, by przerwać ten stan bez perspektywy. Przy okazji stwierdziłem, że jestem potwornym nastrojowcem. Łatwo poddaję się nastrojowi chwili, zaczyna mi ciążyć samotność itd”.

Aktorka nie była jego pierwszą pozamałżeńską przygodą. Częsta nieobecność Wandy sprzyjała romansom, a Mieczysław miał raczej słaby charakter. Jerzy Urban miał na ten temat własną opinię:

„Rakowski – moim zdaniem – ma trochę kobiecą konstrukcję psychiczną. Zmienne nastroje, raz w euforii, raz w depresji. Nawet jego oceny polityczne bywają dyktowane nastrojami. To zapala się do jakiś projektów, to znów rozczarowuje. Podobnie zapala się i rozczarowuje do ludzi. Najlepiej czuje się w towarzystwie kobiet, szczególnie gdy one w jakiś sposób go adorują. On otwiera się bardziej wobec kobiet niż wobec mężczyzn. Bardzo przyjaźni się z kobietami”.

Podobno uwielbiał „duszny kontakt psychiczny”, wobec czego unikał związków typowo fizycznych. Jego partnerki musiały posiadać „wysoką pozycję na rynku damskim”, a przykładem tego miała być przygoda z Barbarą Wrzesińską. Podobno Rakowski miał również „długotrwały romans” z Jolantą Fikus (siostrą dziennikarza „Polityki”, Dariusza Fikusa), „bardzo piękną dziewczyną”. Urban twierdził nawet, że „Rakowski uchodził za playboya i był nim na tle aparatu”, ale dziwnym trafem nie wspomniał nigdy o związku szefa z Agnieszką Osiecką.

Jedna z najbarwniejszych postaci kultury PRL często gościła na stronach pierwszych tomów *Dzienników politycznych*. Ich autor uważał, że jest „hożą dziewczyną i ma piękne włosy”, fascynowała go, wymieniali listy, ona pisała dla niego wiersze. Zwierzali się sobie z problemów, ale czy połączyło ich coś więcej? Zapisy w notatkach Rakowskiego można różnie interpretować, a szczególnie ten z lutego 1964 r.:

„W Zakopanem na nartach. Spotkałem sporo znajomych i przyjaciół, Bronka Bednarza, Agnieszkę O., Wiktora Woroszyńskiego i innych. Z Agnieszką odbyłem poważną rozmowę. Co z tego wyniknie, trudno powiedzieć. Bardzo lubię Agę”.

Pisarka dała mu w prezencie *Ludzie, fakty, refleksje* (antologię wspomnień działaczy PPR), dodając prywatną dedykację („Mietkowi, z mieszanymi uczuciami”). Ważniejszy jednak wydaje się wiersz ofiarowany mu miesiąc wcześniej:

„Piękny panie,
ukłon serdeczny z dala ślę,
piękny panie, może już nie pamiętasz mnie?
Pomyśl, to wszak rok temu,
[...]”.

Czy przypominała w ten sposób datę rozpoczęcia romansu? Czy tylko przelotnej sytuacji intymnej? A może było to wspomnienie chwili ważnej dla obojga?

Jeżeli jednak romans z Kępińską rozpoczął się w 1964 r., to wówczas sprawy z Osiecką należały już do przeszłości. Poetka jednak czasami przypominała o swoim istnieniu, najczęściej z właściwą sobie przewrotnością:

„Po powrocie z Krynicy [w lutym 1967 r. – S.K.] zastałem list od Agi, z jej bardzo ładnym zdjęciem. Na odwrocie wiersz, który napisała prawie dwa lata temu. Dopiero teraz mi go przesłała. Nie wiem w jakim celu. Chyba tylko dla przypomnienia.

Patrz – jaka jestem ładna –
– to przez Ciebie –
choć kłopot nowy spadł nam...
Jak to?
Nie wiesz??
[...]”.

Pisarka nawiązała niebawem bliską znajomość z Danielem Passentem, a Rakowski pozostał jej powiernikiem i przyjacielem. Jeżeli rzeczywiście mieli kiedyś romans, to trzeba przyznać, że rzadko kiedy intymna znajomość kończy się w tak ładny sposób.

„List od Agnieszki, z Krakowa – zanotował MFR w lutym 1971 r. – Pisz, że ogląda zabytki, trochę pracuje, trochę podgląda Wajdę, »jak katuje *Biesy*«, no i myśli o sobie. Ale nie tylko, »Naturalnie o Danku myślę (zawsze serdecznie, żonatym czy nieżonatym), o Gierku myślę i o Tobie myślę«. Pisz, że jestem fajny, że ile razy mnie o coś poprosiła, o coś większego czy duperelę, to nigdy nie nawaliłem. A poza tym, ponoć mam w sobie coś takiego, że się człowiek nie krępuje mnie prosić. Miła jest ta Agusia. Teraz ma nowy problem, któremu na imię Danek P. Zakochała się w nim i zwierza mi się ze swoich sercowych kłopotów”.

DWOJE NA HUŚTAWCE

Rakowski faktycznie „miał raczej kobiecy charakter, a nie męski”. Burzliwy pozamałżeński związek z Kępińską trwał kilkanaście lat (!), a MFR nie potrafił podjąć ostatecznej decyzji. Elżbieta rozwiodła się z Kowalskim, natomiast Mieczysław był wciąż mężem Wiłkomirskiej. Wielokrotnie dojrzywał do zerwania z jedną lub drugą panią, ale nie potrafił się zdobyć na jednoznaczne działanie.

Czy to jednak wśród mężczyzn takie rzadkie? Chociaż małżeństwo przestało funkcjonować, to istniejący układ mu odpowiadał. Miał żonę i atrakcyjną kochankę, wszystko w jego życiu pozostało bez zmian. I nie musiał niczego rozstrzygać ostatecznie.

Było to tym ważniejsze, że w epoce wczesnego Gierka MFR miał kłopoty zawodowe. „Polityka” przeszła do niemal jawnej opozycji, co omal nie zakończyło się odwołaniem jej szefa.

„Od pewnego czasu go obserwując [Rakowskiego – S.K.] dochodzę do przekonania – zanotował Stefan Kisielewski – że musi on obniżyć loty i stać się zwykłą, użytkową prostytutką, jak Górnicki czy Wojna. Po prostu nie ma on co ze sobą zrobić, wielkie

ambicjonalne loty, gdy »Polityka« była organem niemal »gospodarczej opozycji«, minęły bezpowrotnie i oto facet, który długi czas udawał, że godzi ogień z wodą, że ma utajone własne zamysły i koncepcje, musiał wypuścić z siebie powietrze jak przekłuty balonik. Nie ma tu miejsca na pozór nawet »trzeciej siły« – trzeba służyć i kwita”.

Sytuacji nie ułatwiała Mieczysławowi także postawa Wandy, która postanowiła wystąpić z PZPR. A to w Polsce Ludowej stanowiło wręcz niewyobrażalną zbrodnię, to partia mogła zrezygnować z człowieka, natomiast człowiek z partii nigdy!

Wiłkomirska postawiła jednak na swoim, a w uzasadnieniu zwrotu legitymacji partyjnej napisała, że „lepiej poza partią służyć socjalizmowi, niż w partii żyć w wątpliwościach”. Rakowski uznał, że „nie może wkraczać w jej osobiste wybory”, albowiem nie był „całkowicie w porządku” wobec żony.

Nic dziwnego, że zdesperowany MFR rozważał objęcie oferowanego mu stanowiska ambasadora w RFN. Był specjalistą od spraw niemieckich, a wyjazd na zachodnią placówkę uchodził za rodzaj honorowej dymisji. Ostatecznie jednak propozycję odrzucił:

„Chociaż może gdybym na nią przystał, to czyż nie skończyłyby się wszystkie moje kłopoty zawodowe? Może bym trochę odpoczął? Napisał jakąś solidną książkę? I tak źle, i tak niedobrze. W mojej odmowie jest także motyw osobisty (E)”.

Rzeczywiście, Kępińska pozostałaby w kraju, a stałe wyjazdy za żelazną kurtynę były wówczas niemożliwe. Oficjalną żoną polityka pozostawała przecież Wiłkomirska i to ona zostałaby panią ambasadorową...

Do kłopotów intymnych i zawodowych dołączały się problemy wychowawcze. Synowie dorastali i zadawali niewygodne pytania:

„[...] rozmowy, głównie z Artkiem (ma już szesnaście lat), na tematy polityczne. Trudno powiedzieć, że reprezentuje poglądy całej młodzieży, ale nie ulega wątpliwości, że sporo młodych ludzi myśli tak jak on, to znaczy opozycyjnie wobec tego, co się w Polsce dzieje. Szczególnie dokucza im rozbieżność pomiędzy tym, co się mówi i deklaruje, a praktyką”.

Nic dziwnego, że MFR w styczniu 1974 r. z rezygnacją notował:

„Co się tyczy spraw prywatnych, rok ubiegły nie był dla mnie najłatwiejszy. Artur sprawił mi wielki kłopot i bardzo to przeżyłem. Ale mamy to już poza sobą. Jeśli chodzi o inne sprawy, to jestem właśnie na etapie żegnania się z E. Z jej inicjatywy, choć muszę przyznać, że ja także jestem odpowiedzialny za zerwanie. Nie zdobyłem się w swoim czasie na jednoznaczną decyzję i teraz muszę bez szemrania pogodzić się z jej postanowieniem. Ma wiele racji i muszę ją zrozumieć. Nie jest mi z tym wszystkim łatwo ani lekko. 1 grudnia skończyłem czterdzieści siedem lat. Coraz częściej zaczynam myśleć, ile życia mi jeszcze pozostało. Nie jest to przyjemne spotkanie. O nie”.

Towarzysz Mieczysław zdawał sobie sprawę z faktu, iż powinien wreszcie uporządkować życie osobiste. Po dziesięciu latach (!) Kępińska miała już dosyć roli kochanki, ale Rakowski wiedział, że „nie jest w stanie podjąć decyzji, chociaż dojrzewała

w nim już od dłuższego czasu”. Grał na zwłokę przez niemal cały następny rok, a aktorka odchodziła od niego i powracała.

„Nigdy nie opisuję moich prywatnych spraw, ale tym razem zagmatwały się one dość poważnie. Elżbieta postanowiła definitywnie zerwać nasz związek, a ja zacząłem szaleć. Nagle okazało się, że bez niej nie wyobrażam sobie życia. Nie wiem, co będzie dalej, ale jestem w fatalnym nastroju”.

Żona domyślała się, że Mieczysław miewa kochanki, ale chyba nie podejrzewała, iż sprawa dotyczy jednej, konkretnej kobiety. Nie zwracała nawet uwagi na to, że mąż spędzał poza domem Boże Narodzenie (zapewne przygotowywał sobie wiarygodne alibi). Rakowski „dojrzywał do zasadniczej rozmowy z Wandą” i miał „mocną wolę ułożenia sobie życia na nowo”, ale odkładał sprawę na czas nieokreślony. O wszystkim zdecydował jednak zwykły przypadek.

CZAS DECYZJI

Podobno zdradzana żona (lub mąż) dowiaduje się o wszystkim ostatnia. I tak było też w przypadku Wiłkomirskiej. Cała stolica wiedziała od lat o romansie Rakowskiego z Kępińską, natomiast Wanda pozostawała nieświadoma osoby rywalki. Przyjaźniła się nawet z Elżbietą, która w jej domu była częstym gościem.

„Potem przeżyła rozczarowanie – wspominała Andrzejewska. – Jadąc przez Warszawę z jakimś znajomym – już nie pamiętam z kim – jakimś dyrygentem czy skrzypkiem, spojrzała przez okno samochodu i powiedziała: »Popatrz, gdyby nie to, że Mietka nie ma w Warszawie, byłabym pewna, że to jego samochód«. Na to tamten powiedział: »Wanda, czy ty naprawdę jesteś taka naiwna, czy udajesz głupią, że o niczym nie wiesz? Przecież Mietek od dawna już kombinuje z Elą Kępińską i są w Warszawie«”.

Musiała wreszcie zareagować. Z aktorką była zaprzyjaźniona i obie panie należały do tego samego kręgu towarzyskiego. Tym bardziej że mąż romansował z artystką już od wielu lat.

Rakowscy jednak rozchodzili się ze sobą względnie spokojnie, a Wandę interesowały głównie przyczyny porażki ich małżeństwa. Nie mogła wówczas zrozumieć, że MFR był mężczyzną, który musiał mieć przy sobie partnerkę na stałe, a nie tylko czasami.

„Ciężki dzień – zanotował Mieczysław w czerwcu 1975 r. – Wieczorem rozmowa z Wandą. Po okresie, w którym zapowiedź mojego odejścia przyjęła spokojnie, zaczynają się trudne rozmowy. [...] zastanawia się, dlaczego tak się stało, ile jest w tym jej winy etc. Nie może zrozumieć, że to małżeństwo od dawna już nie istnieje, że uczciwość nakazuje mi przerwanie tej fikcji. Wyobrażam sobie, jak by wyglądało nasze życie, gdyby nasz związek ciągnął się przez następne lata. Jakkolwiek by to bolało, trzeba raz przeciąć nienormalny stan. Myślę też, że gdybym został, to kierowałoby mną jedynie wygodnictwo. Nic innego. Co się tyczy synów, to oczywiście kocham ich, ale nie sądzę, żeby nasze związki osłabły

przez fakt mojego odejścia z domu”.

Po latach skrzypaczka przyznawała byłemu mężowi rację; nie można stworzyć udanego związku, wyjeżdżając „na trzy miesiące do Australii, na miesiąc do Japonii lub Stanów”, pozostawiając go samego z dziećmi. Co gorsza, z upływem lat ujawniały się różnice charakterów i zainteresowań; Rakowski był człowiekiem spoza branży muzycznej, a Wiłkomirska „obcowała głównie z muzykami”. Zresztą nawet ona dostrzegła dwoistość charakteru partnera.

„Dziś wierzę – mówiła po latach – że mężczyzna potrafi kochać dwie kobiety, dla mnie jednak była to sytuacja nie do zaakceptowania. Przy tym dzieci dorastały, nasze zainteresowania, moje i męża, coraz bardziej się rozchodziły, poglądy polityczne również. Poza tym sądzę, że jeśli ludzie są względem siebie uczciwi – gdy zaczyna się robić letnio, powinni się rozstać. On się szarpał, ja bardzo cierpiałam, ale podjęłam decyzję za nas oboje. Nadal jestem pewna, że Elżbieta jest lepszą żoną, dużo bardziej żyje jego sprawami, niż ja to robiłam”.

Wanda miała jednak klasę, której można pozazdrościć. Trzy lata później wyjechała na kilka dni na sylwestra do Paryża. W grupie osób, z którymi spędziła Nowy Rok, byli również Mieczysław i Kępińska...

Rakowski podjął ostateczną decyzję, co wcale nie wpłynęło na poprawę jakości związku z aktorką. Wciąż trwał niekończący się korowód zerwań, powrotów, kłótni i wymówek. Czasami trudno uwierzyć, że dotyczyło to dwojga dorosłych ludzi, Elżbieta miała wówczas trzydzieści osiem lat, a MFR niemal czterdzieści dziewięć! Ale zapis z listopada 1975 r. nie pozostawia złudzeń, iż naczelny „Polityki” chwilami zachowywał się jak egzaltowana pensjonarka:

„Przez trzy miesiące z kawałkiem nie zaglądałem do notatnika. Po prostu miałem inne sprawy na głowie, przede wszystkim osobiste. Urlop spędziłem z Elżbietą, a pod koniec uciekłem od niej. W końcu sierpnia wyjechałem do RFN i zostawiłem jej list, w którym tłumaczyłem powody rejterady. Po powrocie wróciłem do niej, zamieszkaliśmy razem i znowu uciekłem. Teraz znów chcę wrócić i chyba to zrobię. Muszę wykonać następny krok, chociażby po to, żeby nie wyrzucać sobie do końca życia, że zachowałem się jak kretyn. Strasznie pogmatwałem sobie życie...”.

Faktycznie, trudno o lepsze podsumowanie długoletniego związku...

W KRĘGACH WŁADZY

Wiłkomirska i Rakowski sprzedali wspólny dom w stolicy. Wanda nabyła mieszkanie na warszawskich Stawkach oraz dwie kawalerki dla synów (na tej samej klatce schodowej). Dacza na Mazurach pozostała w rękach MFR, próbującego odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Po latach podwójnego życia miał problemy z adaptacją, ale stabilizacja uczuciowa mogła pomóc w realizacji ambicji politycznych. Od kilku lat był posłem na Sejm PRL, a w grudniu 1975 r. wszedł w skład KC PZPR. Elżbieta nie

popierała jego „politycznych pasji”, co wzbudzało w nim obawy dotyczące wspólnej przyszłości.

Jego czas nadszedł po upadku ekipy Gierka. Uważany za liberała (był nim faktycznie na tle partyjnego „betonu”) dla władz PRL wydawał się mężem opatrnościowym. Wszedł do rządu Wojciecha Jaruzelskiego, z miejsca stając się jego najbardziej widoczną postacią. To właśnie on negocjował z „Solidarnością” w dniach największych napięć, to on uosabiał stanowisko władz. Znalazło to niezwłocznie przełożenie na jego pozycję towarzyską:

„Moje życie prywatne zbliża się do zera. Elżbieta jest nad wyraz cierpliwa i wyrozumiała, ale ja mam poczucie winy. Nie tak wyobrażała sobie nasze wspólne życie. Od rana do nocy nie ma mnie w domu. Topnieje także nasz krąg przyjaciół, zwłaszcza ze środowiska artystycznego i intelektualnego, choć gdy trzeba coś załatwić, to znajdują do mnie drogę”.

Chociaż aktorka była przeciwna ostatecznemu porzuceniu przez MFR dziennikarstwa, to zarzucano jej wygórowane ambicje. Podobno okazała się wyjątkowo mało odporna na uroki władzy.

„[...] niemal każdy obejmując jakieś wysokie stanowisko – uważała Andrzejewska – zmienia swój stosunek do spraw i ludzi, nawet poglądy. Otóż okazuje się, że dotyczy to czasem również osób towarzyszących. Kiedy Rakowski został wicepremierem, Ela zmieniła się bardziej i szybciej niż on. W jej głosie pojawiły się władcze tony. Dobrze się czuła w roli »pani premierowej«. Weszła w tę rolę, jak na aktorkę przystało, błyskawicznie. Już nie mówiła: musze to czy tamto, tylko: pan Jurek to zrobi Tak jakby było oczywiste, że do roli borowca – kierowcy należy na przykład wymiana żarówki, czy załatwienie jej prywatnych spraw”.

Wprowadzenie stanu wojennego oznaczało dla artystki bojkot towarzyski. Koledzy i koleżanki przestali ją dostrzegać, a gdy pojawiała się w teatralnym bufecie, rozmowy cichły natychmiast.

„Elżbieta coraz wyraźniej wyraża swoje niezadowolenie – pisał z irytacją MFR – z sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Do dziś ma mi za złe, że zgodziłem się zostać wicepremierem, mimo że była przeciwna. Na jej, chyba uzasadnione, żale nakłada się bardzo dla niej przykra sytuacja w teatrze. Koledzy zachowują się, wobec niej tak, jakby to ona podpisała dekret o wprowadzeniu stanu wojennego, patrzą na nią jak na osobę związaną z człowiekiem, który nie tylko wyraził na niego zgodę, ale wprowadził go”.

Nie był to zresztą w tym okresie jedyny problem osobisty Rakowskiego. W 1981 r. za granicę (legalnie) wyjechali obaj jego synowie. Starszy (Włodzimierz) z dziewczyną do Hiszpanii, młodszy (Artur) z żoną i dzieckiem do Szwecji. Obaj pracowali na Zachodzie i solidarnie zdecydowali się nie wracać do kraju. Podkreślali wprawdzie, że ich decyzja nie miała nic wspólnego ze stanowiskiem ojca, ale dla zachodnich mediów była to wymarzona okazja. A w Polsce z tych samych powodów wicepremiera atakował partyjny „beton”, z Albinem Siwakiem na czele.

To jednak nie wszystko. Po wprowadzeniu stanu wojennego wyjechała legalnie do Niemiec Wanda Wiłkomirska. Nie zamierzała powracać, na Stawkach pozostawiła otwarte mieszkanie, wrzucając do środka klucz. Oficjalnie jechała na koncerty, w rzeczywistości jednak zamierzała zerwać z całą swoją przeszłością.

„Powiedziałam koledze – opowiadała wiele lat później – że wyruszamy w niedzielę rano. Dostałam paszport, wizę i w noc z soboty na niedzielę nie zmrużyłam oka. Niszczyłam papiery – listy, zdjęcia – wszystko, co nie powinno wpaść w obce ręce. Do jednej walizki spakowałam sukienki koncertowe, książki z autografami pisarzy, utwory z dedykacjami kompozytorów, trochę fotografii. Miałam też skrzypce i zezwolenie na ich wywóz”.

Na miejscu spotkała ją miła niespodzianka, a sytuacja przypominała scenę z filmu:

„Po przekroczeniu granicy RFN zadzwoniłam do agenta i umówiliśmy się, że odbierze mnie ze stacji benzynowej pod Frankfurtem. Czekałam sama na pustej stacji i zobaczyłam, że podjeżdża mercedes. Zahamował, z obu stron otwarły się drzwi i – wysiedli moi synowie. [...] Przyjechali do Niemiec, nie umawiając się, bo wiedzieli, że mam tam grać. Gdy zadzwoniłam, agent zawiadomił ich, dał swój samochód i tak się spotkaliśmy”.

Nic dziwnego, że w tych latach MFR starzał się w zastraszającym tempie. Na zachowanych zdjęciach i nagraniach filmowych widać w jego wyglądzie zmiany: nie był to już dynamiczny naczelny „Polityki”, tylko zmęczony życiem aparatczyk. Nadal fatalnie układało się również jego życie z Kępińską. Partnerka obwiniała go za problemy towarzyskie i zawodowe, ponownie rozpoczęła się korowód rozstań i powrotów.

„Elka urządziła Mietkowi nie kończące się awantury – wspominała Andrzejewska. – Całe noce potrafiła się z nim kłócić. Zbierały się konwentykle w tej sprawie, absorbowało to sfery rządowe. Słyszałam od Urbana, że nawet generała Jaruzelskiego w to wciągano. Urban wracał do domu i mówił, że Mietek znowu miał jakieś piekło, że zgodnie z wolą Jaruzelskiego spakował się i wyprowadził się z domu, że postawił jakieś ultimatum, że Jaruzelski dzwonił do Eli. Nie mieści to się w głowie, ale jest prawdą”.

DRUGIE MAŁŻEŃSTWO

Wydaje się jednak, że mimo wszystko sporo winy leżało po stronie Elżbiety. Partnerka MFR miała wyjątkowo trudny charakter, a wobec swoich długoletnich znajomych zachowywała się czasami w sposób nieodpowiedzialny. I kiedy po zawieszeniu stanu wojennego Rakowski postanowił wydać pojednawcze przyjęcie w Praniu, to postępowanie aktorki zniweczyło cały projekt.

„Chciał [Rakowski] wyciągnąć rękę do towarzystwa w Krzyżach – wspominał Stanisław Bukowski – z którym był przecież mniej czy więcej zaprzyjaźniony – Markuszewscy, Wrzesińska z Janczarskim, Jareccy, jeszcze parę osób. I my tam też pojechaliśmy. Przyjęcie było takie sobie. Wszyscy się jakoś boczyli, zjedli, co było do

zjedzenia, wypili co Mietek postawił do wypicia – dużo nie postawił, i dosłownie po godzinie rozjechali się na jakieś konkurencyjne przyjęcie, chyba u Olgi Lipińskiej”.

Na usilne prośby Kępińskiej pozostali tylko Maryla i Stanisław Bukowscy. MFR wyciągnął „jakąś wspaniałą whisky”, niestety doszło do rozmowy o polityce. A gdy Mieczysław tłumaczył, że podczas stanu wojennego właściwie nikomu nic się nie stało, usłyszał pytanie o górników z kopalni Wujek.

„I nagle ryk Elki: »Wypierdalajcie z tego domu, jeśli tak uważacie. Co wy tu jeszcze robicie. Powinniście być szczęśliwi, że jesteście u wicepremiera w domu. Na Zachodzie nigdy w życiu byście takich progów nie przekroczyli«”.

Rakowski („z łbem zwieszonym nad zlewem”) stanął po stronie partnerki i tak zakończyła się próba pogodzenia się z sąsiadami i dawnymi przyjaciółmi.

Mieszkali razem, jednak przez długi czas związku nie zalegalizowali. Ponad dziesięć lat żyli w konkubinacie, ostatecznie dyskretnie pobraли się w czerwcu 1986 r.

„Nareszcie Elżbieta i ja mamy uregulowane nasze wspólne życie. Dziś w pałacu ślubów przy placu Zamkowym wzięliśmy ślub. [...] Jesteśmy zatem małżeństwem również pod względem prawnym. Faktycznie bowiem jesteśmy nim już od kilku dobrych lat. Od lat też nie było żadnych przeszkód, żebyśmy się pobraли, ale tak się jakoś składało. Życie na »kocią łapę« nam nie wadziło”.

Chyba nie bez powodu pobraли się w okresie niełaski politycznej MFR. W listopadzie 1985 r. nowym premierem był już Zbigniew Messner i towarzyszy Mieczysław nie wszedł do jego gabinetu. Został wicemarszałkiem Sejmu, co było synekurą bez większego znaczenia. Można przypuszczać, że uważał to za polityczną emeryturę, i postanowił wreszcie uregulować sprawy osobiste.

Państwo Rakowscy okres gwałtownych burz mieli już za sobą. Po trudnych latach przyszedł okres spokoju, a w zapiskach polityka można znaleźć wiele ciepłych słów o żonie.

„Nawet tańczyłem – opisywał bal sylwestrowy 1986 r. – co było aktem wielkiej odwagi, ponieważ tancerz ze mnie marny; z reguły to partnerki prowadzą. Efekt jest taki, że czuję się zażenowany, nogi mi się płaczą, a panie mówią, że bardzo dobrze tańczę. Elżbieta, która bardzo lubi tańczyć, patrzy na mnie z dużą wyrozumiałością”.

Trudno nie czytać z uśmiechem innych wyznań sześćdziesięcioletniego mężczyzny. Szczególnie, że dotyczą one kobiety, z którą razem wiele przeszedł:

„Na tle kilku żon wysoko postawionych towarzyszy moja Elżbieta wyrasta na wspaniałą osobę. Bo i jest wspaniała. Jeśli się wtrąca do polityki, to tylko wtedy, kiedy trzeba kogoś bronić, kto przegrywa w walce z biurokratyczną głupotą. Nigdy nie stara się wpływać na moje decyzje”.

HANNA BANASZAK

To była jedna z najgorętszych plotek schyłkowego PRL. Wicepremier Rakowski

miał mieć romans z piosenkarką Hanną Banaszak. Młodsza od niego o ponad trzydzieści lat, utalentowana i urodziwa (choć trochę „przy kości”) artystka wielokrotnie dementowała pogłoski, jednak fama żyła własnym życiem.

„Skaranie boskie z tą Banaszak – irytował się MFR. – Od dłuższego czasu na każdym kroku słyszę o romansie z nią. Kilka dni w »Kurierze Polskim« ukazała się króciutka rozmowa z piosenkarką. Artystka mówiła między innymi o swoich planach (wyjeżdża na tournée do USA), »ale przede wszystkim pragnę z mężem, nie – jakby niektórzy złośliwi plotkarze sugerowali ‘wysoko postawionym narzeczonym’«. To o mnie”.

Towarzysz Mieczysław był jednak sam sobie winien. Nie potrafił kategorycznie zaprzeczyć, najwyraźniej plotka dowartościowywała jego męskie ego.

„Rakowski oczywiście – twierdziła Karyna Andrzejewska – gdy się nie obawiał, że ktoś doniesie Kępińskiej, robił w towarzystwie różne miny. Ale miał także pewne kłopoty. Sprawa doszła do generała Jaruzelskiego, który podobno nawet pytał go o to. Dlatego Rakowski zaczął upowszechniać wersję, że nigdy nie widział Banaszak na oczy”.

Najwyraźniej generał obawiał się kolejnych awantur w domu podwładnego. Kępińska w jego pamięci zapisała się wystarczająco...

Pogłoski o romansie krążyły po kraju, wzbudzając różne reakcje. Często były to dowody męskiej solidarności z wicepremierem.

„Plotka dotarła nawet do braci górniczej – notował nie bez satysfakcji MFR. – W ubiegłym roku, podczas pobytu w jednej ze śląskich kopalń (siedmiuset chłopów na sali), jakiś górnik zapytał: »Powiedzcie, towarzyszu premierze, ta Banaszak to jest wasza dziewczyna, czy nie?«. Odpowiadając na liczne pytania, odpowiedziałem i na to, że to głupia plotka. A na to kolejny górnik: »A my uważamy, że naszemu premierowi należy się taka dziewczyna«. I jak tu walczyć z plotką?”.

Banaszak miała jednak również swoją chwilę satysfakcji. W styczniu 1986 r. podczas wieczoru piosenek Jerzego Wasowskiego w Teatrze Współczesnym śpiewała *Ja dla pana czasu nie mam*. Wykonując przebój, „kierowała spojrzenie gdzieś w bok od miejsca”, w którym siedział Rakowski. Na efekty nie trzeba było długo czekać, „połowa sali wybuchnęła śmiechem i tak już było do końca piosenki”. Do śmiechu nie było tylko politykowi...

Najlepiej jednak podsumowała całą sprawę Karyna Andrzejewska:

„Pamiętam, że kiedyś podczas transmisji z Opoli, gdzie Banaszak znakomicie wykonywała jakąś wokalizę jazzową, powiedziałam: »Słuchajcie, jak ona wspaniale śpiewa. Po co jej Mietek do kariery, słuchu nie macie?”.

ŻYCIE PO ŻYCIU

Niełaska MFR zakończyła się w 1988 r. Został premierem (to właśnie jego gabinet ogłosił w Polsce wolny rynek), a następnie I sekretarzem PZPR. 29 grudnia 1989 r. Sejm dokonał zmian w konstytucji, co ostatecznie zakończyło dzieje PRL. A po rozwiązaniu

partii komunistycznej towarzysz Mieczysław przeszedł na polityczną emeryturę.

Udzielał się jeszcze w SdRP, był nawet przewodniczącym komisji programowo-analitycznej. Został również redaktorem naczelnym lewicowego miesięcznika „Dziś”, wydawanego przez Jerzego Urbana. Zmarł w 2007 r.

Wanda Wiłkomirska dzieli czas pomiędzy Niemcy a Australię, jest cenionym pedagogiem muzycznym. Przed laty zrezygnowała z polskiego paszportu.

„Jestem konsekwentna w swoich postępkach – tłumaczyła w wywiadzie. – Jeśli odchodzę od mężczyzny lub on ode mnie, to się z nim rozwodzę. Kiedy zamieszkuję w Niemczech – przyjmuję obywatelstwo i uczciwie płacę podatki. Gdy teraz koncertuję w Polsce, jestem traktowana przez urząd skarbowy jako cudzoziemka i ściągają mi 20 proc. podatku – nie 10, jak polskim artystom. Uważam, że to w porządku. Polska jest moją starą ojczyzną, zawsze będę świadczyła na jej rzecz, pomagała, w czym tylko mogę. Jestem jednak lojalna wobec kraju i miasta, w którym mieszkam”.

Elżbieta Kępińska zapisała się w dziejach polskiej kultury jako jedna z najwybitniejszych aktorek teatralnych. Nie funkcjonuje jednak w obiegowej świadomości, zbyt mało grała w filmach; tłumaczyła, że „kamera ją peszy”. Rzadko również pojawiała się w Teatrze Telewizji.

Włodzimierz Rakowski powrócił do kraju z emigracji, natomiast jego młodszy brat osiadł wraz z żoną w Australii. Wiele lat temu, u schyłku Polski Ludowej odwiedził go tam ojciec. A zapis ich rozmowy jest chyba najlepszym podsumowaniem świata absurdów PRL:

„Artur zadowolony z pobytu w Australii, Anka jak mi się wydaje trochę mniej. Chce odwiedzić Polskę, Artek nie: »Przyjadę – mówi – i potem mnie nie wypuszczą«”.

Rozmowa miała miejsce w marcu 1987 r.



Bibliografia



1. Andrycz N., *Bez początku, bez końca*, Warszawa 2003
2. Andrycz N., *My rozdwojeni*, Warszawa 2005
3. Andrycz N., *Willa Ernsta Claaszena w Sopocie i jej mieszkańcy, 1945–2011*, Warszawa 2012
4. Andrzejewska K., *Urban... Byłam jego żoną*, Gdańsk 1993
5. Annusiewicz M., *Uczyć geniusza to żadna sztuka*, <http://www.gs24.pl/apps/pbcs.dll/article?AID=/20080104/WYWIADY/363695670>, 30 czerwca 2012 r.
6. Baliszewski D., *Historia nadzwyczajna*, Warszawa 2009
7. Baliszewski D., *Sprawa Anody*, <http://www.wprost.pl/ar/151514/Sprawa-Anody/?I=1360>, 30 czerwca 2012 r.
8. Barcikowski W., [red.], *Wspomnienia o Zofii Nałkowskiej*, Warszawa 1965
9. Berling Z., *Przeciw 17 republice*, Warszawa 1991
10. Berling Z., *Wolność na przetarg*, Warszawa 1991
11. Berling Z., *Z łagrów do Andersa*, Warszawa 1990
12. Bielas J., *Kalina Jędrusik. Pierwsza madonna PRL-u*, http://www.ikmag.pl/miesiecznik/kobiety_niezapomniane/kalina_jedrusik_pierwsza_madonna_prlu.html, 30 czerwca 2012 r.
13. Bielas K., *Wielki comeback*, http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,53581,6027202,Wielki_comeback.html, 30 czerwca 2012 r.
14. Bikont A., Szczęsna J., *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu*, Warszawa 2006
15. Błażeński J., *Mówi Józef Światło. Za kulisami bezpieki i partii : Józef Światło ujawnia tajniki partii, reżymu i aparatu bezpieczeństwa*, Warszawa 1990
16. Błażejowska P., *Ubiory i upiory*, <http://tygodnik.onet.pl/1,71286,druk.html>, 30 czerwca 2012 r.
17. Borkowska G., *Maria Dąbrowska i Stanisław Stempowski*, Kraków 1999

18. Broniewska J., *Z notatnika korespondenta wojennego*, t. 1–2, Warszawa 1953
19. Chruszczow N., *Fragmety wspomnień*, Warszawa 1984
20. Chyliński J., *Jaki był Bolesław Bierut. Wspomnienia syna*, Warszawa 1999
21. Ciołkosz A., *Wanda Wasilewska. Dwa szkice biograficzne*, Londyn 1996
22. Dąbrowska M., *Dzienniki*, t. 1–13, Warszawa 2009
23. Deblick A., *Wartość zwyczajnej przyzwoitości*, <http://www.krytykapolityczna.pl/Zerkanie-w-gore-mapy/Wartosc-zwyczajnej-pryzwoitosci/menu-id-221.html>, 30 czerwca 2012 r.
24. Drewnowski T., *Wyprowadzka z czyścica: burzliwe życie pośmiertne Marii Dąbrowskiej*, Warszawa 2006
25. Drzewieniecki W., *Angielski szlif*, Toruń 2001
26. Dworak B., *W mieście zrujnowanym?*, http://www.dawne-zawiercie.pl/w_miescie_zrujnowanym, 30 czerwca 2012 r.
27. Dzięciołowski P., *Mademoiselle Alina, chapeau bas!* – rozmowa z Aliną Janowską, portal KulturaVIVA
28. Fornalska M., *Pamiętnik matki*, t. 1–2, Warszawa 1973
29. Gadomski B., *Głupie, naiwne kłamstwo*, <http://marhan.pl/index.php/czytelnia-1/51-ludzie/149-gupie-naiwne-kamstwo>, 30 czerwca 2012 r.
30. Gałczyńska K., *Splatało się, zmierzchało. Wspomnienia*, Warszawa 1995
31. Garlicki A., *Bolesław Bierut*, Warszawa 1994
32. Gauza W., *Elity III RP. Rodowód*, Oslo 2011
33. Gomułka *Pamiętniki*, t. 1–2, Warszawa 1994
34. Gontarczyk P., Musiał B., *Nieznany sekretarz PPR*, http://www.naszawitryna.pl/jedwabne_896.html, 30 czerwca 2012 r.
35. Gontarczyk P., *Operacja „Żelazo”. Zbóje w służbie PRL-u*, <http://www.gazetapolska.pl/5255-operacja-%E2%80%9Ezelazo%E2%80%9D-zboje-w-sluzbie-prl>, 30 czerwca 2012 r.
36. Gontarczyk P., *Rezydencja dla Gierka*, <http://www.wprost.pl/ar/117000/Rezydencja-dla-Gierka/>, 30 czerwca 2012 r.
37. Gontarczyk P., *Żydzi w bezpieczeństwie*, <http://www.rp.pl/arttykul/858228.html?print=tak&p=0>, 30 czerwca 2012 r.
38. Grabski A., *Czy marzec 1968 roku był nieuchronny?*, tygodnik „Przegląd”, 10/2008
39. Hennel S., *Godziny zwierzeń. Wspomnienia córek i synów o ich sławnych i zasłużonych Rodzicach*, Warszawa 1983
40. <http://kulturaviva.pl/pl/osobowosci/rozmowa-miesiaca/mademoiselle-alina,-chapeau-bas!-%E2%80%93-rozmowa-z-alina-janowska,302.html>, 30 czerwca 2012 r.
41. <http://www.aict.art.pl/yorick-mainmenu-65/nr-31-listopad-2011/2157-wizyta-przewodniczacego-i-sekretarza-stowarzyszenia-zwizana-bya-z-przygotowaniami-do-xxvi-kongresu>, 30 czerwca 2012 r.
42. Iwaszkiewicz A. i J., *Listy 1922–1926*, Warszawa 1998
43. Iwaszkiewicz A., *Dzienniki i wspomnienia*, Warszawa 2000
44. Iwaszkiewicz J., *Dzienniki 1911–1955*, Warszawa 2007
45. Iwaszkiewicz J., *Dzienniki 1956–1963*, Warszawa 2010

46. Iwaszkiewicz J., *Dzienniki 1964–1980*, Warszawa 2011
47. Iwaszkiewicz J., *Książka moich wspomnień*, Kraków 1983
48. Iwaszkiewicz J., *Siłacze naszej historii* http://bibliotekalegionowo.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=469, 30 czerwca 2012 r.
49. Janecki S., *Kara infamii*, <http://www.wprost.pl/ar/6907/Kara-infamii/>, 30 czerwca 2012 r.
50. Jaruga R., *Niech będzie pochwalony ksiądz i jego dzwony*, <http://wolnemedi.net/spoleczenstwo/niech-bedzie-pochwalony-ksiazd-i-jego-dzwony/>, 30 czerwca 2012 r.
51. Kalicki W., *17 X 1948: „Nietoperz”*, <http://historia.gazeta.pl/historia/1,99138,1209538.html>, 30 czerwca 2012 r.
52. Kamiński W., *Jak nie „żydokomuna”, to „piąta kolumna”, czyli o losie Żydów w Polsce Ludowej*, <http://dzieje.pl/content/jak-nie-%C5%BCydokomuna-pi%C4%85ta-kolumna-czyli-o-losie-%C5%BCyd%C3%B3w-w-polsce-ludowej>, 30 czerwca 2012 r.
53. Kirchner H., *Nałkowska albo życie pisane*, Warszawa 2011
54. Kisielewski S., *Abecadło Kisiela*, Warszawa 1990
55. Kisielewski S., *Dzienniki*, Warszawa 1996
56. Klich A., *Nasz człowiek w firmie PRL*, <http://wyborcza.pl/1,76842,4028289.html>, 30 czerwca 2012 r.
57. Klimowicz J., *Cała prawda o Węgierce* <http://www.wspolczesna.pl/apps/pbcs.dll/article?AID=/20070518/REG00/70517034>, 30 czerwca 2012 r.
58. *Kobiety w kampanii polskiej. Halina Wasilewska* http://www.1wrzesnia39.pl/porta1/39p/1301/8817/Halina_Wasilewska.html, 30 czerwca 2012 r.
59. Koper S., *Polskie piekielko*, Warszawa 2012
60. Koper S., *Wpływowe kobiety II Rzeczypospolitej*, Warszawa 2011
61. Kortko D., Watoła J., *Czerwona księżniczka*, Warszawa 2012
62. Korzeniowska G., *LAUREACI BOYA Elżbieta Kępińska: Pełne lęków przed życiem, dziwne postaci*
63. Kosińska M., *Wanda Wilkomirska*, http://www.culture.pl/baza-muzyka-pelna-tresc/-/eo_event_asset_publisher/eAN5/content/wanda-wilkomirska, 30 czerwca 2012 r.
64. Kowalska A., *Dzienniki 1927–1969*, Warszawa 2008
65. Kozłowski Cz., *Namiestnik Stalina*, Warszawa 1993
66. Krzywicka I., *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1995
67. Kubik M., Wolanowski L., *Leopold Unger, czyli o dziennikarstwie tworzonym z pasją*, <http://gu.us.edu.pl/node/212141>, 30 czerwca 2012 r.
68. Kurek J., *Dwie kobiety. O Wandzie Wasilewskiej epizod prawdziwy*, DL 1995 NR 3 (105)
69. Lipiński P., *Bolesław Niejasny. Opowieść o Bolesławie Bierucie, Forreście Gumpie polskiego komunizmu*, Warszawa 2001
70. Łukaszewicz S., *Byłem sekretarzem Bieruta : wspomnienia z pracy w Belwederze w latach 1945–1946*, Kraków 1987
71. Łuszczyna M., *Kabaret wiecznego niepokoju*, <http://partnerstwo.onet.pl/1569132,3499,1,artykul.html>, 30 czerwca

2012 r.

72. Marcjanna Fornalska i jej córki, „Bunt młodych duchem”, 1/2007

73. Matuszewski R., *Widziane z Bukaresztu*, „*Życia Warszawy*” i z Brukseli, <http://www.dekadaliteracka.pl/?id=3924>, 30 czerwca 2012 r.

74. Mazurek R., *Mimo wszystko Stalin nas szanował*, <http://wiadomosci.dziennik.pl/opinie/artykuly/220259,wieczorkiewicz-mimo-wszystko-stalin-nas-szanowal.html>, 30 czerwca 2012 r.

75. Mazurek R., Zaremba P., *Sylwester z Gomułką i studia na Kubie – dolce vita PRL-u*, <http://wiadomosci.dziennik.pl/opinie/artykuly/196978,sylwester-z-gomulka-i-studia-na-kubie-dolce-vita-prl-u.html>, 30 czerwca 2012 r.

76. Mitzner P., *Hania i Jarosław Iwaszkiewiczowie. Esej o małżeństwie*, Kraków 2000

77. Monika Jaruzelska, <http://www.kobieta.pl/gwiazdy/wywiady/zobacz/artykul/monika-jaruzelska/>, 30 czerwca 2012 r.

78. Mrowińska A., *Monika Jaruzelska*, <http://www.gala.pl/gwiazdy/wywiady/zobacz/artykul/monika-jaruzelska-grzech-chciec-wiecej.html>, 30 czerwca 2012 r.

79. Nałkowska Z., *Dzienniki 1945–1954*, Warszawa 2000–2001

80. Nałkowska Z., *Dzienniki czasu wojny*, Warszawa 1974

81. Namiotkiewicz W., *Byłem sekretarzem Gomułki. Z Walerym Namiotkiewiczem rozmawia Grzegorz Sołtysiak*, Warszawa 2002

82. *Nic tak dobrze nie robi pisarzowi jak upokorzenia. Z Januszem Głowackim rozmawiają Katarzyna Bielas i Jacek Szczerba*, „Gazeta Wyborcza”, 9/10/1998

83. *Nie latała do paryskiego fryzjera*, <http://wiadomosci.dziennik.pl/wydarzenia/artykuly/208020,nie-latala-do-paryskiego-fryzjera.html>, 30 czerwca 2012 r.

84. Niesłuchowska A., Stanisławka J., *M. Jaruzelska: życie ojca było dramatyczne*, <http://wiadomosci.wp.pl/title,M-Jaruzelska-chcialabym-poznac-Marte-Kaczynska,wid,14094726,wiadomosc.html?icaid=1eb95>, 30 czerwca 2012 r.

85. Nowicka D., *Wanda Wilkomirska: muszę się dzielić*, <http://www.nto.pl/apps/pbcs.dll/article?AID=/20100522/REPORTAZ/539505150>, 30 czerwca 2012 r.

86. Ogórek M., *Pierwsze damy*, <http://wyborcza.pl/1,81388,2954829.html>, 30 czerwca 2012 r.

87. Płużański T., *PPŻ Luna Brystygier*, <http://www.asme.pl/104352417660440.shtml>, 30 czerwca 2012 r.

88. Potaczała K., *Bieszczady w PRL-u*, Lesko 2012

89. Przytuła J., *Wokół mitu Gomułki*, <http://www.konserwatyzm.pl/artykul/2774/przytula-wokol-mitu-gomulki>, 30 czerwca 2012 r.

90. Pytlakowski P., Kapecka J., Kochanowska I., *Historia pierwszych dam*, tygodnik „Polityka”, 40/2000

91. Radziszewski A., *Zapytaj Wprost – Monika Jaruzelska i Jarosław Wałęsa*, <http://www.wprost.pl/ar/119327/Zapytaj-Wprost-Monika-Jaruzelska-i-Jaroslaw-Walesa/>, 30 czerwca 2012 r.

92. Radziwon M., *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie*, Warszawa 2010

93. Rakowski M., *Dzienniki polityczne*, t. 1–10, Warszawa 1998–2005

94. Rigamonti M., „*Kocham go do dziś*”. *Nina Andrycz o swojej wielkiej miłości*, <http://kobieta.newsweek.pl/-kocham-go-do-dzis---nina-andrycz-o-wielkiej-milosci,68803,1,1.html>, 30 czerwca 2012 r.

95. Rolicki J., *Edward Gierek. Replika*, Warszawa 1990
96. Rolicki J., *Edward Gierek. Życie i narodziny legendy*, Warszawa 2002
97. Rolicki J., *Przerwana dekada. Wywiad rzeka Janusza Rolickiego z Edwardem Gierkiem*, Warszawa 1990
98. Serwatka T., *Śmierć sowieckiego namiestnika*, <http://www.gazetazeta.com/cgi-artman/exec/view.cgi?archive=20&num=8273&printer=1>, 30 czerwca 2012 r.
99. Shore M., *Kawior i popiół. Życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*, Warszawa 2008
100. Siedlecka J., *Mahatma Witkac*, Warszawa 1998
101. Skalski E., *Intruz, Unger, Leopold*, <http://wyborcza.pl/1,75517,659169.html>, 30 czerwca 2012 r.
102. Skowroński J., *Rejestrator historii*, http://www.polsoz.fu-berlin.de/kommwiss/institut/journalistenkolleg/ejf/media/artikel/Dezember_2009.pdf, 30 czerwca 2012 r.
103. Sobociński W., *Dymsza, ryż i komuniści*, <http://liniamedia.com.pl/public/article.php?1-17046-0>, 30 czerwca 2012 r.
104. Sokorski W., *Adieu burdel, czyli pamiętnik intymny*, Warszawa 1992
105. Sokorski W., *Romans z komuną. Zwierzenia intymne*, Warszawa 1991
106. Sokorski W., *Wspomnienia*, Warszawa 1990
107. Sokorski W., *Wyznania zdrajcy: wywiad rzeka z Włodzimierzem Sokorskim*, Warszawa 1991
108. *Sowiecki teatr Aleksandra Węgierki* http://archiwum.rp.pl/arttykul/684773_Sowiecki_teatr_Aleksandra_Wegierki.html
109. Sroczyński G., *Śledztwo w sprawie kapcia*, http://wyborcza.pl/1,75480,5585434,Śledztwo_w_sprawie_kapcia.html?as=4
110. Strzelecki-Gomułka R., *Między realizmem a utopią. Władysław Gomułka we wspomnieniach syna*, Warszawa 2000
111. Syzdek B., [red.], *Władysław Gomułka we wspomnieniach*, Lublin 1989
112. Syzdek B. i E., *Polityczne dylematy Władysława Gomułki*, Warszawa 1985
113. Syzdek B. i E., *Zanim zostanie zapomniany*, Warszawa 1996
114. Syzdek E., [red.], *Wanda Wasilewska we wspomnieniach*, Warszawa 1982
115. Szczęsna J., *Bywszaja Polka*, <http://wiadomosci.gazeta.pl/kraj/1,34311,192981.html>, 30 czerwca 2012 r.
116. Szulc M., *Zdrajca czy polski Forrest Gump. Rozważania o drodze Bolesława Bieruta do władzy*, <http://histmag.org/?id=1959>, 30 czerwca 2012 r.
117. Szymański W., *Uroki dworu (rzecz o zniewalaniu)*, Kraków 1994
118. Śnieg-Czapiewska L., *Nina Andrycz – kochałam tylko raz* http://polki.pl/viva_arttykul,10025551,1.html, 30 czerwca 2012 r.
119. Tejchma J., *Kulisy dymisji: z dzienników ministra kultury 1974 –1977*, Kraków 1991
120. Tejchma J., *Odszedł Gomułka, przyszedł Gierek. Notatki z lat 1971 –1973*, Warszawa 2006
121. Tejchma J., *W kręgu nadziei i rozczarowań. Notatki dzienne z lat 1978–1982*, Warszawa 2002

122. Torańska T., *Byli*, Warszawa 2006
123. Torańska T., *Oni*, Warszawa 1990
124. Torańska T., *Samuel Handler: Werbowali na ulicy*, http://m.wyborcza.pl/wyborcza/1,105226,7618756,Samuel_Sandler__Werbowali_na_ulicy.html?as=3, 30 czerwca 2012 r.
125. Torańska T., *Śmierć spóźnia się o minutę*, „Gazeta Wyborcza”, Duży Format, 1/2009
126. Torańska T., *Wanda Wilkomirska, skrzypaczka*, <http://wyborcza.pl/1,81388,3498898.html>, 30 czerwca 2012 r.
127. Turlejska M., *Świat według Gomułki*, miesięcznik „Focus Historia”, 1/2009
128. Tyrmand L., *Fryzury Mieczysława Rakowskiego*, Warszawa 1989
129. Ułanowska G., *Wanda Wilkomirska – muzykę widzę w kolorach*, <http://maestro.net.pl/document/wywiady/muzycy/Wilkomirska.pdf>, 30 czerwca 2012 r.
130. Urban J., *Alfabet Urbana*, Warszawa 1990
131. Urban J., *Jajakobyły. Spowiedź życia Jerzego Urbana*, Warszawa 1992
132. Urbanek M., *Broniewski: miłość, wódka, polityka*, Warszawa 2011
133. Urbanek M., *Poeta i psycho-łotrzy*, <http://www.polityka.pl/kultura/1520694,1,tajemnicze-cztery-tygodnie-wladyslawa-broniewskiego.read>, 30 czerwca 2012 r.
134. *Wanda Wilkomirska*, http://www.amuz.lodz.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=58&Itemid=81, 30 czerwca 2012 r.
135. Wasilewska W., *Wspomnienia Wandy Wasilewskiej*, Warszawa 1968
136. Wat A., *Mój wiek: pamiętnik mówiony*, t. 1–2, Warszawa 1998
137. Watowa O., *Wszystko co najważniejsze*, Warszawa 1990
138. Werblan A., *Władysław Gomułka – sekretarz generalny PPR*, Warszawa 1988
139. Wieczorkiewicz P., Błażejowska J., *Przez Polskę Ludową na przełaj i na przekór*, Warszawa 2011
140. Wieczorkiewicz P., *Historia polityczna Polski 1935–1945*, Warszawa 2005
141. Wiśniewski T., *Tajemnica Aleksandra Węgielki* <http://www.poranny.pl/apps/pbcs.dll/article?AID=/20080822/MAGAZYN/840289196>, 30 czerwca 2012 r.
142. Włodek L., *Pra. O rodzinie Iwaszkiewiczów*, Warszawa 2012
143. Wronka K., Majewski M., *Tak Kaczyński żartował z Kiszczakiem*, „Dziennik”, 20 listopada 2009
144. *Wspomnienia i relacje o Bolesławie Bierucie*, Archiwum Akt Nowych (syg. 254/II-1)
145. *Wszystkie żony mężów stanu*, http://www.czaswarszawski.pl/artukul.php?id_a=992&id=110, 30 czerwca 2012 r.
146. Zatorska H., *Wanda Wasilewska*, Warszawa 1977
147. Zawada A., *Jarosław Iwaszkiewicz*, Warszawa 1994
148. Zawieyski J., *Kartki z dziennika 1955–1969*, Warszawa 1983
149. *Zawikłany życiorys Małgorzaty Fornalskiej*, „Bunt młodych duchem”, 1/2007
150. Zawistowska E., *Mitologizacja pani poetowej*, <http://www.polityka.pl/kultura/aktualnoscikulturalne/1522237,1,kto->

wyslal-broniewskiego-na-leczenie.read, 30 czerwca 2012 r.

151. Zimmerman M., *Sekretarki, o których było głośno*, <http://wiadomosci.onet.pl/kiosk/historia/sekretarki-o-ktorych-bylo-glosno,1,5113135,kiosk-wiadomosc.html>, 30 czerwca 2012 r.

152. Zimmerman M., *Zbrodnicze monstrum. „Krwawa Luna” w łóżku*, <http://wiadomosci.onet.pl/kiosk/najslynniejsze-seksskandale/zbrodnicze-monstrum-krwawa-luna-w-lozku,1,5027346,wiadomosc.html>, 30 czerwca 2012 r.

153. Żaryn J., *Córka marnotrawna, czyli Luna w Laskach*, „Biuletyn IPN”, 11/2005

154. *Żona Jaruzelskiego dla „Faktu”: U spowiedzi byłam dawno temu*, <http://chlapacz.fakt.pl/politycy/zona-jaruzelskiego-dla-faktu-u-spowiedzi-bylam-dawno-temu/>, 30 czerwca 2012 r.

Sławomir KOPER

Historyk, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego (1991). Autor wielu publikacji dotyczących dziejów obyczajowości (m.in. *Życie prywatne i erotyczne w starożytnej Grecji i Rzymie*, 2011). Uznanie przyniosła mu seria o elitach II Rzeczypospolitej oraz niekonwencjonalne przewodniki historyczne. W swoich książkach ukazuje przeszłość widzianą od strony codziennego życia, co dotychczas w polskiej literaturze fachowej skrętnie pomijano. Warszawiak z urodzenia, legionowianin z wyboru, miłośnik Krakowa.



Wanda WASILEWSKA
Zofia NAŁKOWSKA
Maria DĄBROWSKA
Anna IWASZKIEWICZ
Janina GÓRZYŃSKA
Małgorzata FORNAŁSKA
Julia BRYSTYGIER
Zofia GOMUŁKOWA
Nina ANDRYCZ
Stanisława GIEREK
Wanda WIŁKOMIRSKA
i inne

Pisarki, aktorki, działaczki... Sławomir Koper,
autor bestsellerowych tytułów o elitach II Rzeczypospolitej,
rozpoczyna kolejną serię. Tym razem o elitach PRL.
Pierwsza pozycja to fascynująca opowieść o wpływowych
kobietach tamtych czasów. Jak zawsze u tego historyka
książka jest erudycyjna i odsłania nieznane fakty.